

Antologia

Spotkanie w przestworzach

Tom - 1

Andrzej Drzewiński - W objęciach snu

Minęła godzina dziesiąta. W sali zgaszono światło. Oczy Zygmunta z ulgą przyjmowały kojący półmrok. Szpital, w którym go umieszczono, mieścił się w starym dziewiętnastowiecznym budynku. Wysoko nad nim zawieszono było białe sklepienie, poprzecinane łukami żeber; klasyczny neogotyck. Zamknął oczy. W drugim końcu sali ktoś chrapliwie oddychał przez sen. Na szczęście tego, który wczoraj całą noc kaszlał, przeniesiono do izolatki. Dzięki Bogu, gdyż nie można było już wytrzymać. Ostrożnie, aby nie urazić chorego miejsca poprawił sobie poduszkę. Przytulając do niej nos stwierdził, że całkiem ładnie pachnie. Nie wiedział dlaczego, ale zapach czystego płótna wydawał mu się czymś swojskim. Wzrok przesłizgnął się po białej ścianie szafki i spoczął na kubku z wodą. Chwilę zastanawiał się czy chce mu się pić. Zrezygnował jednak, gdy pomyślał o szeregu czynności, które musiałby wykonać, aby łyknąć wody. Trzeba było odchylić kołdrę, wysunąć rękę, chwycić kubek; nie, to stanowczo za bardzo skomplikowane. Światło, które wpadało przez przymknięte powieki dziwnie odrealniało kształty. Zmęczenie powoli, kropla za kroplą, wlewało mu się w żyły. Czuł, że zaraz zaśnie. Na szybie od drzwi korytarza kręcił się jakiś senny komar. "Ciekawe - pomyślał - czy on tak długo może?" Wszystko zlało się w monotonną całość.

Biegł. Ciągłe biegi. Jego nagie ciało przez mały czas biczowane było przez gałęzie. Wokół panowała ciemność. Lecz tam wyżej, nad drzewami już się przejaśniało. Niedługo będzie świt. Przystanął zdyszany i czuł, jak w skroniach mowa tętni mu krew. Od strony rzeki powiał lekki wiatr, który przyniósł intensywną woń zgnilizny. Dziwnie kojarzyła mu się ze strachem. Bał się i był świadom w tej chwili swego strachu. Wysłannicy kapłanów, którzy go ścigali, byli bezlitośni. Wiedział o tym aż za dobrze. Jak by nie było, był kiedyś jednym z nich. Kiedyś? Dla kogoś, kto zakłócił porządek misterium Oryrysa nie było ratunku. O Izydo! Co za potwarz! Przeklęty Setnehat, to on go sprowokował. A potem oskarżył i wydał wyrok. Setnehatowi nie podobało się, że traci na jego korzyść przywileje i posłuch. Ohydny starach... Przekleństwo zamarło mu w gardle, gdyż z tyłu usłyszał szelest rozsuwanych trzon. Błyskawicznie obrócił się na pięcie. Lecz to tylko obcy grzbiet krokodyla powoli przesuwiał się w kierunku wody. Odetchnął z ulgą. Widać było, jak obraz księżycy zatańczył na zmąconej tafli. Lecz nie to przykuło jego uwagę. Tam, za kępą trzciny, dojrzał ciemną sylwetkę czółna. To był ratunek. Starając się cicho rozgarniać sitowie podkradł się do niego. Czuł jak stopy zagłębiają mu się w gęsty muł. Przejechał kilkakrotnie ręką po burcie; nie było przywiązane. Oparł na nim ręce i cicho postępując zepchnął je na głębszą wodę. Tam wskoczył, uderzając się przy okazji boleśnie w nogę. Zagryzł wargi z bólu. Potem, wiosłując rękoma, przepłynął kilkadziesiąt metrów dalej i schronił się w gęstej kępie sitowia. Na razie był bezpieczny. Nieprzytomny ze zmęczenia rzucił się na dno i zasnął kamiennym snem.

Sail płynął już przeszło pięć godzin. Niedługo Wielki Ra ukaże światu swoje oblicze, a on nie natrafił nawet na ślady uciekiniera. Wokół panowała cisza przerywana od czasu do czasu głosami zwierząt. Teraz właśnie z brzegu odezwał się głośny plusk. Najpewniej jakiś krokodyl udawał się na wczesne śniadanie. Rzeka, po której płynął, była wielkim darem dla ludu. Teraz, na szczęście, poziom wody był niski. Dziękował za to Wielkiemu. W jesieni, w porze przyboru, cała Delta zamieniała się w jedno wielkie jezioro. Między tysiącami wysp, wysepek, kęp drzew na pewno udałoby się tamtemu schować. I tak, on jeden tylko spośród wysłanników wybrał drogę wodną. Inni wędrowali lądem. Sail znalazł jednak uciekiniera i wiedział, że będzie próbował dostać się na północ. A jakąż inną drogę wybrać mógł

potomek rodu żeglarzy?! Sail dotknął zawieszonoego na szyi znaku Ra. Z jego ust popłynęła cicha, poranna modlitwa. "Witaj Ty, któryś ustanowiony Władcą Wschodu i całego świata! Ty, którego strażą przyboczną są wszyscy inni bogowie. Witaj w tej dobrej Twojej godzinie i w tym dobrym dniu Twoim. O dobry Demonie świata, o promienista korono ziem zamieszkanych! Ty, który dzieckiem podnosisz się z otchłani, młodzieńcem w ciągu dnia się stajesz, jako starzec zachodzisz! Pomóż mi!"

Zbudził go przeszywający ból chorego miejsca, który jednak po chwili ucicha. Zygmunt delikatnie otarł pot z czoła. Wilgotną gazę wcisnął pod materac. Poczłł, że ma ogromne pragnienie, zupełnie jak po długim, wyczerpującym biegu. Centymetr po centymetrze, jego ręka zaczęła zdążać w kierunku kubka z wodą. Nareszcie wyczuł jego chłód pod opuszkami palców. Zaciśnął je mocno. Przekręcił głowę w bok i starał się wlać sobie płyn do ust. Udało mu się to tylko częściowo gdyż na poduszce wykwitła duża mokra plama. Pusty kubek odstawił na podłogę. Tak było wygodniej. Czuł, że ogarnia go gorączka, ale nie chciał jeszcze zasnąć. Miał jeszcze chęć choć przez chwilę porozkoszować się świadomością, że nic go nie boli. A może bał się, że znów mu się przyśnią jakieś koszmary? Wzrok jakby mu się poprawił, gdyż w drugim końcu sali zobaczył łóżko, którego w dzień jeszcze nie było. Najwidoczniej musieli przynieść kogoś nowego gdy spał. O ile mógł dojrzeć był to mężczyzna w sile wieku, o ostrych rysach twarzy. Minęło kilka sekund zanim spostrzegł, że tamten również nie śpi i najwyraźniej patrzy w jego stronę. Miał chłodne, błyszczące oczy. Zygmunt odruchowo uśmiechnął się do niego. Chciał dać mu znak solidarności, który zawsze posyłają sobie ludzie połączeni nieszczęściem. Tamten drgnął i z widocznym wysiłkiem odwrócił głowę do ściany. Widocznie był albo tak chory, albo tak zniechęcony, że wolał to zrobić. Zygmunt po chwili z ulgą opuścił głowę na poduszkę. Zmęczył się. Ostatnią rzeczą, którą widział przed zaśnięciem było jego własne przedramię z wbity igłą, która za pomocą rurki łączyła się z butlą przezroczystego płynu.

Gdy się obudził, słońce kładło się już na horyzoncie. Przeciągnął obolałe mięśnie, usiadł i rozejrzał się. Ogromna rzeka leniwie toczyła swe mętne wody. Wzdłuż niej rozciągała się zieleń najwspanialszych chyba w świecie zbóż. Palmy leniwie drgały na wietrze. Nad łódką z wrzaskiem przeleciał jakiś ptak. Powiódł za nim wzrokiem. Och, jakże mu zazdrości tej swobody!

Nagle jego uwagę zwrócił ruch w górze rzeki. Do barek płynących z południa podpływała łódź wypełniona żołnierzami, najwyraźniej szykującymi się do ich gruntownego przeszukania. Uśmiechnął się szyderczo i splunął w ich stronę. Mogą sobie szukać...

W miarę upływu czasu ruch na rzece malał. Wkrótce minęła go kawalkada rybackich łodzi płynących do przystani. Ich podobne do wywróconego sierpa półksiężycy o podniesionych rogach wywoływały w jego sercu miłe drżenie. Gdy zapadł zmrok, wypłynął na główny nurt. Jego jedynym ratunkiem było dotarcie do portów na północy. Tam na pewno uda mu się ująć pogoni. Ale wiedział, że ma przed sobą bardzo daleką drogę. Rzeka to rozlewała się szeroko, to szła wąskim korytem pomiędzy rzędami majestatycznych palm. Płatanina łądyg, trzciny i liści pływających po wodzie utrudniała wiosłowanie. Wkrótce jednak wypłynął na szerszą przestrzeń. Stąd wiodło dalej kilka odnóg. Po chwili namysłu wybrał tę, która prowadziła bezpośrednio na północ. Znalazł ją dzięki jasnemu światłu Gwiazdy Przewodniej. Nic dziwnego, nauka kapłanów nie poszła na maro. Odnoga robiła się jednak coraz bardziej płytka. Wyglądało na to, że zszedł z głównego nurtu. Przez jakiś czas miał nadzieję, że ten odcinek łączy się niżej z głównym ramieniem rzeki, Lecz nadzieje okazały się płonne. Kępy trzciny i sitowia tarasowały drogę. Tracił czas na wyszukiwanie nie zarośniętych miejsc. Jeśli dalej tak pójdzie będzie musiał brodzić i przepychać czołno. Nagle poczuł jak serce podchodzi mu do gardła. Z przeciwka płynęła łódź podobna do jego. Odruchowo zwilżył sobie twarz mokrą szmatą. Wiedział, że zaraz bogowie wydadzą wyrok. Na dziobie tamtego czołna stał człowiek trzymający w ręku miedziany sztylet. Mimo ciemności poznał go po sylwetce. Jego najgorszy wróg: syn Setnehata, Sail. Odruchowo chwycił

za rękojeść sztyletu zatkniętego za pasem. Palce zacisnęły się kurczowo na wyrzeźbionej główce.

Dwie godziny po wschodzie słońca Sail uznał, że musiał zbiega przegapić. Przecież nie mógł on płynąć w dzień! To byłoby samobójstwo. I tak, swoją drogą Sail musiał przyznać, że ma szczęście. Rybak, którego spotkał o świcie powiedział mu o kradzieży czółna. Biedak zrozpaczony biegał wzdłuż brzegu, gdy Sail go zauważył. Tamten najwyraźniej go również dojrzał, bo zaczął nagle wymachiwać rękoma. Gdy zaintrygowany Sail podpłynął bliżej, fellach upadł na twarz i w tej pozie pozostał do końca. Jęczał na ciężkie czasy, na nieurodzaj, na nędzę i skamlał, że teraz jeszcze zabrano mu jedyne narzędzie pracy.

Informacja ta bardzo się Sailowi przydała. Postanowił popłynąć w dół rzeki i tam poczekać na uciekiniera. Dzień upłynął szybko. Dopiero o zmroku jego cierpliwość została wynagrodzona. W ostatnich blaskach dnia ujrzał zgarbioną w czółnie sylwetkę. A więc jednak. Teraz już mu nie ujdzie! Cicho popłynął za nim. Postanowił sam załatwić tę sprawę. Delikatnie wiosłował, aby tamten go nie usłyszał. Jednocześnie bał się, że może stracić go z oczu. Szczęście opuściło go w ostatniej chwili. Właśnie miał dopaść ofiary, gdy uciekinier ni stąd ni zowąd zawrócił. Sail podniósł się...

Noc uciekła, ustępując miejsca znajomemu półmrokowi sali. Zygmunt zlany był potem. Słyszał jak z boku ktoś zakaszłał. Uświadomił też sobie, że cały język ma zdrętwiały, a wargi suche i spękane. Wiedział, że jest z nim bardzo źle. To przez ten uporczywy koszmar. Odwrócił głowę. Zobaczył parę oczu, która ze skupieniem wpatrywała się w niego. To był ten nowy pacjent. Miał bardzo dziwny wyraz twarzy, zupełnie jakby na coś uparcie z napięciem oczekiwał. Zygmunt chciał poprosić go o pomoc, ale zamiast wołania z jego gardła z trudem wydobył się cichy, urywany szept. Nie miał już sił. Znów opadł na poduszkę i przez moment zbierał siły. Wiedział, że przyciski od dzwonka umieszczone są przy wezłowie. Wyciągnął rękę do góry. Dopiero kiedy poczuł okropny ból zrozumiał, że zrobił to zbyt gwałtownie. Białe, jasne plamki zawirowały mu pod powiekami...

Byli już kilka metrów od siebie. Ostrze noża Saila przyciągało jego wzrok jak magnes. Wszystkie mięśnie i nerwy grały w rytm jednego rozkazu: nie dać się zabić. Miał wrażenie jakby cały świat zastygł w ciszy i czekał na wynik tego pojedynku. Jego usta cicho szeptały modły do Izydy. Wierzył, że jego patronka nie pozwoli, aby Horus i Anubis już dziś ważyli jego serce. Czuł, że ich sprężone do skoku ciała są uosobieniem demona walki. Gdzieś wokół nich krążyła śmierć. Łodzie głucho stuknęły o siebie i zatrzymały się. W tym samym momencie obaj skoczyli do przodu. Z rozkoszą zobaczył, jak jego nóż prześliznął się nad ramieniem Saila i utkwiał w jego sercu. Lecz nie zdążył wydać nawet okrzyku triumfu, gdy poczuł tępy ból w piersiach. W ostatnim przeblasku świadomości zrozumiał, że Sail również nie chybił...

Pielęgniarka była śmiertelnie blada. Wybiegła z sali nie zamykając nawet za sobą drzwi. Czepek przekrzywił jej się na lewą stronę i, gdyby nie żałosna mina, wyglądałaby całkiem zabawnie. Przebiegła korytarz i wpadła do drzwi z jasnyniebieską tabliczką:

LEKARZ DYŻURNY

- Panie doktorze, panie doktorze - wołała, potrząsając za ramię śpiącego na kozetce człowieka.

- Co się stało, siostró - spytał cicho.

Tak jak każdy lekarz z prawdziwego zdarzenia, potrafił szybko adaptować się do każdej sytuacji.

- Na sali trzeciej dwa zgony - odpowiedziała łamiącym się głosem - wygląda na jakieś wylewy wewnętrzne, zresztą sama nie wiem.

- Który to? - spytał zakładając kitel.

- Pan James Kill, którego daliśmy tam wieczorem - wyliczała i pan Zygmunt Drewski. Wie pan, ten z katastrofy lotniczej.

- Tak, wiem. Już tam idziemy - mówił kierując się w stronę sali - tylko niech się pani uspokoi, bo

pacjenci się pobudzą.

Pielęgniarka dreptała za nim wycierając nos chusteczką.

Andrzej Drzewiński - Odnowa

Epizod pierwszy

Zapadła noc: W górze przez zamglone szyby migotały światełka gwiazd. Wiatr pędził tabuny pierzastych chmur wspaniale fosforyzujących na ciemnym niebie. Czasza Księżycy, to znikwała, to ukazywała się w całej swej krasie. Artur powoli oderwał wzrok od tego widoku. "Już czas" - pomyślał patrząc na cyferblat budzika stojącego na komodzie. Ostrożnie podniósł się i podszedł do stolika, skąd chwycił przygotowany przedmiot. Uchylone drzwi skrzypnęły. Zastygł w bezruchu. Nic, cisza. Tylko w kącie słyhać było chrapliwy oddech. Szedł w tym kierunku. Już był obok. Oparł się o krawędź łóżka starając się jak najdokładniej umiejscowić położenie śpiącej osoby. Tak, to tu. Jeszcze raz wszystko sobie powtórzył i głęboko odetchnął. Potem uniósł obie ręce w górę i z wykrzywioną twarzą z całej siły opuścił młotek. Coś głucho chrupnęło. Nastąpiła cisza. Na szczęście nie cierpiał. Już po wszystkim, pomyślał. Uklęknął na podłodze i położył splecione dłonie na kancie łóżka. Zaczął się modlić. Na podłogę cicho kapiała krew. Księżyc, który znów wyrzał zza chmur, odbijał się skarłały w małych zwierciadełkach kropel.

Epizod drugi

Marlow jak zwykle patrolował południowy odcinek nadbrzeżnego pasa Florydy. Spokojnie trzymał w lewej ręce wolant. Pod nim przesuwał się białobrunatny piasek plaży. Morze było spokojne. Fale leniwie wpełzały na brzeg, aby potem równie niechętnie zsunąć się do morza. Horyzont był pusty. Za pięć minut kończy mu się lot i wraca do bary, gdzie czeka go filiżanka gorącej kawy. Z rozmyślań wyrwał go zbliżający się szum. Odwrócił głowę. Od strony słońca z pułapu 200 leciał do niego samolot. Dziwne - pomyślał. Wytężał wzrok, ale nic nie mógł dojrzeć: Morze jarzyło się tysiącem słonecznych odbłasków. Zmrużone oczy zaczęły go piec. Skręcił głowę i powoli przełożył samolot na lewe skrzydło. Już po chwili leciał kursem zbieżnym. Tak, nie pomylił się, to ten sam typ co jego patrolowiec. Pomachał skrzydłami i zaklął patrząc na rozwalone radio. Dziesięć minut temu coś w nim trzasło i zamilkło na amen. Próbował je naprawić we własnym zakresie, ale to musiało być coś bardziej poważnego. Postanowił to odłożyć do powrotu do bary. Teraz tamten samolot już prawie podlatywał do niego. Pewnie zauważyli, że coś się stało z łącznością i wysłali drugi samolot dla sprawdzenia. Starał się odcyfrować jego znaki rozpoznawcze, które teraz znajdowały się w cieniu. W dole błyszczało morze. Nagle tamten zaczął nurkować w jego stronę.

- Co robisz?! - krzyknął - co robisz Peter, rozwalimy się! Nic nie rozumiał, gdyż znaki rozpoznawcze były znakami samolotu jego kumpla.

- Boże, zwariował! - ryknął, gdy zobaczył dwie smugi mijające jego kadłub.

Wiedział, że takie smugi pozostawiają pociski raketowe F - 3 o dużej sile rażenia. Gwałtownie szarpnął wolant i zszedł w piekielnie ostrą pętlę, lecz było za późno. Następne pociski uderzyły bezpośrednio w jegoabinę. Poczł okropny ból i tylko jeszcze przez moment widział gwałtownie rosnące fale.

Epizod trzeci

Khango skradał się bezszelestnie. Ostrożnie stawiał swe bosc stopy na barwnym poszyciu dżungli. Przepęłzał pod zwalonymi pniami i ostrożnie omijał wiszące liany. Za jego plecami wstawało słońce. Już niedaleko widać było pierwsze zabudowania wsi, słyhać szczekanie kundli. Wkrótce był u celu.

Przed nim było wejście do chaty, bardziej okazałej niż inne. Wyjął zza przepaski dmuchawkę i

ostrożnie wsunął do niej zatruty kolec przyozdobiony kępką piór. Czekał. Słońce wzniosło się w górę o dwie dłonie, gdy zasłona przy wejściu poruszyła się. Wszedł spoza niej barczysty murzyn. Stał na progu, przeciągnął się i podrapał po kołtunie. Chwilę ze znudzoną miną czegoś wypatrywał. Potem kopnął świniaka snującego się po podwórku, który z głośnym kwikiem salwował się ucieczką w krzaki. Następnie obrócił się ku wnętrzu chaty. Chwilę później leżał już martwy z głową w korycie i tylko z szyi wystawała mu kępka piór. Khango nigdy nie chybiał.

Epizod czwarty

Andrew wisiał pięć metrów niżej. Pod nim było dobre dwieście metrów pustki, przecinanej tylko taflami lodowca. Filar Gerbramma, który trawersowali, był najtrudniejszy w tej partii. Nic dziwnego, szóstka. Maks starannie podciągał partnera. Lodowiec skrzył się tysiącami igiełek. Biała ściana ciągnęła się gdzieś tam wysoko w górę. Mieli jeszcze dobre kilkanaście metrów. Oddech zamarzał mu na ochraniaczu. Skrócił dystans do trzech metrów. W tej chwili tamtego nie widział, gdyż był na przewieszce: Tak było lepiej. Prawą ręką sięgnął do tyłu i wyciągnął długi czarny przedmiot. Słońce zabłysło na jego ostrzu, gdy przykładał go do liny. Ciął szaleńczo, byle szybciej.

Teraz, gdy patrzył w dół, mógł się tylko domyślać, gdzie leżą zwłoki. Ale mimo to ciągle słyszał ten krzyk i głuche odgłosy, które go stłumiły. Z zagryzionych warg ciekła cienka, zamarzająca błyskawicznie, strużka krwi.

Epizod piąty

Była jeszcze noc. Samochód z wygaszonymi światłami podjechał pod dom. Martinez otworzył drzwiczki i wysunął się z wozu. Żwir cicho zachrząścił. Za nim wysunęło się jeszcze kilka schylonych sylwetek. Uformowali się w szereg i sprawnie pobiegli. Najpierw przez podwórko z gnijącymi w kubłach odpadkami, potem wystraszyli kota, który z przeraźliwym wrzaskiem odskoczył w bok, aż w końcu wbiegli na klatkę. Na drucie chwiała się upstrzona przez muchy żarówka. Omijając wypaczone stopnie wbiegli wyżej. Na piętrze któryś zawadził o stojące wiadro i pomyje z chlupotem połały się po schodach. Martinez rzucił przekleństwo i obiecał sobie, że po akcji policzy się z tym niedołęgą. Wbiegli na podest. Gwałtownym ruchem ręki wskazał chłopakowi zamek zamkniętych drzwi. Kadet stanął w rozkroku i nacisnął spust. Odpryski drewna i metalu wraz ze spłaszczonymi pociskami zaczęły osypywać się na podłogę. Drzwi z trzaskiem otworzyły się. Kadet zwolnił spust, chwilę się zamyślił, a potem puścił drugą serię trochę w bok. Prosto w tułów Martineza, którego jak szmacianą zabawką rzuciło na ścianę, a potem wcisnęło w kąt korytarza.

Terry schował pistolet do kabury. Ostrożnie omijając zwłoki głównego dyspozytora podszedł do pulpitu centralnego. Obrócił fotel i wcisnął się w jego wnętrze. Następnie uderzył w klawisz łączności. Na tę chwilę czekał lata. Wiedział, że teraz we wszystkich odbiornikach radiowych zapadła cisza, zaś na wszystkich ekranach telewizyjnych pojawiła się jego twarz. Wiedział również, że to, co powie, 3 miliardy ludzi będzie pamiętało do końca życia. Trzeba było zacząć: "Ludzkości - zaczął pompatycznie - nasz plan się powiódł. Wywabiliśmy z gatunku ludzkiego zło i zbrodnię. Od dziś na świecie żyć będą tylko, ludzie dobrzy. Miłujący pokój i szczęście innych ludzi. Czyli, wy. Kiedy dziesięć lat temu, razem z nieliczną grupką moich współpracowników, postawiliśmy przed sobą ten cel, wydawało się nam, że jest on nieosiągalny. Niczym skalna ściana, wznosił się nad naszą przyziemnością - mówił, mając wrażenie, że trochę się zagalopował. - Jednak trzeba było działać. Jak pamiętacie, bezpośrednim bodźcem, który nas zmobilizował do działania, był test subsensoryczny. Z niesamowitą dokładnością potrafił on wykazać, czy dany osobnik posiada symptomy zła i zbrodni. Ale to nie wszystko. Pozwalał on wykryć również potencjalnego przestępcę. Mogliśmy teraz, za pomocą tej metody, wykazać kto może stać się mordercą, bandytą, czy zwyrodnialcem. Udało mi się dość szybko pozyskać współpracowników na całym świecie, wraz z którymi przystąpiliśmy do ogólnoswiatowych testowań. Robiliśmy to pod płaszczykiem UCEFA.

Po dwóch latach mieliśmy pełne wyniki. Przeszły one nasze najczarniejsze przypuszczenia. To była po prostu katastrofa! Aż dla miliarda osób test wypadł negatywnie. Do tamtej pory mieliśmy nadzieję, że liczba ta nie przekroczy kilku, góra kilkunastu milionów ludzi. Gdyby tak było, staralibyśmy się przeforsować wniosek o ich odizolowaniu społecznym. Przy takim układzie plan spalił na panewce, gdyż stanowili oni zbyt dużą siłę. Wiedzieliśmy, że nie możemy ujawniać naszych wyników. Myśleliśmy długo. Nasze obrady w sumie ciągnęły się prawie rok. W końcu jednak z bólem serca uznaliśmy działanie skrytobójcze za jedyny plan dający szansę powodzenia. Większość z naszych oportunistów nazywała ten plan zbiorowym morderstwem. Pięć lat, powtarzam, pięć lat musieliśmy przekonywać niektórych z was o słuszności tego postępowania. Dzięki naszemu testowi mieliśmy ten plus, że bezbłędnie wybraliśmy osoby. Dlatego tylko ten gigantyczny spisek mógł się powieść. Jak wiecie nie było nawet jednej wpadki! Oto co znaczy test subsensoryczny! wytarł spoczone czoło - potem jeszcze ponad dwa lata przygotowań technicznych i godzina E, jak "exodus", nadeszła. Właśnie pięćdziesiąt minut temu. Co będzie dalej? Wiecie sami. Myślę, że dobrze będziemy gospodarzyć. Zaś w słownikach przy hasłach "zło", "morderstwo", "wojna" można już dopisać: "wyrazy archaiczne".

Monitor kontrolny zgasł. Terry zakręcił się w fotelu. Był szczęśliwy. Dyżurny za szybą porozumiewawczo trzymał kciuka do góry. Udało się! Wstał z fotela. Lekko kręciło mu się w głowie. Zrobił kilka przysiadów dla rozprostowania kości i ruszył w kierunku drzwi za kotarą. Za nim siedziała cała i jego grupa, jak sądził najtęższe umysły świata. Przed drzwiami z ręką na klamce chwilę się zatrzymał. Miał jeden problem. Nie wiedział jak im powiedzieć, że tydzień temu znalazł mały błąd w teście sensorycznym. Głupie przestawienie przecinka o jedno miejsce. Pomyłka ta, obniżała wskaźnik nadpobudliwości. Innymi słowy, będzie ona kosztować życie następnego pół miliarda potencjalnych zbrodniarzy. Ale trudno, w końcu to są ludzie źli.

Terry nacisnął klamkę.

Andrzej Drzewiński - Ocalenie

Pierwsza godzina

Po zachodzie słońca. Jan włączył telewizor. Ukazała się przypudrowana twarz spikera. Tego samego co zawsze. “Jak widać uznali, że to lepiej wpłynie na naszą psychikę”. Spiker chrząknął i starannie dobierając słowa, zaczął mówić.

- Nadajemy teraz ostatni komunikat o wyprawie ratunkowej majora Blica. Niestety, zakończyła się ona fiaskiem.

Jan poczuł jak w tym momencie czterem miliardom ludzi serce podchodzi do gardła. On je też tam miał. Spiker beznamiętnie kontynuował:

- Ostatni komunikat informował, że udało mu się wejść na orbitę parkingową wokół “Apokalipsy”. Potem jeszcze usłyszano strzępy meldunku, że podchodzi do lądowania. Od tego czasu minęło sześć godzin i brak jest jakiegokolwiek łączności. Mimo utrudnionych przez słońce obserwacji wyraźnie widać, że w ciągu ostatnich godzin bolid nie zmienił trajektorii lotu. Tak więc szanse na uniknięcie zderzenia w tej chwili są prawie żadne. Nie możemy sobie pozwolić na luksus złudy! Po co mamy cierpieć? - Spikier wręcz krzyczał. - Rząd zalecał użycie pigułek. Jeśli do tej pory ich nie pobrałeś, idź i uczyn to natychmiast! Ulżysz sobie i swym bliskim w cierpieniach. Pamiętajcie, gdyby był choć cień nadziei trzymalibyśmy się go do końca. A tak? Już od tygodnia wiadomo, że bolid uderzy w okolice Morza Północnego. Pierwsza pójdzie fala wodna: zaleje całe Wyspy Brytyjskie, Francję, Niemcy i Skandynawię. Następna będzie fala uderzeniowa, wywołana przez eksplozję bolidu. Eksplozję, gdyż rozgrzany tarciem bolid w zetknięciu z zimną wodą oceanu na pewno eksploduje. Po tym w całej Europie nie będzie już nikogo żywego. Ale to nie wszystko, gdyż jak obliczono tak duże pchnięcie wytrąci nasz glob z równowagi. Ziemia obróci się o duży kąt w kierunku działania siły zewnętrznej. Jak pewno większość z państwa się orientuje kierunek osi obrotu względem układu słonecznego pozostaje w przestrzeni niezmienny, a więc przesuną się bieguny. Spowoduje to zmianę szerokości geograficznych poszczególnych punktów na powierzchni naszego globu. Konsekwencją tego będzie katastroficzna zmiana klimatu. Jednak to nie wszystko, gdyż Ziemia jest elipsoidą powstałą w wyniku własnego ruchu obrotowego. Po przesunięciu się “osi” Ziemi elipsoida przekrzywi się. Naturalnie, za jakiś czas ruchy górotwórcze przywrócą jej pierwotny kształt, ale masy wody, które będą jeszcze w starej pozycji, uderzą od razu. Zaleją powstałą wzdłuż nowego równika lulkę, chcąc uformować się równomiernie. A to będzie już nasz koniec! Proszę wybaczyć, że mówię trochę niedokładnie, ale to już było omawiane w publikacjach.

Spiker był zdenerwowany. Co chwilę poprawiał sobie kołnierzyk. Jego okulary najwyraźniej były zapoccone.

- A więc jeszcze raz powtarzam, zażyjcie pigułki. Po nich; odchodzi się szybko, bez cienia bólu. Nie powtarzajmy historii mamutów! - dodał ni w pięć, ni w dziewięć.

Potem podniósł rękę, do ust i coś szybko przełknął. Jana poderwało. Ale już po chwili wiedział, że tam za szklaną szybą ten człowiek jest martwy. Ekran powlekał się szarością.

Druga godzina

Skrzypnęło krzesło. Odwrócił się. Za nim siedziała Beata. - Słyszałaś, co mówił? - spytał.

Skinęła potakująco. Po drgających kącikach ust widać było, że ledwo wstrzymuje się od płaczu.

- U nas będzie wtedy piąta rano? - spytała.

Bał się tego pytania, ale musiał jej odpowiedzieć.

- Tak jak obliczyłem, stanie to się na parę minut przed świtem - odpowiedział nerwowo oblizując wargi.

- A więc, to był nasz ostatni dzień? - rzuciła, sama nie wiedząc do kogo.

Milczał. Podszedł do niej i wziął jej głowę w dłonie. Palce delikatnie przesuwały się po jej włosach. Przytuliła się mocno; za mocno. Uniósł jej głowę. Łzy ściekały po policzkach i ginęły gdzieś w załamaniu brody.

- Nie płacz, maleńka - powiedział cicho - przecież my tego nie zrobimy. Umówiliśmy się. Prawda?

Skinęła głową i próbowała się uśmiechnąć. Schylili się i musnął jej policzek, a potem pocałował.

- Poczekaj, coś ci pokażę - powiedział, idąc w kierunku regału z książkami.

Chwilę szukał, a potem wyciągnął grube tomisko. Opierając je na kolanie, uśmiechnął się porozumiewawczo do niej. Już nie płakała. W końcu najwidoczniej znalazł co chciał, gdyż założył to miejsce palcem i usiadł obok niej. Patrzyła z wyczekiwaniem.

- Wyobraź sobie, że to co nas spotyka, już kiedyś się zdarzyło - zaczął tonem jakim opowiada się bajki. - Znalazłem taki fragment w "Dialogach" Platona. Posłuchaj i sama oceń.

Skandując, zaczął czytać: "...Pisma nasze mówią, jak wielką niegdyś państwo wasze złamało potęgę... Szła z zewnątrz, z Morza Atlantyckiego. Wtedy to morze tam było dostępne dla okrętów. Bo miało wyspę przed wejściem, które wy nazywacie Słupami Heraklesa... Ci, którzy wtedy podróżowali, mieli z niej przejście do innych wysp. A z wysp była droga do całego lądu, leżącego naprzeciw, który ogranicza tamto prawdziwe morze... Otóż na tej wyspie, na Atlantydzie, powstało wielkie i podziwu godne mocarstwo pod rządami królów, władające nad całą wyspą i częściami lądu stałego... później przyszły straszne trzęsienia ziemi i potopy i nadszedł jeden dzień i jedna noc okropna... wyspa Atlantyda tak samo zanurzyła się pod powierzchnią morza i zniknęła..." - skończył. - Więc jednak, to nie wygubiło całej ludzkości? - spytała szeptem.

- A jak myślisz? - odpowiedział uśmiechając się.

- To dobrze, to bardzo dobrze - mówiła - a więc mamy szansę. Mamy... Jak dobrze, że ty tu jesteś.

Przytulili się do siebie i patrzyli na migocące na niebie gwiazdy. A on jej opowiadał o Platonie, Atlantydzie i cały czas myślał o tym, że nie mają żadnej szansy.

Trzecia godzina

Zegar wybił północ. Jan patrzył na drzwi, za którymi zniknęła Beata. Poszła do kuchni, aby zrobić herbatę. Wiedział, że się bała, ale jednocześnie wyczuwał, że go kocha. Tak jak on ją. Miłość - dziwne uczucie. Przez nie postanowili być ze sobą do końca. Ale jakiego? Nie chciał, aby cierpiała. Jeszcze raz spojrzął odruchowo na kieszonkę koszuli. Widać w niej było plastikowy rozek malej torebeczki. Torebeczki z białą, krystaliczną substancją. Nie! Co za głupie myśli go nachodzą! Za oknem rozległ się wrzask. Gwałtownie wstał, przewracając fotel. Wyjrzał na dół. Na asfalcie widać było małą rozrzuconą sylwetkę, podobną do rozdeptanej biedronki. Ten jak widać wolał bardziej manifestacyjnie zakończyć życie. Jeszcze raz przejechał wzrokiem w dół po elewacji - jedenaście pięter. Rozejrzał się, prawie wszystkie okna były oświetlone, a tam, po prawej stronie, zza gmachu poczty widać było lunę.

- Kto to? - usłyszał, gdy ktoś nagle mu zakrył oczy dłońmi. Dla powagi chwilę się zastanowił.

- Ty - rzekł.

- Zgadłeś - powiedziała Beata dając mu pstryczka w nos - chodź, coś zjemy.

Na stole stała taca z kanapkami i dymiące filiżanki z herbatą. Mocną herbatą, taką jaką oboje najbardziej lubili.

Czwarta godzina

Myślał. Długo i ciężko myślał. Z zazdrością popatrzył na Beatę. Spała z głową na jego kolanach.

Jeden pantofel spadał jej i leżał na dywanie. Cicho oddychała. Lekko gładził jej włosy. Przeniósł wzrok wyżej. Stół z niedojedzoną kolacją w ciemnościach nabrał monstrualnych kształtów. Jego długi cień, od smugi światła z okna, sięgał, aż do przeciwległego kąta pokoju. Cisza. Czyżby inni już...? Domy nadal były oświetlone. Oni jednak woleli być po ciemku. W kącie sennie buczał telewizor. Nadal nic się nie pojawiało na ekranie. Czyżby nie mieli już spikerów? A może uznali, że wszystko już się dopełniło. Dopełniło? Popatrzył na nią. Nie mógł pozwolić, aby cierpiała. Lecz jak on może zrobić jej coś złego? Musi, bo ją kocha. Musi? Tak, dla jej dobra. Przysunął szklankę z wodą. Z kieszonki ostrożnie, aby jej nie zbudzić, wyjął torebeczkę i wyciągnął szew. Proszek rozpuścił się szybko. Podniósł dłoń ze szklanką i popatrzył pod światło. Woda lekko falowała, szyderczo wydłużając obraz Księżycy. A więc, tak to wszystko się kończy. Sprężył się w sobie i delikatnie postukał ją w ramię. Beata sennie otworzyła oczy.

- Masz wypij - powiedział - dobrze ci to zrobi.

- Co to jest? - wychrypiała, mrużąc oczy od światu Księżycy.

- Lemoniada - powiedział krótko, gdyż wiedział, że przy następnym słowie nie wytrzyma.

- Dobrze, jak chcesz - szepnęła, biorąc szklankę z jego ręki.

Uniosła się na łokciu i opierając głowę o jego ramię przechyliła szklankę do ust. Jan zamknął oczy.

Dopiero, gdy usłyszał stukot otworzył je. Tamci mieli rację, to działało błyskawicznie. Jej ręka opadła i huśtała się rytmicznie nad podłogą. Szklanka wypuszczona z rozwartych palców potoczyła się pod otwarte drzwi balkonu. Jeszcze przez chwilę kiwała się, aby potem znieruchomieć. Jan patrzył na nią w skupieniu, jakby poza nią już nic go nie interesowało.

Piąta godzina

Szklanka dalej leżała. Chociaż wydawało mu się... ale nie, tylko mu się zdawało.

Szósta godzina

Tak, był pewien. Szklanka się nie rusza. Mój Boże, ona leży tak samo jak przedtem. Szklanka...

Siódma godzina i ostatnia

Odwrócił wzrok od szklanki. Na dworze był już dzień. Powoli odwrócił głowę w kierunku telewizora. Rozchełstany facet już od kilkunastu minut wykrzykiwał tam "Uratowani, major Bilc; ludzkość, żyjemy, bracia, "Apokalipsa" wysadzona w ostatniej chwili, deszcze meteorytów", i jeszcze raz "ludzkość, uratowani..." Popielniczka trafiła w sam środek kineskopu. Obraz pękł i po chwili widać było już tylko tłące się przewody. Wstał i powoli zaczął iść w stronę jasnego kwadratu na ścianie. Ostrożnie, aby nie daj Boże się nie zbudziła, niósł jej ciało na rękach. Jeszcze krok i wiatr owiał jego rozpalone czoło. Schylił głowę i przytulił ją do jej lodowatego policzka. Skórę miała, jak zawsze delikatną i miękką. Słysząc było nieliczne krzyki i wiwaty. Gdzieś, daleko w górze wisiał samotny ptak; wolny i niezależny. A on, jak tamten, też leciał i tylko kwadraty bruku były coraz bliższe.

Zbigniew Dworak - Antybajka

“*tukomoria bolsze niet*”

Władimir Wysockij

Kiedy dawnymi czasy kupiec, chłop, bądź rycerz do drzemiącego lasu trafiał - i nie ważne, z jakiej przyczyny: czy to po drodze, czy z przepicia, czy też z głupoty w ten gąszcz laź - przepadał bez wieści i tyle go widzieli...

Tak, drzemiący las pod każdym względem był straszny. Jeśli były tam słowiki - to tylko rozbójniki! W zaczarowanych zaś błotach żyły kikimory, które mogły nieostrożnego wędrowca załaskotać do czkawki i zaciągnąć na dno. A widziano też, jak w czasie pełni, na mogiłach - pod nieobecność ich stałych mieszkańców, którzy właśnie udali się straszyć przejezdnych potępieńczym wyciem - tańczyli świętokradcy, a wpadł im w ręce już to pieszy, już to konny, zaraz go do bezbożnych praktyk wciągali w wampirów przemieniając.

Zaś na krańcu ziemi, gdzie niebo tajemniczo jaśnieje i gdzie Słońce zachodzi za widnokręgu kordon, stało sobie zamczysko przeogromne przypominające z oddali rzeźbę abstrakcyjną, albo nowoczesne osiedla spółdzielni mieszkaniowych. Wszystko tam błyszczało jak źrenice po paru głębszych, istni: piękność, tylko - ot! - w tym zamczysku jak w ciemnic królownę uwięził Kościej Nieśmiertelny i smoka siedmiogłowego na straży postawił, żeby nikomu dostępu do królowny nie dawał. Sam Kościej natomiast, który wcześniej z każdej walki wręcz i nie wręcz wychodził zwycięsko, teraz z miłości do królowny wysechł i uwiadł, zamienił się w staruszką nieszczęśliwego, lecz i jego smok nie dopuszczał do królowny. Przeklinając swoje zbyt dokładne i nieprzemyślane zarządzenie Kościej dzień w dzień błagał smoka:

- Przepuść mnie!

- Czego tam? - płaczkliwym głosem pytał smok, ponieważ bardzo tęsknił za mamą - smoczyką.

- Z namiętności cały drzę! Wpuść!

- Za nic nie wpuszczę, nawet gdybyś miał mnie zwolnić ze stanowiska - i biedny smok rozplakał się jeszcze bardziej. Podczas gdy Kościej wiódł pertraktacje ze smokiem, który nazbyt dokładnie zrozumiał rozkaz “nikogo do gmachu nie wpuszcząć”, dowiedział się o losie królowny Jaś - na swój sposób nieszczęśliwy głuptas. Nie namyślając się wiele postanowił uwolnić uwięzioną piękność nad pięknosciami. Przypasał miecz i ruszył na kraj świata, dokąd oczy poniosą - przez stopy i rzeki, przez las po pas i morza po kolana, przez góry, gdzie jedna za drugą schodzą lawiny i chociaż można było stroną obejść głązy, on jednak wybierał trudniejszą drogę i niebezpieczną jak ścieżka wojenna.

I zaczęły się jego wyczyny nadaremne: idąc przez step kosił swym mieczem tryń - trawę, w lasach toczył beznadziejną walkę z wiedźmami, również wiele nieszczęśliwymi, jak on, istotami. Razu pewnego, głęboką nocą, rozprawił się okrutnie z dwiema młodziutkami wiedźmami. Gdy je rankiem zobaczył - zapłakał i żał mu się zrobiło mieszkankę leśnych. Popadł w odrętwienie i szedł dalej ze spuszczoną głową, aż potknął się o jeden z trzech ogonów smoczycy - biedne stworzenie cierpiąc bardzo w skwarze upalnego popołudnia, zanurzyło właśnie wszystkie głowy w fontannie i łapczywie piło wodę. Wytrzeszczył Jaś załzawione oczy, przemógł w sobie stan odrętwienia, odstąpił o krok i wzięwszy szeroki zamach gładko uciął wszystkie siedem głów. Bluznęła fontanna krwi mieszając się z wodą, a Jaś -

nie przestając wymachiwać swym obosiecznym mieczem - podszedł z wolna do Kościeja, który wpadł w popłoch nie wiedząc, czy cieszyć się czy rozżłościć z powodu niespodziewanej śmierci niefortunnego strażnika królewnej.

- Zaraz i z tobą się rozprawię - rzecze głuptas. - Więc zgiń, przepadnij!

Na to Kościej, któremu od nadmiaru wrażeń - upał, królewna, odrąbane głowy smoka, miecz w ręku głuptasa - pokręciło się coś w głowie:

- Ja byłbym rad, lecz jestem nieśmiertelny, nie mogę... Tu już Jaś z gniewu czerwony stracił panowanie nad sobą i opuściwszy miecz zawrzasnął:

- Ach, ty gnuśny rozbójniku! Patrzcie go, intryganta, ile to zbudował komnat, żeby ukryć w nich królewne, lecz ja sprawę doprowadzę do końca wzięwszy od ciebie zobowiązanie, iż więcej grabić ani babić nie będziesz, zgodnie z postanowieniem rektora, rozporządzenie bieżące numer osiem i pół, rozdział I, punkt 2 bis...

I od tej to niesłychanej przemowy dostał Kaściej udaru mózgu i skończył się - bez żadnej postronnej interwencji. Przerwał głuptas mowę dziwiąc się, co to za słowa, których nigdy dotąd nie słyszał, wymykają mu się z ust bezwiednie. Ochłonał, splunął gniewnie, kopnął z odrazą Kościeja, przełożył miecz do lewej dłoni i - z powodu swej nieskończonej głupoty - zamiast uciekać, wszedł do komnat, wgiął królewne...

Żyli krótko i nieszczęśliwie. Rozeszli się i nigdy więcej nie spotkali się, nie powrócili do siebie. A Łękomorze?...

Nie ma już Łękomorza, nie ma wspaniałego boru dębowego - rosłe acz głupawe osiłki zrąbały wszystkie dęby na trumny. Na próżno żał serce ściska, rani duszę - nie wrócą już baśniowe czasy, kiedy to przed chatką na kurzej stopie przechadzał się Kot już to nucąc piosenki, już to zabawiając gawieź anegdotami. Dziś uczony Kot - żeby uniknąć kary boskiej - dyktuje pamiętniki o najeździe tatarskim, którego był podobno świadkiem. Usiłuje w ten sposób odkupić swe przewinienia, ponieważ pewnego razu zdobywszy z niewiadomego źródła nieco środków płatniczych w brzęczącej monecie, przepił je natychmiast w najbliższej karczmie i taki urządził skandal na całe Łękomorze oraz okolice, jakiego najstarsi stróże porządku publicznego nie pamiętali - zjadł Złotą Rybkę, dotkliwie podrapał rusałki, ukradł latający dywan, bratał się z myszami obierając nie łowić ich więcej itd., itp.

Zły dał przykład Kot swoim wyskokiem i trudno się dziwić, że wkrótce znalazł naśladowców: rozpił się Faun - przepił swój dobytek i zaczął regularnie bijać żonę, swą, księżniczkę de Flore, nazywając ją skąpym, starym próchnem niegodnym jego awansów.

I stała się rzecz jeszcze bardziej niesłychana. Trzydziestu Trzech Bohaterów doszło do wniosku - po opróżnieniu pokaźnego gąsiorka samogonu, pędzonego zresztą w bezkسیężycowe noce przez Fauna - że całkiem zbytecznie ochraniaли oni Króla. oraz wybrzeże morskie. Samowolnie porzuciwszy zaszczytną służbę obrońców Łękomorza zagarnęli szmat ziemi (jako rekompensatę za dotychczasowe trudy - tak przynajmniej twierdzili wszem i wobec), rozdzielili ją pomiędzy siebie i każdy z nich założył... fermę kurzą. Od tej pory nie ruszali się ze swych posiadłości ochraniając je niby księstwa udzielone. Lecz nie dość na tym - mieszkająca w jeziorze, którego brzegów dotykały włości byłych bohaterów, rusałka powiła pewnego dnia urocze niemowlę płci męskiej, jednak żaden z trzydziestu trzech rycerzy ani myślał uznać syna. "Uważajmy go na razie za syna pułku" - stwierdzili nad wyraz zgodnie. Nad biedną rusałką zlitował się jeden z miejscowych czarowników - wielki gawędziarz, a przy tym łgarz i prześmiewca.. Jako znawca psychiki niewieściej zaproponował, że weźmie ją i z dzieckiem za żonę, że wszystko zrozumie i rozumie - więc poszła do niego, jak do więzienia. A chociaż gorzko potem żałowała swojej decyzji, to ani razu nie zająknęła się nawet o odejściu. Tymczasem harem czarownika z roku na rok powiększał się...

Tak to upadły w Łękomorzu dobre obyczaje. Zgubny wpływ rozprzężenia i demoralizacji zaczął szybko przenikać poza granice sławnego Łękomorza. W ościennym królestwie, gdzie wszystko dotąd szło cicho i składnie, pojawił się nie wiadomo skąd zwierz ogromny - ni to smok, ni to wieprz, ni to... tur - i zaczął bezkarnie grasować siejąc spustoszenia wśród kobiet i kur.

Sam król cierpiał na padaczkę i astmę. Tylko kaszlem straszył swoich poddanych, a tymczasem zwierz okrutny bez przeszkód kogo zjadał na miejscu, kogo do lasu włókł - na deser niejako.

I był w tym beztroskim królestwie strzelec wyborowy, niegdyś chluba armii, lecz i on podczas jednej z wypraw do ościennego Łękomorza, wpadł w złe towarzystwo trzydziestu trzech rycerzy, a po powrocie zażądał zuchwale od Króla nadania. Król uniósł się gniewem, rozkaszlał się tak bardzo, że omal ducha nie wyzionął, a ochłonawszy wygonił precz z armii swojego najlepszego strzelca, który nie przejął się nawet tym zbyttno. Z braku innego zajęcia spędzał czas w karczmie "Pod Trzema Wisielcami" na częstych pijatykach, podczas których złorzeczył Królowi.

Owego dnia, kiedy doniesiono Królowi o tajemniczym zwierzęciu nękającym dniem i nocą kraj, w karczmie "Pod Trzema Wisielcami" bawiono się szczególnie głośno korzystając z obecności wędrownych trubadurów. Zamiast ballad trubadurzy wyśpiewywali wielce sprośne piosenki. Na podłodze karczmy leżały skóry i ludzie - pili mocne wino, zagryzali rybami, wtórowali nieskładnie rozwiązłym trubadurów. W chwili największego rozochocenia rozległ się głos trąb, po czym herold ogłosił wolę Króla - straż wpadła do karczmy, schwytała strzelca wyborowego i zawlokła go przed oblicze majestatu. Król zakaszlał i przemówił:

- Nie będę ci teraz prawił morałów, zapomnijmy o tym, co było, hm, hm, lecz jeśli pokonasz to bydlę, co mi pomniejsza liczbę poddanych, to królownę powiedzisz do ołtarza.

Na to strzelec:

- A ci dopiero nagroda! Ja bym tak wolał dostać beczkę portweinu... Mnie królowna nawet za darmo na nic nie jest potrzebna. Zaś to bydlę i tak jedną strzałą położę! Tu Król ze zdenerwowania zapomniał o kaszlu:

- Weźmiesz królownę i kropka. A nie, to my ciebie raz, dwa i do ciemnicy! Jak ty śmiesz odmawiać?! Wszak to królewska jest córka!...

A strzelec:

- Zabij mnie, lecz nie wezmę! Po co mi ona, skoro tyle rusałek w lesie?

Król się z gniewu zatrzęsł cały. Tupał, krzyczał, berłem bił w stół, a strzelec swoje:

- Nie chcę i już!

I póki się tak Król ze strzelcem spierał, groził, prosił potwór zjadł już wszystkie prawie kobiety i kury, i ukazał się nie opodal zamku - ten ni to smok, ni to wieprz, ni to tur.

Przyszło więc Królowi przerwać spór i przystać na warunki strzelca. Ten - jak obiecał - jedną strzałą zabił zwierza i... uciekł przezornie nie zapominając jednak o portweinie. Tak to Króla i królownę ośmieszył i upokorzył były najlepszy, lecz zuchwały strzelec.

Skąd ja o tym wszystkim wiem? I ja tam byłem... Tak. Na brzegu morza, gdzie wysadzili mnie piraci (dziwnym zbiegiem okoliczności było ich trzydziestu trzech) - spaliwszy po uprzednim splądrowaniu mój wspaniały statek pod szkarłatnymi żaglami - natknąłem się o zachodzie Słońca na przedziwny obrazek: na plaży święty Jerzy raczył się ze smokiem kwasem siarczanym, aż im się kurzyło z głów. Dziewicy już nie było. Zdjęty strachem i odrazą rzuciłem się do ucieczki...

Dotarłem do ujścia siódmej; a może trzynastej rzeki, za siódmą, a może dziewiątą górą, gdzie spotkałem owego strzelca wyborowego oraz Jasia - głuptasa. Pili właśnie ten sam portwein, który strzelec wytargował od Króla.

Zaprosili i mnie do towarzystwa, i póki piliśmy, opowiadali o swoich i nie swoich wyczynach w

Łękomorzu i okolicy.

Zbigniew Dworak - Niezwykłe spotkanie w letnią noc

Ostatni autobus linii 251, którym miałem odjechać do niedalekiej, lecz zagubionej w pustkowiach, osady, w ogóle nie zjawiał się. Tkwiłem na pętli ponad pół godziny i powoli złość mnie brała na naczelnego, który ni z tego ni z owego kiedy wpadłem pod wieczór do redakcji - polecił mi natychmiast jechać do osady i najdalej do południa dnia następnego przywieźć gotowy materiał. Nawet nie bardzo dobrze rozumiałem, co to za wywiad mam przeprowadzić i dlaczego akurat po nocy, ale naczelnny nie przejął się tym wcale.

- W drodze sobie wszystko przemyślisz. A zaraz jechać musisz dlatego, ponieważ właśnie odbywa się tam jakiś niezwykły festyn z powodu dziesięciolecia bardzo ważnego wydarzenia, o którym jednak wprost się nie mówi i to jest dziwne! Tu masz zresztą numer "Nowych Wieści" z zakreśloną notatką.

Schowałem tygodnik do kieszeni i wzruszywszy ramionami wyszedłem, aby "spełnić dziennikarski obowiązek".

Nadzieja na służbowy samochód szybko zgasła. Na parkingu nie było ani jednego środka transportu, nawet helikoptery odleciały. Senny już dyspozytor na moje nękające pytanie odparł krótko:

- Przecież pan wie chyba, co się dzisiaj będzie dziać? Właśnie! Zupełnie o tym zapomniałem, kiedy dopada mnie naczelnny. Zgrzytnąłem tylko zębami i powlokłem się do przystanku tramwajowego. Mój samochód był niestety w remoncie przedłużającym się z powodu braku części zamiennych.

Takie wydarzenie, a ja mam się po nocy tłuc po jakiś głupawy materiał!

Niepowodzenie nie opuszczało mnie. Tramwaj, którym mogłem dojechać do pętli autobusowej, długo nie nadjeżdżał. Kiedy się wreszcie zjawiał, okazało się, że zjeżdża do zajezdni. Pojechałem dopiero następnym, któremu na pętli akurat popsuł się automat otwierający drzwi. Nim motorniczy uporał się z drzwiami, autobus odjechał, mimo iż kierowca widział i doskonale wiedział, że większość pasażerów udaje się dalej autobusem.

Tłum ruszył do budki dyspozytora, ten jednak szybko wymknął się, wskoczył do tramwaju. Motorniczy tym razem bez trudu zamknął drzwi i tramwaj odjechał.

Zostaliśmy z niczym. Nie udało się nawet podyskutować z dyspozytorem. Część pasażerów mieszkająca w pobliżu odeszła od razu. Pozostali, w tym i ja, czekaliśmy na ostatni kurs, lecz autobus nie nadjeżdżał. .udzie przeklinali, ale ciągle jeszcze czekali.

W domach stojących nie opodal pętli zapalały się tu i ówdzie światła - zapadał późny zmierzch. W większości okien widać było jednak tylko poświatę idącą od włączonych telewizorów. Z zawiścią patrzyłem na te okna i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wprosić się do kogoś nadużywając służbowej legitymacji.

- Chyba się już zaczęło - odezwał się stojący obok mężczyzna.

- Przepraszam? A, tak! - rzuciłem okiem na zegarek za pięć minut rozpocznie się bezpośrednia transmisja.

- To znaczy, że tam oni już ją zaczęli, prawda? Tyle, wydaje mi się, wynosi opóźnienie.

- Nieco ponad trzy minuty - odparłem machinalnie.

- No właśnie. A my tu tkwimy. Kierowca ostatniego kursu z reguły wraca bez pasażerów i dwie przecznice wcześniej skręca do bazy nie zajeżdżając na pętlę. Tak to bywa. Trudno zgadnąć, czy dziś przyjedzie... - i mój rozmówca machnął ręką.

- Na co w takim razie czekamy?

- Może jeszcze przyjedzie. A poza tym obaj jesteśmy nie obcy, oprócz nas niewiele osób jeszcze czeka.

Końcowy przystanek autobusu linii 251 rzeczywiście pustoszał. Zawrócę - pomyślałem, lecz w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że i powrót mam odcięty. Nocne tramwaje na tej linii nie kursują ostatnio. Ponadto naczelnicy nie uznaje żadnych tłumaczeń. Albo napiszę reportaż, albo podanie o zwolnienie... Pójdę pieszo - zdecydowałem. To zaledwie około dziesięciu kilometrów, a festyn trwał będzie do rana. Noc ciepła, pogodna.

Podzieliłem się tą myślą z przygodnym znajomym. Ku mojemu zdziwieniu usłyszałem:

- Jeszcze poczekam. Może nadjedzie, może coś się trafi... Pożegnałem go i ruszyłem. Zauważyłem, że i pozostali nie zamierzali odbyć spaceru. Wyrzekali, lecz tkwili na przystanku.

Kiedy dochodziłem do drugiej przecznicy, o której wspomniał mężczyzna, dostrzegłem w perspektywie ulicy zbliżający się autobus. Zawahałem się, czy szybko zawrócić, czy przeciąć skrzyżowanie i czekać na najbliższym przystanku. Tymczasem autobus dojechał do skrzyżowania i nie zatrzymując się skręcił w prawo. Byłem tuż, tuż i kierowca musiał mnie zauważyć bowiem roześmiał się szyderczo. Silnik zawył i autobus oddalili się szybko.

Zrezygnowany ruszyłem przed siebie. Wkrótce znalazłem się poza granicami miasta. Księżyc już wzeszedł. Był nabrzmiąły, czerwonawy, lecz już zdeformowany. Wystarczająco jednak oświetlał drogę i poruszanie się nie sprawiało trudności.

Po kilkunastu minutach minąłem ostatnie domy, wykwint minionych dziesięcioleci. Przede mną rozpościerało się pustkowie. Rzadkość w tej części kraju. Dzikie ugory, nieużytki porośnięte mizerną trawą i rzadkimi krzewami. Z jednej strony obramowywał pustkowie milczący las, który ledwie rysował się czarnym pasmem na ugasającym widnokręgu. Z drugiej strony zamykały pustość ostańce, niemi świadkowie wielkich złodowców.

Szosa, którą samotnie wędrowałem, pętiła. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy przeprowadzić ją prosto jak strzeżenie. Tak czy owak, było to pustkowie i zakręty stanowiły archaiczną pozostałość po czasach, kiedy drogę wytyczano bez użycia teodolitów. i maszyn, niejako w sposób naturalny, omijając wszelkie niedogodności terenowe.

Niebo ściemniało ostatecznie. Kolejny zakręt wyprowadził mnie na kierunek południowo - zachodni. Jasny, czerwony punkt na nieboskłonie przykuł moją uwagę. Zmęczenie dawało o sobie znać - dopiero po dłuższej chwili skojarzyłem ten jasny obiekt z dzisiejszym wydarzeniem, którego początki sięgają paru lat wstecz.

To widniał Mars i z jego powierzchni przekazywana teraz była transmisja z pierwszego lądowania międzynarodowej wyprawy załogowej. Zakląłem, wściekły, że nie dane mi jest oglądać jej. Kiedy transmitowano pierwsze kroki Armstronga i Aldrina na powierzchni Srebrnego Globu, byłem jeszcze zbyt niedorosły, żeby zrozumieć doniosłość takiej chwili, dziś natomiast... Rozgoryczony na naczelnego i na cały świat, a może raczej - na Ziemię i na Marsa, postanowiłem zapalić papierosa i zastanowić się wreszcie nad powierzonym mi zadaniem. Trudno.

Dotarłem już do nieco bardziej urozmaiconej okolicy. Pojawiły się nędznie wyglądające zagajniki, przybliżyły się lśniące martwą bielą ostańce. O parę kroków od drogi dostrzegłem pochylone drzewo - wydawało się wręcz zapraszać, ażeby na nim spoczął. Podjąłem taką właśnie decyzję. Zszedłem ze szlaku i usiadłem opierając się wygodnie o zwichrowany pień drzewa.

Zapaliłem i... poczułem się senny. Z trudem udawało mi się powstrzymać opadające powieki. Zamiast logicznego ciągu myśli miałem w głowie chaos, przypominałem sobie o kilku sprawach naraz przeskakując z jednej na drugą: Mars i lądowanie na nim, autobus i mój popsuty samochód, polecenie

naczelnego i tajemniczy festyn... A właściwie dlaczego tajemniczy? Ocknąłem się z półsnu. Rzuciłem ze złością na ziemię niedopalony Papieros, który zdążył zgasnąć - i już miałem wstać, kiedy raptem rozległo się za moimi plecami głucho stęknienie, ni to chrapnięcie ni to ziewnięcie, a niemal jednocześnie owiał mnie ostry, nieznaną zapach. Chyba śnię - pomyślałem leniwie, lecz w następnej sekundzie zadrżała ziemia, po czym ktoś ryknął niezbyt głośno tuż za mną.

Zerwałem się na równe nogi i uskokczyłem za wygięty pień. Nie! Ja zwariowałem, albo jednak śnię! Zakręciło mi się w głowie i żeby nie upaść, oburącz objąłem drzewko.

Przede mną, oddalony zaledwie o parę metrów, siedział... najprawdziwszy smok. Niezbyt okazały, ale jednak smok! Ziewał przeciągle i bił ogonem o ziemię. Co u licha? Kto właściwie gdzie jest? Ja na Marsie, czy smok na Ziemi?! - pomyślałem już całkiem niedorzecznie.

Smok tymczasem zauważył moją obecność i przestał bić ogonem. Jakoś tak dziwnie chrząknął, ale bardziej ten dźwięk, ryk przypominał. Tkwiłem jak sparaliżowany. Smok tylko dziewicę pożera - przemknęła mi przez głowę idiotyczna myśl. Przestałem obejmować pień i wysunąłem się z za drzewa.

- A co to? Nocny spacer z powodu bezsenności, która i mnie trapi? - odezwał się chrapliwie smok.

Masz ci los! Tego jeszcze brakowało! Mówiący smok! Rozglądnałem się bezradnie po okolicy jakby w nadziei, że przywróci mnie to do rzeczywistości, ale smok nie zniknął.

- Cóż to czynisz w tych pustych krajach o północy ponowił pytanie smok. - Aha, zaniemówiłeś, pewnie ze strachu, ale ja niegroźny. Siadajże, pogawędzimy, bo nudno mi.

Westchnąłem i usiadłem z powrotem na pochylonym drzewie.

- Smoków przecież nie ma - powiedziałem to na wpół machinalnie.

- Ano nie ma - zgodził się ze mną. - Ja jestem ostatni - i także westchnął.

- Jak to?....

Nie, to jednak halucynacja - pomyślałem równocześnie. - A tak - ryknął smok, lecz jakoś żałośnie. - I czego teraz w szkołach uczą? Nijak nie dyszałeś o zauroerze?

- Mezozoik - poprawiłem odruchowo. - Trias, Jura, Kreda...

- Aach, uczone nazwy - sapnął z dużym niezadowoleniem smok.

- Ale to było dawno - dorzuciłem niepewnie nie wiedząc, czy znowu go nie zirytuję.

- Dawno nie znaczy nigdy. Ludzie, co za obyczaje! Skoro jednak coś niecoś wiesz, mogę ci opowiedzieć nasze dzieje. Byliśmy niegdyś władcami tej planety. A ile wtedy było tego, no, tlenu! Teraz trudno oddychać. Wtedy to się swobodnie dyszało... No więc żyliśmy wtedy dostatnio i długo. Byliśmy potężni, a że przez miliardolecia nic nam nie zagrażało, powoli zaczął się wykształcać zaurointelekt, jeśli już uczenie mówić. Niestety zbyt późno to się stało. Z niewiadomych przyczyn warunki na planecie gwałtownie się zmieniły. Większość naszych pobratymców wyginęła, pozostała nieliczna gałąź naszych bezpośrednio praprzodków oraz jeszcze jakieś relikty, boczne linie jak te... krokodyle. One to się przyczyniły do powstania legendy, że gady to obrzydliwe stworzenia, niewrażliwe, bezduszne, łzy leją krokodyle... Jedynie w kraju Khem otaczano je czcią, ale to chyba było działanie podświadome i pod niezbyt właściwym adresem, bo to nam, smokom, cześć oddawać by należało. 1 oddawano by, gdybyśmy o to dbali, lecz my byliśmy zbyt dumni. Tak.

- Dlaczego Jednak nie natrafiliście na... e... szczątki kopalne waszych praprzodków? - ośmieliłem się wtrącić.

Tu smok ryknął bijąc przy tym ogonem o ziemię, aż kamienie pryskały na wszystkie strony.

- I nie znajdziecie! Nie będziecie profanować miejsc ostatecznego spoczynku smoków, jak to nie omieszkaliście uczynić nawet z prochami własnych przodków, nędznicy! grzmiał smok.

Przeczekałem tę burzę, uspokajając się wewnątrz, że śnię.

- A poza tym bardzo niewiele pozostało naszych praprzodków i zmiana pokoleń nie była tak szybka,

jak u ssaków. Tym nas pokonali. My potrzebujemy dużo czasu, wam się spieszy. A dokąd? Do jeszcze szybszej zagłady.

Kiedy na Ziemi pojawili się ludzie, pozostała nas już zupełnie nieliczna grupa. Unikaliśmy spotkań z tymi najbardziej agresywnymi mieszkańcami planety, od czasu do czasu jednak praludzie przypadkowo trafili do naszych siedzib - jaskiń, stad właśnie dotrwały do waszych czasów przekazy o smokach. To nie żaden wymysł, wasi przodkowie w ogóle nie mieli wyobraźni i nie mogliby opowiadać o tym, czego nie widzieli na własne oczy. Spotkania nie były częste, więc tym bardziej obrastały legendami, jakich teraz wiele. Sam o tym wiesz...

Zaintrygowany nie powstrzymałem się i zadałem pytanie:

- Skąd w takim razie pojawiły się podania o trójgłowych smokach?

Smok zakołysał się jakby rozbawiony.

- To, widzisz, był nasz podstęp. Chcąc się w pewnych miejscowościach uwolnić od natręctwa ludzi postanowiliśmy ich skutecznie przepłoszyć. Zauważyliśmy, że człowiek najbardziej się lęka rzeczy niezwykłych, bądź nienormalnych... Udawaliśmy tedy trójgłowe smoki i na ludziach wywierało to ogromne wrażenie; w przestkach uciekali, dokąd oczy poniosą, a raczej nogi, bo wzrok wtedy mieli błędny. Z czasem nasza młodzież zabawę sobie z tego uczyniła ponad miarę strasząc ludzi.

- Ale w jaki sposób.

- Bardzo prymitywny. Do tego celu potrzebne są pagórki porośnięte gęsto krzewami. Należy umiejętnie się podkraść; jeden smok zajmuje takie miejsce, że widać go prawie w całej okazałości, dwaj pozostali wystawiają tylko głowy chowając przemyślnie tułów. Wystarczy jednocześnie ryknąć. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby człowiek zechciał sprawdzić, czy to trzy smoki, czy jeden o trzech głowach.

Tu smok zarechotał klepiąc się łapami po brzuchu, aż zadudniło po okolicy.

Smok z poczuciem humoru - pomyślałem wściekły. Naczelny też smok, ale bez poczucia humoru. Jeszcze gotów mi udowodnić, że spiłem się, zamiast wykonywać swoje obowiązki dziennikarskie. A Księżyc już wysoko się wzniósł, Mars wkrótce zadzie... - i popatrzyłem w kierunku wiszącego już nad samym horyzontem Marsa.

Smok obrócił łeb zainteresowany, na co tak usilnie patrzę. Milczałem myśląc z zawiścią o tych, którzy oglądają teraz transmisję. Drgnąłem, kiedy smok odezwał się chrapliwie:

- I po co to było tam lecieć? Przecież tam, na tej czerwonej planecie, nic nie ma...

- Skąd to wiesz?!

- Nie pamiętam. Po prostu wiem.

Zamilkłem zadumany nad niewiarygodnie otchłanną tajemnicą przeszłości. Czy aby wszystko odbywało się tak, jak uczą podręczniki? Jak naprawdę wyglądał nasz układ planetarny kilkaset milionów lat temu? Z zamyślenia wyrwało mnie pytanie zadane nieodmiennie chrapliwym głosem.

- A ty sam, skąd ty będziesz?

- Z Krakowa - odparłem.

Na to smok ryknął z cicha, zatupał, grzmotnął parę razy ogonem o ziemię.

- I słyszeć nie chcę o tym podłym mieście! Wszak to wasi przodkowie zamordowali tam mojego kuzyna, który najspokojniej mieszkał sobie w jaskini i nie wadził... Melancholijny jakiś taki był. A zabili go podstępnie, tchórzliwie i jeszcze się tym szczycą! Zgładzili go ze strachu przed nieznanym. Co nieznanne to wrogi, tacy już jesteście wy, ludzie! - ryczał w uniesieniu smok, a ja omal nie spadłem z drzewa cofając się przerażony jego gniewem.

- Ja dopiero od niedawna jestem w Krakowie - wyjąkałem nieporadnie, ponieważ nic rozsądniejszego nie przyszło mi do głowy.

Smok jakby uśmierzył swoją złość.

- Konformizm - parsknął. - To też jedna z waszych głównych cech.

Niepomny na nic wypaliłem:

- A dziewice to kto niby pożerał, co?

Tym wypadem chciałem wreszcie powstrzymać go od ciągłych komentarzy ludzkiego charakteru, co mi się powiodło, bowiem smok jakby uległ nagłej konfuzji.

- No tak - wychrypiał. - Wiedziałem, że tak się stanie. Od tego pytania nie ma odwołania - powiedział ponuro i nagle ryknął tryumfalnie: A czy ty wiesz, kto nas do tego nakłonił?

Milczałem zaskoczony konwersją w zachowaniu się smoka. - Nie wiesz? Otóż dowiedz się, że to właśnie ludzie wpadli na ten głupawy pomysł! Przyznaję, wśród nas znaleźli się tacy, co się połakomili... I drogo przyszło potem za to zapłacić. Dziewice, hm, dawno to było - dodał marzycielsko. - Smakowite, łagodne... - i mlasnął obrzydliwie ozorem. Ale ci rycerze, och nie! “

Ogarnęła mnie pasja. Dać w łeb temu potworowi! Ale jak? Zamiast tego warknąłem:

- Przekłete ludojady! Nic dziwnego, że was wytępiono! - O, przepraszam - obrazu się smok. -

Kanibalizm to nie nasz wymysł. Owszem, konsumowało się dziewice, na miejscu oraz na wynos, ale przecież należą one do zupełnie innego gatunku, ba nawet rządu. Krokodyle, także rekiny zżerają was, wiem, nie lubicie tego, ale też nie uważacie takiego sposobu odżywiania się za szczególne przestępstwo. Skąd więc taka nienawiść do nas? Czyżby szło o dziewice?

Nic nie odpowiedziałem, więc ciągnął dalej.

- Sądzę, że się nie mylę. Winicie nas podświadomie, że jakoby za jednym zamachem zaspokajamy podwójnie głód, normalny i seksualny. Ach, cóż za przewrotnie perwersyjne myślenie! Mówiłem przecież, iż to ludzie nauczyli nas pożerać dziewice... - i zamilkł, a następnie ziewnął szeroko. - No, muszę już iść do naczelnika - przerwał przedłużającą się ciszę.

Zesztywniałem. O jakim naczelniku on mówi? Czy ten upiorny sen nigdy się nie skończy? I w tej samej chwili przypomniałem sobie, iż szef też coś mówił o naczelniku, ale niezbyt uważnie słuchałem. Teraz nagle zacząłem kojarzyć w jedno niejasne wypowiedzi naczelnego. Tylko co z tym wspólnego ma smok? Zapytać go wprost? Niezręcznie jakoś.

- A... w jakiej to sprawie do naczelnika? - zapytałem jednak.

Smok aż sapnął ze zdziwienia.

- Co to znaczy “w jakiej sprawie”? Po prostu mieszkam w tych stronach, nie opodał osady i dbać muszę o dobrosąsiedzkie stosunki. Poza tym... - urwał nagle i znowu młócił ziemię ogonem.

Straszliwe podejrzenie zmroziło mój umysł. Więc jednak?... Postanowiłem zapytać bez ogródek. Jeśli to sen, niech się czym prędzej dośni. A jeżeli nie?... Trudno. Zaryzykuję.

- Czyżbyś nadal pobierał haracz? Nie możesz się obejść bez... e... dziewic? - wypaliłem jadownicie.

Ze smokiem działo się coś dziwnego. Śmiał się bezgłośnie i kołysząc się rytmicznie przytupywał, i jeszcze jakby z politowaniem kiwał głową, a zarazem odwracał ją, nie wiadomo dlaczego.

- Chyba żartujesz - wychrypiał wreszcie. - No, tak, poniekąd miałem najpierw taki zamiar - przyznał się wielce zmieszany. - Trudno się pozbyć tysiącletnich nawyków tłumaczył się.

Nie wierząc własnym uszom słuchałem go z otwartymi szerokousty.

- Bo widzisz - ciągnął - odbyło się to tak: Przybyłem przed dziesięciu laty w te tu strony i zaraz po dożynkach wtargnąłem z wielkim rykiem zniecka do osady, aliści jej mieszkańcy nie zdołali się nawet porządnie wystraszyć. Popici, jak to zwyczajnie po takowej uroczystości, nie wiedzieli, czy im się w oczach mieni, czy co... Usłyszałem nawet, jak ktoś przeklina - cholera, mało białych myszek, to teraz mi się bestia wielga zwiduje! - i zaczął zawodzić - “na lwa srogiego bez obrazy siędziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz”... - Zatrzęsło mną. Taki afront! Szczęśliwie naczelnik był w miarę trzeźwy. Wystawiłem mu tedy zaraz swoje żądania. Słuchał uważnie, potem roześmiał się i prawi owszem, to i to

da się zrobić, czemu nie, ale co do dziewic... - i jeszcze bardziej zaczął się śmiać, lecz jakoś nieprzyjemnie. Zezłościłem się i już miałem go zdzielić ogonem, kiedy znów rzecze - czekajże, zaraz ci wszystko grzecznie wyjaśnię. Otóż z dziewicami to już nie te czasy. Musiałbyś się kontentować niedorosłymi podlotkami, chudymi, jak to w takim wieku bywa, nic smacznego, zaś innych dziewic po prostu nie ma - i znowu zarechotał odrażająco. - Ale ty się nie trap, coś zaradzimy, możesz na nas polegać. Swój coroczny haracz otrzymasz. No, powiedzmy, nieco odmienny, lecz wyboru nie masz - zakończył zuchwale. Zgodziłem się niebacznie, bo po prawdzie co mogłem rzeczywiście uczynić? W pierwszym roku, nie powiem, nie narzekałem. Także i w drugim, lecz potem coś ten haracz za bardzo wydal mi się odmienny. Próbujać mnie otruć, czy jak? - tak sobie łamałem głowę, aż wreszcie sam naczelnik po kilku głębszych zdradził mi niedawno, w przyływie szczerości, sposób wyboru haraczu. O, ja nieszczęsny! - ryknął smok. I na co mi to przyszło!

Doszczętnie ogłupiały chciwie jednak słuchałem.

- Otóż wyobraź sobie - ciągnął dalej swą niesamowitą opowieść - na jaki to przewrotny pomysł wpadka męska polowa osiedla. Uradzili, że co roku typować będą najgorszą teściową i ją właśnie przeznaczać mnie na pożarcie! O tempora! O mores! Biada mi! - lamentował nieprzystojnie smok.

Wreszcie spłynęło na mnie długo oczekiwane olśnienie! A więc to tak! Jakże prosto tłumaczą się wspomniane przez naczelnego niespotykane "dobre obyczaje" w osiedlu. Ów brak zadrażeń pomiędzy teściowymi a zięciami! Te przykładowe małżeństwa... Pogodna, wspaniała atmosfera rodzinna w każdym domu. I jeszcze sąsiedzkie współzawodnictwo, czyja teściowa jest lepsza! Cudowna słodycz teściowych przy jednocześnie wyzywającym i dziwnym zachowaniu się naczelnika, co zwróciło uwagę redaktora "Nowych Wieści" i mojego szefa również, który szóstym zmysłem wyczuł sensację mogącą iść o lepsze z wyprawą załogową na Marsa.

Mam tedy sensację, tyle że bezużyteczną, bowiem po przeczytaniu pierwszych paru zdań reportażu naczelny poczęstuje mnie takim kopniakiem, że poszybuję na Marsa bez dodatkowych dopalaczy! A smok bez wątplenia zdaje sobie sprawę, iż nikt w jego istnienie, ani też w pożeranie teściowych, nie uwierzy i dlatego tak bezkarnie grasuje.

Nie było sensu kontynuować dalej marszu do osiedla. Wrócę i może jeszcze zdążę obejrzyć przynajmniej zakończenie transmisji.

Smok aż podskakiwał ze śmiechu, kiedy mu opowiedziałem o celu mojej wędrówki. Potem ryknął, przeciągnął się lubieżnie i jał się spieszenie żegnać tłumacząc, że właśnie musi przystąpić do wypełnienia swojego corocznego obowiązku.

- Jakże to tak?! - zapytałem zdumiony. - Przecież sam mówiłeś, że w tym nie gustujesz?

- Nno tak - zgodził się. - Tylko, że pilnie czekają na mnie, to na moją cześć ten festyn! - dodał z dumą. I nie mogę zawieść zaufania naczelnika oraz jego przyjaciół, których nie wolno pozostawiać w biedzie. Wszak trzeba ludziom pomagać - dokończył z dwuznaczną powagą i ryknąwszy pomknął ciężkim cwałem w kierunku ledwie widniejącego osiedla, skąd donosiły się chwilami skoczne dźwięki. Odwrócił się jeszcze raz i już z oddali zawołał:

- A z tymi dziewicami to wcale nie jest tak, jak mi naczelnik powiedział!

I zniknął za najbliższym ostańcem, a ja pozostałem sam, niepewny, czy ryzykować niespodziewaną wyprawę na Marsa, czy też od razu zrezygnować z zawodu dziennikarza, skoro nie mogę napisać prawdy.

Zbigniew Dworak - Esperia

- Panie Prezydencie! Dwanaście kosmolotów nie pojawiło się do tej pory.

- Sądzi pan, Dyrektorze, że uległy zagładzie?

- Nie. Raczej zagięły. W przypadku awarii lub katastrofy wiodący kosmolot otrzymałby odpowiednią informację.

- Co mówią astronomowie?

- Twierdzą, że zejście z kursu jest wykluczone. Zresztą zejście z kursu aparatura kontrolna tych dwunastu kosmolotów potraktowałaby jako awarię i odebrałibyśmy stosowny sygnał. Poza tym wywołujemy każdy z tych kosmolotów już od tygodnia. Bez rezultatu.

- No cóż - powiedział Prezydent. - Wszyscy są omylni. Błędy w sterowaniu i nawigacji mogły powoli narastać i automaty kontrolne mogły nie zarejestrować tego w porę. Być może za wcześnie rozpoczęto hamowanie, tak iż w obecnej chwili kosmoloty odległe są od nas o cały rok podróży.

- Mało prawdopodobne. Pan wie; panie Prezydencie, kto znajdował się w tych kosmolotach.

- Tak. Więc uważa pan, że byliby zdolni?...

- Nic nie uważam. Stwierdzam tylko fakt, że dwanaście kosmolotów nie przybyło w przewidzianym terminie - stwierdził oschle Dyrektor Służby łączności. - Chodzi tylko o to, co zakomunikujemy pozostałym.

- Prawdę.

- Całą prawdę?...

... i tylko prawdę. A jak pan sobie wyobrażał? Że zaczniemy od kłamstwa? Cały zamiar udał się tylko dlatego, że powiedzieliśmy we właściwym momencie ludziom całą prawdę! Pan zapomniał o tym? Gdybyśmy stracili wtedy zaufanie... Szkoda zresztą teraz o tym mówić. Chyba zdaje sobie pan sprawę, że Rząd Federacji Ziemskiej nie prowadzi polityki minionych stuleci - polityki okłamywania swoich narodów?

- Tak jest! Ja rozumiem... ale... ta wyjątkowa sytuacja... - Dobrze. Poda więc pan komunikat zgodny z prawdą. - Nawet jeśli to miało wywołać wrzenie i niepokój?

- Nawet. Poza tym komunikuję panu, że zamierzałem dokooptować pana do ministerium informacji. Niestety, pańskie poglądy zmuszają mnie do zrewidowania decyzji. W najwyższych władzach nie powinno być ludzi mających skłonności do ukrywania prawdy. Rozumiem pana obawy... i nie traci pan mojego zaufania jako Dyrektor Służby łączności.

Esperia była planetą położoną najbliżej Tolimaka A. Obiegała swoje słońce po niemal kołowej orbicie położonej prawie dokładnie w płaszczyźnie orbity Tolimaka B i zachowywała stabilność swego ruchu przez milionolecia.

Mimo zasadniczych różnic układowych wykazywała Esperia sporo zachęcających podobieństw do Ziemi. Krótszy był jej okres obiegu wokół Tolimaka A, ale i krótsza doba - nieco ponad 20 godzin. Tlenu w atmosferze było nieco mniej, lecz różnicę tę kompensowało mniejsze przyciąganie. I wreszcie najważniejsza i zarazem najprzyjemniejsza różnica: oś ruchu wirowego planety była niemal prostopadła do jej orbity, dzięki czemu na Esperii nie było pór roku - panowała wieczna wiosna. Gwiazdą polarną dla Esperii był jasny, czerwony Arktur. Słońce, widziane z układu Tolimaka, stanowiło najjaśniejszą gwiazdę w Kasjopei.

Esperia nie miała własnego księżycyca za to przez każde pół roku na jej nocnym niebie świecił Tolimak B. Jego jasność widoma wynosiła minus dziewiętnaście wielkości gwiazdowych, czyli tyle, ile wynosi jasność widoma Słońca obserwowanego z Plutona. Przez drugą potowę roku obie gwiazdy układu Tolimaka świeciły na dziennym niebie Esperii, a ponieważ płaszczyzny orbit Tolimaka A i planety pokrywały się - rokrocznie można było obserwować zaćmienie Tolimaka B przez Tolimaka A.

Nocą, niby odległa latarnia nieba, rozbłyskiwała porozumiewawczo sąsiadka układu Tolimaka - czerwona Proksima. Odkryła Esperię przed półwieczem sonda "Interstellar VI". Przesłane przez nią obrazy planety wzbudziły sensację, obaliły bowiem powszechny pogląd, że prawdopodobieństwo spotkania życia na planecie, należącej do układu gwiazdy podwójnej, jest znikome.

Jeszcze dziesięć lat temu Esperia była rajską, dziewicza planetą, a, dziś zamieszkiwało ją blisko trzy miliardy ludzi! Był to gigantyczny exodus, jakiego wcześniej ludzkość nie знаła i tylko z trudem mogła go sobie wyobrazić.

Każdej nocy spoglądano w kierunku Kasjopei, na tle której jaśniało Słońce. Pierwsze obserwatorium astronomiczne zbudowane na Esperii prowadziło niemal wyłącznie obserwacje Słońca. Każdego dnia od chwili uruchomienia łączności dzwoniły w obserwatorium radiotelefony - dowiadywano się, co nowego na Słońcu? Według przeważającej opinii astrofizyków Słońce miało w najbliższym czasie, „podczas kolejnego maksimum aktywności, kilkakrotnie „rozbłysnąć, po. czym powinno powrócić do stanu „spokojnego Słońca” na następne miliardy lat.

Zjawisko narastania aktywności słonecznej w maksimum zostało zauważone już w drugiej połowie dwudziestego wieku. Przed trzydziestu z górą laty grupa heliofizyków europejskich doszła do wniosku, że podczas kolejnego maksimum dwudziestodwuletniego cyklu, na który nałoży się maksimum wiekowego cyklu zmian aktywności słonecznej, nastąpią rozbłyski pierwszy krótkotrwały, o amplitudzie jednej wielkości gwiazdowej oraz kilka następnych, dłuższych, lecz o zmniejszającej się amplitudzie.

Nie wszyscy uczeni podzielali ten pogląd. Inna szkoła astrofizyczna twierdziła, że chociaż rozbłyski nie są wykluczone, to jednak amplituda ich będzie niewielka, a przeto Ziemi nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Kres sporowi heliofizyków położyła wizyta... Kosmitów, która na przekór od dawna rozwijanemu na podobną okazję optymizmowi - przerodziła się w konflikt i inwazję.

Oczekiwany przez stulecia, szczególnie przez pasjonatów CETI, „pierwszy kontakt” przyniósł mieszkańcom Ziemi gorzkie rozczarowanie.

Kiedy Prezydent powrócił z kolejnej inspekcji wszystkich zamieszkanym lądów Esperii, czekał na niego Dyrektor Służby Łączności wraz z grupą współpracowników.

- Panie Prezydencie - zameldował z przejęciem Dyrektor - otrzymaliśmy wiadomość od zaginionych kosmologów!

- Nareszcie - powiedział Prezydent, ale z miny jego można było wywnioskować, że wolałby otrzymać tę wiadomość dopiero po należyтым odpoczynku.

Zaprosił wszystkich do gabinetu i wezwał heliofizyków. Dyrektor Służby Łączności nerwowo związał i rozwijał taśmę wydruku z dekodera. Nadeszli heliofizycy.

- Proszę, niech pan czyta - powiedział Prezydent znużonym głosem.

Dyrektor podniósł wzrok.

- Właściwie... niewiele tu jest do czytania. Sygnał był słaby i w wielu miejscach przekaz uległ zatarciu, bądź też zniekształceniu. Odczytaliśmy tyle: „... ponieważ rozbłysk Słońca nastąpi... uważaliśmy... (zawrócić) na ziemię po pokonaniu... trasy... (nie) zgadzaliśmy się... w palni (z)... opuszczenia ziemi i dlatego... kiedy rozbłyski (wygasną?)... na ziemię... jeżeli rozbłyski nie będą zbyt intensywne... powinni opuścić (ziemię)... nie znoszą... temperatur (i)... przebywać na chłodnych (?)... ”

prosimy... jeżeli... zawsze... (z) powrotem...”. To wszystko.

Prezydent myślał w zamyśleniu. Dyrektor chrząknął delikatnie.

- Rzeczywiście niewiele - powiedział Prezydent unosząc powieki. - W czym mogę być wam pomocny? Zarządzić ekspedycję karną? Kto wie, czy nie postąpili lepiej, rozsądniej? Mój poprzednik był pewien słuszności swego zdania, ja już taki pewien nie jestem. Co powiedzą heliofizycy?

Uczeni wymienili między sobą spojrzenia.

- W jednym jesteśmy zgodni w zupełności - zabrał głos profesor Orwid. - Nasz wysiłek nie poszedł na marne. Chociaż porzucenie Ziemi było rzeczą przykrą, tragiczną, to jednak teraz ludzkość będzie mogła zamieszkiwać dwa systemy gwiazdne, a nie muszę chyba wyjaśniać, jak doniosłe ma to znaczenie.

Prezydent skinął głową.

- Wracając do komunikatu - ciągnął dalej profesor należy sądzić, że jedna z czuwających grup powzięła decyzję zawrócenia, kiedy przebyliśmy już połowę odległości Słońce - Tolimak. Rozumowanie tych ludzi wydaje się zresztą słuszne. Powrót dwunastu kosmolotów do Układu Słonecznego nastąpi w kilka lat po rozbłysku. Po Kosmitach nie powinno być już śladu, co więcej - nie zdecydują się oni ponownie przybyć w okolice Słońca, uznają System Słoneczny za nieprzydatny do kolonizacji.

- Kiedy nastąpi rozbłysk Słońca?

- Spodziewamy się go zaobserwować już wkrótce. Pełnimy ciągle dyżur.

- ..leżeli Słońce nie rozbłyśnie?... - Prezydent zawiesił głos.

- Wtedy dwanaście kosmolotów zginie. Wtedy na Esperii zaczną się rozruchy i...

- Dwanaście kosmolotów... To prawie sto dwadzieścia milionów ludzi!

- Nie mogliby zawrócić? - wtrącił pytanie Dyrektor.

- Nie! Chyba pamięta pan, ile mieliśmy zapasów energii?! Zapadło milczenie.

- Sądzę - naruszył ciszę profesor - że pan Prezydent powinien zwołać konferencję naukowców - głównie astronomów, biologów, cybernetyków, psychologów, socjologów, techników raketowych... Staniemy wkrótce przed koniecznością powzięcia decyzji, niezwykle istotnych, od których, być może zależeć będą dalsze losy ziemskiej cywilizacji. Trzeba przedtem rozważyć wiele problemów, sformułować alternatywy, ujednoczyć oceny decyzji przeszłych.

Jak można się było spodziewać, konferencja nie potrafiła zdecydowanie odpowiedzieć na pytanie, czy dwunastu kosmolotom zmierzającym z powrotem ku Ziemi grozi realne niebezpieczeństwo i w jaki sposób udzielić im pomocy. Nie rozstrzygnęła również wielu innych problemów; wykazała natomiast, że różnice w ocenie wielkiego exodusu nie zatarły się z biegiem lat, lecz przeciwnie - zaostriżyły się jeszcze. Ten właśnie temat skupił na sobie całą prawie dyskusję od chwili, gdy przedstawiła swoje opracowanie komisja socjologiczno - psychologiczna.

W ciągu lat, jakie upłynęły od inwazji, socjologowie i psychologowie mieli dość czasu na szczegółowe zanalizowanie wszystkich posiadanych materiałów i próby odpowiedzi na dręczące pytanie: jak to było możliwe, że pierwszy kontakt z wysoko rozwiniętą cywilizacją Kosmitów przerodził się w wojnę?

Konferencja stworzyła okazję do przedłożenia wyników tych analiz, do ostrożnego sformułowania wniosków.

Jak było powszechnie wiadomo, wojna rozpoczęła się w momencie, gdy rząd ziemskiej Federacji wystosował do przybyszy odmowną odpowiedź na ich memorandum, którego rzekomą podstawą prawną była jakoby obowiązująca w całej Galaktyce, bliżej nie wyjaśniona “zasada wyrównywania warunków obiektywnych”. Kosmici żądali oddania im części powierzchni Ziemi, gdyż - jak stwierdzili - “... byłoby kosmiczną niesprawiedliwością, gdyby Ziemianie - żyjący w niewiarygodnie niskim zagęszczeniu niewiele przekraczającym 50 osób na kilometr kwadratowy i marnujący w ten sposób bezcenną

powierzchnię łatwej do życia planety - nie podzielił się nadmiarem dóbr obiektywnych z bardziej potrzebującymi”.

Rząd uważnie studiował osobliwe oświadczenie gości z Galaktyki, których flota, nie zachowując środków ostrożności, krążyła wokół Ziemi na stacjonarnej orbicie, w łatwym do rażenia szyku. Odpowiedź, rzecz jasna, musiała być odmowna. Ale nie ona była bezpośrednią przyczyną konfliktu. Przypadek sprawił, że zbiegi się z tą odpowiedzią nie do końca wyjaśniony incydent: nieznaną błąd w programie automatycznego alarmowo - obronnego systemu orbitalnego spowodował samoczynne odpalenie rakiety z głowicą jądrową w kierunku floty przybyszy - i nie można już było niczego zatrzymać. Z całą pewnością Kosmici - brzmiały końcowe wnioski komisji socjologiczno - psychologicznej - nie mieszczą się w pełni w teoretycznych modelach cywilizacji, ale też nie obalili oni starej tezy, że wysoko rozwinięte cywilizacje nie mogą być agresywne. Przyczyną inwazji było nieporozumienie. Pozwala to mieć nadzieję, że dwunastu kosmolotom nie grozi poważniejsze niebezpieczeństwo.

- “Pozwala to sądzić” ... - powtórzył Prezydent po ostatnim słowie opracowania. - Spodziewaliśmy się stwierdzeń bardziej zdecydowanych.

- Niestety; panie Prezydencie - uśmiechnął się referujący przedstawiciel komisji - do stanowczych stwierdzeń nie ma jeszcze podstaw.

Raport komisji technicznej w swych równie ostrożnych wnioskach był zbieżny z poglądem socjologów. Technicy zwrócili uwagę na fakt, że późniejsze działania wojenne wykazały wysokie umiejętności militarne Kosmitów, a zatem niezachowanie przez nich żadnych środków ostrożności aż do fatalnego incydentu wskazuje na to, że nie liczyli się oni wcześniej z prawdopodobieństwem konfliktu zbrojnego.

Teraz musiało już z całą ostrością stanąć na porządku obrad pytanie, czy exodus, który - jak się w końcu okazuje - zadecydowano w oparciu li tylko o hipotezę heliofizyczną, był rzeczywiście konieczny? Można było walczyć nadal, można było wzmocnić wysiłki dla opracowania nowych broni, można było wynegocjować jakieś możliwe do przyjęcia warunki. A tymczasem pierwsze poważniejsze przewagi Kosmitów uznano za przesądzone wyrok i zaczęto pertraktacje od kapitulanczkiej propozycji exodusu, na którą Kosmici tak skwapliwie przystali. Czy było to konieczne? Czy były to decyzje odpowiedzialne? I czy nie leżał poniżej godności ludzkiej ten przerażający sposób podróżowania, który mógł się zrodzić tylko w mózgach pomysłowych, ale zarazem obłąkanych?

W tej fazie dyskusji zanikła już zupełnie świadomość pierwotnego celu konferencji. Żale i zadawnione antagonizmy znajdowały wyraz coraz bardziej ekspresyjny; padły mocne słowa “hańba”, “zdrada”, “spisek kapitulantów i tchórzy”. Dopiero powaga Prezydenta ostudziła nieco rozgorączkowane umysły naukowców.

- Nasza konferencja - zaczął Prezydent - okazała się niewypałem; jej cel został już zaprzepaszczonej. Nie mam jednak pretensji ani żalu o te ostre słowa, które tam, na Ziemi, na spotkaniu uczonych byłyby nie do pomyślenia. To gorycz ustępstwa, niepewność prawdy i tęsknota za ojczyzną tak mocno zabrzęczały na strunach emocji. Jeszcze raz doszła do głosu dusza Ziemianina, która - nawet u naukowca - nie jest byłem nadmiernie racjonalnym, a już w żadnym wypadku - chłodnym.

- Uważam - kontynuował po krótkiej pauzie - że powinienem wyjaśnić dwa przewijające się tu nieporozumienia. Po pierwsze - decyzja Rządu co do totalnej emigracji była podjęta tylko i wyłącznie na podstawie przewidywań heliofizyków, a nie na przekonaniu o nieuchronności klęski wojennej, jak to niektórzy przypuszczają. Czy była to decyzja słuszna - o tym dowiemy się w niedalekiej przyszłości obserwując Słońce... Po drugie - sposób podróżowania - jakkolwiek by go oceniać z punktu godności ludzkiej - był jedynym możliwym do zrealizowania w krótkim czasie na taką skalę. Przypominam genezę projektu: ktoś zwrócił uwagę, że cała ludzkość zgromadzona w jednym, miejscu nie zajmie nawet

objętości jednego kilometra sześciennego. Zaprojektowano w pełni bezpieczne pojemniki hibernacyjne, których w jednym kosmolocie mieściło się ponad dziesięć milionów. W ten sposób stało się możliwe przewiezienie całej ludzkości do układu Tolimaka. I innego sposobu nie było.

Milczał chwilę wodząc po audytorium zamyślonym spojrzeniem, a potem dokończył zmęczonym głosem:

- Nie chcę nikomu sugerować moich przypuszczeń ani prywatnych ocen, ale powiem, że o merytorycznej słuszności kontrowersyjnych decyzji Rządu nie wątpię i wierzę, że słuszność ta znajdzie wkrótce obiektywne potwierdzenie. Mam jednak... wątpliwość innego rodzaju: czy aby nie było przypadkiem poniższej godności Ziemi pozostawienie Kosmitów, którzy w twardej walce nie splamili się żadnym czynem odrażającym, w tej słonecznej pułapce?

W środku nocy Prezydenta zbudził sygnał radiotelefonu. Zgłaszało się Obserwatorium Heliofizyczne Esperii.

- Zapraszamy pana, Prezydencie, do obserwatorium usłyszał spokojny głos profesora Orwida.

- Czy to coś bardzo ważnego? - Prezydent był niezadowolony, te przerwano mu sen, którego ostatnio bardzo potrzebował.

- Zaobserwowaliśmy rozbłysk Słońca.

- Pan to mówi tak spokojnie?!...

- Ja wiedziałem, że nastąpi.

- Zaraz będę u pana, profesorze!

Helikopter Prezydenta z trudem odnalazł wolną przestrzeń do lądowania; w Obserwatorium było gwaro. Profesor czekał w gabinecie.

- A więc stało się! - powiedział Prezydent od drzwi. Kto pierwszy dostrzegł rozbłysk?

- Obserwatorium orbitalne prowadzące ciągłą, automatyczną rejestrację blasku Słońca. Warunki obserwacji z powierzchni Esperii nie zawsze są dobre, dlatego pracuje również stacja orbitalna.

- Ach, tak. Rozumiem... czy ja mogę popatrzeć na Słońce?

- Oczywiście. Pojaśnienie widać nawet nieuzbrojonym okiem i w tej chwili obserwuje je zapewne połowa mieszkańców Esperii.

Wyszli na taras. Profesor zaprowadził Prezydenta do teleskopu.

- Według wstępnych danych - referował - jasność Słońca wzrosła o około 0,8 wielkości gwiazdowej, a więc nieco mniej niż zakładaliśmy. Za kilkadziesiąt godzin blask powinien wrócić do poprzedniego poziomu, po czym nastąpią kolejne, już słabsze, lecz dłużej trwające rozbłyski wtórne. Oddzielnie rejestrujemy też widmo Słońca i natężenia pola magnetycznego.

Prezydent podziękował za pokaz i objaśnienia. Żegnając się mocno ucisnął dłoń profesora.

- Odżyłem, wie pan? - powiedział. - Pozbyłem się ostatnich wątpliwości co do słuszności decyzji mojego poprzednika. A co się dzieje teraz na Ziemi?

- Teraz? - odparł wesoło profesor. - Teraz bilans energetyczny Ziemi wrócił zapewne do normy.

- Przepraszam. Ciągle zapominam, że to ponad cztery lata świetlne dzielą nas od Słońca. Co wtedy się działo?

Profesor spoważniał.

- Nastąpił nagły wzrost temperatury, przeciętnie o 50 stopni. Większość lodów zapewne stopniała, strefa tropikalna mogła zamienić się w niektórych punktach w... patelnię z wrzącą wodą. Jednak bardziej niebezpieczny od skoku temperatury był wzrost promieniowania krótkofalowego i korpuskularnego.

- Uważa więc pan, że rozbłysk Słońca udaremnił Kosmitom kolonizację Ziemi?

- O tak. Mogli wyginać, o ile pospiesznie nie opuścili Układu Słonecznego.

- To było... - Prezydent nerwowo przygryzał wargi szukając odpowiedniego słowa - ... zbyteczne

okrucieństwo z naszej strony.

- Niech pan tego teraz nie przeżywa - doradził profesor. - Mam nadzieję, że wszelkie dalsze kontakty z jakimikolwiek innymi kosmitami zakończą się już pomyślnie. Ci zaś w pewnym stopniu sami sobie są winni.

Rozbłyśki Słońca, coraz słabsze, obserwowano jeszcze ponad miesiąc, następnie heliofizycy stwierdzili, że zgodnie z hipotezą promieniowanie i stan Słońca wrócił do normalnego poziomu. Teoretyczny model promieniowania słonecznego dawał podstawę do przypuszczeń, że stan spokojnego Słońca trwał będzie co najmniej miliard lat.

Kiedy Prezydent oznajmił w przemówieniu radiowym, że ludności Esperii pozostawia się wolny wybór - wracać, czy pozostać - nastąpiły chwile głębokiej rozterki w wielu milionach serc i umysłów.

Esperia spełniła pokładane w niej nadzieje, zasłużyła na swą nazwę. łagodny, ciepły klimat, bujna, barwna roślinność, niemal zupełny brak dokuczliwych owadów lub jakichkolwiek ich odpowiedników, zielone, czyste morza... - niejednemu wygnańcowi z Ziemi przypadła do serca nowa ojczyzna, a większość uświadamiała to sobie dopiero teraz, w chwili trudnego wyboru.

Wreszcie wszystkie decyzje zapadły, biura administracyjne przekazały materiały Rządowi.

Powrót na Ziemię wybrała blisko jedna trzecia mieszkańców Esperii, wśród nich - Prezydent:

Ziemskie zamiłowanie do uroczystych imprez dało o serie znać po raz pierwszy w nowej ojczyźnie: pozostający zapragnęli zorganizować wielkie, podniosłe pożegnanie powracającym. Do tego potrzebny był... nowy rząd, jako że większość członków starego wybrała - w ślad za Prezydentem - powrót. Zarządzono więc wybory. Wytypowanie kompletu kandydatów sprawiło znaczne trudności; najdłużej brakowało chętnego do zajęcia fotela prezydenta, lecz w końcu - zgodzili się kandydować profesor Orwid i... Dyrektor Służby Łączności.

Profesor Orwid otrzymał prawie sto procent głosów.

Po raz pierwszy od czasów Uług - Bega astronom sprawował władzę.

Płynęły łzy, łamały się ze wzruszenia głosy, długie były pożegnalne uściski.

Wypowiedziano miliardy szczerych życzeń - dobrej, szczęśliwej przyszłości.

W honorowej eskorcie Floty Kosmicznej Esperii ruszyły kosmoloty w stronę spokojnego już Słońca.

Zbigniew Dworak - Planeta Grozy

Z oddali ten glob porażał wzrok zielenią, odwiecznym kolorem nadziei. W promieniach swego słońca, niczym specjalnie nie wyróżniającej się gwiazdy, błyszczał na tle czarnego nieba niczym szmaragd. Ta osobliwa zieleń planety wydołała niemałe zamieszanie wśród egzobiologów, kiedy rakieta Automatycznego Zwiadu Kosmicznego przestała na Ziemię barwne obrazy układu planetarnego gwiazdy oznaczonej zaledwie numerem katalogowym.

Ponieważ gwiazda znajdowała się w odległości kilku parseków od Ziemi, zorganizowano pośpiesznie wyprawę załogową i z niecierpliwością oczekiwano bezpośrednich relacji z powierzchni nowo odkrytej planety... Niestety, pierwszy - po latach podróży - komunikat donoszący o wejściu na orbitę stacjonarną i przygotowaniu do lądowania był zarazem ostatnim. I - co dziwniejsze - nie odebrano żadnego sygnału zagrożenia.

Żeglarze oceanu próżni znajdują się w stokroć niewygodniejszej sytuacji niż dawni podróżnicy i odkrywcy, niemniej tak nagła zamilknięcie statku w najbardziej nieoczekiwanym momencie. zaniepokoiło i zdumiało ludzkość. Podczas gdy dziennikarze, których nastawienie do wszelkiego rodzaju wydarzeń nie zmieniło się od tysiącleci, wysuwali coraz to śmielsze hipotezy mające jakoby wyjaśnić zaginięcie wyprawy, naukowcy przystąpili do ponownego, niezwykle skrupulatnego sprawdzania danych o zielonej planecie.

Był to po prostu stracony czas. Żadnej znaczącej informacji o nowo odkrytym układzie planetarnym nie udało się uzyskać. Gwiazda jak gwiazda, planeta poza barwą też niczym osobliwym nie wyróżniała się spośród setek odkrytych dotąd planet. Uznano więc zaginięcie wyprawy za mało prawdopodobny, ale jednak możliwy przypadek katastrofy - innymi słowy zawiedli, bądź zawinili ludzie.

Kiedy jednak kolejna wyprawa pomimo zachowania szczególnych środków ostrożności - nie, żeby podejrzewano o coś planetę, ale tak na wszelki wypadek - przepadła bez wieści, zatrwożono się już poważnie i poczyniono stosowne kroki w celu wyjaśnienia niezrozumiałych zaginięć. Przede wszystkim poproszono dziennikarzy by nie wspominali nawet o zielonej planecie. Było to nad wyraz rozsądne postanowienie - w brulionach, szkicach doniesień dziennikarskich były tak radykalne hipotezy dotyczące rzeczonej planety, że wielu naukowców jak też pracowników Federacji Lotów Kosmicznych doorało zawrotu głowy. W wycofanych materiałach była na przykład mowa o zielonych promieniach śmierci, o agresywnie (?) nastawionej do świata cywilizacji zasiedlającej rzekomo Verdianę (jak nazwano planetę), o magicznym znaczeniu zieleni, o rezonansie gwiazdowo - planetarnym w zakresie promieniowania widzialnego... Ta ostatnia rewelacja wzięta się z niezbyt uważnego przekartkowania szkolnego podręcznika astronomii i ze zbyt wybujałej fantazji dziennikarza "Echa Kosmosu".

Przygotowano trzecią wyprawę ubezpieczając ją na wszelkie możliwe sposoby, jakie podówczas były dostępne nauce i technice ziemskiej.

Ogromna rakieta z zachowaniem maksymalnej ostrożności weszła na stacjonarną orbitę Verdiany. Przez długie tygodnie prowadzono obserwacje powierzchni tajemniczej .plakiety. Wreszcie podjęto decyzję lądowania. Statek, pozostawiwszy na stacjonarnej orbicie przekaźnik, wolno opadał na powierzchnię Verdiany, przesyłając nieustannie na Ziemię informację o przebiegu operacji lądowania. Majestatycznie zniżająca się rakieta zetknęła się na moment z powierzchnią Zielonego Globu - czujniki natychmiast zasygnalizowały ten fakt, lecz jeszcze przez chwilę rakieta stała na słupie ognia gotowa

wystartować przy najmniejszej oznace zagrożenia. Nic się jednak nie działo, jeśli nie liczyć tego, że statek spowił obłok dymu zmieszanego z mgłą. Łączność nie ulegała zakłóceniu.

Wyłączono silniki. Rakieta osiadła. Czekano, póki nie rozwieje się obłok wokół statku. Nadal nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. A potem wydarzenia zaczęły biec w oszałamiającym tempie - łączność gwałtownie pogorszyła się, po czym ustała bez widmowej przyczyny. Nim jednak się to stało, ostatnie sygnały przyniosły na Ziemię wzburzone, przerażone głosy: "co to?... co to?... uwaga!..." Potem nastąpiła cisza i tylko przekaźnik orbitalny beznamiętnie emitował sygnały wywoławcze.

Panika wybuchła na Ziemi. Blokada informacja nie okazała się szczelna i wiadomość o zaginięciu trzeciej wyprawy dotarła do całej społeczności ziemskiej. Nagłówki telegazet krzyczały: "PLANETA GROZY", "KOSMICZNA PUŁAPKA", "CZYŻBY ZIELONA CZARNA DZIURA?" - to tylko niektóre tytuły, te jeszcze do przyjęcia. Pod naciskiem ogółu i wobec psychozy, jaka ogarnęła nawet trzeźwe umysły, Federacja Lotów Kosmicznych wspólnie z Wszechświatową Akademią Nauk i Departamentem Ochrony Ludzkości - instytucją przestarzałą i właściwie zajmującą się dostarczaniem broni... myśliwskiej ekspedycjom badającym planety obdarzone życiem (fauną) zorganizowała Czwartą Wyprawę.

Tak pokrótce przedstawiała się historia odkrycia i pierwszych trzech wypraw na Verdianę, kiedy powierzono nam Misję wyjaśnić zagadkę "planety grozy". I oto właśnie wchodzimy na wokół planetarną orbita śledząc w napięciu obraz obcego świata, jaki pojawił się na naszych monitorach. Nie pierwszy raz go widzimy - wiele godzin spędziliśmy w infortece odtwarzając bez końca zarejestrowane przez poprzednie ekspedycje wizerunki oblicza planety. Stwierdziliśmy, na przykład, że dość często spowijają Verdianę gęste mgły i to w skali globalnej. Natomiast jaskrawo zielony odcień planety brał się, co wyjaśniono już uprzednio, z wszechobecności pokrycia roślinnego odmiennego od ziemskiej flory przede wszystkim intensywnością barwy - jadowicie jasnozielonej - a także wielkością zajmowanego przez roślinność obszaru. Brak było pustyń i rozległych masywów górskich, brak też było wielkich, otwartych zbiorników wodnych. Uderzała natomiast obfitość i różnorodność rzek - od ogromnych, leniwie toczących swoje fale, po małe, lecz o dużej powierzchni dorzecza. Jedynie kilkanaście rzek uchodziło do niewielkich, płytkich mórz - pozostałe rozgałęziły się tworząc olbrzymie delty łączące się z... deltami innych rzek! Wykryto też tak zwany Wielki Kanał przebiegający przez wiele delt i opasujący niemal cały glob. Woda w Wielkim Kanale nie płynęła - martwość jego powierzchni naruszał tylko wiatr. O ile rzeki miały z reguły barwę niebieskozieloną, o tyle woda stojąca w Wielkim Kanale była prawie czarna, co wywoływało skojarzenia bezdennej głębi. Wobec takiej obfitości wód zrozumiałe stało się bogactwo świata roślinnego oraz częste występowanie mgieł. Nie mogło to jednak w pełni tłumaczyć przyczyn zaginięcia poprzednich wypraw, chociaż dawało to powód do przypuszczeń, że warunki lądowania są trudne. W sprzeczności poniekąd z tym twierdzeniem był brak jakichkolwiek śladów lądowania. Najczulsze metody teledetekcyjne nie doprowadziły do wykrycia zaginionych statków lub chociażby pozostałości po lądowaniach.

Na przykład jest raczej pewne, że żadna ekspedycja nie lądowała w rejonach podbiegunowych, akurat wolnych od roślinności, bowiem z wysyłanymi do tych rejonów sondami tracono zwykle łączność, a zdjęcia tych obszarów uwidaczniały osobliwie ukształtowaną powierzchnię, nie mającą odpowiednika na poznanych dotąd planetach.

Nieliczne masywy górskie nie wyglądały zachęcająco - były to albo strzeliste, nieprzystępne nagie tumie o stromych zboczach, albo też nieprawdopodobny chaos skalny, wśród którego darmo by szukać w miarę płaskiego terenu odpowiedniego dla wylądowania przynajmniej rakiety patrolowej. Kilka obszarów wyżynnych pokrytych było tak gęstą, splątana roślinnością - drzewokrzewami - że lądować trzeba by "na oślep". W deltach rzek eksplozja najdziwniejszych gatunków roślinnych osiągała swoje maksimum skutecznie przesłaniając powierzchnię planety; oprócz tego opary, fantastyczne pasma mgły

nigdy w tych rejonach nie znikwały, poważnie ograniczając widoczność. Nawet użycie radaru czy aparatury noktowizyjnej nie poprawiało warunków widzialności - echa powracały zamazane, rozmyte, nieustannie zmieniające się.

Dżungle i selwy, odznaczające się ogromnymi drzewami podobnymi do boababów, o wysokości przekraczającej dwieście metrów i grubości pni wynoszącej kilkanaście metrów, również były niedostępne. Nie wiadomo było nawet, jak wygląda dolne piętro roślinności i warunki tam panujące - wszystkie sondy utknęły w... koronach drzew, splątanych i wzajemnie przenikających się.

Nieliczne sawanny wzbudzały metafizyczny lęk, co odnotowała również trzecia wyprawa, a to z następującego powodu: sondy łagodnie opadały i nie znajdowały żadnych symptomów zagrożenia, mimo to sprawa wyglądała nader podejrzanie gdzie jak gdzie ale właśnie na sawannie ślady lądowania nie powinny ulec zatarciu; lecz sawanny były wprost dziewicze, skąd nasuwał się wniosek, że ani pierwsza, ani druga wyprawa - z niewiadomych powodów - nie wybrała tych miejsc za lądowiska. Podobnie przyszło przyjąć, że należy unikać owych nielicznych akwenów - wersja nieudanego wodowania narzucała się wręcz.

Ostatecznie poprzednia ekspedycja jako miejsce lądowania wybrała niewielki obszar o dość regularnym, kolistym kształcie. Obszar przylegał do rozległej wyżyny poprzecinanej we wszystkich kierunkach wąwozami i jarami. Wybrany teren wolny był od drzew, tylko gdzieniegdzie rosły kępy rozłożystych krzewów. Ze szczególną uwagą wpatrywaliśmy się więc w zdjęcia przedstawiające to miejsce. Był to właściwie wielogodzinny zapis, który wydobyliśmy z przekaźnika orbitalnego. Przetworzyliśmy go w film. Przedstawiał on moment zetknięcia się rakiety z powierzchnią globu. Po udanym lądowaniu statek został otoczony przez obłok, co było zupełnie zrozumiałe, lecz kiedy obłok rozwiął się, rakiety już nie było - widniały co prawda ślady lądowania, ale tylko do zmroku. Gdy gwiazda centralna ponownie oświetliła miejsce lądowania, kamera na przekaźniku włączyła się automatycznie, lecz na odtworzonym filmie nie udało się już dostrzec żadnych oznak przebywania rakiety na planecie. W ciągu kilkunastu minut jeden z najdoskonalszych wytworów myśli ludzkiej, wyposażony w niezawodne systemy ostrzegawcze i alarmowe, rozplynął się w nicość. Było to o tyle przerażające, że również sondy automatyczne - zrzucone w celach rozpoznania terenu - nie wykryły żadnych oznak niebezpieczeństwa! A ogromny statek zniknął...

Kilkaset klatek filmu przejrzelśmy szczególnie starannie stosując maksymalne powiększenia i tylko na niewielu klatkach udało nam się zaobserwować coś w rodzaju zawirowania, a na jednej jedynej klatce zobaczyliśmy... dziwną, przezroczystą kopułę znajdującą się dokładnie na miejscu rakiety. Zresztą mogło to być złodzenie - oko usiłowało się doszukać jakiegokolwiek przyczyny zaginięcia statku i łączyło rozwiewające się fragmenty obłoku w określony kształt. Pomiary nie dawały podstaw sądzić, że kopuła istniała naprawdę. Margines błędów zmuszał do przyjęcia, że są tylko fluktuacje tła. Niestety, zdolność rozdzielcza kamery była zbyt mała, toteż kiedy na ekranach naszych monitorów pojawił się obraz obszaru lądowania trzeciej wyprawy, wszyscy porzucili chwilowo swoje zajęcie gromadząc się przed ekranami w nadziei, że uda się dostrzec coś więcej niż na filmie. Trudno było jednak po tylu latach zauważyć coś osobliwego - monotonna, chociaż jaskrawa zieleń, a przy większej zdolności rozdzielczej dostrzec można było bujnie rozrośnięte zarośla, falującą trawę, małe jeziora z opalizującą w odcieniach zieleni, błękitu i brązu wodą - i to było właściwie wszystko. Dziewiczy, tajemniczy kraj.

W odróżnieniu od poprzednich wypraw komandor Alan Warren polecił wprowadzić statek na polarną orbitę chcąc mieć nieco lepsze warunki do obserwacji całej planety. - Następnie komandor zarządził naradę, to znaczy wymianę informacji i hipotez na temat Verdiany. Jedynie część załogi zebrała się w Centralnej Dyspozytorni statku - pozostali uczestniczyli w dyskusji za pośrednictwem videofonów nie opuszczając swoich stanowisk.

Pierwsze pytanie, nazbyt może lakoniczne, postawił Warren:

- Co dalej?...

- To znaczy, chcesz powiedzieć, czy mamy lądować, czy też przedsięwziąć coś innego? - zabrał głos przedstawiciel Departamentu Ochrony Ludzkości Olaf Svensen.

- Tak!

- Lądować nie możemy - odezwali się naraz wszyscy piloci i nawigatorzy.

- Skąd ta stanowczość? - Svensen był jakby zdziwiony. Znowu kilka osób odezwało się naraz. Uciszył ich socjolog Juan Rez:

- Nim zdecydujemy się na lądowanie, powinniśmy znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego nie powiodły się poprzednie próby, czyż nie tak?

- Sądzisz, że przynajmniej uczestnicy trzeciej ekspedycji nie zastanawiali się nad tym? I nie byli chyba gorsi od nas...

- To prawda. Musieli jednak coś szczególnego przeoczyć. Coś wyjątkowo specyficznego dla tej planety. A może zmyliło ich podobieństwo do naszej Ziemi: obfita roślinność, rzekł?...

- No, nie. Odkrywano przecież inne planety obdarzone życiem, nie tak hojnie, ale niespodzianek napotymano wiele i na nich i...

- Otóż to - wpadł Warrenowi w słowo socjolog. - Za dużo tej nadziei i optymizmu, podświadomego poszukiwania podobieństwa. Zresztą czy to w ogóle ma sens tak na oślep wyprawiać się do gwiazd?

Wieczny pośpiech - odkryto urzekającą planetę, więc natychmiast, bez najmniejszego wahania ruszamy eksplorować ją bezpośrednio. Nie udało się, więc rusza następna wyprawa. I znowu kolejna wyprawa... A przecież lata dzielą te wyprawy, informacja dochodzi z ogromnym opóźnieniem. Najbliższe bazy są tak czy owak daleko. Pozostawiona swojemu losowi załoga statku międzygwiazdowego chcąc nie chcąc podejmuje ryzykowne zadanie nie mając możliwości przekonsultowania z kimkolwiek decyzji. Czy aby nie w tym leży przyczyna niepowodzeń?

Słowa socjologa wywarły wrażenie większe, niż on sam tego oczekiwał. Dłuższą chwilę panowało milczenie.

- Więc co twoim zdaniem należy uczynić? - zapytał wreszcie Svensen.

- Albo ja wiem? Na przykład rzućmy bombę w to przeklęte miejsce...

Głos socjologa utonął we wrzawie oburzenia i protestów. Rez usiłował przekrzyczeć zgiełk, lecz dopiero Svensen zaprowadził jaki taki spokój.

- ... i to kto tak nam radzi? Kto przed chwilą zalecał rozważyć?! - brzmiał donośnie głos Svensena. - Owszem, to bardzo łatwe, lecz potem pozostanie już tylko wojna! A jeśli nawet nie, to ostatecznie zatrzemy wszelkie, może dla nas nieuchwytnie, ale na pewno istniejące ślady lądowania i nigdy już nie dowiemy się, co się stało!

- To mi się tak tylko powiedziało - bronił się socjolog. - I niejako wyłącznie pod twoim adresem, bo po to tu chyba jesteś, czyż nie?

Svensen, zrezygnowany, machnął ręką.

Nagle z głośników rozległ się nieprzyjemny, obcy dźwięk. Wszyscy ucichli.

- Co to? - zapytał ktoś niepewnie.

- Przelatujemy nad obszarem bieguna północnego odezwał się dyżurny nawigator. - To rejon anomalii magnetycznej i grawitacyjnej. A ukształtowanie terenu... Sami zobaczcie.

Juan Rez ożywił się. Patrząc na widniejący na ogromnym, głównym ekranie pejzaż niezwyklej kształtów powiedział powoli:

- Czy właśnie nie tu należałoby wybrać miejsce pod przyszłą bazę? Uparliśmy się uznawać jedynie analogie...

- Nie - przerwał komandor. - Dwie wyprawy temu skłonny byłbym tak samo myśleć. Teraz nie mamy prawa ryzykować. .

- Właśnie - odezwał się botanik Gleb Tichomirow - ta roślinność. Bujna, jaskrawa, jak nigdzie dotąd...

- Tylko proszę bez wdawania się w dywagacje o zielonych ludzikach lub o "magicznym znaczeniu koloru zieleni" - powiedział komandor. - Mamy spektrogramy. Ach, zresztą... Niczego już nie jestem pewien.

- Potrzebna jest zupełnie zwariowana hipoteza - zauważył ktoś półgłosem.

Ekran zapłonął olśniewająco jasnym blaskiem.

- Co...

- Przepraszam - rzucił pospiesznie nawigator - to tylko gwiazda centralna, tutejsze słońce. Przełączam kamery.

Na ekranach znowu pojawił się obraz planety. Zieleń. Wszechobecna zieleń. Nawet obłoki i pasma mgły wydawały się zielone. Gdzieś tam bez śladu przepadły trzy rakiety.

- Założmy, że mamy do czynienia z nadcywilizacją tak rozwiniętą, iż nie potrzebuje miast, ogromnych ośrodków przemysłowych, że woli życie na łonie natury, nie w sensie powrotu do stanu dzikości, lecz właśnie dlatego, iż jest tak bardzo potężna i mądra - przemówił jeden z elektroników, Bratislav Milanović, znajdujący się w sekcji maszyn matematycznych. - Łagodny klimat, zieleń, spokojne życie; można się poświęcić kontemplacji i medytacji. To nie jest mój pomysł wyjaśnił. - Nie pamiętam, kiedy i gdzie o tym czytałem, ale opisana w tej książce sytuacja pasuje jakby do tego, co tutaj zastaliśmy. Rejony podbiegunowe mogą być ośrodkami ich energetyki, jako mniej przydatne do zamieszkania. Aha, nie znają pośpiechu, mają przed sobą wiele czasu, są zapewne długowieczni. Aż tu zjawiamy się my i szastprast, lądujemy zniecka i to jeszcze z jakim hukiem! Co pozostaje im uczynić? Nie chcą, żeby zakłócano im spokój, więc też raz dwa uruchamiają rezerwy energetyczne, otwierają kanał hiperprzestrzenny i pozbywają się rakiety. Stąd brak śladów i raptowna utrata łączności...

- Planeta "Trójkątów Bermudzkich"? Tak? Ile wątków fantastycznych zamierzasz jeszcze wykorzystać?

- Mogę dalej nie mówić. A masz, komandorze, lepsze wytłumaczenie?

- No dobrze. Ogromnie mądra i doświadczona rasa galaktyczna. Lecz po co taka izolacja? I okrucieństwo?

- Jakie znowu okrucieństwo? - zdziwił się Bratislav.

- A wysyłanie trzech wypraw na "tamten świat"?

- Nic podobnego nie twierdziłem! Może po prostu przenieśli ich do innej galaktyki, gdzie żyją sobie na jakiejś stosownej planecie i może nawet wysyłają do nas sygnały, lecz dotrą one za miliony lat. A izolacja? Socjolog opowiadał coś tu o bezsensowności naszych lotów, więc oni, jako rozsądniejsi, dawno już zapewne zaniechali wałęsania się po Drodze Mlecznej...

- Ach tak? I to wobec możliwości dokonywania momentalnych skoków przez przestrzeń?

Nie wiem, czy momentalnych dla nie biorących udziału w takiej translokacji. A poza tym nie mówię wcale o bogach. Nawet superinteligentne istoty nie będą wolne od wad.

- W porządku. Nie chcą nas. Nie mogliby jednak jakoś inaczej nas o tym powiadomić?

- Och, nie! - wmieszała się Anika Maurin, lekarz pokładowy - darujcie sobie tą dyskusję, to przecież do niczego nie prowadzi. Mój ojciec brał udział w poprzedniej ekspedycji i jeszcze przed opuszczeniem przez statek orbity zapewniał nas w ostatnim swoim doniesieniu, że jest to zupełnie normalna planeta. Przyczyna niepowodzeń tkwić musi w nas samych, lecz my wolimy udawać, że jest to "planeta grozy".

Na ekranach przepływały monotonne w gruncie rzeczy obrazy powierzchni Verdiany. Milczeliśmy

zawstydzeni słowami Aniki. Narada utknęła w - martwym punkcie. Posepnie wpatrywaliśmy się w zamglony krajobraz. Raptem wizerunek globu zafalował, zawirował... - siedzący w Dyspozytorni zerwali się ze swoich miejsc. Ekran na sekundę ściemniały, lecz natychmiast ponownie rozjaśniły się, chociaż tylko w połowie. Nim zorientowaliśmy się, co teraz widzimy, nawigator oznajmił:

- Trzecie okrążenie. Obraz w pobliżu terminatora wschodniego, południowa półkula.

Zdziwiliśmy się. Już trzecie okrążenie? Więc dwukrotnie przelatywaliśmy nad nocną stroną i nikt na to nie zwrócił uwagi? Jak to możliwe?

- Proszę obserwować brzeg tarczy planety - głos nawigatora zdradzał podniecenie - w tamtym rejonie najwidoczniej rozpętała się burza.

Komandor Warren ocknął się z dziwnego jakby letargu.

- Wystrzelić sondę automatyczną nad rejon burty - polecił bezzwłocznie.

Wszyscy ożywili się. Burza. To było coś nowego. W poprzednich doniesieniach nie było najmniejszej wzmianki o gwałtownych zjawiskach meteorologicznych, chociaż było oczywiste, iż wobec tak wielkiej obfitości rzek musi następować intensywny obieg wody w przyrodzie tej planety. W nerwowym pośpiechu wyjaśniania przyczyn zaginięcia jednej po drugiej ekspedycji nikt jakoś nie zwrócił uwagi na brak danych o opadach. I oto po raz pierwszy chyba w historii odkrywania Verdiany mieliśmy być świadkami burzy.

Obraz znowu zmienił się. Obszar globu ogarnięty burzą zdawał się pędzić na spotkanie z nami. Zobaczyliśmy, że warstwa wysokich chmur, ciemnych i nabrzmiąłych, rozpościera się aż po rejon podbiegunowy. Nagle oślepiające błyski wypełniły cały niemal ekran. Po chwili nastąpiły kolejne wyładowania, nieco słabsze. W ich blasku dostrzegliśmy skomplikowane warstwy chmur burzowych zwieńczonych na górnym pułapie siniofioletowymi, kalafiorowatymi naroślami podobnymi do cumulusów. Dolny pułap chmur zlewał się z szarą ścianą mgły i deszczu, a właściwie - ulewy przywodzącej myśl o światowym potopie. Szczególną intensywnością odznaczały się wyładowania na granicy rejonu okołopolarnego, lecz nie były to znane z ziemskiego doświadczenia niemal nieprzerwanie trwające błyskawice, ale raczej feeria błyskawic, chaotyczny fajerwerk... W miarę upływu czasu burza nasilała się, aż z górnego pułapu chmur, owych kalafiorowatych utworów wyrastających ponad jednolitą warstwę obłoków, zaczęły iść wyładowania do jonosfery i w krótkim czasie strzelały już w górę kilkudziesięciokilometrowej długości pioruny, rozgałęziające się wielokrotnie. Dopiero w ich blasku ocenić mogliśmy prawdziwy rozmiar i ogrom żywiołu, jaki rozszalał się w atmosferze zielonej planety. Gwałtowność narastania burzy porażała nas, póki nie zorientowaliśmy się, że jest to proces z bardzo silnym dodatnim sprzężeniem zwrotnym. Nawałnica wzmagając się nieustannie trwała parę godzin, dopóki ów samopodtrzymujący się proces nie został wysycony. Koniec burzy był gwałtowniejszy niż sam jej przebieg. W pewnym momencie nastąpiło zawirowanie, które w mgnieniu oka ogarnęło cały skomplikowany układ chmur i przy akompaniamencie potwornego ryku (kolejne sondy wysyłane w rejon burzy wyposażone były w zewnętrzne detektory akustyczne) oraz w blasku jednej lecz rozciągającej się na setki kilometrów błyskawicy nawałnica szczyła nagle, a powierzchnię Verdiany w rejonie burzy zalał istny potop.

Podczas następnego okrążenia stwierdziliśmy, że w atmosferze nie ma żadnego obłoku, ale nad zatopionym obszarem podniosła się gęsta mgła. w

- Ciekawe, jaka może być częstość występowania takich burz? - zapytał socjolog.

- Należy przypuszczać, że powtarzają się z dużym okresem - powiedział geofizyk Adam Otard. - Wynika to chociażby stąd, że nasi poprzednicy nic nie wiedzieli o tym fenomenie.

- Jesteś pewien? A co, jeśli któraś wyprawa lądowała tuż przed burzą? Utrata łączności jest nieuchronna w takiej sytuacji i trudno też przewidzieć, czy rakieta ustoi przed podobnym huraganem,

wylądowaniami, a na zakończenie - potopem.

- Możliwe, lecz mało prawdopodobne. Poza tym nie tłumaczy to przypadków zaginięcia wszystkich ekspedycji, a odnoszę wrażenie, iż przyczyna zniknięć jest w każdym przypadku taka sama - odparł geofizyk.

- Czy możliwe jest, żeby lądowanie rakiety uruchamiało mechanizm rozpętywania się nawałnicy? - zainteresował się Warren.

- Trudno powiedzieć. W pewnych przypadkach - tak. Wątpliwe jednak, żeby to była reguła.

- Tak dobrze znasz meteorologię tej planety? - wtrącił zjadliwie socjolog.

- Na tyle, żeby stwierdzić, jaki jest ogólny charakter zachodzących zjawisk, procesów i warunków atmosferycznych - tak! - Otard nie chciał dać się sprowokować do sporu.

- Zawieśmy prośbę, tę dyskusję do jutra - spokojny głos Warrena przywrócił nas do rzeczywistości. Więc, to tak długo krążymy nad planetą? Nie spodziewaliśmy się, iż nastąpił już czas odpoczynku - trudno bowiem na statku kosmicznym nazwać tę porę nocą, o której przypominał nam utrwalony przez setki tysięcy pokoleń rytm biologiczny.

W rakiecie zapadła cisza. Jakkolwiek wielkie było poruszenie wydarzeniami, dawał o sobie znać długotrwały trening i autodyscyplina niezbędne w międzygwiazdnych wyprawach.

Nazajutrz ponownie usiłowaliśmy dociec przyczyn niepowodzenia naszych poprzedników i tak minęły trzy doby, a my ani na krok nie przybliżyliśmy się do rozwiązania okrutnej zagadki, nie podjęliśmy też decyzji lądowania i to był chyba nasz jedyny sukces w tej wyprawie.

O szóstej godzinie czwartej doby okrążenia miody pilot Ramon Torrena opuszczając swoją zmianę i udając się na spoczynek zakłócił zwykły rytm pracy i połączywszy się z komandorem zakomunikował; iż chciałby się podzielić z nami pewną myślą, do jakiej doszedł w trakcie pełnienia dyżuru nawigacyjnego.

Pomimo "wczesnej" pory Warren obudził wszystkich prosząc o wysłuchanie przez intercom, co pilot Ramon Torrena ma do przekazania. Ten był nieco zmieszany, ale rozpoczął swoją rzecz dosyć spokojnie:

- To, co powiem, może jest nieistotne; ale być może nie jest też zbyt błahe. Zastanawiałem się nad nieudanymi lądowaniami, ciągle tylko o nich mówimy. Dlaczego w takim razie nie poświęcamy uwagi udanym lądowaniom?...

Te słowa sprawiły, że nikt nie czuł się więcej śpiący. Udane lądowanie? Pytania padły jednocześnie.

- Proszę, nie przerywajcie - przywołał nas do porządku Warren.

- Miałem na myśli sondy automatyczne - wyjaśnił Ramon. Na naszych twarzach musiało się odbić rozczarowanie, może nawet lekceważenie, co jednak nie zmieszało pilota, a wręcz przeciwnie, dodało mu jakby odwagi i Ramon przemówił twardym, metalicznym głosem jakby uprzedzając indagacje.

- Czy my tak prawdę mówiąc nie demonizujemy całej sprawy? Planeta grozy. Supercywilizacja. Zamiast szukać bardziej prozaicznych przyczyn, straszymy się, ostatnio niedawną burzą... Jedno bowiem mamy za pewnik niewzruszony: nie mógł to być błąd sztuki. Częściowo to prawda, zbyt są przecież identyczne te zniknięcia, częściowo zaś nie - zadziałał nieznany splot okoliczności i to, co wydawało się nie być błędem sztuki, stało się nim prawdopodobnie. Dowodzą tego udane lądowania sond. Czy powinniśmy się oszukiwać nawzajem w dalszym ciągu? Wysłuchiwać urojeń typu: sondy nie zostały zniszczone, ponieważ nie zawierały istot żywych, bądź też, iż automaty są jakoby lepsze od człowieka. Jedno i drugie to majaczenia! Statki sprowadzały do lądowania automaty i kto wie, czy to nie okazało się fatalne dla załóg - przecież autonawigatory odtwarzają program lądowania sond, a te lądowały pomyślnie. Nie wierzę w czyjś zły zamysł i podejrzenie, że sondy to automaty, a w rakietach znajdują się inteligentne istoty. Zresztą - dodał po chwili, kiedy nikt się nie odezwał uderzony trafnością wyводу - zamierzam tego dowieść.

- W jaki sposób? - Warren niezmiennie był rzeczowy.

- Udam się na powierzchnię Verdiany jednoosobową rakieta. Od tego należało zacząć - uzupełnił ciszej.

Nie zważał na protesty. Komandor słuchał ich z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Mógłbym ci zabronić - powiedział wreszcie. - Zbyt wielkie ryzyko...

Ramon wzruszył tylko ramionami.

- A niby po co tu jesteśmy? I nie zamierzam ryzykować ponad miarę, nie w głowie mi bohaterskie czyny, lecz w końcu co jeszcze możemy postanowić?! Wszyscy przecież doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, iż nie powrócimy, póki nie rozwikłamy tego splotu tajemniczych zniknięć. Jest Nieznane, więc naprzód rycerze świętego Kontaktu - zakończył ironicznie.

- W porządku! - uciął komandor. - Przekonałeś nas. Prawie. Czego chcesz dla wypełnienia swego zadania?

- Odpocząć. Dobrze się wyspać. Polecę za cztery godziny. Przygotujcie, proszę, rakieta krótkiego zwiadu, . tę dla planet obdarzonych atmosferą. Zamierzam lądować w pobliżu miejsca wybranego przez trzecią ekspedycję.

Kiedy Ramon udał się na spoczynek, egzobiolog John Hynes odważył się ponownie zaprotestować:

- Co będzie, jeśli on zginie?

- Wtedy polecę sam! Tymczasem ogłaszam rozpoczęcie operacji "Zwiad". Anika, proszę uciszyć swoje wzburzenie i przygotować bioczujniki dla Ramon. Dotknęło cię, te swat wypowiedzią Ramon godzi pośrednio w cześć twojego ojca? Czyni przecież to samo, co on. I nie uważam, żeby miał naszych poprzedników za mniej rozważnych. Wierzę, że wyjaśnimy nie tylko przyczynę, ale i mechanizm zniknięć, który doprowadził do potrójnego niepowodzenia.

Przed startem Ramon urządził piekielną awanturę, jakiej dawno już nie oglądano na pokładach międzygwiazdnych statków. Poleciał wyrzucić z rakiety wszystko, co jego zdaniem było zbędne i uzupełnić zwolnione miejsca zapasami materiałów pędnych.

- Mówiłem przecież, że nie zamierzam zostać bohaterem!

- Będzie ci niewygodnie - upierał się dyspozytor wyrzutni.

- Wolę niewygodnie żyć, niż wygodnie umrzeć!

Komandor uśmiechał się tylko nieznacznie, lecz nie interweniował wtedy, kiedy Ramon wyrzucił wszystkich zebranych z dyspozytorni lotów małego zwiadu.

- Wykonuję po prostu to, co do mnie należy. A na kondukt żałobny i opłakiwanie cokolwiek jeszcze za wcześnie, więc wynoście się... do stu tysięcy planet grozy!

Początkowo lot zaniepokoił nas. Rakieta opadała gwałtownie, lecz automatyczny pilot monotonicznie podawał dane, zaś Ramon zachowywał się, jakby przeciążenie nie jego dotyczyło. Potem rakieta przeszła nagle do lotu poziomego, wykonała kilka ewolucji w atmosferze Verdiany i słychać było, jak na tle wyraźnych sygnałów autopilota Ramon półgłosem sypie z niewiadomego powodu przekleństwami, następnie odezwał się zupełnie spokojnie:

- Przyjmuję ręczne sterowanie. A propo, zdjęcia mimo całej naszej techniki niewiele są warte.

Rakieta zniżala się podchodząc do miejsca lądowania trzeciej ekspedycji.

- Przeklęta zielen, mieni się tylko w oczach...Aha, tu jest coś ciekawego! Przekazuję obraz.

I wtedy zobaczyliśmy niewielkie, kopulaste budowle... Ktoś, chyba egzobiolog, zakrzyknął:

- Ramon! Ostrożnie!

Rakieta świecą wystrzeliła ku zenitowi i znowu usłyszeliśmy niewyraźne przekleństwa, po czym Ramon zawołał:

- Co tam jeszcze? Bez paniki! Przeszkadzacie mi pracować. Kopuły jak kopuły. Ni to cerkiew, ni to obserwatorium...

Tymczasem na podręcznym monitorze główny komputer wyświetlał dane. Rzeczywiście, niczego podejrzanego w wyglądzie tych kopułek nie było. Stały sobie w cieniu rozłożystych drzew nad brzegiem rzeki płynącej nieopodal lądowiska trzeciej wyprawy.

- Wszystko nie tak jak mimo być! - oznajmił z niezadowoleniem Ramon, kiedy otrzymał dane z głównego komputera. - Podejrzanym jest istnienie kopułek, ale nie one same jako takie. To nawet interesujące. Niech będzie. Spróbuję znaleźć kawałek miejsca dla lądowania.

- Zezwalam - rzucił krótko Warren nie bacząc na nieufność egzobiologa do nowej niespodzianki, jaką zgotowała nam planeta.

Teraz rakieta opadała powoli. Rozpościerający się w jej nadirze teren obserwowaliśmy na dwóch ekranach. Jeden pokazywał obraz z kamery zainstalowanej na naszym statku, drugi - z rakiety patrolowej. Na pierwszym kopułki były niewidoczne, na drugim z trudem dawały się rozpoznać i to tylko dlatego, że już wiedzieliśmy o ich istnieniu. Widocznie kopułki można było dostrzec patrząc pod określonym kątem i z niezbyt dużej odległości.

- Kopułki - powiedział w zamyśleniu planetolog Casimir Marvin. - Tak jakby coś podobnego zauważyliśmy na jednej z klitek filmu wykonanego ze stacjonarnego przekaźnika.

- Dajże spokój - odezwał się beztrąsko Ramon. - Ułudy kontaktu. Fantasmagofie XX wieku. I nie próbujcie interweniować! Mrowiska na przykład też są kopulaste.

Inteligentne mrówki - tak instynktownie większość zapewne pomyślała, ale paru osobom słowa te wymknęły się nieopatrznie z ust, na co Ramon zareagował żywiołowym wybuchem śmiechu.

- Oczywiście, superinteligentne mrówki! A moce mrówkoludy? - zapytał szyderczo. - Wyrzuconym ze swych wnętrzości kwasem w mig rozpuścili korpusy rakiet, a członków załogi obrali do samych kości...

- Przestań, Ramon! - krzyknęła nieswoim głosem Anika.

- Przepraszam - mruknął tracąc po raz pierwszy pewność siebie.

Zapadła cisza. Niespokojnie obserwowaliśmy ekrany. Na obrazie przekazywanym z rakiety patrolowej powierzchnia wybranego obszaru szybko rosła i zmieniała się zadziwiająco. Niemal przez pół przecinała go wstęga rzeki powoli toczącej swoje wody. Znowu przez moment widzieliśmy wyraźnie kopułki. Ramon manewrował rakieta w poszukiwaniu dogodnego lądowiska.

- To jest prawdziwe zielone piekło. Nova Amazonia komentował okaz Ramon. - Nie wiadomo, jak tu siadać. Ha, naprawdę człowieka zaczyna ogarniać zgroza, kiedy na to patrzy. Kto wie, czy nie lepiej byłoby szukać miejsca w skalistych turniach.

Obraz nagle zmienił się. Zobaczyliśmy rzekę łukiem wyginającą się w stronę terenu lądowania trzeciej ekspedycji.

- Widzę cypel skalny nad rzeką. Tam spróbuję...

Manewr lądowania Ramon przeprowadza precyzyjnie. Niewiele miał miejsca, jednak zdołał posadzić rakieta w równej odległości od wszelkich rzeczywistych i ewentualnych niebezpieczeństw.

Kamera przekazywała obraz otoczenia. Wspaniała, dziewicza przyroda, monumentalna i groźna zarazem...

- Co z tobą Ramon?

- Kontempluję obcy świat. Wszystkie czujniki w normie. Niestety, będę musiał opuścić rakieta, inaczej nie dowiem się niczego.

- To może być... Sam wiesz. Czy statek nie potrafiłby na tym samym miejscu wylądować?

- To będzie trudne i mimo wszystko niebezpieczne. Wychodzę.

- Poczekaj!...

Nie zwrócił nawet uwagi na wezwanie.

- Wyniosę poza rakieta dodatkową kamerę automatyczną i przekaźnik, żeby zawsze i bez przeszkód

mieć z wami łączność.

Śledziliśmy jego poczynania. Operacja "Zwiad" wydawała się przebiegać pomyślnie. Teraz Ramon stał się małomówny. Ustawił kamerę i przekaźnik, odłączył zapasowe zdalne sterowanie, po czym podszedł do... rzeki.

- No, no! Ależ zoologowie będą tu mieli używanie - usłyszeliśmy jego radosny głos. - I botanicy... I w ogóle egzobiologowie. Fantastyczny świat roślin i zwierząt! A jaka tu wilgoć, parno i duszno, ultratropikalny klimat. Reumatyzmu i febry można tu chyba w jeden dzień się nabawić. Skała za to solidna - dodał po chwili. - Udam się w przeciwnym kierunku.

- Ramon.

- Tak.

- Zniknąłeś z pola widzenia.

Milczał przez moment.

- To nic - odezwał się wreszcie. - Teren jest nierówny, a kamera ma ograniczony kąt widzenia. Przecież to tylko automat. Podrzucę do góry kamień...

- Jest!

- Tak jak mówiłem - zakończył zwięźle Ramon. - O! Dalej skała uchodzi pod wodę. Od strony rzeki grunt jest grząski, z drugiej strony nie lepiej. Zawracam...

Ramon zamilkł bez wyraźnego powodu, a po chwili dobiegły nas nieartykułowe dźwięki, potem coś w rodzaju "no, puszczaj..." i już zupełnie nieoczekiwanie usłyszeliśmy jakby stłumiony śmiech, aż wreszcie Ramon odezwał się, lecz głos jego brzmiał dziwnie śpiewnie, zaś słowa...

- ...kadryl, ...dwa kroki do przodu, skłon ku partnerowi... tak. Rzeczywiście dostojny, tylko nie nadeptuj mi na palec! Czemu wleciesz się tak? - rzekła do ślimaka białoryba. Ten morświn, który nas dognał, na ogon wdepnie ci chyba...

Zamarliśmy. Co to ma znaczyć? Obłąd? Tajemnicza euforia narkotyczna? O czym Ramon mówi?...

- Ależ on cytuje "Przygody Alicji w Krainie Czarów"! zawołała nagle Anika.

Na to Ramon roześmiał się, po czym zwrócił się najwyraźniej do kogoś obcego:

- Chodź! Pora cię przedstawić.

- Ramon, z kim ty rozmawiasz?

- A, jest tu taki szalenie sympatyczny, niezmiernie ciekawski i towarzyski żółtwiciel...

- Nie! On zwariował! - wykrzyknął ktoś, lecz w tym momencie Ramon pojawił się na ekranach. Obejmował się rzeczywiście z kimś na razie niewidocznym i przytupując tańczył zawzięcie. Na ten widok buchnął śmiech.

- Śmieście się, śmieście. Co ja temu bydlęciu uczyniłem, że tak sobie mnie upodobało? Nie stoi ani sekundy bez ruchu, tylko wciąż posuwicie podryguje. No, podejdź bliżej, - niech cię zobaczą.

Na ekrany wypełzła zabawna morda i z nieukrywaną ciekawością patrzyła w naszą stronę. Ramon szamotał się z tym dziwnym stworem chcąc, żebyśmy go w całości zobaczyli. I faktycznie, stworzenie przypominało nieco Żółtwiciela wymyślonego przez Carrolla. Nie widzieliśmy tylko dolnych kończyn.

- Z gatunku gadów - zaczął zoolog. - Typ... - i dalej posypmy się same uczone nazwy.

- Skąd pan to wie? - zawołał Ramon. - Niby gad, a łapy ma jak u płazów. To zapewne te żółtwiciele budują kopuły! - dodał. - I wydaje mi się dość inteligentny.

Skonsternowany zoolog zamilkł.

- Dobrze, już dobrze. Wracaj do swego kopulastego domu - Ramon pchnął delikatnie zwierzę, które wyrzuciwszy z siebie serię dźwięków oddaliło się tanecznym krokiem. Ramon w zamyśleniu patrzył za nim w ślad.

- Swoją drogą coś w tym musi tkwić - podjął Ramon.

- W czym? - zdziwił się zoolog.

- Jeszcze nie wiem. Tylko na razie żadnej grozy, poza nieprzychylnym klimatem, tu nie znajduję.

Wskazuje na to zresztą zachowanie żółwiciela.

- Błyskawicznie przyswoiłeś sobie elementy zoopsychologii obcej fauny - zauważył sarkastycznie egzobiolog.

- Nie taki bowiem diabeł straszny... - odciął się gniewnie pilot. - Zresztą nie mam czasu na dyskusję. Wyruszam do miejsca lądowania trzeciej wyprawy. Zajmie mi to zapewne sporo czasu, a wolałbym wrócić przed zachodem tutejszego słońca łączność na fonii, a póki będę w zasięgu pola kamery, również na wizji. Obciążać się nie zamierzam. Szerokie, płaskie stopy - to wzbudza moją nieufność.

I wyruszył kierując się poprzez wolne od zwartej roślinności przejście ku wybranemu obszarowi.

- Ogromnie trudno poruszać się - komentował. - Póki jeszcze było skaliste podłoże, było łatwo posuwać się. Teraz tylko jest śliska trawa oplatająca się wokół nóg. Pełno owadów i innych drobnych zwierzątek. Miejscami poprzez zieleń prześwituje rdzawe podłoże. Po obu stronach ciągną się nieprzystępne zarośla, wolę się do nich nie zbliżać. Gorąco. Najchętniej zdjąłbym hełm, bo tlenu tu więcej niż na Ziemi.

- Ani się waż!

- Ani myślę - roześmiał się Ramon. - Pojawiły się kępy jakiegoś pierzastego sitowia - komentował znowu. - A może to zwierzęta? Od nadmiaru wrażeń brak mi już słów i wyobrażam sobie, co się znajduje poza otwartą przestrzenią.

Raptem na monitorach rozbłysło oślepiające światło i zaraz ekrany pokryły się ciemnymi, ruchliwymi plamkami.

- Co to było? - zapytał komandor.

- Pseudowąż. Ogromny! Wolałem nie sprawdzać, jakiego jest usposobienia.

Ledwie stanęliśmy na tej planecie, już zabijamy - odezwał się z goryczą zoolog.

- Nie lubię taniego humanitaryzmu - odparł ze złością Ramon i zamilkł na dłuższy czas.

- Widzę pagórek - zakomunikował już spokojnym głosem. - Wejdę na niego. i rozejrzę się po okolicy.

Słyszeliśmy przyspieszony nieco oddech, potem jakby westchnienie ulgi i nagle rozległ się łoskot.

Ramon zakrzyknął:

- A niech cię... To jakiś żółw ogromny, któremu przeszkodziłem w drzemce. Nie obawiajcie się, nie będę go karał doraźnie. Zdołałem dostrzec jednak jakieś jeziorko położone dość blisko. Wyglądało raczej niezwykle.

W polu widzenia kamery znów pojawił się żółwiciel. Krążył jakby zaniepokojony, po czym oddalił się i zniknął.

- Wydaje mi się, że twój przyjaciel stęsknił się za tobą - zażartował Warren.

W odpowiedzi rozległo się głośnie mlaśnięcie, coś zabulgotało i zachlupotało, potem plusk i krzyk, który urwał się mocnym przekleństwem. Słysząc było obrzydliwe cmoknięcia, syk i szum. ..

- Ramon!? - rzucił komandor.

- Otóż leżę w bagnie przesyconym mineralną wodą. Musuje i usiłuje mnie wciągnąć. Próbuję się ostrożnie przekręcić - raportował beznamiętnie Ramon, lecz dawało się wyczuwać w jego głosie napięcie. - Przygotujcie sondę bez aparatury, ale porządnie obciążoną i wystrzelcie ją w sam środek tego przeklętego terenu. I niech spada bez spadochronu.

- Po co ci to?!

- Mnie może już na nic, ale wy obserwujcie pilnie, co się stanie, kiedy sonda upadnie na powierzchnię planety. Spieszcie się, może jeszcze zdąży skomentować upadek sondy.

- Ramon! - w głosie Aniki zabrzmiała trwoga. - Dlaczego?...

- Boje się. Boję się myśli, jakie mi teraz przychodzą do głowy. Grzęzę, rozumiecie.

Nikt z nas nie zrozumiał go właściwie, ale szybko przygotowaliśmy sondę i drogą raketę patrolową, co też oznajmiliśmy Ramonowi.

- Będzie już chyba za późno - powiedział ze sztucznym spokojem... - Chociaż... Nie chcę ani was ani siebie łudzić, lecz moja sytuacja jakby przestała się pogarszać.

Znów usłyszeliśmy nieartykułowane dźwięki - coś jakby "hrrjach" - a potem zdziwiony okrzyk Raniona, który zagłuszyło ciężkie posapywanie. Ponownie rozległo się obrzydliwe smokanie, bulgotanie...

- Jak ja ci się odwdzięczę - wołał Ramon - chyba znowu Zatańczę kadryła!...

- Dlaczego komandorze tak spokojnie tego słuchasz! to Anika napadła na Warrena. - Tam na dole dzieje się coś niedobrego, a pan siedzi beczynnienie! Ramon albo strach rozsądek, albo, albo... - zająknęła się, po czym dokończyła bez sensu - lądujemy natychmiast!

- Nie, tylko nie to! - przerażony głos Ramona rozległ się w każdym zakamarku statku. - Duże rakiety nie mogą lądować! Wystrzelcie sondę.

- Duże rakiety nie mogą lądować? - powtórzył Svensen.

- Tak! Zaraz postaram się wam wyjaśnić dlaczego, tylko odejdziemy z żółwicielem dalej od tego przekłętego miejsca. O, Boże, jakie to wszystko proste, a my doszukiwaliśmy się nie wiadomo czego. Grozy! To mnie ogarnia zgroza, kiedy pomyślę o naszym zadufaniu, a tak naprawdę to głupocie. Gubi nas pośpiech i wybujała wyobraźnia...

- Uwaga! - przerwał Warren. - Sonda X została wystrzelona.

- Wracam do rakiety i zaraz po eksperymencie startuję.

Dalej słyszeliśmy tylko przyspieszony i przyciszony głos Ramona, który czule przemawiał do żółwiciela - zęgnął się z nim. Nam rzucił tylko "gotowe", kiedy znalazł się w rakiecie. Wszyscy w napięciu czekali na wynik eksperymentu, którego idea nadal pozostawała dla nas niejasna. Domyślaliśmy się, że Ramon chce sprawdzić, jaki będzie efekt upadku obciążonej sondy na powierzchnię Verdiany. Jednak statki lądowały łagodnie!?

- Widzę sondę. Uwaga!

I sonda spadła z wielką prędkością... I nie roztrzaskała się! Podniósł - się obłok pary, potem dostrzegliśmy zawirowanie, sonda zamilkła i stało się. Zniknęła.

Tuż przed momentem uderzenia Ramon poderwał swoją raketę. Dwukrotnie zatoczy koło nad dziwnym obszarem, po czym bez słowa skierował raketę w stronę statku. Wylądował na zapasowej platformie, do wnętrza wszedł przez specjalną śluzę z osłoną biologiczną, zrzucił umazany błotem skafander i długo brał prysznic. Tymczasem operator przyniósł nagrane taśmy magnetowidu, na których zarejestrowany był upadek sondy.

Kiedy pilot zjawił się wreszcie w dyspozytorni, zaległa głucha cisza. Ramon upadł raczej na fotel, niż usiadł, powiódł po nas zmęczonym spojrzeniem i bezbarwnym głosem powiedział:

- Sami jesteśmy winni zagłady trzech wypraw. Mam na myśli Ziemię i jej mieszkańców, nie bezpośrednio nas. Zastanówmy się, jak może wyglądać naprawdę planeta, na powierzchni której płynie tyle osobliwych rzek, na której brak jest większych mórz, za to istnieje niezwykle Wielki Kanał. Planeta, na którą obruszają się straszliwe nawałnice, jej powierzchnia pokryta jest przebogata roślinnością, a atmosfera przesycona jest wilgocią? Ogromne bagno, jedno wielkie trzęsawisko! Sądziłyśmy, domyślaliśmy się istnienia bagien - i błot, ale tylko w rejonach delt, pseudodelt, rozlewisk i rozgałęzień rzek. Tymczasem bagna mogą zajmować większą część powierzchni Verdiany. Podejrzewam, że i dna mórz są grząskie, szczególnie pod przybrzeżnymi wodami. A owe płaskie równiny to wręcz pułapki - prawdopodobnie zarośnięte bagna lub jeziora. Fatalny zbieg okoliczności spowodował, że poprzednie

wyprawy trafiały właśnie do tych pułapek. Oraz pośpiech. Odkryto piękną planetę, więc pierwsza ekspedycja ląduje, gdzie? - na równinie zapewne - i przepada. Przybywa następna i również znika bez śladu. Trzecia ekspedycja stara się już być bardzo rozważna, lecz kolejna eliminacja miejsc nie nadających się na polowy kosmodrom okazała się niezupełna niestety, i raketę spotkał los poprzedniczek. My zaś wymyślaliśmy coraz to fantastyczniejsze hipotezy... - Ramon umilkł i rozłożył ręce.

- Przyjmijmy, że tak mogło być - odezwał się Svensen. - Jak jednak wytłumaczyć zanik sygnałów i brak prób ratowania się?

Uprzedził pilota geofizyk.

- To można wyjaśnić. Sondy opadały na spadochronach i chociaż pobierały próbki gruntu, nie było możliwości sprawdzić, iż pod parą - czy nawet kilkunastometrową warstwą znajduje się topiel. Zwiad automatyczny - mamy to zaprogramowane już w nas samych, nie tylko w pokładowych komputerach. A następnie ląduje masywna rakietą. Z reguły wznosi ona gęsty obłok pyłu, tu jeszcze oparów. Czujniki sygnalizują łagodne lądowanie. Za łagodne - powiedziałbym. Pod działaniem rakiet hamujących warstwa niygruntu zostaje przebita, a masa statku dokonuje dzieła. Rakietą pogrąża się w grząskie bagno, a jeszcze nic nie sygnalizuje niebezpieczeństwa. Potem jest już za późno. Sygnały zanikają natomiast dlatego, ponieważ woda przesycona jest solami, w tym związkami żelaza. Po prostu elektrolit, słaby, lecz w bardzo dużej ilości. I statek ani nie może wydostać się ze straszliwej pułapki, ani o tym powiadomić Ziemię...

- Jakże to? Przecież statek jest sprawny! Wystarczałoby uruchomić silniki...

- Wysoce ryzykowne. Dysze są już zatkane, zamulone. Nawet jeśli włączenie silników nie rozsądzi statku, to tylko pogorszy jego sytuację. Dość nieznacznego odchylenia od pionu, żeby rakietą zamiast wystartować, zaryła się jeszcze beznadziejniej. Bardziej prawdopodobna jest jednak eksplozja.

- Powinny więc zostać jej ślady! - zakrzyknął wzburzony egzobiolog.

- I ty to mówisz? - zdziwił się milczący dotąd Warren. - Po tylu latach taka roślinność z powrotem pokryje wszystko. Zresztą ostatni statek nie eksplodował. Przekaznik bez wątplenia odnotowałby ten fakt.

- I to jest właśnie najgorsze - cicho dopowiedział socjolog.

- Jak?... Co?... Dlaczego?... - odezwało się kilka osób równocześnie.

- Pomyślcie. Statek jest nieuszkodzony. Nie może tylko startować. Nie można go opuścić. Nie można nawiązać łączności...

- Okropna śmierć - powiedział ktoś wstrząśnięty wizją, jaką roztoczył Rez.

- Nie! Może być znacznie gorzej. Przecież statek jest w pełni autonomiczny. Zrozumcie! Oni mogą nadal żyć!

- To potworne! To niesamowite!... Anika zerwała się, jakby zamierzała pobiec dokądś.

Warren podszedł do niej.

- Uspokój się, Aniko. Nie wszystko jest jeszcze stracone w takim razie...

- Nie, nie, ja wiem, co Rez chciał powiedzieć, co miał na myśli - zawołała z rozpaczą w głosie Anika. - Jaką oni tam wegetację prowadzą! Jakie mogły się pojawić efekty uboczne. Po tylu latach... Czy oni potrafią być jeszcze normalni?

- Uspokój się - powtórzył cierpliwie Warren. - Mają przecież anabiozatory.

- Ale z nich nie skorzystają, bo nie wiedzą dokładnie, co się zdarzyło, bo próbują znaleźć wyjścia z tej sytuacji, bo wreszcie czekają! Być może część załogi umieszczono w anabiozatorach - ochłonęła nieco - jednak w to wątpię. Każdy prawdopodobnie będzie uważał, iż może być potrzebny. A jeśli błoto poprzez dysze przenika do wnętrza?...

- Zablokują grodzie.

- Lecz w ciągu tylu lat stos może wyjść spod kontroli, właśnie dlatego, że przez dysze wtargnęło bagno wraz z tym elektrolitem. I co wtedy? Powolna agonია. Coraz mniej energii, coraz mniej tlenu... - i nie mogąc się więcej powstrzymać Anika wybuchnęła płaczem.

- I oto mamy grozę tej planety - powiedział ktoś ledwie dosłyszalnym szeptem.

Ramon jednak usłyszał. Podniósł się, podszedł do Aniki, objął ją.

- Proszę się nie martwić - powiedział z rzadko spotykaną u niego łagodnością. - Na małych raketach przygotujemy połowe kosmodromy w górach, na wyżynach, wreszcie w rejonach okołobiegunowych, bo przecież i tę zagadkę musimy rozwikłać. I dotrzemy do pogrążonego statku. Weźmiemy tę planetę nie szturmem, lecz podstępem. Tylko na co nam ona?... - zakończył ciszej.

Zrozumieliśmy, co miał namyśli. W milczeniu spoglądaliśmy na Akrańy, na których widniały zdradliwie kuszące obrazy szmaragdowej planety grozy.

Ryszard Głowacki - Miss Sektora

O fluteriańskich mądrulach kulistych usłyszałem kiedyś od pewnego wąsatego astrobosmana w stanie spoczynku, siejącego swoim gadulstwem popłoch wśród gości pensjonatu "Pod Czarną Dziurą", gdym nieświadom niebezpieczeństwa dał się wciągnąć w rozmowę o dziwnych zwyczajach z dalekich globów. Im bardziej człowiek ten rozpływał się nad ulotną krągłością owych tworów bezcielesnych, nad ich głosów brzmieniem niezrównanym, nad barwą niezwykłą, logiką zdumiewającą, tym głębiej utwierdzałem się w przekonaniu, iż zrodziły się one i mieszkają li tylko w jego skołatanim anabiozami mózgu. Mimo to nazajutrz połączyłem się z Pantexem i zażądałem wypisu wszystkich haseł zaczynających się na "mądru." - między mądrukiem szczwanym galeońskim a mądrutami zwyczajnymi nie było niczego. Przez chwilę chciałem nawet powiedzieć parę, cierpkich słów temu emerytowanemu blagierowi, lecz zrezygnowałem ujrawszy go w towarzystwie dwojga zasłuchanych młodych ludzi. I tak to mądrule zapadły na samo dno mojej pamięci, lecz, jak to zwykle bywa ze sprawami, o których chcielibyśmy jak najprędzej i jak najdokładniej napomnieć, często wracały w najzupełniej niespodziewanych momentach i szydziły sobie ze mnie do woli.

Pamiętnego dnia wróciłem późno do domu, stanowczo za długo zabawiwszy na kongresie ekscytologii praktycznej w Pernambuco i z tego powodu jedynym moim marzeniem było położyć się i zasnąć choć na kilka godzin.

Nie cierpię gładzenia i słuchania dobrych, zaprogramowanych rad, więc starałem się czynić jak najmniej hałasu, aby niepostrzeżenie dla Robina dotrzeć do sypialni. Gdzie tam! Załedwie, trzymając buty w rękę, dotarłem na palcach do połowy przedpokoju, już wytoczył się z kuchni i błyskając światłami sposobił się do wygłoszenia kolejnej pogadanki o szkodliwości nieregularnego trybu egzystencji dla wszystkich wysoko zorganizowanych homeostatów, a białkowych w szczególności. Zanim zdążył wypowiedzieć pierwsze słowo, przekręciłem mu wyłącznik fonii umocowany w tak przemyślnym miejscu, że w żaden sposób nie mógł do niego dostać. Teraz wystarczyło tylko nie patrzeć na jego czołowy ekran i robić swoje. Nie chcąc mu dawać tematów do późniejszych wymówek, wziąłem prysznic jonowy i wypilem szklanekę zimnego mleka podstawioną mi pod nos. Kiedy już zdecydowanie zmierzałem do łóżka, bezczelnie zastąpił mi drogę i podsunął koszyczek z laki przeznaczony na korespondencję.

- Czyś ty zbzikował! O tej porze dajesz mi listy do czytania!

Ponieważ na jego czole pojawił się czerwony pulsujący napis: WAŻNE, wziąłem koszyk do ręki i zajrzałem do środka - na stosie różnobarwnych kopert upstrzonych nadrukami i stemplami leżało coś okrągłego i kolorowego, coś co miało i kształt i barwę, a jednak nie przedstawiało niczego, tak jakby było, a równocześnie nie było.

- Dziękuję Robin, nie będziesz mi już dzisiaj potrzebny - powiedziałem siląc się na spokój. Chcąc zatrzeć pamięć incydentu sprzed kilku minut, z powrotem włączyłem mu fonię.

- Gdyby pan czegoś potrzebował...

- Niczego nie będę potrzebował - przerwałem mu w połowie zdania i zatrzasnąłem drzwi do sypialni. Zaraz za progiem jeszcze raz zajrzałem do koszyka - było! Pyszniło się zmiennymi pastelowymi barwami i zdawało nieznacznie unosić nad sterta listów.

- Halucynacje - mruknąłem pod nosem i sięgnąłem po pierwszy z brzegu, bo przecież Robin bez ważnego powodu nie czyniłby wrzawy wokół tej korespondencji.

- Ja jestem naprawdę - dobiegł mnie ledwo słyszalny, cienki głos. - Weź mnie do ręki.

Mały zamglony balon niecierpliwie podskakiwał na dnie koszyka. Bardzo powoli wyciągnąłem rękę i położyłem dłoń na dziwnym pęcherzu. Był zimny, jak lód i elastycznie poddawał się naciskowi.

- Nie gnęć! - zapiszczało trochę wyraźniej, lecz głos nie dochodził z koszyka, a zdawał się rozlegać w mojej głowie.

- Co to może być? - zamruczałem wyjmując dziwactwo z koszyka i podnosząc na wysokość oczu.

- Jestem mądrała i czekam tu na ciebie już od trzech dni. Przez ten czas zmarłam na kość, bo ten twój kanciasty służący nie chciał mnie położyć w jakimś cieplejszym miejscu. Pierwszy raz spotkałam takiego grubianina! - głos rozlegał się teraz czysto i wyraźnie, zachwycając znakomitą dykcją i palnym dźwięcznym brzmieniem, jak u wyszkolonego aktora, albo może raczej aktorki, a równocześnie byłem pewny, że nie dochodzi on do mojej świadomości normalną drogą.

- Skąd się tu wzięłaś? - zapytałem cicho, aby Robin nie usłyszał, bo w końcu prowadzenie rozmowy z przeźroczystą piłką tenisową mogłoby w nim wzbudzić obawy o stan mojego zdrowia, a tego bardzo nie chciałem.

- Przybywam z Fluterii, gdzie dotarła twoja sława ekscytologa i czołowego pięknoznawcy Sektora. Nieczęsta to specjalność w naszym zrationalizowanym świecie, nie częsta!

- Istotnie - dorzuciłem nie bez satysfakcji i odrobiny zadumy, bo według słów wąsatego gaduły z pensjonatu "Pod Czarną Dziurą", tak niesprawiedliwie onegdaj przeze mnie potraktowanego, Fluteria leżała dość daleko od Ziemi, a nikt nie jest pozbawiony tej szczypty próżności łasej na uroki rozgłosu.

- Powiedz mi zatem, co cię do mnie sprowadza?

- Dawno bym już zaspokoiliła twoją ciekawość, gdybyś mi nie przeszkadzał - w słodkim głosie mądrali dało się odczuć lekkie zniecierpliwienie. - Nie po to przesłałam spory kawał nudnej próżni, aby się tu wdawać w bezowocne dyskusje. Jednym słowem - w imieniu Wielkiej Grandy proszę cię o objęcie funkcji przewodniczącego sądu konkursowego o tytuł "Miss Sektora".

- Wielkiej czego?

- Wielkiej Grandy. To nasz rząd globalny. Zasięg konkursu zwiększa się systematycznie i tym razem twoja planeta po raz pierwszy znalazła się w sferze zainteresowania naszych poszukiwaczy doskonałości. Ktoś mający reprezentować Ziemię jest już na miejscu.

- A daleko do tej twojej Flu...

Fluterii! Według waszych miar nie więcej jak dwieście lat świetlnych.

- Co?! Nie ze mną takie numery! Powiedz to tym swoim wielkim grandziarzom, kiedy będziesz im przekazywać moje pozdrowienia.

- Mój rząd bardzo liczył na twoją obecność. Zawsze staramy się pozyskiwać jurorów z galaktycznej prowincji, mają takie świece spojrzenie na piękno. Teraz też miał przewodniczyć pewien trójniak z Bualabu, lecz mu się w ostatnim momencie klamstra rozchwiliła i polecono mi w zastępstwie zaprosić ciebie.

- Przynajmniej szczerze - mruknąłem do siebie.

- Co takiego?

- Nic - uciałem krótko.

- Mógłbyś być grzeczniejszy - powiedziała z wyrzutem. - My, mądrale, rzadko bywamy w peryferyjnych układach i nie jesteśmy przyzwyczajone do tutejszej szorstkości obyczajów.

- Nie musisz się zaraz obrażać - rzekłem pojednawczo. - Z pewnością nie orientujesz się w przeciętnej długości naszego życia, skoro mi proponujesz taką podróż. Nawet uwzględniając efekt spowolnienia upływu czasu w prędkościach przyświatlnych i różne sztuczki z anabiozą, nie wiem czy dotarłbym do was przed śmiercią. Wyobrażam też sobie jak wygląda po tej podróży nasza reprezentacyjna piękność i co z niej zostanie na otwarcie konkursu - uśmiechnąłem się smutno.

- No tak - westchnęła ciężko i jakby nieco przygasła na mojej dłoni. - Trzeba mu będzie chyba tłumaczyć wszystko od początku, a wtedy z pewnością spóźnimy się na inaugurację. Z tymi peryferyjnymi

zawsze są jakieś kłopoty.

Umilkła zrezygnowana i zbladła tak bardzo, że aż mi się jej żal zrobiło.

- A kiedy rozpoczyna się ta impreza? - zapytałem głupkowato, jakby rok w tę lub w tamtą stronę urządził mnie niebywale.

- Już się zaczęła, przedwczoraj, ale jeśli się pośpieszymy, to zdążymy na otwarcie. Ostatecznie na takiej trasie można nadrobić te dwa - trzy dni.

Wrzuciłem ją z powrotem do koszyka i podszedłszy do okna otworzyłem je szeroko na chłodny powiew nocy. Następnie ze złośliwą satysfakcją uszczypnąłem się w udo, gdyż jest to podobno znany od wieków sposób na rozproszenie wåtpliwości. Zaboląo! Odczekawszy chwilę powtórnie zajrzałem do koszyka - leżała na dnie!

- Robin!

Zjawił się natychmiast, tak jakby podsłuchiwał pod drzwiami sypialni.

- Proszę?

- Co to jest? - zapytałem dyplomatycznie, podsuwając mu koszyk.

- To? Mądrala.

- Skąd wiesz, jak się nazywa?

- Sama mi powiedziała.

- A gdzie ją znalazłeś?

- W skrzynce na listy.

- Możesz odejść!

Nie wiem czy mi się tylko wydawało, ale on już zamykając drzwi łypnął swoim wylupiastym okiem w stronę koszyka. Zaledwie zniknął, wyjąłem okrągłą gadułę i postawiłem na dłoni.

- Załóżmy, że się zgodzę na waszą propozycję... W takim razie kiedy moglibyście mnie odtransportować na Ziemię?

- Gdybyś nie zechciał zwiedzić Fluterii, lecz wracał zaraz po bankiecie, to mógłbyś być w domu już we czwartek.

- Wykluczone! W środę rozpoczyna się kolejne sympozjum wdzięku i muszę przygotować dla szefa referat o wpływie fascynacji totalnej na przemianę materii u człowieka.

- A szef nie mógłby sam napisać sobie tego wystąpienia?

- I ty to mówisz? Mądrala!

Zaczerwieniła się wyraźnie i tak stwardniała w dotyku, że aż mi się jej żal zrobiło.

- A oprócz tego muszę być osobiście na tym zbiegowisku. Rozumiesz!

Przez chwilę trwała w bezruchu, aż nagle drgnęła i uniosła się w powietrze, łagodnie rozświetlona.

- Słuchaj, a nie ma tu gdzieś w pobliżu jakiegoś dublotronu? Zrobiłoby się kopię i po kłopocie.

- To nie takie proste. Chcąc sporządzić dubleta, trzeba zdobyć z tuzin rozmaitych zaświadczeń i uzyskać zgodę Urzędu Powielacyjnego. Nie słyszałem, żeby ktoś zdołał ją otrzymać w ciągu miesiąca.

- Ale dawniej robiliście takie rzeczy bez zbytnich ceregieli. Gdzieś po domach muszą być jeszcze jakieś sprawne powielarki.

- Nawet u mnie, na strychu, stoi jedna taka, tylko że to grat nie do użytku. Kilka lat temu sporządziłem sobie zastępcę na pewne nadzwyczaj nudnie zapowiadające się przyjęcie, to tak mnie skompromitował, że kilka pań przestało mi się odklaniać. Skasowałem go zaraz po powrocie i nawet nie wiem co on tam narozrabiał. Oprócz tego nigdy nie wiadomo czego ta maszynka zapomni dorobić, a gdzie znowuż doda co nieco przez roztargnienie.

- Szukasz dziury w całym! Ostatecznie napisać referat potrafi nawet najbardziej nieudany dublet a na sympozjach tacy znowu geniusze nie bywają. Przeważnie nie bywają - dodała prędko najmiłszym tonem, trochę się przy tym zarumieniwszy.

Perspektywa tak dalekiej i niezwykłej podróży kusiła mnie coraz wyraźniej, a początkowe obiekcje

rozpływały się bez śladu w powodzi argumentów wygłaszanych śpiewnym głosem mądrali.

- No dobrze - powiedziałem zdecydowanie. - Spróbuję ulepić jakiegoś sobowtóra, a na razie włącz do kieszeni i siedź cicho.

Udało mi się wymknąć na strych bez zaalarmowania wścibskiego autolokaja. Po zdjęciu zakurzonej płachty i włączeniu starej maszyny do sieci, zacząłem się rozglądać, co by też powielić na próbę, lecz żaden z walających się tu i tam rupieci nie wydawał mi się godny zainteresowania. Wobec takiego stanu rzeczy ściągnąłem z siebie płaszcz kąpielowy i wsadziłem do komory. Nie minęła nawet minuta, kiedy z leja wypadł drugi zupełnie podobny, tyle że zamiast zielonych guzików miał fioletowe, a na plecach pysznił się pięknym gotykiem uczyniony napis: CZEŚĆ PRACY! Ostatecznie nie były to aż takie defekty, by nie zaryzykować wtórnika.

Powiesiłem nowy płaszcz na gwoździu, a stary wyjąłem z komory i przerzuciłem przez poręcz kulawego krzesła z wyplatany oparciem. Nie tracąc czasu wszedłem do środka.

Śmierdziało starą beczką po kapuście, pajęczyną i myszami. Dwoma palcami lewej ręki zatkałem sobie nos, a kciukiem prawej nacisnąłem wewnętrzny starter archaicznej kopiarki. Ledwie zgasł czerwony wskaźnik rejestratora zadania, wypadłem na zewnątrz i włożyłem płaszcz, bo mi już trochę ciągnęło po plecach.

Nawet niedługo czekałem na niego - wypadł z leja jeszcze z palcami zaciśniętymi na nosie. Prezentował się niezłe, jeśli nie liczyć braku paków u lewej nogi, wzdętego nad podziw brzucha i lilaróż skóry (znów ten fiolet!). Bez namysłu sięgnął po zdublowany płaszcz i z trudem zawiązawszy pasek zaszczycił mnie swoją uwagą.

- No i co?

- Nic - odpowiedziałem wbrew wewnętrznemu przekonaniu. - Jesteś duplikat i będziesz mnie zastępował do czasu powrotu.

- Wiem - odparł wyraźnie zniecierpliwiony. - Wiem wszystko to co ty, a nawet nieco więcej.

- To już bezczelność! A co takiego wiesz?

- Że mam napisać referat dla starego, że mam być na sympozjum i że nie mówi się - jesteś duplikat, lecz jesteś duplikatem. Oprócz tego wiem jeszcze coś, ale a nie powiem. A tak dla formalności - to jestem zastępcą i tak proszę mnie tytułować.

Wiedząc, że dublety z reguły bywają drażliwe, ugodowo poklepałem go po plecach.

- Nie ma się o co obrażać, zastępczo - rzekłem pojednawczo. - Wracajmy lepiej do mieszkania, bo tu niezbyt mile wonie, a i mnie śpieszno w drogę - sięgnąłem po płachtę, aby przykryć wysłużony dublotron, lecz on wstrzymał moją rękę.

- Zostaw - powiedział. - Jutro sam posprzątam. Wzruszył mnie. Najwyraźniej mnie wzruszył! Puściłem go przodem i wyszedłem zgasiwszy światło na strychu.

W przedpokoju zauważyłem jak drzwi od kuchni przymykają się dyskretnie i niknie za nimi zielone oko mojego nieocenionego służącego. Postanowiłem go nie wtajemniczać w sprawę; niech sobie kombinuje co chce!

Zaraz za progiem mądrala wyskoczyła na wysokość naszych oczu i mieniąc się wszystkimi barwami tęczy zapiszczała z ukontentowaniem:

- To mi się podoba! Trzeba mu tylko przemaalować skórę, żeby nie był taki siny jak wampir.

- Zamknij się, ty niewydarzony balonie!

- Kochani, bez kłótni! - włączyłem się, by zażegnać awanturę wiszącą w powietrzu. - Nie zwracaj na nią uwagi, stary. Faktycznie, będziesz musiał trochę popracować nad cerą. A oprócz tego powinienes odrobinę zeszczupleć do moich wymiarów, tak na oko z piętnaście kilo. 99

Coś zagwizdało, jakby mądrala zachłysnęła się tą nadwagą dubleta.

- Co mówiłeś?

- Ja? Nic.

- Zdawało mi się...

Włożyłem najelegantszy garnitur, torbę z podróznymi drobiazgami przerzuciłem przez ramię i pełen niespokojnych myśli zwróciłem się do mądrali:

- Możemy iść.

Uniosła się jeszcze wyżej i podpłynęła do drzwi. W przedpokoju odwróciłem się jeszcze i pomachałem ręką na pożegnanie mojemu liliowemu zastępcy. Skrzywił się z niesmakiem i wzruszył ramionami wyraźnie zde gustowany.

- Pan znowu wyjeżdża? - dobiegło mnie z półotwartych drzwi kuchni.

- Tak... To jest nie! Zaraz wracam. Zamknij drzwi i nie wychodź aż cię zawołam.

Cofnął się do kuchni i zamknął za sobą drzwi, a ja z ulgą opuściłem mieszkanie i poprzedzany fosforyzującą kulką wyszedłem do ogrodu.

- Daleko to?

- Nie - zapiszczało mi w głowie. - Stań koło fontanny i nie ruszaj się przez chwilę. O, dobrze!

Nagle całe otoczenie zniknęło, a ja znalazłem się we wnętrzu opalizującej kuli, pozbawionym wszelkich sprzętów oraz jakiegokolwiek aparatury. Gładka krzywizna rozciągała się wokoło jak wielki pęcherz bez śladu otworu wejściowego. Kciukiem prawej dłoni mocno nacisnąłem na elastyczne tworzywo wyścielające wnętrze kuli, aż prawie do połowy zagłębił się w nim.

Naraz poczułem jak, niczym balon, odpływam w stronę tego, co jeszcze przed chwilą skłonny byłbym nazwać sufitem, a równocześnie ogarnia mnie zadziwiający bezwład i cieni nieprzeniknionej nocy.

Kiedy się ocknąłem, znajome wnętrze promieniowało ciepłym blaskiem. Leżałem na dnie kuli, a obok mnie spoczywała torba podróżna. Wyjąłem podręczne lusterko i ujrzałem w n wymizerowaną twarz okoloną dwudniowym zarostem.

- No, jesteśmy na miejscu - zapiszczało mi w głowi mądrulowym głosem. Kołysała się wysoko nade mną, nade teraz do rozmiarów piłki futbolowej i rozsiewająca wkoło zielonkawo - ceglaste intensywne światło.

- Co? Gdzie? - wybąkałem czując w mózgu pustkę podobną do próżni międzygwiazdnej.

- Na Fluterii. Jeszcze nigdy nie zasuwałam z taką szybkością! Zarzuciło nas tak paskudnie przy przekraczaniu tiary czasu, że już sobie wyobrażałam jak wylatujemy z netu temporalnego i ładujemy się w chronowiry, skąd wrócić można tylko teoretycznie i do tego w postaci zgęstka polowego. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy - jak mawiają starzy Fluterianie.

O, wypraszam sobie! - zawołałem czując jak w moim pustym dotychczas mózgu zaczynają się pojawiać przebłyski pamięci. - Tylko nie przywłaszczaj sobie naszych przysłów!

- Waszych? - zachichotała i opuściła się tuż przed nos. - A, niech ci będzie! Najważniejsze żeśmy nadrobili prawie dwa i pół dnia. Zdążysz jeszcze trochę odpocząć przed inauguracją.

- Z kogo ty chcesz robić balona? Patrzcie ją! Nadrobili! A skąd w takim razie ta szczołka na mojej brodzie, mądralo - zapytałem ironicznie. - Może mi włosy rosły do tyłu, co?

Zaczerwieniła się jak piwonia, a jej głos stał się jeszcze bardziej śpiewny i słodki.

- To jest zarost przedwczorajszy. Ten, który zgoliłeś Pemambuco - dodała tonem zasłużonej nauczycielki gry na skrzypcach i podpłynęła do góry.

- Czekaj no! Jeśli mam przedwczorajszy zarost, to znaczy, że ja cały jestem przedwczorajszy, czyli o dwa dni tyłu, a skoro tak, to powinienem być na kongresie ekscytologii, a nie siedzieć zamknięty w jakimś zakazanym miejscu. No, i co ty na to?

- Słyszałeś o widłach temporalnych?

- Nie...

- A o lokalnych zgęstkach chronostrumienia?

- Też nie - odpowiedziałem z zażenowaniem.

- Ale chyba III prawo Bombellstoffa - Shvindla, zwane także regułą uwielokrotnionych gwarancji,

dotarto do ciebie?

- Nie słyszałem i nie chcę słyszeć o żadnych potokach i gwarancjach! A jeśli chodzi o widły, to gotów jestem sporządzić sobie jakieś sposoby i zrobić z tobą ostateczny porządek. Zrozumiałaś?!

Prychnęła jak rozdrażniona kotka i zniknęła w niebieskawej poświacie płynącej od ścian kuli. Po chwili otaczająca mnie krzywizna rozwiązała się bez śladu i znalazłem się wewnątrz mojego pokoju. Obok drzwi stała wypchana, torba podróżna.

Odetchnąłem z ulgą. Niesamowity sen przeszedł w jawę równie niedostrzegalnie jak się zaczął. Znajome wnętrze promieniowało swoistym ciepłem własnego kąta, znanego i bliskiego od lat, rozszerzało niepowtarzalną atmosferę domu. Gdyby tak jeszcze przesunąć nieco w lewo tę reprodukcję Nihitsky'ego...

- Robin! - zawołałem opanowany mocnym postanowieniem natychmiastowego przesunięcia tle przymocowanego uchwytu. Nie ma to jak szybkie i zdecydowane działanie!

- Robin, przędziej!

Cisza. Nie dychać nawet otwierania drzwi od kuchni, a przecież zawsze zjawiał się natychmiast.

Otwarłem drzwi wiodące do przedpokoju i stanąłem jak wryty - za gładką przezroczystą tafią rozciągało się w dole spowite purpurowym blaskiem miasto z chorobliwego snu. Ogromne, wielopoziomowe budowle ciągnęły się aż po horyzont, znacząc gmatwaniną konstrukcji nieboskłon o barwie czystego topazu. Bezwiednie złapałem się obiema rękami za głowę i zsunąłem dłonie na policzki. Kilkudniowy zarost kłuł z mocą krótkowłosej ostrej szczotki.

- Co się ze mną dzieje? Gdzie ja jestem?

- "Intergalaktik", hotel w Boumff, stolicy Fluterii - zapiszczało mi gdzieś w mózgu.

- Mądrala?!

- Do twojej dyspozycji, sławny pięknoznawco.

- Chciałbym... Chciałbym się wykąpać i zjeść jakieś przyzwoite śniadanie - powiedziałem tonem możliwie najbardziej obojętnym, wodząc równocześnie oczami w poszukiwaniu znajomej kulki.

Jakby odgadując moje myśli zmaterializowała się na tle kompozycji Nihitsky'ego - tym razem wielka jak arbuzy. Równocześnie część ściany zamieniła się w drzwi, zza których dobiegi mnie szum wody z łazienki.

Kiedy wymyty i odświeżony wróciłem do pokoju, na stole czekał na mnie posiłek zdolny zadowolić pół tuzina wygłodniałych wilków, gdyby przepadały za sałatką z porów i grzankami.

- A któż to wymyślił takie jedzenie?!

- Panna Trinket zamawia je trzy razy dziennie aby zachować właściwy obrys, więc sądziłam...

- Kto to jest, ta panna Trinket?

- Wasza reprezentantka na konkurs, powinieneś ją znać. Bądź co bądź ucieleśnia piękno waszej planety - powiedziała z wyrzutem.

- Nic mnie ona nie obchodzi! Chcę mieć jakiś normalny posiłek, a skoro jesteś mądralą, powinnaś wiedzieć jak on ma wyglądać.

Skurczyła się do rozmiarów piłeczki pingpongowej i bez słowa rozwiązała w nicość, a ja wyszedłem podziwiać panoramę obcego świata. Za grubą kryształową taftą wznosiły się i opadały fragmenty budowli, w przerwach między nimi pulsowały wielobarwne strumienie ni to światła, ni to oparów zwiewnych, szczelną pokrywą wypełniając wszystkie wolne przestrzenie. Topazowe niebo w jednej chwili ściemniało do brązu, czerni, by nagle zapłonąć czystym amarantem.

Wtem jakiś błogi swojski zapach wtargnął w me nozdrza i odwrócił uwagę od fluteriańskich dziwów. Na stole kusiły wzrok wyszukane potrawy ze starych ksiąg kucharskich, geniuszem mądrali ziszczone w minutę dla zaspokojenia kaprysów gościa.

Ona sama pokazała się dopiero wtedy, gdy stękając z przejedzenia zwałem się z krzesła i położyłem na wiernej kopii mojego ziemskiego tapczanu.

- Smakowało?

- O, takt A w jaki sposób potraficie w tak krótkim czasie przygotować tak skomplikowane potrawy?

- Dość trudna to sprawa, lecz nasz "Intergalaktik" jest w stanie zaspokoić najwybredniejsze gusty naszych gości z siedmiuset czternastu planet reprezentujących czterysta dziewięćdziesiąt układów naszego sektora, nie wyłączając półdzikich samozżerów z posóznego słońca Warraw i facionolubnych Telemelejczyków. Ale gadu gadu, a tu już trzeba się sposobić na inaugurację konkursu.

Jedna ze ścian mojego pokoju uciekła gdzieś w bok, a za nią ukazała się przeźroczysta sześcienna klatka opatrzona szeregiem tajemniczych symboli. Pod spodem ze wzruszeniem dostrzegłem moje nazwisko i liczby określające ciężenie, temperaturę i swad atmosfery wewnętrznej. Nawet o argonie nie zapomnieli!

Wewnątrz drażnił nozdrza skondensowany zapach sosnowego lasu i morskich wodorostów, a niewidoczny wentylator raz po raz słał ku mnie fale świeżego powietrza.

- Parametry boksu zadowolają?

- Brakuje tła dźwiękowego - odparłem sadowiąc się w czymś w rodzaju pochyło ustawionej wanny, tuż obok pulpitu z szeregiem kolorowych przycisków.

- Przepraszam! - pozieleniała z zawstydenia i opadła na podłogę. - Zapomniałam że wy źle znosicie absolutną ciszę.

Gdzieś w dali rozległ się przytłumiony krzyk mew na tle szumu niestrudzonego morza. Gdyby tak przymknąć powieki...

- Teraz dobrze?

- Możemy jechać.

Pociemniało wokoło, ale tylko na moment, bo zaraz klatkę otoczyła jasność długiego korytarza zdającego się nasuwać na nią i przepływać do tyłu. W oddali pojawił się i narastał pomarańczowy krąg wylotu do jakiegoś wielkiego pomieszczenia. Jeszcze chwila i wraz z przydzielonym mi wycinkiem przestrzeni zostałem łagodnie wsunięty do olbrzymiej amfiteatralnej hali rozjarzonej ostrym światłem niewidocznych lamp. Odruchowo przymknąłem powieki osłaniając równocześnie oczy dłonią i w tym samym momencie znów usłyszałem głos mądrali:

- Korekta strumienia już dokonana do średnich warunków twojej planety.

Ostrożnie otworzyłem najpierw jedno, potem drugie oko za ścianami mojego boksu rozciągał się teraz widok na leżący w dole owal otoczony lejem z koncentrycznie ułożonych tarasów. Najniższym z nich sunąłem teraz ku grupie kilkunastu identycznych jak mój sześciaków, ustawionych jeden obok drugiego w błyszczącym łuku. Zwalniając prędkość mój boks podpłynął do najbliższej klatki i znieruchomiał ściana w ścianę. Za podwójną przeźroczystą zaporą kłębiły się węzowe kształty, do połowy zanurzone w brązowym płynie.

- A to co? - zapytałem mojej okrągłej przewodniczki i opiekunki, za sprawą której zostałem wyrwany z przytulnego ziemskiego mieszkania i rzucony gdzieś między gwiazdy.

- Jurorzy jak ty, z Paranurii, nasi najbliżsi sąsiedzi.

- Dlaczego ich tak dużo?

- Bo to są kolekcji - odparła nieomal z wyrzutem, zdumiona moją ignorancją.

- Aaa... Rozumiem - uciałem aby nie wdawać się w niepotrzebne dyskusje i spojrzałem przed siebie.

Na drugim końcu wielkiego łuku przejrzystych klatek przykuwała uwagę pulsująca zmiennym rytmem mnogich ocieni błękitu potężna elipsoidalna bryła wsparta na trzech cienkich podporach. Na obu jej krańcach chwiały się niczym na wietrze pęki cienkich wici zakończonych fosforyzującymi kulkami.

- To jest globuler zamordeański, od czasu swego zwycięstwa w sto czterdziestym siódmym konkursie zwany pieszczotliwie "Kuleczką". Był wtedy oczywiście znacznie szczuplejszy; czas robi swoje. Teraz już po raz trzeci z rzędu pełni funkcję jurora z ramienia obu świetlistych Zamordei:

- Czy on jest samcem?

Zaczęta chichotać tak przeraźliwie, że odruchowo zatkałem sobie uszy, aby nie słyszeć tego wybuchu

śmiechu. Oczywiście nie pomogło, wobec tego zawołałem urażony do głębi:

- Jeśli natychmiast nie przestaniesz, poskarżę się Wielkiej Grandzie i będziesz mieć nieprzyjemności! Poskutkowało. Śmiech ucichł jak ucięty nożem; a mądrała przestała podskakiwać z uciechy.

- Bardzo cię przepraszam, lecz to było silniejsze ode mnie. Wy jesteście zaślepieni tym swoim podziałem na płci i wszędzie szukacie analogii. A Zamordeici są monoseksami, jak zresztą większość ludów naszego sektora. Oprócz was jeszcze chyba tylko trójniaki i czteropłciowa społeczność z planet Czerwonego Olbrzyma Rhodda funkcjonuje na zasadzie podziału, jeśli nie liczyć kilkunastu całkiem prymitywnych wieloseksowych plemion gwiazdnych, w ustawicznej rui niezdolnych wytworzyć nawet namiastek cywilizacji.

Naraz pojaśniało w moim boksie i od strony pulpitu dobiegł mnie wyraźny męski głos:

- W imieniu Wielkiej Grandy witam cię w naszym domu i dziękuję za przybycie - był to normalny głos, a nie jakieś mądrulowe kwilenie w mózgu, tyle tylko, że akcent zdradzał cudzoziemca. - Wielki to dla nas zaszczyt podejmować tak znakomitego gościa i przekazać w jego godne odnóża ster losów konkursu. Do ciebie, znamienity pięknoznawco, spływać będą głosy wszystkich sprawiedliwych tu zgromadzonych i ty wydasz ostateczny werdykt, zgodny z wolą większości estetów. Każdy z jurorów wyrazi swój zachwyt przyciskając taki oto guzik - im bardziej urzeknie go dany obiekt, tym dłużej będzie trwało jego uznanie. Reszty dokona maszyna i poda do wiadomości wszystkich łączny czas trwania aplauzu. Czy masz może jakieś wątpliwości?

- Nie, nie mam żadnych - odpowiedziałem po chwili namysłu. - Gdyby mi się jakieś nasunęły, moja wszystkowiedząca opiekunka z pewnością potrafi je rozproszyć.

- Miło mi, żeście się zaprzyjaźnili. Pozostawiam cię więc w jej towarzystwie i życzę przyjemnej pracy.

Pstryknęło, zgasło i zapanowała wokół mnie cisza urozmaicona znanymi odgłosami znad brzegu morza. W międzyczasie z prawej strony podjechało kilka następnych klatek z egzotyczną zawartością przewalającą się za ścianami, lecz najbliższa mnie świeciła pustką, co wydało mi się dość dziwne. Mądrała jakby odgadując moje myśli wnet zapiszczała wyjaśniającym tonem:

- Minimalle charakteryzują się niewielkim wzrostem, a ten ekspert mikropiękna należy raczej do niskich przedstawicieli swej rasy. Jeśli się dobrze przyjrzyysz, dostrzeżesz go na środku pulpitu przy czerwonym guziku głosowania.

Istotnie, coś tam majaczyło obok okrągłego przycisku sumatora aplauzu. Jeśli się dobrze wpatrzyć, można było nawet dostrzec ruchy tej kruszyny rozmiarów niewielkiego żuka. Nie chcąc uchodzić za prowincjonalnego prostaczka kiłą woli powstrzymałem chęć podejścia do ściany i obejrzenia z bliska drobniutkiego kolegi po fachu. Z obojętną miną podszedłem do przedniej ściany mojego pomieszczenia i rozejrzałem się wokoło - wielka hala szybko wypełniała się tłumem mądrali najrozmaitszych rozmiarów i barw, gęsto poprzetykanym pstrokacizną gwiazdnych turystów odzianych w fantazyjne ubiory ochronne oznaczone mrowiem niezrozumiałych symboli, plakietek, proporczyków i odznak. Dwa najwyższe pierścieniowate tarasy obsadzone były osobnikami największych rozmiarów, pośród których z satysfakcją wyłowilem znajome mi już obfite kształty czterech trójrogich obywateli Zamordei.

Wkrótce ustał ruch na wszystkich poziomach ogromnego leja i pograżyły się one w półmroku skierowując uwagę obecnych na dno amfiteatru, gdzie pośród dekoracji przypominających połyskujące monstrialne dendryty pojawiła się tęczowa kula wspaniałego, okazu mądruli i kołysząc się jakby zawieszona na niewidzialnej nici zaczęła witać wszystkie ważne i mniej ważne osobistości z setek pobliskich światów, przybyłe na kolejne święto poszukiwaczy idealnych proporcji. Z niekłamanym wzruszeniem zareagowałem na wzmiankę o mnie, jako o sławnym Ziemiannie z układu Alfa Centauri. Po krótkim namyśle postanowiłem nie protestować przeciw pomyłce, bo w końcu z tej perspektywy nie była ona istotną. Dla olbrzymiej większości zgromadzonych byłem jedynie chwilową atrakcją z nieważnej gwiazdki, a garść erudyków wyrozumiale potraktuje lapsus jakiegoś roztargnionego dostojnika.

Potem przemawiały jeszcze dwie krągłe fluteńskie osobistości i jedna bardzo kanciasta, reprezentująca jakiś glob o nazwie nie do powtórzenia z powodu wielkiej ilości syczących sylab, a po ich wystąpieniach odbyła się prezentacja wszystkich jurorów. Szczególnie długo ostry strumień światła spoczywał na moim boksie, a aparatura przyniosła z zewnątrz głośny szmer uznania urozmaiconej publiczności. Kiedy i ten punkt programu dobiegł końca, na skąpanej w pomarańczowym blasku płaszczyźnie zaczął się urzekający spektakl ruchu ożywionych nagle dendrytowych olbrzymów. Wętlaste ich gałęzie chwiałały się w podmuchach świetlnego wiatru, nadymały w przenikające wzajem bąble, wirowały różnobarwnymi przestrzennymi płaszczyznami ze snu szalonego matematyka, pulsowały potężniejącym rytmem arterii olbrzyma, kładły się łańcem opalizujących gąszczy w takt niebiańskiej muzyki, bez reszty wypełniającej mózg i przestrzeń, nie zostawiającej odrobiny miejsca na uczucia inne niż bezgraniczne urzeczenie.

Wtem zachłysnęły się dźwięki spazmem wibrującym w rytm świetlanej kaskady i nieruchomo zastygł dendrytowy gaj. Na środek areny spłynęła mlecznobiała kula i zawisała tuż nad płaszczyzną obracając się powoli wokół swej pionowej osi. Poprzez nieopisany hałas entuzjazmu z trudem dotarła do mnie informacja, że oto zjawiała się reprezentantka gospodarzy, najpiękniejsza mądrała Fluterii. Kątem oka zerknąłem w lewo, gdzie moi wielokrotni wężowi koledzy ze stoickim spokojem kontemplowali wirującą białą okrągłość, wynurzywszy nieco swoje wszystkie głowy ponad zwierciadło miodowego płynu. Po przeciwnej stronie drobniutki mikroesteta zamarł bez ruchu przy guziku głosowania, by nagle jednym energicznym wyrzutem wdrapać się nań i całym ciężarem wcisnąć go w otwór pulpitu, wyrażając tym samym swój krótkotrwały podziw dla uroków przedstawicielki rasy organizatorów konkursu.

Nie tracąc czasu również i ja dołączyłem mój głos do aplauzu dla idealnych kształtów kuli, w międzyczasie pociemniałej głębokim fioletem w złociste cętki. Mój podziw był znacznie bardziej długotrwały niż oszczędny entuzjazm mikroeksperta z prawej strony, lecz baczylem by w nim nie przeholować pamiętając o pannie Trinket i o tym, że jest ona, bądź co bądź, prawdziwą ziemianką wyposażoną w głowę, ręce i nogi, nie wspominając o innych szczegółach budowy, a choćby już przez to samo znacznie bardziej atrakcyjną od monotonnego ideału fluteriańskiego.

Wśród nie milnących owacji swoich licznie zgromadzonych rodaków ogromna mądrała uniosła się pionowo i odpłynęła w mrok.

Po chwili jej śladem zjawiała się przeźroczyta bania zawierająca w swym wnętrzu galaretowate stworzenie wielkości i kształtu sporej meduzy, głosem - mojej okrągłej opiekunki nazwane zwisakiem ośmiochwytym z mokrej planety Aqualia, przedstawicielem rasy twórców wyrafinowanej cywilizacji bulgotliwie - kontemplacyjnej. Mimo całej mojej sympatii dla podwodnych myślicieli tylko przez moment naciskałem na guzik i jak się okazało, podobnego zdania o walorach galaretowatej piękności była przytłaczająca większość jurorów, bo świetny słupek obok jej imienia ledwie co wystawał nad poziom zerowy, ponad którym wysoko, wysoko wznosił się wskaźnik pierwszej uczestniczki.

Potem w jednakowych odstępach czasu pojawiały się kule małe i duże, wypełnione azotem bądź wodorem, metanem lub amoniakiem, mieszaninami najrozmaitszymi, kwasami i zasadami, metanolem, etanolem, zwykłą wodą wreszcie, a w nich stwory nieopisane, drobne; wielkie i ogromniaste, wszelkich kształtów i kolorów, pływające, latające i chodzące, nieruchome także, jak mieniący się tęczowymi barwy szczywany mędrak galeoński, co to zaraz mało co, a przeskoczyłyby prowadzącą w konkursie piękność, jak posągowy trójganiasty milczek brzeżny znad rzek i bezdennych acetonowych jezior wiecznie zachmurzonej jedynej planety białego karta Aleph 207, za którym to milczkiem w błyskach i lśnieniach pojawili się szybcy jak myśl, tachionolubni Telemelejczycy, w sumarycznej opinii bezstronnych sędziów słusznie wychodząc na czoło klasyfikacji, gdyż wigorem i zmiennością kształtów swych zwielokrotnionych osobników zdolni byli zachwycić każdego obiektywnego miłośnika piękna, nie wyłączając większości spośród wyrobionej publiczności fluteriańskiej, sympatycznie witającej pojawienie się każdego nowego uczestnika konkursu, nawet o tak kontrowersyjnej powierzchowności jak

wyłupiastooka, latająca w acetylenowej atmosferze krukwa o swojsko brzmiącym imieniu Emalia, dziko kłapiący przepastnymi paszczami samozżercy z poszóstnego słońca Warraw, tak dla mnie odrażający, iż tylko na mgnienie oka nacisnąłem guzik sumatora aplauzu, z ulgą witając sinopopielate stworzonko z wielce podobno zasłużonej rasy galaktycznych siewców rozumu, okaz równie brzydki jak jego poprzednicy, lecz za to mały i przez to znośniejszy do percepcji, co jeszcze raz potwierdziło obiegową opinię mego nieodżałowanego mentora i mistrza, Albina Onufrego de Hocky - Klocky, który zwykł był mawiać, iż mała brzydota bywa mniejszą od dużej, bowiem zacierają się jej kontury, jak to doświadczyłem i teraz na przykładzie sinawego brzydactwa ulatującego już w mrok wraz ze swoim skrawkiem życiowej przestrzeni wypełnionej aromatycznym siarkowodorem i robiącego miejsce kuli, na widok której drgnęły wszystkie wężowate człony mojego zbiorowego kolegi z lewej strony - to zbliżał się konkursowy kolekt z dalekiej Paranurii, również do potowy zanurzony w nieodzownej widać kąpieli rdzawej barwy, szmerem uznania przyjęty przez wypełniony amfiteatr, pewnie dla kształtów niezwykle przybysza i metalicznego połysku jego wynurzonych ramion, więc i ja z rozmysłem wcisnąłem guzik i trzymałem na tyle długo, by nie zerwać wątlej nici sąsiedzkiej sympatii mogącej się przydać, gdy panna Trinket wreszcie ukaże swoje wdzięki wewnątrz wypełnionej powietrzem bańki, lecz nie zjawiała się ona i nic nie zwiastowało rychłego jej przybycia, więc oglądałem kolejne pojawiające się obiekty - szkaradne, brzydkie i zupełnie znośne, pojedyncze i zbiorowe, wszelkich maści i połysków, nagie, futrzaste i łuskowate - aż zatraciłem się w tym patrzeniu i ocenianiu kontrowersyjnego piękna, nie słyszałem nazw ni imion, gwiazd ojczystych położenia, czasem tylko kształt znajomy, słowo jakieś wwiercało się w mózg i budziło z opętańczego letargu by utkwić w skołatanej pamięci drzazgą drażniącą: jakoż Faramuszki i Faramuchy mignęły i przepadły bez echa, dostojnie spłynął obły ziomek zamordejskiego globulera zwanego "Kuleczką", równie potężny i równie nieruchawy na swoich trzech kończynach, przesunęła się liczna rodzina mizeraków eksponowanych w znacznym powiększeniu, a wśród nich z przyjemnością rozpoznałem kopię znajomego Minimalła zza ściany (wcale godnie wyglądającego w ustokrotnionej postaci), więc mu dałem długi aplauz i z narastającą emocją oczekiwałem na znajomy ludzki kontur, w każdej chwili mogący się pokazać gdzieś pod kopułą, zwłaszcza że coś się zacięto w organizacyjnej machinie i nastąpiła krótka pauza; czarna myśl przysłała mi do głowy, że być może naszą ślicznotkę zamiast do tlenu - jakiś nieuk wpakował do bańki z cyjanowodorem, myśl jak robak niepokoju wgryzająca się w cienką tkankę stoicyzmu, nie pozwalająca skupić uwagi na niezwykle oryginalnej grupie czteropłciowców z okolic Czerwonego Olbrzyma Rhodda, ani na trójniaku bualabskim, z wdziękiem prezentującym swoją wachlarzowatą kłamstrę godową.

I znów nastąpiła przerwa, tym razem dłuższa niż poprzednio, dla mnie szczególnie trudna do przetrwania, bo gdzieś tam wysoko, lada moment, powinna pojawić się ta nieznana, a jednak bliska mi dziewczyna, bliska wspólnotą ludzkich losów, o dwieście świetlnych lat stąd toczących się jednak dla każdego.

Wreszcie następna kula ukazała się wysoko, wysoko, i wolno zaczęła spływać ku nam. Już w połowie drogi dojrzałem człowieczy kształt pośrodku, z tej perspektywy skrócony i zdeformowany. Sylwetka obniżała się i nabierała normalnych ludzkich proporcji. Na chwilę przymknąłem oczy, aby w ten sposób skrócić czas dzielący mnie od ukazania się postaci ucieleśniającej cały urok Ziemi, a gdy je ponownie otwarłem zdało mi się, że wychynałem w jakimś upiornym śnie - osoba wewnątrz kuli w żadnym wypadku nie mogła być młodą piękną dziewczyną, ba, nie była nawet kobietą! To był mężczyzna, masywnie zbudowany mężczyzna w płaszczu kąpielowym!

Rozglądał się wokoło, jakby szukając kogoś w tłumie wypełniającym amfiteatr. Kiedy się odwrócił do mnie plecami ozdobionymi uczynionym szwabachą napisem CZEŚĆ PRACY, nie miałem już żadnych złudzeń, byłem tytko jedną bezdenną przepaścią wypełnioną mieszaniną koncentratu wściekłości i podziwu. Wściekłości - że zrobił z nas wszystkich durniów, a podziwu - dla jego genialnej bezczelności czy też bezczelnego geniuszu organizacyjnego.

Czułem jak mi serce bije niczym wściekły młot, a złość i podziw raz po raz przechylają szale wagi ocen zuchwałego czynu liliowego dubleta.

Tymczasem ogromny amfiteatr huczał nieopisanym zachwytem nad kałduniastą urodą mojej niewydarzonej kopii, nie zdając sobie sprawy z rozmiarów afery. Jak przez mgłę ujrzałem żyrafie szyje sąsiada z lewej wynurzające się z jadowitego roztworu i z uwagą nakierowujące swe percepcyjne otwory na tę siną wywłokę, na tego debilowatego żulika z kretyńskim uśmiechem, już to pozdrawiającego publiczność uniesionymi rękami, już to kłaniającego się wokoło z wdziękiem tresowanej małpy.

Małeńki Minimall stracił całą swoją powagę i chyżo wskoczył na guzik, aby dać upust niezrozumiałemu zachwytowi dla wyczynów zidiociałego dubleta, a ja stałem osłupiały Przy frontowej ścianie, aż ta kosmiczna łajza dostrzegła mnie i przesłała mi długi pocałunek, dygając przy tym z gracją dobrze odżywionej krowy.

- Zapomniałeś głosować - zapiszczało mi gdzieś w głębi czaszki mądrulowym sopranem. Chcąc nie chcąc musiałem dołożyć choćby sekundę do ogólnego aplauzu. Widać byłem najbardziej niezdecydowanym z jurorów, bo zaraz potem wyskoczył sumaryczny wynik wyprowadzający tą nędzną kreaturę na prowadzenie w konkursie.

Tego już było za wiele dla mej wrażliwej psychiki - odrętwiały zapadłem w głąb anatomicznego fotela i jeszcze kilkakrotnie długo, długo naciskałem na guzik, aby nawet wbrew własnym odczuciom przeforsować któregoś z końcowych uczestników - daremnie! Zwyciężył siny wampir w szlafroku z fioletowymi guzikami, a ja musiałem tę żalosną farsę potwierdzić głosem tłumaczonym natychmiast na wszystkie siedemset czternaście systemów informatycznych. Potem już ze stoickim spokojem obejrzałem dekorację pierwszej trójki konkursu snując plany wyrafinowanych tortur, jakim przed ostatecznym skasowaniem poddam tego dubletowego kretyna.

Aby czarę goryczy wypić do dna, musiałem jeszcze wziąć udział w bankiecie urządzonym w siedzibie Wielkiej Grandy i przez bite dwie godziny patrzeć na dalszy ciąg smutnej błazenady. Wreszcie totalnie otepiały zażądałem od mądrali przetransportowania mnie do hotelowego pomieszczenia, gdyż znajdowałem się na granicy wytrzymałości nerwowej i czułem, że mógłbym popełnić jakieś głupstwo, którego później żałowałbym do końca życia.

Z ogromną ulgą rzuciłem się w ubraniu na znajome posłanie i przymknąwszy powieki ujrzałem dorodną czarną kozę liżącą posmarowane solą stopy dublety oraz jego samego, dławiącego się własnym koszmarnym chichotem. Na miejsce czarnej zjawiała się całkiem biała, potem łaciaty cap z długą rzadką brodą, a wredny zastępca to błagał o litość, to znów przeklinał mnie najgorszymi słowami, ja zaś z niekłamaną rozkoszą patrzyłem jak kolejny szorstki język wywołuje w nim paroksyzmy śmiechu połączonego z bólem, bo łaskotki to on musiał mieć takie same jak ja.

Wreszcie nasycony wizjami straszliwej zemsty zapadłem w nerwowy półsen przerywany nagłymi przyływami pełnej świadomości. Nie wiem jak długo trwał ten dziwny stan mego ducha, nie wiem nawet czy mądrala była obecna, czy też pozostawili mnie samemu sobie abym odpoczął po przeżyciach ostatnich godzin. .

Nagle poczułem na sosie czyjś uporczywy wzrok i resztki senności pierzchły bez siadu - dublet siedział na krześle i wpatrywał się we mnie z miną przerośniętego urwisa niesłusznie posądzonego o wyjadanie konfitur ze szpizarni.

- Ty... Ty...

Smutno pokiwał głową na znak całkowitej zgody ze wszystkim czego nie byłem w stanie wypowiedzieć, a jego gęba pokryła się filetowym rumieńcem.

- Przepraszam - wybąkał. - To było silniejsze ode mnie. Krótkie jest życie dubleta, więc nie miej mi za złe, że chciałem je zapełnić bogatą treścią, skoro nadarzyła się okazja.

- Okazja? - zapytałem siląc się na groźne brzmienie głosu, bo z trwogą zauważyłem, że cała moja wściekłość zniknęła nie wiedzieć gdzie i kiedy, a w jej miejsce pojawił się bezgraniczny podziw dla jego

wyczynu.

- No, tak - uśmiechnął się z zażenowaniem. - Przypomnij sobie co zrobiłeś przed powołaniem mnie do życia?

- Chwileczkę... Wypróbowałem starą maszynę powielającą...

- Tak!

- I zdublowałeś swój płaszcz kąpielowy'?

- Mhm...

- A co było w jego kieszeni?

Wydarzenia sprzed dwóch dni, a raczej zza dwóch dni i dwustu lat świetlnych, jak żywe stanęły mi przed oczyma: ściągam płaszcz z ramion, wkładam do dublotronu, naciskam.. - Mądrała!!

- Tak - uśmiechnął się smutno. - Niechcący zrobiłeś jej kopię, a ta nie chciała pozostać na naszej kochanej Ziemi i odchodząc zabrała mnie ze sobą. Tak więc jestem - zakończył z filuternym błyskiem w oku.

- Jak mogłeś zrobić mi takie świństwo!, Nie będzie referatu dla szefa, nie będzie sympozjum - jestem skończony. Nie ma w tobie ani odrobiny ludzkich uczuć, ani krzty przyzwoitości. Niczego!

- Nie martw się! - podszedł całkiem blisko i położył mi rękę na ramieniu. - Wcale nie jestem taki jak sądzisz. Nie potrafiłbym zrobić niczego niezgodnego z swoim wzorcem postępowania, więc najpierw sporządziłem sobie dubleta, to jest zastępcę, i przekazałem mu obowiązki. Możesz być spokojny o ich wykonanie, bo mądrali nie powieliłem.

Zrobiło mi się trochę lżej na sercu. Wstałem z mojego łoża boleści i bez słowa wyciągnąłem do niego rękę.

- Dobrze i to, przynajmniej... - przerwałem spojrzawszy na jego twarz sprawiającą wrażenie liliowego kaktusa. - Ty, ty jesteś nieogolony!

- Cóż w tym dziwnego? Miałeś prawie dwie godziny przewagi nad nami, więc musieliśmy się bardzo śpieszyć. W efekcie nadrobiliśmy chyba ze trzy dni!

- No właśnie! Ten twój zarost jest sprzed trzech dni, a ponieważ ciebie wtedy jeszcze nie było, więc nie może cię być i teraz. Po prostu nie istniejesz.

Przez dłuższą chwilę w zamyśleniu tarł czoło dłonią przechadzając się tam i z powrotem. Wreszcie stanął o krok ode mnie.

- Z formalnego punktu widzenia masz rację - nie było mnie przedtem, nie powinno być i teraz, bo tak dyktuje nasza aktualnie istniejąca logika. Radziłbym ci jednak nie wnikać zbyt głęboko w zagadnienie, by nie spotkał cię los twojego, to jest naszego, wścibskiego służącego.

- Co z Robinem? Mów!

- Jak zwykle podglądał i podsłuchiwał, a kiedy ujrzał swojego pana w trzecim kolejnym wydaniu, całego w duże zielone grochy, oszalał i wyskoczył oknem. Bardzo mi przykro.

- Przykro ci! Ja w zielony rzucik na fioletowym tle...

- Na żółtym. Przypudruje się i nikt nie zauważy.

- Zamilcz, nieszczęsny! Ja w ciapki, służący zamieniony w kupę złomu, ta ohyda uznana za najpiękniejszą istotę w promieniu sześćdziesięciu parseków! Dość tego!! Mów kanalio coś zrobił z panną Trinket. Zamordowałaś ją?

- Jestem uczyniony na obraz i podobieństwo twoje, więc wszystkie oszczerstwa rzucane na mnie są głosem samokrytyki i tak je odbieram. Ani ja ani nikt inny nie zrobił tej tlenionej idiotce nic złego - po prostu doszła do wniosku, że z "ośmiornicami" konkurować nie będzie, a ja nie chcąc sprawić przykrości organizatorom poświęciłem się dla ratowania dobrego imienia naszej planety. Jak się okazało - z niezłym skutkiem. Ostatecznie na tle tej dziwacznej zbieraniny prezentujemy kształt funkcjonalny, urozmaicony i estetyczny, co oni należycie potrafili ocenić i uhonorować. Piękno, mój drogi sobowtórze, nie jest wartością obiektywną, jak to głosisz w swoich uczonych rozprawach, lecz ma wyłącznie statystyczny

charakter i wielokroć zdarza się, iż obiekt uznany przez większość za ideał, w mniejszości nie wzbudza żadnych doznań estetycznych, lub zgoła wywołuje odrazę. Jego indywidualne kryteria są co najmniej tak liczne jak istoty nań wrażliwe i znamionują drugą (lub, jak kto woli, nieco tylko inne ujęcie pierwszej) cechę piękna - względność. Spytaj pierwszego lepszego malca kopiującego piłkę na łące, czy podoba mu się wielkooka i długonoga panna Trinket (za którą każdy, w miarę normalny, mężczyzna musi obejrzeć się z przyjemnością, a każda kobieta z zawiścią) a odpowie ci, zgodnie z głębokim przekonaniem, że jest brzydka. Dlaczego? Bo Natura uczyniła z poczucia estetyki potężny instrument ewolucji, albo nawet sama to poczucie wymyśliła dla swoich celów, i w niedojrzałym organizmie drzemie ono zapisane gdzieś na wąskich wstążeczkach chromosomów, by dojść do głosu dopiero we właściwym momencie.

- No dobrze już, dobrze - przerwałem mu, doskonale wiedząc o czym mógłby mówić przez najbliższe kilka godzin. - W ferworze gadulstwa zapomniałeś mi powiedzieć gdzie ona jest.

- Ta cizia? Pewnie już gdzieś koło domu, bo kazała się natychmiast odesłać na Ziemię.

Coś mi zaświtało w skołatanej głowie - gdyby tak nie zwiedzać Fluterii, a solidnie pogonić te małe gaduły...

- Mądrale, do mnie!

- Jesteśmy! - zapiszczało w głowie zgodnym duetem i dwie identyczne kulki pojawiły się na tle drzwi do łazienki. - Wracamy natychmiast! Macie tak celować, żebyśmy zdążyli na moment mojego powrotu z Pemambuco.

- Co?! Znowu mamy przekraczać barierę czasu bezwzględnego?! A jak nas rzuci w chronowiry?

- Tym gorzej dla was. Mnie tam nie zależy na życiu, a on się nie liczy. No, jazda!

Kopia mego pokoju zadrgała jak pustynny miraż i odeszła gdzieś w przepastną pamięć hotelu "Intergalaktik", a wokół mnie znów był tylko pęcherz o elastycznych ścianach. Rozrzucone rzeczy walały się obok otwartej torby podróżnej leżącej między mną a dubletem.

- Co to może być? - mruknąłem wyjmując cudactwo z koszyka i podniosłem je na wysokość oczu.

- Jestem mądrala i czekam tu na ciebie już od trzech dni. Przez ten czas zmarłam...

- Aaaa!!! - wydobyłem z siebie głos trawionego namiętnością jelenia. - Zjeżdżaj na tę swoją Fluterię i niech cię więcej nie widzę na oczy! Nie będzie żadnego dublety w szlafroku, żadnego konkursu - nic. No, jazda, bo jak cię ścisnę!

Wymknęła się pomiędzy palcami i zawisła pod sufitem, gdzie w żaden sposób nie mogłem jej dostać.

- Myślisz, że to w czymś zmieni wyniki konkursu? Jesteś w błędzie mój drogi pięknoznawco. To, w czym brałeś udział, już się w naszej czasoprzestrzeni odbyło i we fluteriańskich annałach pozostaniesz jako główny juror i równocześnie zwycięzca konkursu na Miss Sektora. Serdecznie ci za to dziękuję w imieniu Wielkiej Grandy:

Zerwałem z nogi buta i cisnąłem celując w balonopodobne gadulstwo. Gdzież tam! Uchyliła się w ostatniej chwili i zniknęła, a przykurzony daleką podróżą pocisk spadając trafił w ramę reprodukcji Nihilsky'ego i strącił obraz na podłogę.

- Robin!

Zaszurało w przedpokoju, otworzyły się drzwi i służący wjechał do środka, bacznie rozglądając się wokoło.

- Młotek, gwoździe - zresztą zobacz sam, co tam będzie potrzebne, aby nie wisiła krzywo - wskazałem ręką na leżący pod ścianą obraz.

- To ona zrobiła? - zapytał tonem nie dopuszczającym wątpliwości. - Zaraz wiedziałem; że to się źle skończy.

- O czym ty mówisz?

- O mądruli - zajrzał do koszyka z korespondencją. Nie ma jej? Rozumiem - podniósł but leżący obok obrazu. - Słusznie pan zrobił, bardzo słusznie!

- Robin, posłuchaj: nie było tutaj nigdy żadnej mądrali, z tego prostego powodu, że one nie istnieją! A

jeśli w dalszym ciągu będziesz opowiadał podobne banialuki, zmuszony będę poddać cię kuracji elektrowstrząsowej. Rozumiesz?

- Przyjmuję do wiadomości - odrzekł po chwili namysłu. - Już nigdy słowa nie powiem o wizycie mądrali, ani o waszej rozmowie - potrząsnął trzymanym w łapie butem. Po prostu przywidziało mi się. Wyciągnął szufladkę z wymiennymi końcówkami i zabrał się do naprawy.

Ryszard Głowacki – Robotomachia

I źle się dziać zaczęło na Troglodycji. Cesarz Uniwersjusz Wspaniały i Kapralissimus Najzwierzchniejszy - bo tak zwać się kazał potomek Wielkiego Wyzwolicielea - otoczył się był rojnym dworem potakiewiczów gładkich, śliskich a wymownych niezmiernie, na próżniactwie jeno i deliberacjach czas trawiących, jak by to jeszcze pancerzyki swe upiększyć, jakim pokryć je tworzywem niespotykanym a egzotycznym, aby zazdrość targała najwrażliwsze solenoidy innym dworakom i ich dopełniankom. Cała ta wyfiokowana zgraja z braku innych zajęć balowała bezustannie, coraz to nowe tańce i zabawy wymyślając, coraz to wykwintniejsze jadła galwaniczne spożywając, coraz to inne nalewki jonowe żłopiąc.

A przecież jeszcze nie tak dawno wielu z tych wyelegantowanych dworaków - dziś z pogardą patrzących na każdego, czyj korpus spowijały jedynie standardowe oksydowane blachy tytanowe - było prostymi bojownikami Wielkiego Wyzwolicielea, jego gwardią przyboczną, awangardą walki ze znenawidzonymi najeźdźcami wypychcjańskimi, bezlitośnie ograbiającymi ich piękną planetę z poszukiwanych transuranowców.

Kiedy wreszcie długotrwała i wyniszczająca walka dobiegła szczęśliwego końca i ostatni znenawidzony Wypych na resztkach paliwa chyłkiem opuścił Układ ratując swoje nędzne krystaliczne życie, wtedy szal radości ogarnął każdego uczciwego robota troglodyckiego. Skończyła się nieskończenie długa noc wypychcjańskiej niewoli, a wszystko za sprawą dzielnego Wyzwolicielea i jego druhow, którzy otepiali w wielowiekowej poniewierce współziomków potrafili poderwać do zwycięskiej walki z najeźdźcami. Nic też dziwnego, że bohaterowie zostali otoczeni ogólną czcią i podziwem, że na każdym kroku stawiano im pomniki. Z początku były one nieporadne, lecz tym bardziej wzruszające, jak dzieła rąk dziecięcych. Z biegiem czasu stawały się one jednak coraz okazalsze, coraz bardziej 'wyrafinowane w kształtach, z coraz szlachetniejszych materiałów wznoszone. Wytworzyła się nawet grupa rzeźbiarzy wyspecjalizowanych w monumentalnych torsach Wielkich Bojowników, i jak wieść gminna niosła, doskonale się tym snycerzom wiodło. W takich warunkach uwielbianym bohaterom czas upływał głównie na wzajemnym odsłanianiu swoich popiersi i na zaszczycaniu swoją obecnością nie kończących się wieców rozentuzjasmowanych tłumów. Szybko przyzwyczaili się do nowych ról, a wspomnienia lat; gdy nie było czym kondensatora naładować, oddalały się ruchem jednostajnie przyśpieszonym.

I wtedy nagle odszedł On. Jakieś drobne zwarcie w układzie zasilania i ten niezłomny robot zamienił się w kupę nadtopionego żelastwa. Po kątach zaczęto szeptać, że to dość dziwny koniec takiego wielkiego robota. Krążyły pogłoski podawane ze słuchawki do słuchawki, że ktoś mu dopomógł w opuszczeniu tego padołu, ale Minister Spraw Wewnętrznych natychmiast rozprawił się z plotkarzami.

Urządzono wspaniały pogrzeb - resztki blach, cewek i przewodów, które kiedyś składały się na Wielkiego Wyzwolicielea, złożono w specjalnie wybudowanym mauzoleum i wszystko wróciło do normy.

Zebrali się pozostali przy byciu druhowie, a niewielu ich było - jako że pochowany niedawno szef większość z nich dyskretnie rozmontować polecił, konkurencji się obawiając - i radzić zaczęli, kogo by na osierocone stanowisko wysunąć. A że wszyscy, jak jeden, mieli na nie ochotę, nic z obrad nie wychodziło.

Krakowskim wreszcie targiem (to takie porzekadło nieznanego pochodzenia) uradzili z zachowanej dokumentacji kopię Nieodżałowanego sporządzić i po zaprogramowaniu nad sobą postawić. Tak też

uczynili.

Ale czy to dokumentacja była niepełna, czy też, dobrych rzemieślników, jak to zwykle po zamęcie, nie stało, dość że kopia tak się miała do Wyzwoliciele, jak garbaty robot do ściany. Ledwie tylko zajęła opuszczone stanowisko, ledwie jako tako rozejrzała się wokoło, już kazała wybudować wspaniały pałac na wzgórzu i ogłosiła się królem Troglodycji, Uniwersjuszem Pierwszym.

Nowego króla na krótko tylko zajęły sprawy związane z koronacją. Za ledwie uroczystości dobiegły końca, zaczął się nudzić: "potwornie, głęboko i systematycznie". Z tego powodu rozpoczął ożywioną działalność zmierzającą do rozproszenia nudy.

Pułkownika Spusta, wsławionego w wielu akcjach dywersyjnych, nieustraszonego eksplozjonistę, za którego głowę wypychają najeźdźcy ustanowili niegdyś byli milionową nagrodę, Fajerwerkowym Koronnym mianował i w amarantowe wdzianko ubrać kazał. Emerytowanego inwalidę i kawalera Orderu Wielkiej Tarczy, trwale na korpusie bohaterskiego kombatanta przynitowanego, który w sztabie Wyzwoliciele pełnił funkcję szefa wywiadu i szyfrów, uczynił Królewskim Szaradzią i obarczył odpowiedzialnością za rozrywki umysłowe. Legendarną zaś Pasjonatę, towarzyszkę bycia swego kopiodawcy, obdarzył funkcją wyszukiwania co dorodniejszych robocianek i zatrudniania ich na zamku w charakterze pokojówek.

Zaraz też dwór zaroił się od wydrwigroszy rozmaitych - pismaków, rzępolitów i dłubaczy, kuglarzy pospolitych i jonowych, balansistek profesjonalnych i doraźnych. "Rojno, rojno i gwarno" było w Uniwersjuszowym pałacu.

Dniem i nocą ściągają doń niezliczone transportobile z całego królestwa, zwoząc coraz to nowych gości, a także nieprzebrane stopy bogactwa wszelkiego, bo pęczniący z dnia na dzień dwór potrzebował strojów, jadła i napitku, a wszystko musiało być w najprzedniejszym gatunku. Prześcigali się uczeni kucharze najznamienitsi w przyrządzaniu potraw dla nieustannie uczujących dworzan, a każda z nich była majstersztykiem fizyki kulinarnej. Jego Elektromagnetyczność ulubował sobie zwłaszcza, jako przystawkę, hiperjądra na dziko, energią nadziewane, do tego szaszłyk płonący z piorunów kulistych, plazmą przenizany, a na deser sałatkę neutrinową, delikatną jak marzenie samotnego dipola w próżni.

Cały dwór spożywał to samo, chociaż po szaszłyku często interweniować musiała straż pożarna i gasić co bardziej rozpalonych biesiadników.

Mijały lata, a wraz z nimi zacierała się pamięć o czasach, gdy wszyscy mieli jeden jedyny cel - walkę ze znieawidzonymi najeźdźcami, i gdy wszyscy byli sobie równi.

W wielu miejscach Troglodycji, za zezwoleniem teraz już Cesarza Uniwersjusza Wspaniałego, powstawały dwory i pałace lokalnych władców, w których bawiono się tak, jak na Uniwersjuszowym Wzgórzu, a niekiedy nawet bardziej wystawnie. Luksusowe siedziby moźnych noc w noc jarzyły się światłami różnobarwnymi, a dźwięki kapel najprzedniejszych spływały w doliny, światu niosąc wieść o jeszcze jednym balu. I zdarzało się, że przy cichej, bezwietrznej pogodzie pełne słodczy melodie docierały aż do ubogich chat poddanych Uniwersjusza Wspaniałego, spożywających właśnie swe skromne posiłki, czy to w świętek, czy w piątek nieodmiennie jednakowe. Pośrodku każdego ubogiego stołu królowała wielka dielektryczna micha, a w niej kłębiła się stale taka sama zalewajka elektronowa. Niekiedy zdarzało się, że była trochę gęściejsza, a wtedy zmęczonym uśmiechem jaśniały ekrany prostych Troglodycjan, a co poniektórzy posiliwszy się, wystukiwali na stołach i ławach skoczne rytmy. Tu i ówdzie pojawiała się nawet butelczyna pędzonej pokątnie w jarach i ostępach gryzącej kwantówki.

Umęczeni mieszkańcy skromnych chat, w trudzie i znoju pracujący na swoją nędzną zalewajkę, nawet nie zdawali sobie sprawy z tego, że może być inaczej. Ryli twarde skały Troglodycji w poszukiwaniu transuranowców, eksportowanych następnie do odległych układów, gdzie zawsze był na nie popyt. W zamian pękate rakietoplany zewsząd zwoziły stopy dobra wszelakiego, ale nic z tego nie trafiało pod

strzechy prostych Troglodycjan, bowiem cały wykwintny import lokowany był natychmiast w przepastnych piwnicach pałacu cesarskiego i coraz liczniejszych dworców mnożącej się robotokracji.

Część dochodów z zyskownego eksportu nadchodziła w twardym kosmoszmalu, a ten rodzimi energopijcy zaraz przeputywali na długotrwałe ekskursje do odległych pulsarów i na snobistyczne safari do Mgławicy Homara, gdzie polowali na egzotyczne zwierzaki i krwiożercze bzidule. Nedorostki z wyższych sfer, ledwie co zaprogramowane, a już zblazowane po ostatnie zwoje urządzeń peryferyjnych, urządziły szaleńcze eskapady w stronę najbliższych czarnych dziur, mknąc na swych małych, ale szybkich raketówkach w poszukiwaniu mocnych wrażeń. Często zdarzało się, że któryś niedoświadczony zniknął bezpowrotnie za nieprzeniknioną kurtyną horyzontu zdarzeń.

Im lepiej powodziło się cesarskim zausznikom, tym więcej w swym zaślepieniu gnębili tych, dzięki którym powstało ich bogactwo. Rzesze coraz wężej programowanych wyrobników siłą trzymano w mrocznych podziemiach, całe ich istnienie ograniczając do kucia twardej trzewi planety i skąpego ładowania akumulatorów. Ci zaś, do których szczęście się uśmiechnęło i pozostali na powierzchni, mogli przynajmniej rozgrzać wyziębłe blachy w promieniach dobrotliwego podwójnego słońca, albo skonstruowawszy prymitywne urządzenia fotoelektryczne uciuć nieco energii na długie chłodne noce.

Tabuny zawsze naładowanych robocjantów, ślepo posłusznych, bo pozbawionych bloku krytycznego, uwijały się po całej planecie i wyłapywały nielegalnych producentów prądu, aby przypadkiem nadmiaru energii nie przeznaczali na rozważania antypaństwowe. Złapanych na gorącym uczynku samouków - fotoelektryków natychmiast deportowano do podziemi, skąd już nie było innego powrotu, jak tylko w postaci złomu,

W tej sytuacji zaczęły - się mnożyć przypadki, że co bardziej zdesperowani za antymaterię się brali, a co z tych prób wynikało - łatwo się domyślić...

Czarna ponura noc rozpostarła się nad Troglodycją. Znikąd nadziei, znikąd pomocy. Przez misternie utkaną sieć przemocy nie zdołały się precyzyjnie przecisnąć nawet najmniejsze kiełki buntu.

I kiedy zdawało się już, że gorzej być nie może, wtedy coś zaczęło się dziać. Nocami słychać było odległe wybuchy, a cesarz kazał rozkonserwować całą brygadę samobieżnej żandarmerii, od lat tkwiącą w pałacowych magazynach. Specjalnie skonstruowane i zaprogramowane zbiry, a każdy z nich z dopalaczem, zaczęły szaleć po całej planecie, szukając, węsząc i strzelając. Do kogo - tego nikt nie wiedział.

Wkrótce jednak dziwne wieści zaczęły krążyć wśród ludu, ukradkiem podawane od słuchawki do słuchawki. Coraz mniej w nich było rzetelnej informacji, a coraz więcej pobożnych życzeń, bowiem zgodnie z prawem uczonego informatysty Implozega Bity rzetelność w plotce równa się odwrotności kwadratu ilości jej retransmisji.

Szeptano po gumnach, że ze złomu powstał Robot Ogromniasty, co się sam naładowuje i nocami podchodzi pod pałace niszcząc i paląc. Podobno już trzy razy posiekia go samobieżna żandarmeria swoimi plazmomajchrami, ale za każdym razem wstawał większy i silniejszy. Ni stąd, ni zowąd pojawiły się rzekomo liczne stada chrobotków napędzanych prądami tellurycznymi, które to robociątka miały jakoby ryjąc w gruncie przedostawać się do pałacowych piwnic i ociupinka po ociupince znosić na kupkę ziarenka uranu, aż do osiągnięcia masy krytycznej...

Czegóż to nie wydumywano nad szklanką kwantówki!

Pewnego razu zjawił się głęboką nocą przybysz nieznany i do okna cicho zastukał. Oglądnięli go dobrze przez zdezelowany noktowizor, czy to aby nie któryś z samobieżnych, zanim do środka wpuścili. Marnie wyglądał! Pancierz pordzewiały, pocięty i w kilku miejscach lekkim laserem nadpalony. Z przegubów olej wyciekał, bo gdy tak stał w progu, kałuża niewielka rosła wokół jego nóg poczęła. Po osmowych ekranach i wzmocnionym pancierzu poznali, że to któryś z dołowych. O nic nie pytają; c na

zydłu posadzili, wtyczki, gdzie należy, wetknęli, i podfutrowawszy chudzinę porządnym stałym prądem, jęli mu uszczelki wymieniać i olej uzupełniać.

Kiedy skończyli i narzędzia odłożyli, wtedy gromadka robociątek ze szmerglowym papierem, pakułami i oliwą zaczęła się uwijać wokół przybysza, rdzę z niego usuwając i dawny blask oksydowanym blachom wracając. Na koniec postawili przed nim czarę nalewki na monopolach magnetycznych, chytrze przez dziadka Robotazego w skrzyni z trupią główką i napisem WODA na czarną godzinę przechowywanej i grzecznie poprosili, aby ją spełnić raczył.

Gdy to uczynił, błogość opanowała tego męczennika, co można było łatwo poznać po sinusoidalnych kształtach krzywych funkcjonalnych na jego obu ekranach czołowych.

Przybysz czarę odstawił, srodze, choć z ukontentowaniem chuchnął, jako że dziadek nalewkę uprzednio zamroził był w termosie z ciekłym helem, i wtedy ją opowiadać. A mówił tak porywająco, że gdyby nawet któryś z samobieżnych pod okno zajechał, nawet by tego nie zauważyli.

Płynęła wstrząsająca opowieść o nędznym żywocie kopaczy transuranowców, o bestialskich nadzorcach, za najmniejsze przewinienie wyrafinowanymi torturami karzących, o beznadziejnie płynącym w mrocznych i wilgotnych podziemiach czasie. Przybysz opowiadał o tym, jak to po ciężkiej pracy wracali do swoich odpoczywalni, które za całe wyposażenie miały jedynie twarde wilgotne wyrka z bazaltu, a komu udało się zdobyć garść wiórów metalowych, aby na nich skołatana głowę ułożyć, za szczęśliwca się uważał. W takich to nierobockich warunkach jedyną piękną rzeczą, jedynym wzniosłym elementem smutnej rzeczywistości była głęboka przyjaźń wszystkich nieszczęśników, jak niewidzialna przedza łącząca skazańców. Gdyby nie ona, wielu nie wytrzymałoby katongi i zamieniło się w zardzewiałe wraki, jakich setki spotykało się w starych wyrobiskach.

Przybysz przerwał swoją opowieść i, przeciągle spojrzawszy na pustą czarę, na dnie której pozostało zaledwie kilka kropel nalewki magnetycznej. Dziadek Robotazy stanął na wysokości zadania i w mig nalał powtórnie ze stojącego obok termosu. Gość jednym haustem pochłoniął zamrożone prawie do zera bezwzględnej monopole i chuchnąwszy dyskretnie kontynuować począł.

Płynęły słowa o tym, jak to w podziemiach pojawił się pokiereszowany młody robot imieniem Tarmosik, znany raczej pod konspiracyjnym pseudonimem "Zgaga". Pochodził on z drugiej półkuli i był seryjnym wyrobnikiem wersji kuglarskiej, przeznaczonym w zasadzie do zabawiania towarzystwa. Program jego przewidywał proste czynności w zakresie muzyki pseudokonkretniej, plastyki holograficznej wszystkich czterech głównych nurtów, poezji płaskiej i przestrzennej, a także choreografii frymuśnej i chutliwej.

Czy to na skutek jakiegoś defektu, czy też błędów popełnionych w okresie inkubacji programowej, dość że Tarmosik po kilku występach na dworze lokalnego autowładcy pozwolił sobie na uszczypliwą uwagę dotyczącą stanu intelektualnego stryjecznego wujka samego energodawcy, przez co zyskał sobie opinię buntownika i osobnika wysoce niebezpiecznego, i nic mu nie pomogło, że skrytykowany familiant dodawszy raz publicznie dwa do dwóch uzyskał w wyniku liczbę n , ani to, że bezustannie mylił neutrony z neutrinami i trele z morelami; natychmiast został oddany do warsztatu, gdzie mu zamontowano dodatkowe osłony, a następnie elektrociupasem odtransportowany do cieszącej się najgorszą sławą kopalni na wykończenie.

Tam się jednak okazało, że program dzielnego junaka posiadał jeszcze inne nadzwyczajne właściwości. Już w trzecim dniu pobytu pod ziemią cichcem dziabnął jednego z nadzorców, zaciągnął w jakiś zakazany kąt, i wymontowawszy mu prawie nowy stos, w słonym jeziorku utopił i gruzem przysypał.

Oj podładowali się wtedy wszyscy, podładowali! Tak im się to spodobało, że w krótkim czasie dwóch byłych bakałarzy zbudowało stosik grzeczny, dobrze w rzapiu przed wścibskimi licznikami oprawców ukryty, i nocami, ukradkiem, wszyscy szprycowali się prądem, aż niektórym iskry z kantów

leciały.

Kiedy już wszyscy byli zregenerowani od podwozia po czubki anten, wtedy Zgaga zebrał ich razem i wygłosiwszy płomienne przemówienie w bój rzucił.

Poszło nadspodziewanie gładko. Bez strat własnych załatwili dyżurnych dołowych, za czym po drabinach wydostali się na powierzchnię, gdzie w mig rozmontowali obsługę naziemną, zdobywając przy tym trochę broni, sprzętu i pojazdów. Przebrani za nadzorców podjechali pod uspięne koszary robocyjne i opanowali je bez rozlewu oleju. Nim ukazały się oba słońca, mężni bojownicy zdobycznymi kopterami odlecieli w nieznanym kierunku i uszli wścieklej pogoni.

Skryli się w górskich pieczarach, skąd robili nękające wypadki na odległe posterunki i dwory. Błady "strach padł na ciemieżców - cesarz rzucił w bój zupełnie nieużywaną brygadę samobieżnej żandarmerii, wyspecjalizowanej w tłumieniu buntów. - Wtedy Zgaga wydał rozkaz dekoncentracji - mieli iść. w małych grupkach i roznosić po całej planecie żagiew buntu oraz sławę tarמושикового imienia.

Przybysz skończył swoją wstrząsającą opowieść i powstawszy, serdecznie uściskał dziadka Robotazego. Na ten sygnał wszyscy zebrani zaczęli się obejmować i łkając z radości przysięgać sobie, że za przykładem sławnego Zgagi oni też, na swoim podwórku, zburzą stary porządek.

Od tego czasu wiele zmieniać się zaczęło na Troglodycji. Wylatywały w powietrze pałace, bastiony i twierdze. Nikt już nie eksploatował transuranów, nikt nie latał polować na bzdyle ani na zwiertarki, ani tym bardziej do pulsarów, bo zapasy kosmoszmalu gwałtownie topniały. Młokosy wyżywające się dawniej w rakietówkach wokół czarnych dziur, teraz gremialnie wstępowały do szkół wojskowych. Ciemne chmury zbierały się nad troglodycką robotokracją.

Już wiele rejonów zostało wyzwolonych z cesarskiego jarzma, ale do końca drogi było jeszcze daleko. Upadająca kasta zajadłe broniła swoich przywilejów. Niejeden bohater tracił bycie w ciężkich walkach, ale na jego miejsce przychodziło dziesięciu innych bojowników, uzbrojonych w co kto miał: cepy elektryczne i jądrowe, kosy plazmowe, a co poniektórzy nieśli jedynie butelki z "koktajlem atomowym" - bronią równie prostą, co skuteczną.

Jeden po drugim wykruszały się zbrojne w zębate blanki bastiony ciemieżców. Wreszcie pozostał ostatni - wspaniała pałac na Uniwersjuszowym Wzgórzu, teraz w twierdzę zamczystą zamieniony. Krążyły słuchy, że cesarz oszalał i chciał całą Troglodycję gigantycznym wybuchem rozłupać, ale mu w tym przeszkodził Fajerwerkowy Koronny i desperata w lochu uwięził, chcąc na niepewną przyszłość atuty do przetargów przygotować.

Ale nikt nie chciał z renegatem pertraktować. Tłumy byłych niewolników otoczyły wzgórze i cierpliwie czekały, aż szlachetnie skonstruowanym zmięknie rura i poddadzą się. I rzeczywiście! Nazajutrz wczesnym rankiem na głównej baszcie pojawiła się ogromna biała płachta - znak bezwarunkowej kapitulacji. Po chwili zgrzytnęły rygle i w otwartej bramie ukazał się, strojny w Order Wielkiej Tarczy, Cesarski Szaradzista. Jak się później okazało, ten były szef wywiadu zdołał przechytrzyć Fajerwerkowego Koronnego i zwinawszy go, zdał się na łaskę wielkiego Zgagi.

Potężny okrzyk triumfu wypełnił dolinę, zwiastując koniec niewoli i początek nowej epoki w historii Troglodycji. Bramy wspaniałego, nietkniętego pałacu cesarskiego stały otworem, jednak Wódz nie pozwolił na jego splądrowanie, tak jak to dotychczas czyniono z dworcami pomniejszych kacyków. Idąc za radą swoich zaufanych towarzyszy broni doszedł do wniosku, że trzeba będzie przecież gdzieś założyć stolicę nowego państwa, a Wzgórze świetnie się do tego celu nadawało.

Tak więc zakończyła się długa i wyniszczająca wojna domowa, zapoczątkowana desperackim zrywem młodego katorżnika, a w całym kraju zapanowała euforia, spowodowana jej zwycięskim zakończeniem. Nareszcie mieli władcę, który był jednym z nich, prostych robotów. Nareszcie w każdym domu stała na stole micha pełna prostej, ale gęstej zalewajki elektronowej, w której po wierzchu,

pływały dorożne kwarki. Nareszcie kwantówkę można było pędzić jawnie, w odpowiednich warunkach, przez co zdecydowanie zyskiwała na smaku i mocy. Nikt nikogo nie zmuszał do ciężkiej pracy, nikt nie gnębił szarwarkami ani podatkami, nikt nie zmuszał do czapkowania przejeżdżającym wyniosłym wielmożom.

Po pewnym czasie zaczęły się kończyć zapasy kwarków zgromadzonych w zdobytych magazynach, ale Tarmosz Zgaga wyjaśnił delegacji zaniepokojonych rodaków, że wkrótce ruszy produkcja kwarków w odbudowanych zakładach i że każdy będzie miał ich do woli, trzeba tylko pomóc przy odgruzowywaniu. Z entuzjazmem wzięli się do roboty i wnet zaczęły płynąć kwarki, elektrony i kwanty, ale było ich trochę za mało. Wydawało się też, że są jakby trochę mniejsze i twardsze, niż te z opustoszałych już magazynów... Najważniejsze jednak, że były i każdy to cenił.

No, może nie każdy. Zdarzały się wyjątki, co po kątach ośmielały się sarkać na nowy ład, ale tych żwawo wyłapywała Straż Obywatelska i wypełniała nimi rozmaite wilgotne przechowalnie, aby jednomyślność panowała na całej planecie.

Ostro wziął się do roboty Tarmosz Zgaga, teraz już Wódz Naczelny i Prezydent Nieustający. Z druhów swoich wypróbowanych rząd udatny, szeregowo na styk połączony zmontował, 'a wajchę wyłącznika w biurku swoim zainstalować kazał. Ministrowie okrutnie baczyli, aby zawsze być w jednej linii, bo jak się który wychylił, zaraz zasilanie ustawało, a akumulatory mieli teraz niewielkie...

Kiedy rząd miał już ustawiony, przez ministra sprawiedliwości ogłosił wielkie i powszechne wybory do parlamentu globalnego. Po raz pierwszy w historii deputowanym mógł zostać każdy w pełni zaprogramowany robot, bez względu na konstrukcję, stopień zużycia podzespołów, rodzaj zasilania i wystrój zewnętrzny. Oczywiście, żeby tej ważnej akcji nie puścić na żywioł i wyborcom zbytnio zwojów nie zawracać koniecznością wyszukiwania odpowiednich kandydatów, powołane zostały specjalne komisje elekcyjne, gwoli sporządzenia rejestrów przyszłych członków Najwyższego Zespołu.

Przy ogólnym aplauzie parlament został wybrany i rozpoczął działalność od wydania ustawy o budowie monumentalnego pomnika, upamiętniającego czyny Prezydenta i Jego Druhów. Następnie reprezentatywne to ciało uchwaliło stałe specjalne dodatki subwencjonowanych kwarków dla wszystkich członków Najwyższego Zespołu, jako że zapasy energetyczne parlamentariuszy zostały mocno uszczuplone w toku wyczerpujących debat nad inauguracyjną ustawą.

A tymczasem w całym planetarnym państwie trwało ogólne ożywienie. Jak radarem sięgnąć odbywały się niezliczone wiece, parady i manifestacje, na których rozentuzjasmowane tłumy wyrażały nieustające poparcie dla coraz to nowych programów swojego Prezydenta skandując: "Zgaga! Zgaga!".

Wszędzie też wrzała praca. Na głównych placach i przy traktach organizowano spontaniczne wznoszenie obelisków i wmurowywanie tablic upamiętniających ważne wydarzenia z niedawnej przeszłości. Z początku były to obiekty wzruszające prostotą formy i naiwnością idei, jednak w miarę nabierania doświadczenia przez budowniczych stawały się one coraz bardziej okazałe i coraz lepszym tchnące smakiem.

Magnetyczne publikatory pełne były opisów odsłoneń, przecięć i inauguracji dokonywanych przez Prezydenta Tarmoszą Zgagę oraz Jego Druhów, którzy przecież nie tak jeszcze dawno w trujących oparach węgłnej wody eksportowe transurany dobywali. Jeśli już o nich mowa, to wkrótce zaczęto na powrót eksploatować zarzucone chodniki i ściany, bo zapasy kosmoszmału skończyły się i nie było za co sprowadzać mezonów i cząstek neutrino, żeby nie wspomnieć o hiperjądrach czy też piorunach kulistych, na Troglodycji nie występujących. A przecież trudno wymagać od robotów na odpowiedzialnych stanowiskach, aby regenerowały się zalewajką elektronową i samogonem kwantowym, którego pędzenie tak się rozpowszechniło, że Tarmosz zmuszony był wydać dekret zabraniający tego procederu, bo zaczęło brakować kwantów na iluminację licznych pomników.

Ponieważ nie było chętnych do pracy w mrocznych zakamarkach wilgotnych kopalń, tedy problem załatwiono edyktem kierującym tam na resocjalizację resztki ocalałej robotokracji oraz wszelkiego rodzaju malkontentów i autobasmaczy. Z początku powoli, a potem coraz sprawniej dobywali oni poszukiwane pierwiastki, przez co strumyk kosmoszmalu znów zaczął płynąć do państwowej kasy i można było przystąpić do najważniejszych reform.

Na początek podzielono planetę na tyle dystryktów, ilu Zasłużonych pozostało do uhonorowania. Potem każdy z nich zaczął w swoim rejonie budować odpowiednią siedzibę, bacząc aby nie była mniej okazałą od innych. Kiedy siedziby były już gotowe, należało je zapełnić. Tak więc rozglądali się Namiestnicy i wyszukiwali roboty usłuchliwe i giętkie, rozmaite zadania im powierzając, a także robótki co gładsze, też im zajęcie dając. Aby większej powagi sobie dodać, Straż Obywatelską w Profesjonalną zamienili i suto ją futrując wielce posłuszną uczynili.

Rozesławszy starych Druhów po całej planecie jął Prezydent Tarmosz Zgaga wokół siebie porządki zaprowadzać. Nakazał Najwyższemu Zespołowi uchwalić ustawę o samorozwiązaniu się, co też ten jednomyślnie pod dyskretnym nadzorem Straży Profesjonalnej uczynił, a co zostało z entuzjazmem przez społeczność przyjęte. Wymienił też wszystkich ministrów na zupełnie nowe modele z gęstym filtrem przeciwkrytycznym i przystawką oportunistyczną, a do tego zasilane wyłącznie z sieci (wajcha wyłącznika pozostała w biurku). Często też pod byle pretekstem przełączał ich z gniazdka do gniazdka, aby nie zdążyli wpaść w resortową rutynę. Każdorazowych zaś ministrów spraw wewnętrznych oraz wojskowych co trzy miesiące demontował osobiście raczył, zanim jakąś przyzwoitą elektrojunty zorganizować zdołali.

W rządowych zakładach wykonano batalion samobieżnej gwardii przybocznej, ekranowanej od wszystkich możliwych wpływów, która to doborowa jednostka objęła straż w Tarmoszgrodzie. Na wszelki wypadek dwa dodatkowe bataliony, dobrze towotem wysmarowane, zaległy w pałacowych magazynach.

Tak to Troglodycja stała się państwem spokoju i rosnącego dobrobytu jego obywateli, co łatwo można było sprawdzić podzieliwszy całkowity przypływ kosmoszmalu przez ogólną liczbę mieszkańców planety.

Z powrotem zaczęli zjeżdżać z dalekich stron kupcy i dyplomaci, nie wyłączając wypychcjańskich, zainteresowani rozwijaniem handlu międzyukładowego. Nie było tygodnia, żeby w stolicy nie składano listów uwierzytelniających na ręce Jego Ekscelencji Tarmodeusza Zgagamemnona, Nieustającego Prezydenta Troglodycji. Nie było miesiąca, żeby nie odbył się wielki bal dla uczczenia wizyty galaktycznej na najwyższym szczeblu. Nie było kwartału bez wielkiego polowania na zwiertarki bądź bzdudle.

Raz do roku, postawiwszy w stan pogotowia wszystkie trzy samobieżne bataliony, udawał się Automarszałek na wypoczynek do pulsarów, aby się napawać widokiem ich niestrudzonego rytmu. Lubił też oglądać, jak chwacka młodź troglodycka w szybkich raketówkach okrąża czarne dziury. Czasem tylko zasępił się nieco, kiedy jakiś niedotrenowany przeholował i zniknął w straszliwym polu grawitacyjnym. Zaiste, nie był to sport dla mięczaków!

Wszystkie te nieodzowne imprezy systematycznie drenowały skarbiec. Dla dobra państwa zaistniała więc potrzeba rozwinięcia wydobywania transu ranowców i zwiększenia intratnego eksportu. Nie było jednak zbyt wielu chętnych do drążenia podziemnych chodników, a ściślej - nie było ich wcale. Sytuacja pozornie bez wyjścia, ale nie dla ekipy Tarmodeusza Zgagamemnona.

Dawno już było wiadomo, że ciemnymi nocami, kiedy wszystkie trzy naturalne księżycy Troglodycji schowają się za horyzontem, różne przedsiębiorcze egzemplarze bańki z zacierem świetlnym wynoszą i po rozłogach kwantówkę żwawo pędzą. Teraz wystarczyło tylko parę satelitów obserwacyjnych na

stacjonarnych orbitach w tajemnicy zawiesić i niczego nie podejrzewających eksperymentatorów jak ulegałki zdejmować. Potem rachunek był prosty: "Ile kwart zacieru, tyle lat karceru". Tym prostym fortelem cichobieźni przykaraufili dwakroć po dziesięć tysięcy kwantowych bimbrowników i na jakiś czas był spokój z podziemnym personelem.

Strumień szmalu znacząco pogrubiał i znów można było rozszerzyć wachlarz zakupywanych egzotycznych specjałów. W pałacu Jego Eksceleencji pojawiły się na stołach wyszukane nowe potrawy, przez uczonych kuchcików - fizyków zmyślnie przyrządzane. Nie było rautu, żeby nie wjechał forszmak dragomirowski na jądrach uranowych z plazmą zapiekanych, albo ragout z mezonów sosem gamma polewane. Prezydent jednak prostym żołnierskim zwyczajem hołdował fotonom puree z pulpetami a la Spust. Przy każdym biesiadniku chłodził się w ciekłym helu szampaniak bulgotny z bąbelkami, a za kotarą dyskretnie przygrywała pozaukładowa orkiestra.

Lokalni włodarze też nie chcieli za bardzo w tyle pozostawać i prześcigiwali się w pomysłach. Jeden z nich przedobrzył i na balu podać kazał hiperony o podwójnej dziwności polem elektromagnetycznym panierowane. To by mu jeszcze Ekscelencja wybaczył, ale że do stołu podawały wypychcjańskie nieseryjne elektresy - tego nie zdzierzył. Kazał łotra laserami wysmagać i do wieży wtrącić, aby go rdza do cna zeżarła. Wkrótce o tym drobnym incydencie zapomniano i automatyczne życie potoczyło się dalej.

A tymczasem w ubogich chatach prostych wyrobotów źle się działo. Dzień w dzień taka sama rzadka zalewajka elektronowa wypełniała poszczerbione dielektryczne michy, a kwarka w niej uświadczyc nie szło. Rozjaśniały się chmurne ekrany nieco tylko wtedy, gdy z rzadka pojawiała się ćwiartka cienkiej okowity, na odpadach jądrowych pędzonej. Trunek to był podły, kudy mu tam do nieosiągalnej już kwantówki, ale z braku czegoś lepszego i on musiał wystarczyć. Czasami pod jego wpływem jakiś spatynowany robot zaczynał zawodzić smętne śpiewki, akompaniując sobie na wykonanych własnym przemysłem prymitywnych kwadrofonicznych cymbałach elektronowych. Wnet dołączały do niego bojaźliwe głosy i płynęła cicha pieśń o robociej niedoli. Zamykano wtedy okna, bo Straż Profesjonalna kręciła się gęsto i łącno okowitę zwietrzyć mogła, a wtedy nieszczęście gotowe.

Coraz puściej robiło się w mieszkalnicach, bo licencji i materiałów na prokreację rząd skąpo udzielał, preferując taśmową produkcję nowych obywateli, o pożądanych parametrach. Jeśli już tam udało się komuś sklecić z zakupionych na tandecie podzespołów jakiegoś potomka, wnet go do centralnych zakładów zabierano i prawomyślnie programowano.

Przydziały prądu stały się tak małe, że coraz częściej zdarzało się, iż jacyś straceńcy za antymaterię brać się zaczęli, głód energetyczny chcąc zaspokoić. Nie trzeba chyba wyjaśniać, jak się to dla nich kończyło...

I kiedy się zdawało, że dni ostatnich nieseryjnych są już policzone, wtedy coś się dziwnego zacząć zaczęło. Po siołach gruchnęła wieść, że na skutek jakiegoś błędu technologicznego zbuntował się cały nowusieńki batalion samobieźnej żandarmerii i antytarmoszowe hasła głosząc, coraz większe obszary oswobadza. A dowodzi rebeliantami Robot Wielgaśny...

Ewa Kozarzewska - ANTIDOTUM

10 maja...

Dzisiaj, powróciwszy z uczelni do domu, zasiadłem przy maszynie aby po raz pierwszy napisać coś o sobie. W bardzo starych książkach często natrafiałem na moment, w którym bohater czuł nagle nieprzepartą chęć zrobienia rzeczy niczym pozornie nie umotywowanej i nawet we własnych oczach szalonej i jaskrawo kłócącej się z jego osobowością. Nigdy nie przypuszczałem, że mnie również przydarzyć się może coś podobnego. A jednak nie potrafię wytłumaczyć przed sobą samym dlaczego właśnie w tej chwili naciskam kolorowe klawisze maszyny aby utrwalić za jej pomocą to wszystko... W tym miejscu zastanawiam się i waham... Bo niby co - wszystko? Myśli? Przecież dotychczas wydawało mi się, że wszystkie istotne, powtarzam: istotne myśli, przekazywałem, nie uciekając się do takich sposobów. A może chodzi tu o luźne skojarzenia, przelotne impresje, na które poza osobistymi notatkami nie ma nigdzie miejsca? Możliwe. Wciąż jednak uparcie powraca to "po co" i nie daje mi spokoju. Pomimo to piszę dalej i czuję się tak jak gdyby ręka prześlizgująca się po klawiszach nie należała do mnie. Mam nadzieję, że Red nie wrócił jeszcze do domu - już teraz wiem, że czułbym zażenowanie, gdyby zastał mnie w trakcie tego pisania... tylko skąd właściwie mógłby wiedzieć, że piszę właśnie to, a nie na przykład artykuł do "Sztuki przekładu" albo jakąś śmiertelnie poważną rozprawę naukową? Stanowczo przesadzam i czego się właściwie boję? Własnego syna? Tego, że mnie wyśmieje? Nie, nie, Red nie jest taki. Chociaż jaki on właściwie jest? Czasem przygląda mi się tak dziwnie... Przygląda mi się tak dziwnie? Nigdy przedtem nie przyszło mi to do głowy. Czyżby to pisanie wyzwalało we mnie myśli dotychczas nieświadome? Nie, to raczej wina tego potwornego upału... Rozsunąłem już trzy ściany, siedzę więc właściwie bardziej w ogrodzie niż w mieszkaniu, a jednak nie jest mi ani odrobinę chłodniej. Ogromny, srebrzysty, wiszący pod sufitem wiatrak nie jest w stanie rozproszyć gęstniejącego z każdą chwilą wokół mnie żaru, przesyconego ciężkim zapachem kwiatów rozkwitających w ogrodzie. Czuję narastający ból głowy. Wołam Jana, niech mi coś przyniesie zanim ból rozpanoszy się na dobre. Wypijam przezroczysty, kwaskowaty płyn, który Jan stawia obok mnie w wysokiej szklance przypominającej niekształtną probówkę. Tak, teraz jest już lepiej, zapach kwiatów przestaje być tak duszący, srebrzysta tarcza wirującego pod sufitem wiatraka kieruje - ku mnie fale chłodnego powiewu. Ocieram spoconą twarz i piszę dalej. Przez moment ciąży mi nie znane dotąd uczucie starości... To nonsens, muszę je jak najprędzej odpędzić, niech natychmiast roztopi się w tym potwornym upale, mam przecież dopiero siedemdziesiąt ' lat i, co najważniejsze, wcale nie chcę umierać, a to najistotniejszy symptom, znak, że będę żył długo... Jak długo? Może dziesięć lat albo dwadzieścia... Nie, nie, dwudziestu lat nikt przecież nie dożywa. Ale piętnaście, to już całkiem realne... Stary Burns, który prowadził jeszcze za moich studenckich czasów kontrolę nad wszystkimi komputerami naszego Instytutu doszedł osiemdziesięciu sześciu lat zanim powiesił się we własnej sypialni. A swoją drogą to ciekawe, dlaczego pozbawił się życia w tak nieciekawym i prymitywnym sposób. Miał przecież pod ręką „AZ - 1". Każdy człowiek w jego wieku jest w ten uniwersalny środek na wszystkie zmartwienia hojnie zaopatrzony. W tym momencie zdaję sobie sprawę, że do ostatnich napisanych przeze mnie zdań wkradły się nuty ironii - to efekt całkiem niezamierzony, skąd ta ironia nie mam pojęcia... Coś wytrąciło mnie dzisiaj z równowagi, to chyba ten niespodziewany spacer z Kenem. Zdziwiło mnie bardzo, gdy Ken zaproponował mi wspólny, pieszy powrót do domu. Spotkaliśmy się dziś całkiem przypadkowo, na sesji poświęconej

twórczości... Mniejsza z tym. Zupełnie się go tam nie spodziewałem - jest przecież specjalistą historii starożytnej a nie literatury starożytnej, chociaż tak prawdę powiedziawszy, to wcale się nawet nie zastanawiałem, czy Ken będzie na sesji czy też go tam nie będzie. Kiedy nudne odczyty dobiegły już końca, podszedł do mnie w połowie długiego hallu prowadzącego z auli do głównego wyjścia i nieśmiało zapytał, czy nie miałbym ochoty przejść się z nim kawałek.

- Mieszkamy w tym samym sektorze, więc może dasz się namówić - przekonywał mnie patrząc gdzieś w bok, poprzez moje ramię, wprost w szklane ściany korytarza, za którymi rozciągał się wspaniały widok na rozkwitające właśnie klomby, otaczające różowym wieńcem cały budynek. - Czy nigdy nie miałeś ochoty przespacerować się pieszo po mieście?

Nie przychodziło mi to dotąd jakoś do głowy, ale czemu nie? Wszystko to wydarzyło się przed kilkoma godzinami, myślę jednak o tym jak o czymś bardzo odległym. Zostawiliśmy nasze autoloty za bramą uczelni i ruszyliśmy przed siebie, przez rozpalone ulice miasta, szerokim pasem wysadzanego po obu stronach drzewami białego chodnika. Szliśmy powoli, upał obezwładniał nasze ruchy, obok, za zieloną ścianą drzew i krzewów mknął bezszelestny strumień kolorowych autolotów, nad którym migotały w słońcu gęste obłoki kurzu. Minęliśmy Sektor Muzeów, II Sektor Zaopatrzenia i weszliśmy na teren XXXII Sektora Mieszkaniowego.

- A w ogóle to co u ciebie słychać? - spytałem niezręcznie, żeby tylko przerwać zaczynające mi już ciążyć milczenie. - Czytałem ostatnio twoją rozprawę na temat kultury starożytnej Ameryki.

- A tak - odpowiedział beznamiętnie - Zdaje się, że rzeczywiście kiedyś coś takiego napisałem.

To wszystko było naprawdę jak sen, jak zły sen, który teraz nie daje mi spokoju. Nigdy nie przyjaźniłem się z Kenem, chociaż znałem go niemal od urodzenia. Kiedyś naszych rodziców łączyły serdeczne więzy przyjaźni, ale my nie potrafiliśmy jakoś przełamać psychicznej bariery, odczuwanej z biegiem lat coraz dotkliwiej, zarówno przez niego jak i przeze mnie. Nigdy jednak nie było między nami nienawiści, a drogi naszego życia biegły równolegle obok siebie, nie mogąc się ani przeciąć ani zgubić. Wszystko to uświadomiłem sobie dopiero wtedy, idąc obok milczącego Kena. Prócz nas na ulicy nie było prawie zupełnie ludzi, czasami mijały nas tylko grupki młodzieży patrzącej na nas ciekawie i z lekko wyczuwaną niechęcią... Zresztą, ta niechęć, to może tylko moje subiektywne wrażenie. W każdym razie przyglądali nam się ciekawie i wtedy dotarło do mnie, że ludzie w naszym wieku, Ken jest przecież moim rówieśnikiem, nie chodzą tak jak my ulicami miasta. Bo niby dlaczego mają to robić? Mijaliśmy właśnie willę zbudowaną w stylu pierwszych osad księżycowych, białą, o eliptycznych oknach, tonącą wśród kwiatów niczym w jasno-błękitnych falach morza. Nigdy dotąd nie widziałem takich kwiatów, to pewnie jakaś nowa odmiana, dopiero co wprowadzona w użycie.

- Spójrz, jakie piękne - zatrzymałem się na chwilę przed niebieską powodzią.

- A więc ty to jeszcze zauważasz? - zdziwił się Ken. Do końca wspólnej drogi nie odzywaliśmy się już do siebie ani słowem.

27 maja...

Dzisiaj Ken popełnił samobójstwo. Dowiedziałem się o tym rano, właśnie wybierałem się do Instytutu, kiedy zamigotała nagle biała tafla wideofonu i na ekranie pojawiła się spokojna twarz Flory.

- Ken zdecydował się opuścić nas dziś w nocy - powiedziała.

- Jak?

- Normalnie, tylko dlaczego tak wcześnie? - Flora najwidoczniej do tej chwili nie mogła wyjść ze zdumienia. - Mógł sobie przecież jeszcze pożyć.

- To różnie bywa - odparłem w zamyśleniu - Wybacz, nie mogę z tobą teraz rozmawiać, spieszę się do Instytutu, Red czeka już na mnie w autolocie.

- To cześć - wideofon zgasł i byłem znowu sam.

Gdy tylko ruszył nasz autolot, powiedziałem o wszystkim Redowi. Też się zdziwił, że Ken zdecydował się tak szybko.

- On zawsze był jakiś nedorobiony - powiedział z wyraźną dezaprobatą. - Nie to co ty - uśmiechnął się do mnie tak ciepło jak tylko on potrafi.

- O tak, możesz być spokojny, przynajmniej przed zakończeniem mojej pracy nad "Mistrzem" nie zejdem z tego świata.

- Jestem pewien, że i potem znajdziesz dla siebie jeszcze trochę ciekawych rzeczy do zrobienia! - Red mówił to z takim zapałem, jaki naprawdę cechować może tylko młodość.

Najważniejsze jednak było poczucie, że to wszystko prawda. Tak, chcę żyć, chcę żyć tak mocno, że myśl ta staje się dla mnie wprost przerażająca. Bo przecież muszę umrzeć, i porcja "AŻ - 1" od dawna została już i dla mnie przyszykowana. Nie, nie, nie mogę o tym myśleć! Ken był po prostu głupi, że zrezygnował tak wcześnie.

20 czerwca...

Jestem wraz z Redem na wyspie noszącej wdzięczną nazwę Utopia. Red wyciągnął mnie tu niemal siłą, mówiąc, że koniecznie muszę zmienić klimat. Według mnie tutejszy klimat niewiele różni się od klimatu w naszym mieście, teraz, żeby naprawdę zmienić klimat, trzeba co najmniej lecieć na Księżyc, ale zdecydowałem się jechać ze względu na towarzystwo Reda. Pochlebia mi to i cieszy, że Red potrzebuje mojego towarzystwa. Odkąd Ula odeszła, jest on jedyną naprawdę bliską mi istotą, i nie wyobrażam sobie co robiłbym bez niego. Kończę, bo właśnie nadchodzi. Idziemy popływać.

23 czerwca...

Utopia jest naprawdę piękna. Chociaż, szczerze mówiąc, wolałbym spędzić trochę czasu na jakiejś prawdziwej wyspie. Ciągłe nie mogę zapomnieć o tym, że wewnątrz Utopii, pod moimi stopami, pracuje skomplikowana maszyna, a czujne elektroniczne oczy, ukryte dyskretnie w każdym ważniejszym miejscu wyspy, śledzą bezustannie, czy wszystko jest w porządku. Od dwóch dni mam trochę więcej czasu na tłumaczenie i pisanie, bo Reda wyraźnie zainteresowała Jennifer. Ładna dziewczyna, a do tego tak jak i Red zajmuje się biologią, nic więc dziwnego, że chłopak jest wprost zachwycony. Przypuszczam, że w naszym domu zamieszka ktoś nowy. Bo chyba Red mnie nie zostawi?

Dzisiaj poszedłem także na szczepienie. Zupełnie bym o nim zapomniał, gdyby nie Jan - jego sztuczny mózg nigdy niczego nie zapomina. Pojechaliliśmy razem z Redem i Jennifer do punktu szczepień, gdzie zręczny automat wstrzyknął mi do żyły kolejną porcję przezroczystego płynu. Od pięciu już lat, co roku powtarza się ten sam zabieg, a mnie się wydaje, że w moim samopoczuciu nie zachodzą żadne zmiany. Ale to z pewnością tylko subiektywne wrażenie...

30 czerwca...

Dzisiaj jest przedostatni dzień naszego pobytu na Utopii. Z żalem myślę o powrocie do Instytutu. Zawarłem tu kilka ciekawych znajomości i teraz z przykrością myślę, że już niedługo będę musiał tych wszystkich ludzi opuścić. A przecież spotkania wideofonowe to nie to samo co bezpośrednio. Chociaż, z drugiej strony, mam sporą ilość dość bliskich nawet przyjaciół, których osobiście nie widziałem już od dwudziestu a nawet trzydziestu lat. No bo jeden pracuje w bazie orbitalnej, drugi w oceanach Jowisza... wszystko układa się jakoś nie tak jak czasem byśmy chcieli. Szczególnie wiele czasu spędzam ostatnio z Eo. Eo przypomina mi trochę Ule, a raczej "lepszą połowę" Uli. Ma w sobie tyle samo spokoju, który udziela się zawsze otoczeniu i tyle samo wdzięku, z jakim traktuje życie. Wczoraj aż do zachodu słońca siedzieliśmy razem na plaży. Eo opowiadała z zapałem o swojej pracy i aż trudno mi było uwierzyć, że

ona, taka drobna i krucha, pracuje w III Centrum Metalurgicznym. Staralem się wyobrazić sobie ją samotną, wśród ogromnych hal wypełnionych szmerem i pulsowaniem tysięcy automatów, za których monotonną pracą była odpowiedzialna, ale jakoś nie bardzo mi się to udawało.

- Czy naprawdę ci ta praca odpowiada? - przerwałem jej w końcu.

Na moment przestała bawić się przesypywaniem różowego piasku (pomysł plastyków konstruujących Utopię) i spojrzała na mnie uważnie.

- Nie rozumiem co w tym dziwnego. Uważasz, że tylko literatura starożytna - może być interesująca? Zaczynasz się chyba sta... - w tym momencie zasłoniła usta zapiaszczoną ręką.

- Chciałaś powiedzieć: starzec - dokończyłem łagodnie - Nie przejmuj się, wcale nie mam ci tego za złe. Wy, młodzi, nigdy nie potraficie właściwie zrozumieć starszych.

- Mam czterdzieści lat - powiedziała.

Nie rozmawialiśmy już więcej na ten temat. Eo zakomunikowała mi, że, być może, zmieni niedługo zajęcie i przyjedzie do Ville, gdzie zajmie się pracą naukową na naszej uczelni.

- Powinieneś zmienić teraz o mnie zdanie. Ja też czasem myślę - zaśmiała się i popatrzyła na mnie trochę przekornie

- Bardzo bym chciała pomieszkać trochę w Ville. Dziś już rzadko spotyka się tego typu miasta - w dobrym, starym stylu, bez tych kłębówisk estakad, pomostów, napowietrznych jezdni i tuneli, przez które już w ogóle nie widać nieba..

- W takim razie zobaczymy się niedługo.

- Możliwe.

Poczułem najprawdziwszą radość.

29 lipca...

Dzisiaj ukończyłem tłumaczenie "Mistrza". Powiedziałem o tym Redowi, ale nie wykazał takiego entuzjazmu, jakiego się spodziewałem. Zresztą ostatnio, poza Jennifer, którą przywiózł do naszego domu prosto z Utopii, nic chyba dla niego nie jest ważne. Jennifer pracuje razem z nim, ale najwięcej czasu spędza na pogaduszkach ze swoją zamieszkałą za oceanem rodziną. Regularnie o godzinie pół do szóstej na wideofonach w stołowym pojawiają się uśmiechnięte twarze ojca Jennifer oraz jej dwóch sióstr i zaczyna się codzienny szczebiot. Przez to nigdy nie mogę dokończyć obiadu.

15 sierpnia...

Po raz pierwszy zdarzyło się, że zasnąłem przy pracy. Czytałem najnowszą książkę o kolażu sztuk u Axa i nawet nie wiem kiedy zapadłem w sen, a właściwie w półsen, w którym działalność artystyczna Axa w jakiś przemyślny sposób splotła się z Ula. Trwało to najwyżej piętnaście minut, obudziłem się sam, ale najwidoczniej jestem przemęczony. Postanowiłem oszczędzać się teraz trochę. To tłumaczenie "Mistrza" było bardziej wyczerpujące niż przypuszczałem.

29 sierpnia...

Często rozmawiam z Eo. Prawie co wieczór jej twarz pojawia się na moim wideofonie. Ostatnio przesłałem jej "Mistrza". Jest zachwycona. Powiedziała, że z całej książki najgłębiej utkwili jej w pamięci jeden króciutki urywek, który zna już na pamięć: „... wszystkie teorie są sobie warte. Jest między nimi i taka, która głosi, że każdemu będzie dane to, w co wierzy. Niech się zatem tak stanie". Głos Eo nadaje tym słowom jakieś szczególne znaczenie. Chciałbym żyć w owych czasach, kiedy podobne słowa były jeszcze możliwe. Obecne życie we wszystkich swych niezliczonych wariantach jest niesłychanie monotonne. Odebrano mi bowiem jeden wymiar. Wymiar cierpienia.

3 września...

Olga zażyła wczoraj "AŻ, - 1". Już od dawna wszyscy się tego spodziewali, była przecież najstarszym pracownikiem Instytutu Literatury Starożytnej. Ciekawe, kto zajmie jej stanowisko.

27 września...

Eo przyjechała. Będzie w Ville co najmniej pół roku. A więc przynajmniej na pół roku ustaną nasze wideofoniczne rozmowy. Muszą się skończyć, teraz nie chcę już z nią rozmawiać inaczej niż bezpośrednio. Red też się bardzo ucieszył. Powiedział, że nie będę taki samotny. To dziwne, ale właśnie tymi słowami uświadomił mi tę moją samotność. Dotąd jakoś nie zdawałem sobie z niej sprawy. Co prawda od czasu śmierci Petera (trzy opakowania „AZ - 1" w zeszłym roku) miałem niejasne uczucie, że ciągle mi czegoś brakuje. No tak, ale Peter, choć o osiem lat starszy, był przecież moim najlepszym przyjacielem. Pomimo wszystko praca pozwala mi jednak nie myśleć zbyt wiele na temat Petera i mojego osamotnienia. Cóż, wszystko toczy się tak, jak to można było z góry przewidzieć. A poza tym dopóki jestem z Redem, jestem spokojny. Przyzwyczailem się nawet, chociaż z trudem, do Jennifer i jej rodziny blokującej wszystkie wideofony. A teraz, gdy przyjechała Eo, czuję się zupełnie inaczej... Boję się, że tę zmianę we mnie ktoś zauważy. Ktoś obcy. Nie chcę jakoś uchodzić za wybryk natury. Łapię się nawet na tym, że zaczynam udawać. W Instytucie narzekam od czasu do czasu bez powodu, nieraz zamyślam się sztucznie - dziwne, że nie zauważają fałszu - i patrzę melancholijnie w przestrzeń. Tworzę pozory i trochę czuję się jak winowajca. Tylko z Redem mogę sobie pozwolić na szczerość - zawsze opowiadam mu o swoich planach, o tym, co jeszcze chciałbym zrobić. W Instytucie mówię przeważnie na temat doraźnych badań. Żadnych perspektyw, skądże! Oprócz Reda swobodnie rozmawiam też z Eo, ale staram się unikać własnego tematu. A w ogóle chyba najwięcej wie o mnie Jan. Roboty są jednak wspaniałą rzeczą - niczemu się nie dziwią.

30 października...

Nasza rodzina powiększa się. Eo zamieszkała razem ze mną. W Instytucie wszyscy patrzą na mnie z niesmakiem - ja się tym jednak dziwnie nie przejmuję. Nie myślę o śmierci i Eo wie o tym.

15 listopada...

Dzisiaj są moje siedemdziesiąte pierwsze urodziny. Przeciętna średnia ludzkiego życia - siedemdziesiąt cztery lata. Oczywiście, gdyby nie dobrowolne korzystanie z "AZ-1", trwałoby ono o wiele dłużej, jak twierdzą specjaliści (około stu pięćdziesięciu lat). Ale to tylko teoria - nasza cywilizacja zlikwidowała przecież problem starości, gdyż nikt nie przekracza jej progu. Ciekawe, kiedy to do mnie przyjdzie, kiedy nie będę już mógł się oprzeć pokusie i sięgnę po Niezawodny

"AZ-1"... Na razie nie mam na to najmniejszej ochoty - nawet mnie to czasem dziwi. Nikomu oczywiście nie przypominałem o dacie moich urodzin, ale widzę, że Red o niej nie zapomniał. Cały dzień kręci się koło mnie jak baletnica, nie poszedł nawet pod jakimś pretekstem do pracy i mnie namówił do tego samego. Polecieliśmy moim autolotem aż do Leśnej Stacji i spędziliśmy tam parę ładnych godzin łąjąc pomiędzy drzewami i słuchając śpiewu ptaków. Było naprawdę cudownie. Ostatni raz słyszałem ptaki na Utopii, z tym, że wtedy były to sztuczne ptaki a teraz najprawdziwsze z prawdziwych.

1 grudnia...

Zabieram się za nowe tłumaczenie. W Instytucie nikomu się do tego nie przyznaję, pokażę im dopiero gotową robotę, niech się zdziwią. Tego dnia, w którym Eo zdecydowała się zostać ze mną, kazałem

Janowi zniszczyć cały zapas "AZ-1" jaki był u nas w domu. Nie oznaczało to bynajmniej strachu - stanowiło raczej dla mnie swoisty gest symboliczny, po którym poczułem się tak, jak gdybym złożył przed samym sobą przysięgę. Jaką przysięgę? Że będę żył wbrew wszystkiemu. Resztkami zdrowego rozsądku staram się zrozumieć skąd bierze się u mnie ta ogromna chęć życia, ale nie potrafię tego zrobić. Ostatnio staram się o tym w ogóle nie myśleć. Tylko podczas pisania tych skrzących ukrywanych przed wszystkimi notatek pozwalam sobie jeszcze raz powrócić do tych spraw. Co prawda na owo tajne pisanie mam coraz mniej czasu - praca, Red, Eo a nawet Jennifer, pochłaniają mnie bez reszty. Tylko czasem, tak jak właśnie dzisiaj, mogę samotnie pochodzić po ogrodzie, który obecnie cały tonie w żółtej pianie zimowego gatunku astrów, a potem usiąść i napisać kilka zdań o sobie. Po co? Nie wiem. Ostatecznie nie jest to jednak ważne. Być może te zapiski pozwalają mi lepiej poznać samego siebie. Ale istotne jest tylko jedno - niech świat wydaje mi się jak najdłużej taki jaki jest obecnie.

4 grudnia...

Niespodziewanie przyśnił mi się Peter. Stało się to podczas jednej z owych popołudniowych drzemek, które, niestety, zdarzają mi się ostatnio coraz częściej. Całego snu dokładnie nie pamiętam, wiem tylko, że Peter był w nim na pewno. Dziwne, jak łatwo pogodziłem się z jego śmiercią. Był przecież moim największym, a może, kto wie, jedynym prawdziwym przyjacielem. Zawsze podziwiałem go, zwłaszcza za wyobraźnię. W dzisiejszych czasach coraz częściej słyszy się twierdzenie, że wyobraźnia staje się człowiekowi z każdym dniem coraz mniej przydatna. Coraz więcej ludzi wierzy, że świat wie już wszystko, albo prawie wszystko, a to, o czym jeszcze nie wiadomo, pewnikiem w ogóle nie istnieje. Peter, jako jeden z nielicznych, miał odwagę twierdzić, że ludzkość wie tyle samo, co w okresie wychodzenia z lasu i prawdopodobnie nigdy nie dowie się więcej. Miał przez to wielu wrogów, którzy twierdzili, że mami, stwarza fałszywe mity. Niektórzy obwołali go burzycielem spokoju. W końcu wysłano go z Ziemi na sztuczną planetę Alfa Centauri. Oficjalnie - w celach prowadzenia badań naukowych w warunkach kosmicznych (Peter był astrofizykiem), faktycznie - aby oddalić go nieco od centralnego skupiska ludzkości - Ziemi. Nie na wiele się to jednak zdało. Peter do końca pozostał nieugięty i głosił swoje zasady gdzie tylko się dało. Byłem zawsze jednym z jego najgorętszych zwolenników. Pracowałem nad własną wyobraźnią, aby nią właśnie przebić twardą powłokę oddzielającą poznane od nieznanego. Nigdy mi się to jednak nie udało. Przypuszczam, że nie udało się to również samemu Peterowi, choć nigdy mi się oczywiście do tego nie przyznał. Kiedy jednak próbowałem zadawać mu konkretne pytania, zawsze robił jakieś uniki. W końcu zaprzestałem podejmowania z nim dyskusji na te tematy. Widziałem jednak, ilekroć pojawiał się na ekranie, że robi się coraz bardziej zgryźliwy i zamknięty w sobie. Być może dlatego właśnie wiadomość o jego samobójstwie nie zaskoczyła mnie ani nie zadziwiła. Podświadomie spodziewałem się tego i nie potrafiłem mu pomóc.

10 stycznia...

Jestem już w połowie tłumaczenia "Rzeźni". Wspaniała książka - również wiek XX. Jak to dobrze, że znam tyle języków starożytnych, pozwala mi to na sięganie do coraz to innych kultur i na odkrywanie niesłusznie zapomnianych już od dawna dzieł. Teraz zresztą uczę się następnego języka, który definitywnie wyszedł z użycia w XXV wieku: hiszpańskiego. Przetłumaczone fragmenty "Rzeźni" dają do przeczytania Redowi i Eo. Jennifer, odkąd okazało się, że jest w ciąży, przestała interesować się czymkolwiek oprócz własnego stanu.

20 lutego...

Zaproponowano mi pracę wykładowcy literatury starożytnej na Dianie. Diana zawsze kojarzy mi się z

Peterem - spędził on wiele lat na tej sztucznej planecie, jednakże pobyt tam nie wpłynął na poprawę jego samopoczucia. W moim wypadku będzie jednak inaczej. Jestem pewien, że zmiana środowiska na pewno dobrze by zrobiła i mnie, i Eo. Jej praktyka naukowa w Ville dobiega już końca i Eo nie bardzo wie co dalej ze sobą robić. Na Dianie z pewnością nie będzie miała kłopotów ze znalezieniem jakiegoś interesującego zajęcia - są tam przecież ogromne zakłady metalurgiczne, Diana przede wszystkim z nich słynie. A ja... ja oderwę się od Instytutu w Ville, który ostatnio coraz bardziej zaczyna mnie denerwować. To znaczy, ściśle rzecz biorąc, oczywiście nie sam Instytut mnie denerwuje, lecz ludzie, którzy w nim pracują. Stale teraz zjawiają się jacyś nowi, wcale mi nie znani asystenci, nie mający bladego pojęcia o literaturze starożytnej, chętnie natomiast wypowiadający się na jej temat z taką pewnością, jak gdyby posiadli wiedzę co najmniej centralnego komputera w Ville. Na Dianie ja będę tym nowym. Nie mówiłem jeszcze o tych planach Eo, ale już teraz jestem pewien, że się zgodzi. Jedno tylko mąci moją radość: Red. Nie mogę sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało moje życie bez niego. No cóż, chociaż z drugiej strony lepiej będzie, jeśli znacznie żyć bez mojej bezpośredniej bliskości. Później łatwiej będzie się mógł przyzwyczaić...

21 lutego...

Eo, tak jak przypuszczałem, z radością przyjęła wiadomość o naszej przeprowadzce na Dianę.

- Jeszcze nigdy nie byłem poza naszym układem, to fantastyczne, że teraz polecimy tak daleko, podobno Diana jest wspaniała, najwspanialsza ze wszystkich sztucznych planet Alfa Centauri, nowoczesna, piękna, istny raj... Eo paplała jak mała dziewczynka, ja natomiast obserwowałem Reda. Siedział nieruchomo w swoim fotelu, zbyt nieruchomo jak na naturalną pozę, od razu więc zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Nie spodziewałem się jednak takiego wybuchu jaki nastąpił w chwilę potem.

- Czy powziąłeś już ostateczną decyzję? - spytał głosem jeszcze spokojnym.

- Tak, uważam, że będzie to najrozsądniejsze wyjście zarówno dla mnie, jak i dla Eo.

- Nigdzie cię nie puszczę!!! - Red zerwał się nagle z fotela i podbiegł do mnie tak blisko, że przez sekundę pomyślałem, iż chce mnie uderzyć. Twarz miał nienaturalnie wykrzywioną w grymasie wściekłości, którego nigdy przedtem u niego nie widziałem - Nigdzie cię nie puszczę, rozumiałeś!?

- Red, uspokój się, co się z tobą dzieje?! - Eo starała się go uspokoić, ale było to już zbyt późno. Red uspokoił się sam równie szybko jak przed chwilą wpadł we wściekłość. Usiadł z powrotem.

- Proszę cię - powiedział wolno - Proszę cię na wszystko: nie jedź.

- Mowy nie ma! - tym razem Eo podniosła głos - Jedziemy. Dlaczego chcesz odebrać Jorgowi taką szansę, dlaczego chcesz mu odebrać radość, która może przyspieszyć... Eo nie dokończyła, ale i tak wszyscy zrozumieli co chciała powiedzieć. Była w tym momencie okrutna i po raz pierwszy poczułem do niej jakąś niejasną urazę. Czułem się tak, jakby grzebała mnie za życia. Nie rozumiała mnie, nie potrafiła dostrzec tego, że nie jestem taki jak inni, wszystko było dla niej jednoznaczne. Działo się to wczoraj, ale do dziś pozostał mi gorzki smak tamtego uczucia. Red nie zwracał na Eo najmniejszej uwagi.

- Jak często będziesz przylatywał na Ziemię? - zapytał.

- Nie wiem, przypuszczam, że nie będzie to łatwe - odparłem - Ale przecież i tak będziemy się codziennie widywać. Wideofony...

- Nie o to chodzi - przerwał mi cierpko Red.

Poczułem się ponownie urażony i definitywnie straciłem ochotę do dalszych rozmów. Pod pretekstem pilnej pracy wycofałem się do gabinetu. Długo nie mogłem się uspokoić, miałem ochotę na krótki spacer, ale właśnie zaczął padać zaprogramowany na trzydzieści minut wieczorny deszcz i o przechadzce po ogrodzie nie było mowy. Zabrałem się więc za tłumaczenie, praca nie szła mi jednak zbyt dobrze. Słyszałem przez ścianę jak Eo niezwykle ożywiona rozmawia ze swoimi przyjaciółkami. Sądząc po

głosach było ich co najmniej pięć. Potem włączył się do tych szczebiotów również jakiś męski głos. Bezustanne śmiechy i krzyki nie pozwalały mi się skupić.

22 lutego...

Pojutrze odlot. Niestety, ostatnie dni naszego pobytu na Ziemi nie należą do najprzyjemniejszych. Rano dowiedziałem się, że Ula nie żyje - jak zwykle "AZ-1". Przez cały dzień nie mogę sobie znaleźć spokojnego miejsca, wychodzę do ogrodu, błądzą wśród przekwitających astrów, wracam do domu, znów wychodzę i tak w kółko, bez końca... Ale najbardziej przeżywa to jednak Red. Chociaż przez ostatnie piętnaście lat widywał matkę jedynie dzięki wideofonowi, to jednak wiadomość o jej śmierci wstrząsnęła nim do głębi. Dzisiaj po raz pierwszy od niepamiętnych czasów widziałem jak płacze.

14 lutego...

Znalazłem te notatki i długo nie mogłem sobie przypomnieć co to w ogóle jest. Dopiero po godzinie uświadomiłem sobie wszystko... No tak, pisałem je jeszcze przed odlotem na Dianę. To już dwanaście lat, miałem prawo zapomnieć... Mam ochotę kontynuować teraz te moje dawne zapiski, ale czy mi się uda? Właściwie dlaczego nie? To już dwanaście lat. Nie mogę w to uwierzyć, w domu jest wszystko tak jak przedtem, to zasługa Reda, a więc w domu tak jak dawniej, tylko wokół niego jakoś się zmieniło, tuż za kresem naszego ogrodu jest jakoś inaczej, nie wiem dokładnie na czym ta różnica polega. Zaraz zwołałam Jana, niech zamknie ogrodową ścianę, zrobiło się tak zimno. Jan także ten sam, choć Red twierdzi, że trzeba go już koniecznie wymienić, jest stanowczo za stary, ciągle się psuje.

- To nie wypada - powiedziała do mnie wczoraj przy kolacji Jennifer - żeby taki sławny naukowiec jak ty miał takiego przestarzałego robota. Jan nadaje się już tylko na przetworzenie.

Zauważyłem z zadowoleniem, że Jennifer ostatnio okropnie się roztyła. Jej dzieci, to znaczy moi wnukowie, są do niej podobne. Oglądałem je wielokrotnie na ekranach Diany, ale nigdy nie mogę zapamiętać, jak się które nazywa. Nie dyskutowałem z Jennifer na temat Jana, bo Red szybko zmienił temat rozmowy.

- Co zamierzasz teraz robić? - spytał wesoło - Jakie będzie twoje najnowsze tłumaczenie?

- Zastanawiam się, mam kilka pomysłów...

- To świetnie - zaśmiał się Red - Najlepiej realizować wszystkie pomysły.

- Właśnie mam taki zamiar - odparłem - Nie wiem tylko od czego zacząć. Zauważyłem, że Jennifer nieznacznie wruszyła ramionami, miałem już stanowczo dosyć jej towarzystwa, wymknąłem się do siebie, kazałem Janowi rozsunąć ogrodową ścianę i ze wzruszeniem patrzyłem długo na astry, kwitnące tak samo jak przed dwunastu laty. To dobrze, że wróciłem, mimo że Eo tam została. Tak zdecydowała sama, nic w tym dziwnego, już rok temu usłyszałem, zupełnie przypadkowo, jak mówiła koleżance, że dziwi mi się, bo to po prostu wstyd żyć w tym wieku, uodpornić się na wszystkie szczepienia. Od tamtej pory chciałem żeby mi dała jak najprędzej spokój. Tak - będę się teraz musiał na Ziemi wziąć ostro do pracy, ostatnie tłumaczenia literatury starożytnej, dokonywane przez jakichś nic nie znaczących, niedouczonego młokosów, są po prostu skandaliczne. Nie mają nic wspólnego z oryginałami. Muszę im przypomnieć, jak się robi prawdziwe tłumaczenia. Widocznie Diana jest jednak zbyt daleko, aby do niektórych mogło coś dotrzeć. Pojutrze idę po raz pierwszy od chwili powrotu do Instytutu, wezmę się ostro za ten cały bałagan.

15 lutego...

Okropnie denerwują mnie te dzieci, wrzeszczą, wyją, na oślep biegają po całym ogrodzie, tratują kwiaty, łamią gałęzie, a na dodatek zupełnie nie zwracają uwagi gdy się do nich mówi, tym bardziej że

stale jeszcze nie wiem jak które ma na imię. Ta najmłodsza dziewczynka to Ula, ale jak się nazywa ten niezdolny urwis z sympatyczną, piegowatą buzią?

16 lutego...

Po raz pierwszy po moim powrocie do Ville poszedłem dzisiaj do Instytutu. Tak jak przewidywałem, niewiele mogłem poznać. Zabrakło wszystkich moich dawnych znajomych, wiedziałem o tym wcześniej, na Dianę przecież docierały do mnie wiadomości z Ziemi, ale to nie to samo, śmierć tych ludzi tak naprawdę uświadomiłem sobie dopiero dzisiaj. Jako najstarszy pracownik Instytutu przyjęty zostałem z należytych honorami, ale zauważyłem wiele ciekawych spojrzeń, skierowanych w moją stronę, ich właścicielami byli młodzi asystenci, którzy nie znali mnie oczywiście przed odlotem na Dianę. Widocznie uważają, że mam tak słaby wzrok, iż mogą sobie na tę ciekawość pozwolić.

2 marca...

Pracuję w Instytucie jak dawniej. Dokucza mi trochę samotność, coraz bardziej się jednak do niej przyzwyczajam.

20 marca...

Nie, do samotności przyzwyczać się jednak nie sposób.

22 marca...

Zaczynam nowe tłumaczenie. Książka nazywa się "Wielkość". Dzisiaj dowiedziałem się o śmierci pewnej mojej znajomej, Olgi. Rzecz bardzo rzadko spotykana w naszych czasach - zmarła nie wskutek własnej decyzji, lecz w wypadku, jej autolot uległ awarii... Niesłychane.

25 marca...

Nie pamiętam, czy pisałem już o tym, ale dzieci okropnie mnie denerwują. Po południu nigdy nie mogę się spokojnie zdrzemnąć. A przecież bez poobiedniej drzemki przez cały wieczór czuję się bardzo zmęczony.

28 marca...

Robert wziął dzisiaj "AZ-1". Był to mój ostatni rówieśnik w całym Ville.

15 kwietnia...

"Wielkość" jest z pewnością książką bardzo dobrą, ale tłumaczenie jej należy chyba do najtrudniejszych jakie kiedykolwiek robiłem. Nie wiem właściwie na czym ta trudność polega, ciągle jednak muszę odrywać się od pracy i sprawdzać znaczenie jakiegoś słowa, a to mnie bardzo rozprasza.

17 kwietnia...

Jeden z moich współpracowników w Instytucie, młodszy ode mnie o 15 lat, zdecydował się wczoraj na "AZ-1". Obecnie istnieje dla mnie tylko "Wielkość". Nie myślę o niczym innym.

10 maja...

Tłumaczyć coraz trudniej. Zbyt długo chyba nie miałem do czynienia z dawnymi językami słowiańskimi.

25 maja...

Połowa pracy już za mną. Ta żona Reda, ciągle zapominam jak się ona nazywa, jest nie do wytrzymania.

23 czerwca...

Tłumaczenie "Wielkości" już na finiszu. Utrudniają mi tylko pracę coraz częściej pojawiające się dolegliwości sercowe. Muszę się chyba gruntownie przebadać. Dzisiaj również byłem na kolejnym szczepieniu.

29 czerwca...

W wyniku ogólnych badań orzeczono, że "jak na ten wiek" serce mam i tak w wyśmienitym stanie.

7 lipca...

Tłumaczenie skończone. Nie mam się tylko komu tym pochwalić, bo wszyscy gdzieś powyjeżdżali. Mówili nawet gdzie, ale zapomniałem. Jestem sam, z Janem oczywiście.

16 lipca...

Znowu ktoś z pracowników Instytutu skorzystał z "AZ-1". Dokąd ci ludzie się tak spieszą?

25 sierpnia...

Dziś zawiadomiono mnie, że zostałem wytypowany do nagrody za najlepsze tłumaczenie roku. A więc mój trud nie poszedł na marne. Jestem oczywiście bardzo szczęśliwy, ale Red sprawia wrażenie jeszcze bardziej zadowolonego ode mnie. Po prostu szaleje. Cały dzień nie odstępuje mnie ani na krok, chodzi za mną jak mały chłopczyk i powtarza: "A nie mówiłem?". Nie bardzo mogę zrozumieć co ma na myśli.

1 września...

Dowiedziałem się!

2 września...

Dopiero teraz mogę pisać spokojnie. Wczoraj wyjaśniło się wszystko. Zaczęło się od tego, że przypadkowo usłyszałem rozmowę Reda z tą, no, z Jennifer. Myśleli chyba, że jestem w ogrodzie i dlatego mówili trochę za głośno. Cała ta rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Red: A widzisz, jednak miałem rację.

Jennifer: Moim zdaniem to jest już tak zwany "łabędzi śpiew". A czy pomyślałeś co będzie dalej? Czy zauważyłeś, że on już coraz gorzej widzi? A co się dzieje z jego pamięcią? Twój ojciec nie pamięta już nawet imion naszych dzieci, zaczynam także podejrzewać, że coraz częściej zapomina jak ja się nazywam.

Red: Cóż robić. Zwyczajne konsekwencje starości. Ale sama przecież widzisz, że jest nadal pełnowartościowym człowiekiem. Ta nagroda...

Jennifer: Ta nagroda, też mi coś! Czy naprawdę nie rozumiesz tego, że on tę nagrodę dostał faktycznie ze względu na swój wiek a nie z powodu doskonałości tłumaczenia?

Red: Nie mów tak! Wiesz doskonale, że tłumaczenie jest świetne!

Jennifer: Niech ci będzie. Ale jeszcze raz pytam: co będzie dalej?

Red: To co dotychczas. Będzie dalej żył i pracował.

Jennifer: Zobaczymy. Żebyś tylko przypadkiem przez te swoje eksperymenty nie zgotował mu tu na

Ziemi jakiegoś małego piekła.

Red: On jest przecież szczęśliwy. Gdyby tak nie było, chciałby zażyć "AZ-1".

Jennifer: Nie jestem pewna, czy nie robi tego po prostu z obawy przed śmiercią. Przyznasz chyba sam, że między trwaniem z powodu zadowolenia z życia a trwaniem z powodu strachu przed śmiercią jest jakaś różnica? Szczepienia skutecznie likwidują ten strach. Powodują powolne zanikanie instynktu samozachowawczego i w konsekwencji doprowadzają do wcześniejszego lub późniejszego skorzystania z "AZ-1". W naszych czasach nikt już nie boi się starości, zniedołężnienia, śmierci. Nikt nie cierpi z tego powodu, że musi kiedyś umrzeć. Oszczędzono nam tych wszystkich koszmarów dręczących ludzkość przed wiekami. Dzisiaj śmierć nie jest nieszczęściem - jest jeszcze jedną radością, na którą każdy decyduje się dobrowolnie.

Red: Czyżby? Zapominasz, że gdyby nie szczepienia, którym każdy, kto przekroczył 65 rok życia, musi poddawać się przymusowo, nikt dobrowolnie nie korzystałby z dobrodziejstw natychmiastowej śmierci po użyciu "AZ-1".

Jennifer: To jasne, niestety człowiek podlega jeszcze tylu prymitywnym instynktom...

Red: Mylisz się. Nie uważam wcale instynktu samozachowawczego za prymitywny.

Jennifer: Oczywiście, jest on pożyteczny, ale do czasu.

Red: Nie zgadzam się z tobą! Czy nie przyszło ci czasem do głowy, że nasza cywilizacja od pewnego czasu stoi w miejscu? Niby zmienia się to i owo, ale są to tylko formy. Formy ulegają zmianom, modyfikacjom, ale nic poza tym.

Zadnych nowości. Ludzkość opanowała swój układ słoneczny, zdołała rozwiązać nękające ją problemy ekonomiczne i społeczne, dotarła do najbliższej gwiazdy i na tym koniec. Wszyscy są szczęśliwi, ale nie dzieje się już nic nowego.

Jennifer: Bo osiągnęliśmy ostateczne wyżyny.

Red: Mylisz się. Bo zaczęliśmy już umierać. Wszyscy. Szczepionka działa teraz nie na poszczególnych ludzi, lecz na całą cywilizację.

Jennifer: Nie widzę podstaw, aby tak sądzić. Wróćmy lepiej do sprawy Jorga. Co będzie z nim dalej?

Red: Już ci powiedziałem.

Jennifer: Postąpiłeś z nim okrutnie. Zobaczysz, że za kilka lat Jorg stanie się dziwem, będzie uważany za wybryk natury, będą do nas przychodzić, żeby go zobaczyć w tej przerażającej starości.

Red: Nie dopuszczę do tego! Widdz, że wymyśliłem środek na zniesienie działania szczepień nie dlatego, aby eksperymentować na własnym ojcu, lecz dlatego, że jest to zgodne z moimi najgłębszymi przekonaniem... W literaturze starożytnej często można spotkać przykłady...

Jennifer: Ach ta nieszczęsna literatura starożytna! Przez nią nabiłeś sobie głowę tymi wszystkimi głupstwami. Bardzo cię proszę o jedno: żebyś tego swojego antidotum nie próbował również stosować w moim przypadku. Zapamiętaj sobie, że nie mam zamiaru być świadkiem własnego zniedołężnienia.

Red: A ty wiesz o tym, że to moje antidotum zamierzam stosować w swoim własnym wypadku, oczywiście gdy przyjdzie czas. Będę w końcu miał możliwość stać się naprawdę człowiekiem.

Jennifer: Jak sobie chcesz!

Red: A co? Może masz ochotę wyjawić to wszystko? Może publicznie ogłosisz, że jestem zdrajcą ludzkości, że jako biolog nadużywam swoich kompetencji wynajdując skuteczny środek przeciw działaniu szczepionki?

Jennifer: Co ty opowiadasz?

Red: Dowiedz się jeszcze, że nie jestem wyjątkiem. Kilku moich przyjaciół wtajemniczyłem już w całą tę sprawę. Oni również postanowili postąpić tak jak ja. "AZ-1" nie będzie nam potrzebne. Potrafimy umierać sami.

Na tym skończyła się ta podsłuchana przez mnie mimowolnie rozmowa. Nie wspominałem Redowi ani słowa, że wiem już komu zawdzięczam swoje jakże długie na obecną skalę życie. Całą noc nie mogłem jednak zmrużyć oka. Około godziny pierwszej ogarnęła mnie niezwykle silna ochota sprawdzenia działania "AZ-1" na własnej skórze, ale to trwało tylko moment. Potem pojawił się tak ogromny strach przed śmiercią, że przestałem myśleć o czymkolwiek innym. Dopiero nad ranem udało mi się zasnąć.

3 września...

Wszystko toczy się tak jak dawniej. Oni nie wiedzą, że ja już wiem. Zastanawiam się w jaki sposób Redowi udało się podać mi po kryjomu wynalezione przez siebie antidotum? Może wstrzyknął mi je, gdy spałem? Albo wrzucił do jedzenia? Czy tylko raz, czy też powtarzało się to kilkakrotnie? I czy z tego powodu nie chciał mnie niegdyś puścić na Dianę? Może bał się, że wymknę się spod jego kontroli? Ostatecznie nie jest to jednak ważne.

4 września...

Natrafiałem zupełnie przypadkowo w archiwum naszej biblioteki w Instytucie na wspaniałą książkę. Jak zwykle, wiek XX - mój ulubiony wiek ludzkości. Zabieram się za tłumaczenie... tylko niech te dzieci tak bardzo nie hałasują.

Mieczysław Kurpisz - LĘK

zaczęło się od tamtej strony nieoczekiwanie nagle chociaż bez pośpiechu po drugiej stronie rzeczywistości to była jawa dzień trudno ustalić z większą dokładnością a więc dzień temperatura gimnastyka poranna komunikat o pogodzie spod powiek jak spod sypkiego piasku wyszły z morza stada dinozaurów płetwonurków cichobrzmiennych żółwi błotnych wszystko zgodnie z kolejnością alfabetyczną

platon nie mógł tego przewidzieć więc wychodziły zakrywając sobą gasnącą linię horyzontu właściwie horyzont dzielił je w pasie przebiegał - między kłami nosorożców wrzynał się w moje źrenice niszczył całą pewność siebie pewność słuchu i węchu pewność istnienia

antylopy przebiegały parzystokopytnie skojarzenie z parzystokopytnym bólem zębów ryby zaraz po opuszczeniu morza unosiły się w powietrze ikar czekał na swoją kolej zgodną ze wszechświatowym dzianiem się

stawało się cicho ale tylko na moment na chwilę której dumny platon nie potrafił nazwać inaczej tabuny koni morskich galopowały w moją stronę przyglądałem się im uważnie żadnych oznak zmęczenia żadnych symptomów zdenerwowania strachu w oczach czy rozwianych grzywach przede mną na plaży pitagoras kreślił tajemnicze znaki

antylopy wyraźnie przewyższały poziom morza poziom osocza w mojej krwi zachowywałem się spokojnie chociaż rozdzierało mnie to wszystko od środka na coraz mniejsze strzępy włókien nerwowych impulsy drgania rozdzierało mnie na strzępy coraz to nowszych gatunków powijanych naprędce i bez głębszego zrozumienia praw natury

platon milczał trzymał w ręku maleńki mózdzierz zwierzęta w dalszym ciągu wynurzały się podejrzewałem je o ukryte mechanizmy przeinaczania się w materialną widzialność

ale to tylko strach

komunikaty o pogodzie przynoszą znany serwis ogólnego krążenia nazwiska pseudonimy niby międzynarodowe kontakty o nieograniczonych możliwościach militarnych serie katastrof niewidzialne wyroki śmierci niewidzialne sądy niepodważalne decyzje byłych mężów stanu kłopoty z przyrostem ludności na jeden centymetr kwadratowy czyjeś samobójstwa dokonane z całkowitą premedytacją na własnej osobie

człowieka

w pociągu

w tramwaju

na sedesie

przy stole obrad pokojowych odbywających się w rosnącej temperaturze państwa dobrobytu nawet te które nigdy przedtem nie zetknęły się z wodą radziły sobie całkiem nieźle przezornie obliczyłem zawartość soli w wodzie przybrzeżnej mojej źrenicy

zaczęło się od tamtej strony od strony pod wiatr pod dowolną etymologię słowa nie mówiąc nie pisząc nie myśląc poważniej nad zwitkiem codziennego donosu z czarnym nekrologiem w tytule.

nie byłem przygotowany na to najście niespodziewane zachowując pozory wszelkiej normalności utraciłem zdolność przenoszenia kombinacji po mózgu najpierw dobrze zaparzona kawa potem cukier kanapka którą układam pod światło pod lot muchy zmierzającej na moje biurko to są nareszcie autentyczne problemy wiedzy a nie sufiksalne i paradygmatyczne rozważania o bezsensie poczynania

pierwszej litery pierwszego technienia papierowego wywleczonego za włosy na białe płótno twarzy zabrużdżonej cudzą żądzą.

platon milczał

ucierał tylko coś w moździerzcu zwierzęta osiągnęły drugą linię brzegową bez strat własnych bez wzajemnego oszukiwania się o wątpliwe bohaterstwo na polu walki na dowolnym polu zwątpienia licząc od miejsca gdzie siedział pitagoras zaprzątnięty rysunkami po przekątnej

nagle

wszystko działo się nagle z jego prawej strony nadeszło dwóch wojowników w błyszczących napierśnikach chyba nie zauważyli narodzin morza zatrzymali się przy pitagorasie spytali o nazwisko potem o imiona rodziców w końcu o aktualne zameldowanie samopoczucie opinię na temat otaczających go zjawisk nadprzyrodzonych

odpowiadał spokojnie trójkątami nie zbaczał z tematu nie układał niczego w doskonały wzór odpowiadał rzeczowo nie odwracając wzroku od ruchomych wydm które zakapturzyły okoliczne wzgórza i przylądki dobrej nadziei

żołnierz wahał się znać było po jego twarzy że nie przywykł do wyciągania miecza w obecności galopującego stada żółwi morskich ciągle łamanie konwencji łamanie bicia serca zdążyłem jeszcze dostrzec przerażenie w jego oczach wtedy pomyślałem o kolorze który przynosi śmierć

ciało pitagorasa zasypywał piasek żółty trzeszczący w zębach lepiący się do spoconego ciała targał za włosy podmywał ostatnimi kroplami wody wyschnięte policzki

zwierzęta które opuściły wodę nabierały rozpędu wpadały na plażę z impetem przypominającym bicie dzwonów przedsionkowych

kilka z nich zatrzymało się przy zwłokach które wyglądały teraz jak strzęp ułamanej gałęzi dinozaury

pterodaktyle zbijały się w grupy pozbawione przewodnictwa i większego sensu w dziwnej pogoni i ucieczce nie umiałem tego nazwać nigdy nie powinienem był zasłużyć na świadectwo światowego rozrodu namiętności i zawiści

konie szły w równych odstępach zamasyżycie ruszając bokami po kawaleryjska żadnych wiadomości jakieś resztki zawieruszonych skreśleń niedomówień wszystkiemu winien był platon zwierzęta przedostawały się do krtani najgorętszych przemówień parapokojowych czułem tętent w każdej tkance rozsadzały mi skronie zatrzymywały bieg krwi pokątny naprzemienny bieg trudny do rozszyfrowania w aktualnych warunkach nastawionych na całkowitą sprawność i brak identyfikacji na samobójstwa dyrektorów linii lotniczych i mnichów buddyjskich przypadkowych dewotek na placu o dowolnej nazwie i dowolnej odległości przysłonie wrażliwości błony filmowej przypadkowego fotoamatora

konie szły równo w każdej frazie zdania frazie całkowitego opadania rąk są przecież jakieś hipotezy na ten stan wielkiego wybuchu wielkiej ucieczki bezbożnego okłamywania się i iluzji biletowej za wstępem do miejsc zakazanych do mitologii podupadłych Słowian zagubionych w centrum europy musi być jakieś wytłumaczenie tego łajdactwa

na plaży jest już tłok nie ma nikogo kto mógłby pokierować tą przypadkową biologią siedzę na snopie wydmy sparaliżowany jawnym zezwierzęceniem i czytam regulamin konkursu o inny wyraz twarzy staram się nawiązać uczciwy dialog z platonem dowiedzieć się o przyczynie śmierci pitagorasa ale zwierzęta wypełniają mnie od środka z przerażającą regularnością znikania i pojawiania się na ziemi

nie opodal maszeruje zgodnie stado gęsi które ma ocalić rzym święte miasto które oprze się najazdowi

teraz naprawdę zaczyna się o mnie od mojego tętentu krwi od omylenia na wypadek śmiertelnego wypadku w godzinach szczytu w jawnych godzinach jak się okazało obcowania z człowiekiem z

tramwajem przywróconym na bok na właściwy bok który wywnętrza się w potoku ulicznym czekam na odpowiedni sygnał uprzywilejowanego pojazdu o określonych ilościach śladów znowu odciski na ziemi piasku krętych torowiskach myśli nawet są kłopoty z odczuwaniem czasu w takich okolicznościach nie wolno ruszać nawet jakby nie wiem co jest się własnością ulicy tego zamarłego tłumu który patrzy z wysoka swoich kończyn w połowie na przestrzał moich myśli które zdają się odzyskiwać swój właściwy przepływ moc twórczą badam niedowład ręki ale tylko zgrzyt i rzenie koni obłąkańczy taniec trwa na krawędzi na krawężniku istnienia o dowolnej porze dnia najgorsze są zadania z arytmetyki poszukiwania niewiadomej w zgodzie z regułami gry ktoś pisze pamiętniki na konkurs wyprzedaje się z entuzjazmem zachowując podwójną interlinię żeby nie było wątpliwości o dochowaniu warunków

galop wzmaga się pewnie już powiadomiono najtęższe pracownie niedowład kostny czuję tętno ziemi do tej pory było zbyt mało muszę wywalczyć to istnienie mam ich znowu przy sobie jak na zamówienie na jednym z wybrzeży mego ciała rozpoczyna się ostatnia batalia o przeżycie kilku gatunków skazanych na zagładę nie wiem dlaczego przed oczyma i przed duszą starannie umeblowane biuro śledcze na ścianie drgają zdjęcia znowu twarz pitagorasa pada pytanie czy go pamiętam kręcąc przecząco głową chociaż mam odwagę przyznać się nie nie poznaję nigdy nie miałem przyjemności nawet trójkąty są teraz obce szelest przesuwanej ramki wywołuje kolejny dreszcz niepokoju tak to już rzeczywiście jawa nie rozumiem o co im chodzi przecież od dłuższego czasu biorę poprawkę na pewne odruchy i stany też nie wolno unikać odpowiedzi muszę potwierdzić przez pokolenia które nie mają już nic do powiedzenia

teraz znowu imię i nazwisko pochodzenie ilość zdobytych i straconych punktów przywykłem do dochodzenia do przeinaczania się w zwięzły kłęb materii bruk jest cierpliwy oddechy ludzi którzy przypatrują się narodzinom morza dochodzą do moich uszu to znak że jeszcze nie wszystko stracone coś na temat kartaginy nie opuszczają mnie galopujące stada żółwi błotnych które pomyliły swą odwieczną drogę i kierują się teraz w lądowisko strachu i nienawiści zza krat wychodzi słońce jakiś deszcz krople ale to tylko taki margines utrzymywania korzystnego kontaktu z tamtym światem ze światem którego nigdy nie potrafię nazwać sprawdzam upewniam się ale znowu wypytyują mnie o miejsce urodzenia przypominam sobie z trudem potem dochodzi waga ciała wzrost rysopis brak znaków szczególnych obrzeże tkanki łącznej przestało funkcjonować trzeba wzmocnić odpowiednie działania śledzę ostatnie doniesienia ostatnie doniesienia są optymistyczne nie mogło być inaczej czuję wyraźny oddech gruboziarnisty oddech plaży na której przyszło mi leżeć w obecności pokątnych i nieprzekupnych przyjaciół nie będzie żadnej intrygi na mój temat żadnej fabuły to stało się grubo wcześniej zanim odczułem ten dziwny tętent który unosi mnie nie wiadomo gdzie i po co czułem wyraźnie pytają o cel o cel czego jaki cel czy wszystko musi być podporządkowane celowi odgórnemu globalnemu ludzkiemu platon miał rację wierząc dziurę narodzin musi nastąpić powtórnie jeśliby trzymać się pierwotnego stanu dziwnej nieważkości słyszę wyraźnie jak dobierają się do mojego ubrania ostatnia myśl o guziku najnormalniejsza myśl o guziku nie zdążyłem go przyszyć teraz pewnie zabiorą się do mojej głowy płuca płuco-serca nic z tego wywiad trwa dalej przebyte i nie przebyte choroby przeczytane książki wykształcenie wbrew sobie tego oczywiście nie można pominąć gęsi maszerują na rzym biedny rzym przyjdzie mu się zhańbić neronem ciceronem i na koniec śpiącymi strażnikami myślę że nie będzie źle służby wodne z pewnością zostały już powiadomione dalsze poszukiwania mojego rodowodu ewentualnego rodowodu mojej ojczyzny która od dawna przestała się o mnie upominać przyznaję rację i czekam na dalsze pytania wiem że ruch wokół mnie zamarł szukam ostatniego słowa przecież nie odmawia się skazańcowi bronię się przed tym w miarę kolejnego

upływu tracę rozeznanie w sytuacji najchętniej nie najchętniej to nie jest właściwe słowo cień słowa słowo wyobrażone na tę okoliczność dziwnego trwania nie ma żadnej nazwy tępy wzrok nauczycielki która pragnie wydusić ze mnie kolejne głupie wiadomości na temat antylop parzystokopytnych jak to

możliwe sprawdzam w pomocach naukowych odgarniam pajęczyny które stanowią kolejne pytanie nie teraz odczuwam natłok słów zbędnych nic nie mówiących to był oczywiście wypadek kwestia stron podjęcia niestosownej decyzji to samo spotkało pitagorasa ale on ma jeszcze jakieś szansę martwym tłumem który lustruje mnie z wysokości rozlewiska codziennego szmeru za dużo możliwości zwierzęta galopują w równych odstępach przygotowuję się na najgorsze zetknięcie się z obcą niedzisiejszą cywilizacją lęku tak to chyba należy rozumieć ani jednej wzmianki na ten temat prawdopodobnie czytam niewłaściwą gazetę zielona maź wodorostów

zaczęło się od tamtej strony akurat przekraczałem rubikon i kompletowałem powieści mitologiczne chodziło o uczynienie kroku jednego kroku na śliskim bruku który tężał od słońca nagle zupełnie bez powodu bez pośpiechu po drugiej stronie rzeczywistości zaczął się wielki tumult który nie ma jak mi się zdaje końca znowu informacje o wielkich uczonych i dziwnych przypadkach to może się zmienić w tych kilkunastu minutach nie chcę znać aktualnej temperatury wrzenia nie stać mnie na włączenie się w nurt gestów w takiej chwili przydałoby się coś o człowieku o jego zdolnościach przenoszenia się przeinaczania zamieniania powłoki cielesnej z równo ułożonymi guzikami koniecznie białymi postrzępionymi guzikami zdaje się że to nie odpowiada nastrojowi tutaj z pewnością się tylko leży i wyczekuje tak będzie najroztropniej jutro dowiem się całej prawdy nie do mnie należy pomaganie bliźniemu sam sobie muszę pomóc powiadomiono już kogo trzeba i nie trzeba o moim stanie może przydam się jeszcze przed udaniem w ciemność tętent maleje należało się spodziewać po tak długim niewidzeniu się gdyby nie prawy policzek istnieje jakaś hipoteza powtarzam w kółko jakaś pewność dziania się milknę znowu pytają mnie o stosunek do tramwaju nie miałem żadnego stosunku przecież mówię prawdę tak mi się wydaje są jeszcze dinozaury ostrożnie przewracam kartki tak to są z pewnością dinozaury poznają je po błękitnych oczach każdy ma taki okres grunt to się wsłuchać ciągle czuję przygniatające ciepło wzdłuż prawego policzka znam się na tym na pewno nie zdążą zawieruszą się na tej plaży zbryzganej posoką zachodzącego słońca nieskończona ilość możliwości zabłądzenia a czas ucieka jednak ucieka podszeptuje mi intuicja nie będzie nic z wywiadu pozostaną suche obliczenia znam dobrze te księgi nie mam jeszcze do nich prawa odpowiednia rubryka podkreślona czerwonym ołówkiem przypadek szczególny też gra rolę formy symboliczne nieraz nie zawsze muszę zaprzestać nie ma żadnej pewności zwierzęta zatrzymują się przy zwłokach niektóre liżą ciało ale to jest moje ciało za dużo sobie pozwalają ucisk nie maleje ucisk rośnie tu nie chodzi o walkę człowieka z człowiekiem czy o zwykły kamuflaż futurologiczny cały czas jestem na ziemi i nie żaden kosmos czuję ją dobrze a więc pozostało mi jeszcze czucie powoli zdaję sobie sprawę że coś mi się jeszcze należy dziwny zbieg okoliczności jest czucie jest ten prosty odruch który towarzyszy żywemu organizmowi żeby sprawę dokończyć waszym językiem rozumiem to i wybaczam wybaczam wszystkie programy publicystyczne i nudne dyskusje przy okrągłym stole niech to się nadal dzieje coś się musi dziać nawet za cenę wiekowych powrotów do błędów ale któż ma siły by spojrzeć galopującym zwierzętom prosto w rozwarłe nozdrza tak to już bywa resztki cudzego głosu nie mogę się zdobyć na jeszcze jeden wysiłek zbyt dużo go było przed przekroczeniem rubikonu teraz znowu sentencja wychodzi całkiem nieźle szkoda tylko że nie na temat a więc nie będzie rozpaczy z tej perspektywy naprawdę wszyscy jesteśmy tacy mali czyjaś twarz ale to złudzenie nikt nie będzie zaglądał mi w oczy czasami trzeba ich posłuchać nikt nie będzie się nade mną schylał skojarzenie schylać się a więc gdzie ja jestem dlaczego ten ktoś miałby się schylać brakuje powietrza obojętnej wiązki chemicznej nie zużytej energii coś ulatnia się na zewnątrz ileś tam procent nie może być zamieniona na pracę z fizyką też miewałem kłopoty pamiętam doskonale a więc jest pamięć to już musi wystarczyć nareszcie prawie że powiedziałbym do końca wstrzymuję się w ostatniej chwili ale fizjologia słów nowe przestrzenie słów też mają swoje własne prawa teraz atakują mnie od strony bolącego zęba potrafię rozróżniać kształty tak to można nieco humorystycznie określić galop antylop

ciągle trwa służby dochodzeniowe sprawdzają w podręcznych katalogach przemijania przez moment dostrzegam twarde wysypiska kamieni porównuje je do braku konceptu w tym momencie zawodzi system nerwowy gdyby jeszcze dodać podglądanie bycia na taśmie ciągłego podsłuchu to znaczyłoby spisać się do końca ale nie mam już sił wzdłuż prawego łokcia rozpoczął się najazd jeszcze ciągle jeszcze to musi być prawdziwy najazd z krwi i kości jak rzekłem w stosownym miejscu wracam do pagórków które otaczają moją spuchniętą głowę właściwie to tu już nie ma głowy prędzej rozkołysany dzwon zygmunta armie przemieszczają się sprawnie wszystko co się rusza wpełza do moich

żył

płuc

mięśni prażących się na słońcu w przypadkowym grajdołku ulicy to już ostatnie narodziny morza morza krwi którym wymiotuję od dłuższego czasu ale nic z tego ciągły brak prawidłowego sygnału pomocy to oczekiwanie powoduje dodatkową wydzielinę adrenaliny zaburzenia bioprądów i całej biomiłości własnej parę ulic dalej trwa normalna produkcja urządzeń galaktycznych nawet słońcu znudziło się chowa się teraz za moją skroń jakby strach mógł dosięgnąć zenitu jakby przypadkowa śmierć mogła na kimś wyrzucić wrażenie nie wierzę własnym oczom tętent ostatni tętent znowu wzmaga się aorta wewnętrzna to ciągły motyw przemijania dobry motyw na prywatny użytek a więc dobierają się ale tutaj nie ma mowy nie ma żadnego zestawu słów to jakby rozpisane na głosy wycie krwi wycie opon mózgowych partytura rozkołysanej wyobraźni przynajmniej wystarcza na samoobronę w ostatecznym wypisywaniu formularzy które świecą z daleka czernią zamajaczonych kresiek właściwie to już koniec nie mam siły przewrócić się na właściwy bok na właściwe plecy a przecież wszystko musi mieć swój wewnętrzny porządek nieubłaganą logikę proporcji nie mam do nikogo żalu o podarte skarpetki i podwinięte spodnie zresztą nie mieszkamy w to krawca ani też pralni chemicznej oni i tak mają sporo roboty czas powstać dać odprawę tym niedowiarkom którzy zebrali się na krawędzi mego wzroku to nagłe zbiegowisko rozumiem chęć nagłości i nieoczekiwanej jawy która pojawiła się jestem głównym bohaterem i to już ostatnia dziwna radość to mnie przysługuje prawo ostatniego słowa prawo ostatniego poruszania się najlepszy pomysł jaki przyszło mi poznać za życia teraz kiedy skazaniec leży w ulicznej piaskownicy nie czas na tryumfy ale to nieprawda ostatni odruch ostatnie drgnienie przeciwko światu we mnie w mojej krwi pędzą tabuny koni morskich i żółwi błotnych największe gady świata i wszystko co największe atakuje tchawicę z powodzeniem zajmuje zachodnie i wschodnie rubieże tętnicy żyłnej przedostaje się do głównego magazynu czerwonego prochu który nawet nie ma siły by wybuchnąć tak spokojnie trzeba jeszcze raz rozważyć ewentualne powiadomienie platon milczy to jest wygodne wyjście z sytuacji wymagającej odwagi odwagi panowie komunikaty o pogodzie przynoszą znany serwis ogólnego krążenia nareszcie słonecznie żadnych zachmurzeń i wyładowań atmosferycznych po raz pierwszy od wielu dni będzie można wyjść na ulicę należy uważać na pieszych nagłe wtargnięcia na jezdnię nie są nagłymi wtargnięciami do historii lęk

Tekst ten powstał w roku 1979 - kiedy to po raz pierwszy w dziejach naukowcom udało się dokonać analizy i rekodacji RNA zawartego w komórkach nerwowych osobnika, którego mózg uległ stłuczeniu w czasie wypadku ulicznego - na język pojęciowy. Można przypuszczać, że tego rodzaju zapisy osiągną z czasem zadowalający poziom artystyczny.

Andrzej Krzepkowski - POŚCIG

Gwałtowne szarpnięcie zbiło Metta z nóg, prawa ściana korytarza skoczyła niebezpiecznie blisko jego głowy - już po ułamku chwili ponownie odbijał się barkiem od ściany przeciwległej, i znów to samo - wariacki skok rakiety, zatoczenie ciałem ryzykownego łuku, odbicie...

Mett uczeplił się klamry zabezpieczenia, błyskawicznie przerzucił dłonie na następną - jeszcze pięć chwytów, jeszcze dwa... Została mu tylko jedna klamra, kiedy wstrząsy raptownie ustały, więc do sterowni wszedł już normalnie. Rozcierając dłonią obolałe ramię stanął za fotelem dyżurnego pilota, rzucił w stronę ekranu:

- Atakował?
- Nie. Przecież wiesz, że on tego nigdy nie robi. Po prostu próbował zwiać.
- Do licha! Tego właśnie do końca życia nie zrozumieję. Dlaczego on nigdy do nas nie strzela...?
- Nie wiem. Jego zapytaj.
- Zwariowałaś?!
- Być może. Ale jeszcze nie na tyle, żeby odwalać za ciebie dyżur. Siadaj...

Elb wyślizgnął się z fotela jak jaszczurka - równie szybko i zwinnie Mett zajął jego miejsce, strzelił zatrzaskami skrzyżowanych pasów, zerknął w tył na plecy wychodzącego ze sterowni kolegi. Potem jak po fortepianie przeciągnął dłońmi po klawiaturze pulpitu, niemal odruchowo wybrał palcami właściwe przyciski i jednym, trwającym zaledwie ułamek sekundy spojrzeniem ogarnął boczne ekrany.

Dookoła - z lewej strony i prawej, na górze i pod nim - przebijały przestrzeń identyczne statki, niosące w sobie całą ludzką rasę. I rznąły próżnię na ryczące kawałki poszarpanej w strzępy odwiecznej ciszy, zmierzając uparcie ku wspólnemu Celowi - Mett wiedział doskonale, że w tej właśnie chwili wszyscy dyżurni piloci całej floty, podobnie jak on sadowią się wygodniej w amortyzowanych fotelach i tak samo ukradkiem zerkają w ekrany. A było przecież na co patrzeć - niezmierna potęga ludzkiej wiedzy powołała, zmusiła do życia i ruchu te - najwspanialsze ze wspaniałych - maszyny, śmigające teraz przez kosmos jak stado rozżartych rekinów w pogoni za motorówką, z której ktoś wyrzucił za rufę wariacko skaczącą po falach pustą puszkę po konserwach uwiązaną na naprężonym do twardości sznurku.

Pościg trwał od wielu już, nawet bardzo wielu lat - młodszy członekowie załóg, tacy jak Elb czy Mett, nigdy nie widzieli ziemskiego nieba. Wiedzieli tylko, że gdzieś za nimi daleko zostało miejsce - planeta zwana przez najstarszych rajem opuszczonym. Wiedzieli - więc tym większą nienawiść żywili ku swemu celowi.

Znali go. Aż do obrzydzenia dokładnie i ściśle pamiętali radarowy obrys Celu w dziobowych ekranach i jego, zapalane od czasu do czasu jak na kpinę, światła pozycyjne. Pędzili więc za tym drżącym ironicznie czerwonym migotaniem ruchomego drogowskazu donikąd, skracali dawne ziemskie lata do przyświelnych godzin i minut wiecznotrwałej próżni - wygięta w drapieźny półksiężyc flota przypominała sforę rozżartych pogonią brytanów na radiowych smyczach, popuszczanych stopniowo i spokojnie z dłoni surowego Admirala...

Płynęły wciąż nowe monotonne dni i lata próżni, nieznaczące z początku wklęsnięcie czoła pościgu powoli przekształcało się w sterowaną czułymi palcami Admirala półkulę. A każdy manewr oskrzydających Cel statków wykonywany był z idealną jak na paradyzie precyzją...

W ciasnej głębi śmigających rakiet matki rodziły nowe dzieci i przeklinały Cel - bo to przecież on zmuszał je do życia w chłodnym, nieprzyjemnym półmroku, podczas gdy trwająca gdzieś za nimi Opuszczona Planeta zwolna pokrywała się pachnącym, zielonym futrem potężniejących przez stulecia drzew, rozbijających swoimi koronami sklepienia siłowych kopół, by wyzwolić znad nich oszalałe od najczystszej błękitu, najbliższe Ziemi, niebo...

Mett pozornie nie zmienił się przez te lata wcale. Tylko coraz głębiej porażało jego mózg zadane kiedyś Elbowi pytanie, coraz mocniej i częściej zazdrościł Admirałowi, znającemu prócz Celu także i Sens pościgu. Rzucone dawno temu w stronę przyjaciela: „Dlaczego on nie strzela?” rozrosło się tera? w kilka kolejnych pytań. Cel był już przecież stosunkowo blisko - więc czemu Admirał nie wydaje rozkazu strzelania?

Już wszystkie kosmoloty ułożyły się w pędzącą, chciwie wyciągniętą paraboloidę - a jednak rozkaz nie padł do tej pory. Czyżby Admirał, mimo wszystko, pragnął ocalić ten nieszczęsny Cel? Ale... do czego mu to potrzebne?

Mett obawiał się, że do końca życia nie pozna odpowiedzi, lecz przyszedł wreszcie taki dzień, w którym zrozumiał wszystko. A może nawet trochę więcej, niż tylko wszystko...

Tego dnia wklęśła czasza pościgu zamknęła się w najeżoną bladymi promykami odrzutu, toczącą się przez próżnię kulę.

Osaczony Cel wyhamował, stanął - jednocześnie zagrały silniki hamownicze wszystkich statków floty.

Cel zachowywał się jak człowiek niezdecydowany w wyborze dalszej drogi. Zatańczył raptownie w lewo, w prawo, jeszcze raz w lewo - potem znieruchomiał ponownie, nie widząc już przed sobą żadnej możliwości ucieczki, i wtedy statki pościgu ruszyły ku niemu powoli - przyczajone, groźne - promień kuli kurczył się leniwie, jak macka ośmiornicy. A później...

Nie był to, na szczęście, dyżur Metta. Nie wytrzymałby chyba. Patrzył tylko w ekran wizora, sprzężonego jak wszystkie w tej chwili z dziobową kamerą rakiety, i nagle, nie wiadomo gdzie przeczytane, przepłynęło przez jego mózg oderwane zdanie: “kosa osadzona na sztorc staje się najstraszliwszą bronią”...

Bo też Cel nie zginął jak zwyczajny meteor w gwałtownych strumieniach rozpędzonych pozytonów. Potężne, zapomniane teraz wyrzutnie promieni milczały ciemno i smutnie, gdy zawzięte statki szarpały Cel na kawałki siłowymi polami roboczych manipulatorów... Szarpały go przez rozwleczone w nieskończoność kilkanaście sekund, aż wreszcie z wnętrza Celu wystrzeliło szalone tornado zamarzającego momentalnie gazu, aż w nadstawione chciwie mikrofony uderzył, przebiegł obwody, buchnął z głośników wzmocniony .jak piorun krótki, urwany w pół dźwięku krzyk...

Zadowolone, nażarte rakiety jak rekiny krążyły jeszcze przez długą chwilę wokół rozwleczonych w kilometry szczątków, nim - ociężałe - sformowały powrotny szyk i ruszyły w stronę Opuszczonej Planety. A że ich podróż miała trwać kilkadziesiąt prześwieatnych lat, więc matki znowu przeklinały umarły Cel, kiedy przyszło im rodzić nowe dzieci...

Mett wiedział już chyba wszystko. Pragnął jednak upewnić się jeszcze i tylko dlatego poszedł do gabinetu Admirala. Dotychczas Mett znał twarz dowódcy jedynie z ekranów wewnętrznej wizji. Twarz, z którą nieodmiennie kojarzył się władczy, zwielokrotniony we wnętrzach megafonów głos wydający rozkazy, od których nigdy nie było odwołania. A teraz Mett miał stanąć przed owym niedosiężnym obrazem i głosem bezpośrednio. Bo chciał tego przecież. Musiał...

Drzwi rozwarły się cicho, zapraszając pilota do gabinetu i zamknęły się za nim z lekkim, niemal nieuchwytnym trzaskiem.

Za szerokim, zastawionym wizorami blatem olbrzymiego biurka siedział drobny, niepozorny urzędnik z twarzą wszechwładnego Admirała. Jego głos - pozbawiony teraz blaszanego przydźwięku ogromnych megafonów - zabrzmiał niespodziewanie cicho i łagodnie:

- O co chodzi, Mett? Dlaczego chciałeś mnie widzieć?

- Chciałem... Chciałem dowiedzieć się... Chcę...

- Czego? Czego ty mógłbyś chcieć? Wykrztuś wreszcie.

- Nooo... chodzi o Cel. Dlaczego my... jego...?

- Zabiliśmy?

- Tak. Dlaczego?

- Bo on nie był taki jak my.

- To znaczy... Czy to znaczy, że on nie był człowiekiem?

- Ależ był, oczywiście... - w głosie Admirała zadźwięczała leciutka nuta niezrozumiałego rozbawienia.

- Więc dlaczego...? A może... - resztki nadziei w głosie Metta zabrzmiały trochę mocniej, metaliczniej

- ... może to był jakiś zwariowany mutant?

- Nie. Prawie normalny człowiek.

- Prawie...?

- Tyle, że myślał inaczej, niż my. Wiecznie coś mu się nie podobało, stale wygadywał najrozmaitsze bzdury o zatruciu naturalnego środowiska Opuszczonej, o głupocie i podłości ludzi aż tak wreszcie wszystkim dokuczył...

- I tylko z tego powodu musiał umrzeć?

- Owszem. Bo ludzie mają myśleć jedynie w taki sposób, jaki prezentują im oficjalnie, powszechnie przyjęte i zatwierdzone wzorce. A on bez przerwy psuł naszą robotę... Chociaż teraz... - tu Admirał znowu uśmiechnął się lekko - ... teraz trochę mi go nawet brakuje... Ale dość tego. Czy jeszcze coś chcesz wiedzieć?

- Nie. Chyba zrozumiałem już tyle, ile mi było potrzeba...

- Więc możesz wyjść. No... idź.

Mett wycofał się bez słowa. Gdyby powiedział, gdyby wypluł z siebie to wszystko... Ale wtedy nie miałby żadnej szansy, zaś milcząc mógł... I nie tylko mógł. Czuł, że musi, musi coś zrobić. Byle co. Byle nie żyć już dalej pod władzą tego niepozornego, obojętnego mordercy. Wszyscy zresztą... - tacy obrzydliwie zimnokrwieści.

Zamyślony Mett wędrował długim, pustym o tej porze korytarzem, nogi same - jak gdyby bez żadnego udziału świadomości - zaniósły go do hangaru rakiet dalekiego zwiadu. Dookoła było niesamowicie pusto i głucho. Rakieta-matka - flagowy statek Admirała - zapadła po zniszczeniu Celu w nużącą beczynność...

Mett wspiął się do wjazdu gotowej do lotu dwuosobowej raketki, zasunął za sobą ciężkie, pancelitowe łuski.

Usadowił się potem wygodnie i mocno w fotelu pierwszego pilota, spokojnie ściągnął ku sobie dźwignię rozruchu.

Obudzone radiowym impulsem masywne osłony wyrzutni rozchyliły się przed obłym dziobem małego kosmolotu jak leniwe płatki potężnego kwiatu, wyjrzała zza nich swobodna, rozgwieżdżona próżnia...

Jakiś człowieczek w skafandrze rozpaczliwym susem podpłynął ku wibrującej coraz szybciej rakiecie - z ekranu przed Mettem wychyliła się nagle bladozielona twarz przerażonego Elba.

- Mett, idioto! Co chcesz...?

- Schowaj się, Elb. Ty też jesteś...

- Nie. Nie schowam się, dopóki nie wyjdiesz...

- W takim razie przykro mi, że to właśnie ciebie... Atomowy płomień z rozświetlonych, nagranych

dysz smagnął rozkrzyżowaną śmiesznie figurkę, cisnął ją na stalowe grodzie oddzielające resztę statku od komory startowej.

Powiadomiony o zejściu Admirał poszedł spokojnie - straszliwie powoli i spokojnie - do sterowni, zapadł głęboko w miękki, wyściełany pianoplastykiem fotel, uniósł dłonie nad głównym pulpitem - na tablicach rozdzielczych statków całej floty błysnął, utrwalił się nowy kurs... Więc obłe, ostronose jak rekiny rakiety zatańczyły po czarnym niebie, zebrały się w ogromną strzałę - w ich ekranach dziobowych zamigotały niepewne, czerwone światełka, zielone linie radarowego obrysu...

Admiralissimus uśmiechnął się leniwie...

Andzej Krzepakowski - CZŁOWIEK Z GARBATYM MÓZGIEM

Stał - z tą swoją śmieszna, szeroką głową. Nieruchomy. Tylko wydęte nauszniaki pobłyskiwały srebrzyście, kiedy wodził wzrokiem od twarzy do twarzy, i wszędzie - z przodu, z tyłu - łowił oczyma ten sam, powtarzający się aż do obrzydzenia wyraz strachu i nienawiści i - odsłonięte w zwierzęcych grymasach zęby. Pomyślał - "jak stado, które można rozpędzić byle zmarszczeniem brwi, podniesieniem ręki". Czekał... Sam nie wiedząc - na co?

Bo i co mogłoby się zmienić? Od pierwszej chwili, od wyjścia z Instytutu otoczył go wciąż rosnący, rozhisteryzowany tłum. Potem poleciały kamienie - więc instynktownie użył swojej siły, osłonił się szczelnym polem przed niespodziewanymi razami. Tak dotarł do fontanny na rynku - kamienna kobieta załamywała ręce nad przewróconym dzbanem, z którego woda lała się nieprzerwaną strugą.

Podobnym, rozpaczliwie błagalnym gestem wyciągniętych dłoni powstrzymał szarżującą, rozjuszoną masę, więc stanęli naprzeciw niego - wszyscy dyszący bezrozumną złością, odruchową nienawiścią do tego co inne, co obce...

Bo był obcy. I nieważne, że przecież mieszkał w mieście od urodzenia, że razem z niektórymi z nich jeszcze w szkole siedział w jednej ławce, że wspólnie kradli jabłka i czereśnie z okolicznych sadów.

Pół roku temu -omalże z dnia na dzień - stał się inny...

Przez kilka pierwszych dni traktował swój ból jako coś przejściowego. Dreszcze, zawroty głowy, nieprzyjemny ucisk w uszach - ot, nawrót grypy po prostu. Lecz czwartego dnia ból stał się o wiele gorszy - coś rozsadzało mu czaszkę i świdrowało bębniaki tak, że chwilami głuchł całkowicie. Trochę później chwile zaczęły wyciągać się w godziny, a potem...

Potem zaczął słyszeć inaczej. Jakieś słowa o nim, a przecież wcale nie dla niego przeznaczone. Z ruchów warg przyjaciół czytał pytania o swoje zdrowie i wyrazy zmartwienia jego mizernym wyglądem, i słyszał - w tym samym momencie - „ten kretyn myśli, że mnie coś jego wygląd obchodzi...”

To właśnie było najgorsze - początkowo zaczął podejrzewać siebie o nagle ujawnione kompleksy, wreszcie o jakąś psychiczną chorobę. Dopiero wtedy wezwał do siebie lekarza...

Świat zmienił mu się na długie miesiące - dni odmierzane wizytami zaaferowanych lekarzy ciągnęły się jak guma do żucia, zapach lekarstw i karbolu zajął miejsce wszystkich innych woni, wypełniał nozdrza, zostawiał w ustach nieprzyjemną gorycz.

Miał czas. Dużo czasu. Więc całymi godzinami analizował to, co kiedykolwiek przeżył, starając się zrozumieć - dlaczego? Czyżby zawinił właśnie tamten niedosterowany wybuch jądrowy, którego wstydił się od dobrych paru lat. On - nukleonik, który nie potrafił doprogramować porządnie głupiego przebiegu kontrolowanej reakcji łańcuchowej. Ale wtedy skończyło się przecież na miesiącu leczenia zaledwie. Stosunek ilości krwinek białych do czerwonych szybko wrócił do normy, oparzenia zgoiły się niemal bez śladu. Tak w każdym razie myślał. Wtedy.

A teraz - już prawie cztery lata po wypadku - jego mózg gwałtownie zaczął zwiększać swoją objętość. Sfalowana tkanka wypełniła wnętrza uszu, rozdarła słabe błony bębenków i, chroniona zgrubiałą warstwą opon mózgowych, zaczęła zwijać się po obu stronach jego głowy w spiralne, ohydne, niemożliwe precle. Kiedy po raz pierwszy przyniesiono mu lustro...

A Profesor... O tak, był wręcz zachwycony, Każdy, bodaj najmniejszy wzrost telepatycznych zdolności swojego najcenniejszego pacjenta, każdą zmianę spowodowaną wydobyciem się części rosnącego mózgu

z osłony kostnej witał jak objawienie. Zaś - najzupełniej przypadkowo odkryta - zdolność izolacji polem siłowym od nieprzyjaznych wystąpień innych chorych wzruszyła starego naukowca tak, jak tylko matkę śmiertelnie chorego dziecka rozczulić może jego niespodziewane cudowne ozdrowienie. Profesor przesiadywał przy łóżku "swojego" chorego, skrajem fartucha przecierał wilgotniejące okulary, odchodził - by po chwili powrócić. Upewniał się, przekonywał siebie i pacjenta o niewątpliwym szczęściu nauki, mającej do zbadania jedyny na świecie przypadek korzystnej mutacji człowieka poddanego promieniowaniu - gamma. Aż wreszcie wzrost nowej tkanki zatrzymał się...

Pierwszy spacer po szpitalnym parku. Potem następne, coraz dłuższe - metalizowane, dopasowane dokładnie pokrywy po obu stronach jego głowy kryły w sobie moc mózgu trzykrotnie większego od normalnych. Więc "słyszał" lęk innych chorych, do których bezskutecznie starał się dołączyć - unikali go jak trędowatego.

Lecz dopiero za bramą Instytutu podobne reakcje ludzi odczuł aż tak gorzko i jaskrawo. Był sławny. Miasto wiedziało o jego chorobie, i może właśnie dlatego, że kiedyś żył w nim jako zwykły, normalny człowiek, teraz nie chciało go uznać.

Od pierwszych kilku kroków na ulicy poszczuto go psami jak garbatego podrzutka Elego, znalezionego kilkanaście lat temu pod murem szpitala.

A jednak nie mogli mu przerwać tego spaceru. Był nietykalny. Całym swoim ciałem transformował wrogą falę zjednoczonych przeciw niemu psychik w siłowe pole ochronne, wyczuwał i niwelował impet rzucanych z rozmachem kamieni - im więcej ich było, tym bardziej rosło natężenie pola. Im mocniej pragnął być razem z nimi, tym gwałtowniej go od siebie odrzucali rozwścieczeni tym, że niczym nie mogą go dosięgnąć. Więc stał nieruchomo w cieniu zrozpaczonej, kamiennej kobiety i powoli wodził oczyma po rozbestwionym tłumie. Kiedy obracał głowę, od nauszników strzelały drżące błyski, oświetlały kolejne, obrzydliwe takie same twarze, aż...

Jakiś silniejszy błysk sięgnął za zbite ciasno głowy, rozjaśnił na moment twarz Elego.

Potrącany ze wszystkich stron garbus stał bez ruchu, i uśmiechał się. Lecz nie złośliwie, nie tryumfalnie. Uśmiechał się po prostu i zwyczajnie.

Tłum zaczął rozstępować się, umykać w popłochu na boki - dopiero po zrobieniu kilku kroków zrozumiał, że idzie. Idzie, bo to łagodne, nieśmiałe skrzywienie zazwyczaj boleśnie zaciśniętych warg oładnęło nim niepodzielnie. Jeszcze parę kroków - przyjaźnie osłonił plecy Elego ramieniem. A dalej poszli już razem - obaj jednakowo, groteskowo niepotrzebni.

Andrzej Krzepkowski - WYTRZYMAĆ CISZĘ

...Być może pojmą to dopiero w wiele, bardzo wiele lat po ucieczce, którą sami siebie skazą na ciszę. Kiedy upłynie sto lat od opuszczenia nie chcącej ich Ziemi, zaczną rodzić się piąte kosmiczne pokolenie i właśnie wtedy Bob Shinton ostrożnie wyjmie z pościeli lekkie, bezwładne ciało swojej czteroletniej córki chorej na brak zwyczajnego powietrza i słońca.

To będzie wina rodziców, że dziecko urodzi się z sześcioma palcami u każdej małej, wychudzonej dłoni. Właściwie - tylko pośrednio ich wina. Ci winni naprawdę dawno już do tego czasu umrą nie wiedząc, że kiedyś tam w przyszłości skumulowane w ludzkich organizmach promieniowanie kosmiczne zniekształci każdy najprzemysłniej chroniony kod genetyczny i że praprawnukowie pierwszych uciekinierów będą rodzić się jako kalekie mutanty... Ale to wcale przecież nie musi znaczyć, że Bob Shinton nie będzie kochać swojej małej Evy zupełnie tak samo, jak dziecko normalne. Może tylko, słuchając z lękiem bradykardycznego rytmu jej słabiutkiego serca pomyśli z żalem, że przecież powinno być inaczej. Zupełnie inaczej...

Ale kiedyś otrzyma wreszcie od losu tę niesłychanie rzadką, prawie niemożliwą szansę. Okazję, która może zdarzyć się najwyżej raz na milion przebadanych, rozrzuconych po kosmosie planet. Tego dnia (sztucznego, bo prawdziwe i ziemskie zostaną za nimi jedynie w legendzie) wezwie go do siebie Komandor flotylli i wskaże mu bez słowa ekran rozjaśniony dalekim, opalizującym obrazem położonej trochę w bok od ich zasadniczego kursu, życiodajnej być może planety. Więc Bob Shinton - także bez słowa - poleci szukać dla swojej córki nowego świata i słońca...

Właściwie poleci ich trzech: Bob, Leo Burscott i dokooptowany do wyprawy Phenian Malbreux mieszkający na sąsiednim statku.

Przez nieznośną, niemożliwą do wytrzymania ciszę czarnej przestrzeni ich planetolot śmignie ku nieznanemu globowi, okrąży go kilkakrotnie, potem zwolni do minimum szybkość lotu, by wreszcie osiąść łagodnie na powierzchni gruntu, wypalając przy okazji ogromny krąg w falującym wokół, szerokim oceanie wysokich, jasnoczerwonych zarośli podobnych trochę do stepowej trawy.

Mianowany dowódcą rekonesansu Bob Shinton sięgnie pod fotel po „głupiego Jasia”, leżącego do tej pory spokojnie wraz z kaburą w skrytce pod siedzeniem. Przypnie go do pasa wiedząc, jak bardzo nie pasuje do stupora promienistego ta pobłażliwa, niemal pieszczotliwa nazwa, nadana ładowanemu izotopem plutonu wibratorowi przez jakiegoś zapomnianego kosmopilota, który umrze dobrych parę dziesiątków lat wcześniej przed planowanym przez Shintona podbojem nowego świata...

Bob obróci się po chwili w stronę siedzących jeszcze kolegów, popatrzy może na nich przez moment uważnie, nim rzuci półgłosem: - Wy też...

Mężczyźni w milczeniu sięgną pod fotele, potem dopną skafandry, wcisną na głowy pancerne hełmy i w ślad za dowódcą pospieszą do komory wjazdu.

Pchnięta serwowotorem kłapa uchyli się z wolna - czarny otwór śluzy będzie ział w niebo jak wycelowana w powietrze armata - mężczyźni spojrzą przez równinę gdzieś daleko, na widniejące spoza linii horyzontu,omalże niebosiężne góry. I patrzeć będą bardzo długo...

Ockną się potem raptownie, sprawdzając wskazania analizatorów składu atmosfery, lecz nawet wtedy, kiedy okaże się, że w powietrzu są tylko gazy obojętne zmieszane z dwudziestoma procentami tlenu, nie zdejmą hełmów, nie uchylą ani na moment pancernych szyb przed swoimi oczami. Będzie to

bowiem planeta, która nie powinna spodziewać się z ich strony niczego dobrego, a więc i trzech mężczyzn nie będą chcieli liczyć na jej przychyłność. Woleli będą natomiast wierzyć niezbitcie, że lada chwila w którymś czystym i łagodnym powiewie delikatnego wiatru może zjawić się jakaś ulotna, zjadliwa trucizna. Nastawią więc tylko na maksymalny zakres podłuchu radio - i elektroakustyczne przetworniki, żeby nie dać się zaskoczyć potencjalnej, wyczekiwanej groźbie... Aż wreszcie pierwszy, najbardziej niecierpliwy Malbreux rzuci w eter:

- Pójdziemy?

- Oczywiście... Musimy przecież...

- Nie pomyśl tylko, że jedynie ty chcesz nareszcie zacząć żyć jak człowiek. My też...

- W porządku. W razie czego...

- Zrozumiemy się bez gadania - w tym momencie wszyscy trzech odruchowo dotkną uwięzionych w kaburach stuporów.

Już po chwili ześlizną się zwinnie po składanej drabince, staną na pulchnym i żyznym popiele spalonej trawy, podążą ku szumiącej nie opodal ścianie ocalałych z pożaru roślin. Będą rozglądać się dookoła czujnie i nieufnie, ostrożnie rozchylając prężne, jasnobrunatne łodygi i czerwone liście; będą dzięki wyczulonym na infra - i hiperdźwięki przetwornikom podsłuchiwać nie podejrzewającą niczego planetę. Aż nareszcie spośród dalekich szmerów i niezrozumiałych trzasków wyłowią odgłos wyraźniejszy niż inne i... poczują niespodziewanie, że podobne dźwięki powinni przecież znać, choć nawet nie będą wiedzieć, ile tysięcy lat na Ziemi zakodowało w pamięci ludzkiej rasy podobne głosy.

Dźwięki będą urywane i zmieniać się będzie ich natężenie - mężczyźni pojmą, że źródło tych jakby znajomych odgłosów zbliża się ku nim stosunkowo szybko, i zanim jeszcze zdążą zorientować się, czy to jakaś maszyna, czy nie znane im do tej pory zwierzę tylko, spośród ugrowych łodyg wychyli się ku nim zabawny, wyposażony w troje ciemnobrązowych ślepiów kudłaty pysk zaciekawionego stwora...

Zwierzę skoczy między ludzi na wydeptany ich stopami plac i przycupnie na chwilę spokojnie - kiedy Leo Burscott zauważy, że ma ono trzy nogi, zażartuje:

- Pewnie tutaj obowiązuje kult troistości. A jak jeszcze spotkamy trójgłowe i trójpłciowe istoty stosujące regułę trzech...

Mężczyźni uśmiechną się do siebie ponuro, a potem Bob Shinton - oceniwszy przyjazne spojrzenia stwora - zauważy:

- Ono powinno być oswojone, i to przez istoty dosyć do nas podobne... Jeżeli pójdziemy za nim, to może doprowadzi nas do... - i Bob urwie, jakby nie chcąc mówić więcej ani pół słowa. Mężczyźni jeszcze raz spojrzą na siebie, na obskakujące ich od paru chwil stworzenie, które odbijając się jedyną tylną nogą od ziemi spróbuje wilgotnym jęzorem lizać ich widniejące za szybami hełmów twarze. A potem pójdą trop w trop za skaczącym zwinnie zwierzęciem...

Po półgodzinie dotrą do wydeptanej wśród chaszczy wąskiej ścieżki - kiedy przystaną, usiłując na ubitym gruncie odróżnić jakieś ślady mieszkańców planety, zwierzę zacznie się niecierpliwić, będzie próbować podbieganiem do przodu i wracaniem po chwili przynaglić ludzi do dalszego marszu. Malbreux pierwszy podniesie się z klęczek stwierdzając:

- Chyba powinniśmy pójść za nim. Z tych mizernych odcisków i tak się przecież niczego nie dowiemy.

- A może... może to właśnie "ono" okaże się mieszkańcem planety? - Shinton z Burscottem zamyśla się na chwilę, wreszcie otrzepią kolana z kurzu i powędrują w ślad za najwyraźniej uradowanym stworzeniem. Malbreux zamarudzi jeszcze przez moment, potem gwałtownie zacznie biec, dopędzi idących powoli kolegów...

- Słuchajcie... - zadyszcy - słuchajcie. Może "ono" jest ich zwiadowcą? Jeśli prowadzi nas prosto w jakąś zasadzkę...?

- Poradzimy sobie.

I trzech mężczyźni już zdecydowanie pomaszerają za zabawnie podskakującym zwierzęciem. Po kilkudziesięciu minutach szybkiego marszobiegu za którymś zakretem wijącej się kapryśnie ścieżyny ludzie nieoczekiwanie zobaczą jasny prześwit między dwumetrowymi łądygami traw...

Zwierzę puści się do przodu olbrzymimi susami, lecz zanim któryś z mężczyzn zdąży sięgnąć po stupor, stwór zawróci, wryje się przednimi łapami w ścieżkę tuż przed kosmonautami i znowu wyda kilkanaście nagłych, urywanych dźwięków. Ludzie zorientują się wtedy ostatecznie, że jego głos nie jest artykułowaną mową, ani nawet sygnałem dla kogoś ukrytego w chaszczach, ale na wszelki wypadek zejda ze ścieżki i rozpychając gęste, elastyczne łądygi zaczną przedzierać się powoli w stronę otwierającej się przed nimi jasności...

Ukryci w gęstwinie będą potem długo, bardzo długo patrzeć na widoczne w oddali skupisko kopulastych budowli, między którymi pojawiać się będą od czasu do czasu i znikać sylwetki zajętych jakimiś swoimi pracami mieszkańców planety. Odległość będzie na tyle duża, zaś ruchy istot tak szybkie, że nawet akomodujące zgodnie z żądaniem soczewki pancernych szyb nie pozwolą ludziom zauważyć dokładnie, czy istoty mają ryje, czy po prostu twarze, czy mają ręce opatrzone chwytymi palcami, czy pełne przylg macki. A czasem będą też spoglądać na odpoczywające w pobliżu zwierzę, rozciągnięte na świeżo zoranej ziemi graniczącej z obszarem czerwonych traw. Będą zastanawiać się, co też "ono" może z całej tej sytuacji rozumieć. A potem znowu wpiją się chciwymi oczami w nie skrupowaną metalowymi ścianami statków przestrzeń, w łagodne ku niebu wyokrąglone dachy spokojnych i na pewno przytulnych domów. Więc będą pragnąć i zazdrościć tamtym istotom wygodnych, zasiedzianych chyba z dawien dawna schronień pod płynącymi leniwie wełnistymi obłokami...

Shinton przypomni sobie córkę czekającą na niego w mijającym tę planetę kosmolocie i może gwałtownie, niepohamowanie zapragnie dać jej to rozkosznie jasne i ciepłe słońce tak, jak mają je mieszkające tu istoty. I... ich dzieci...

Shinton zdecyduje się nagle. Wstanie raptownie, wstaną też z wygnięcionych łądyg Phenian i Leo. Wszyscy trzech popatrzą na siebie nawzajem i zrozumieją się bez zbędnych słów. Tylko Malbreux westchnie ni to do siebie, ni to do kolegów:

- Niesamowite...

A potem Bob Shinton szybko i zwinnie jak na pokazie sprawności wyciągnie z kabury "głupiego Jasia", wyceluje momentalnie podrywając rękę na wysokość zmrużonego oka - ostry błysk buchnie z lufy, zjonizuje powietrze - trójnogie zwierzę zerwie się i w tej samej sekundzie padnie martwe z rozchlastanym na dwoje pyskiem. Burscott skoczy w tę stronę, pochyli się nad miejscem, gdzie smuga śmiercionośnych cząstek przeorze tłustą glebę, kilkakrotnie włączy i wyłączy licznik promieniowania patrząc z uśmiechem na strzałkę wskaźnika wybijającą za każdym razem ponad pięćdziesiąt rentgenów.

Jego uśmiech będzie teraz zupełnie inny niż wszystkie poprzednie - koledzy odpowiedzą mu podobnymi, tak samo pełnymi radości i smutku zarazem uśmiechami - a potem odwrócą się od osiedla w stronę czekającego na nich planetolotu, wyglądającego z daleka jak koszmarnie groźny, przyczajony pajak. Zrobią kilkanaście kroków, nim Burscott, który zdąży jeszcze w przelocie chwycić do ołowianego pojemniczka próbkę wyjałowionej wibracją, radioaktywnej, nie nadającej się do uprawy gleby, dogoni ich i pójda już razem tak szybko, jakby gonieni przez niezrozumiały, nieoczekiwany wstyd...

Za niespełną godzinę wejdą po kilkunastu metalowych szczeblach, drabinka złoży się automatycznie, podciągnie do wejściowego luku - zamykający klapę Bob Shinton jeszcze raz spojrzy na przyjazne niebo, na dalekie słońce i góry, może pomyśli w tej chwili o swojej chorej córce i... zdecydowanie, mocno zatrzaśnie za sobą właz. Dobiegający z zewnątrz poszum rozfalowanych łagodnym wiatrem traw urwie się raptownie i już przed startem ponownie ogarnie ludzi znana im doskonale, ponura, wielka jak kosmos

Andrzej Krzepkowski Leszek Olczak - SZCZEPAN!

Potężny strumień płynnego ognia szarpnął nadwątloną ścianą, zlizął z niej resztki nie obłupanej farby. Jol skulił się, okrył głowę azbestowym kocem...

- Żyjesz? - pytanie dobiegło z tak daleka, że nie umiałby określić - skąd. I nagle zaskoczyła go radość, z jaką przyjął ten obcy, pierwszy od wielu dni głos. Dotychczas unikał ludzi - sprawiali mu przykrość swoim nieufnym, obmacującym wzrokiem, choć sami przecież byli nie mniej dziwacznymi. Może tylko było to trochę słabiej widać, niż jego - przewężoną jak klepsydra - głowę... Ale teraz, gdy potworne siły rozsadały ten ich zadowolony z siebie świątek, ucieszył się, że jest obok ktoś, kto oddycha.

Zasapany, niewidoczny człowiek ponowił pytanie, Jol wyłowił w jego głosie nowy akcent - jakąś niespodziewaną nutkę troski o innego człowieka. Więc rzucił półszepem:

- Żyję... jeszcze... Kim jesteś?

- Byłem. Byłem mieszkańcem tego miasta.

- A teraz?

- Miasta nie ma... Możesz wyleźć spod tego koca. Chyba już przelecieli...

Dźwignął się bardzo powoli, niepewny reakcji tamtego. Przekonał go dopiero przyjazny, omijający jego wygląd, niemal serdeczny uśmiech. Uczucie radości udzieliło się więc i jemu - zaczął niejasno pojmować, że właśnie teraz ma szansę stać się jednym z nich. Już tak naprawdę...

Ostrożnie wyjrżeli przez resztki okna, wyszli i - rozglądając się uważnie - powędrowali przewróconą, przenicowaną ulicą. Narastający gwizd pod niebem nasilił ich czujność - po ułamku sekundy zgodnie skoczyli w czerniejącą najbliższą bramę.

- Jak ci na imię?

- Jol. A tobie?

- Wren... Cholera, skąd ONI się wzięli?

- Pojęcia nie mam... Wiem tylko, że niszczą wszystko, co ma dwie ręce i głowę. Ukrywam się od tygodnia...

Coś skrzypnęło za ich plecami przeciągle - skulili się, przerażeni, oczekując okrutnego bólu - błysk słabego, przyćmionego światła wrysował w ścianę przed nimi nie dokończony prostokąt. W poszerzającym się powoli obrysie dostrzegli niewyraźny cień ludzkiej głowy. Głos za nimi zabrzmiał łagodnie i cicho:

- Chodźcie.

- Kto ty...?

- Chodźcie, tam dalej jest schron.

Zaskoczeni spotkaniem i spokojnym tonem nieznanego podnieśli się posłusznie, poszli za tamtym przez oświetlony migającą latarką korytarz. Drugie drzwi - odruchowo zmrużyli oczy przed ulewą niebieskawego blasku.

- Stare laboratorium - wyjaśnił nieznanemu przewodnik.

Pomału docierały do nich obrazy kolb, retort i fantastycznie poprzepłatanych węzownic - bardzo, bardzo nieśmiało wracała im kojąca świadomość dobrej, bezpiecznej ciszy.

Kilkanaście męskich nie ogolonych twarzy obróciło się w ich stronę, przez chwilę Jol czuł się jak wyceniona na jarmarku kobyła.

- Co za jedni?

- Szczepant Jol... - jego słowa zadźwięczały niechętnie, niemal wrogo, bo znowu wyczuł narastanie

swojej inności.

- Nie musisz tego podkreślać. Mamy oczy. A ten drugi?
- Wren. Koordynator szóstego stopnia.
- Co robiłeś przedtem?
- Syntezy białek. A... wy?
- Naukowcy. Różne specjalności, przydasz się i ty...

Za ścianą brzęknęły naczynia. Przewodnik zauważył mimowolne drgnięcie i spojrzenie Jola, ruchem głowy wskazał miejsca przy stole.

- Dobrze trafiliście... - uśmiechnął się. - Obiad...

Jol momentalnie zapomniał o wzbierającej w nim niechęci - tygodniowa głodówka przytępiła ostrość jego reakcji na ludzi i ich ukradkowe, pełne litości lub wstrętu spojrzenia. Poza tym - ci ludzie mieli jedzenie... Wyczulonym węchem wykrył dawno zapomniany zapach smażonego mięsa...

Przez kilka następnych dni Jol starał się pojąć, na czym polega ich praca. Bo ci ludzie pracowali - w opustoszałym, niemal doszczętnie zniszczonym mieście potrafili znaleźć sobie jakieś niezwykle ich absorbujące zajęcie. Najpierw długo montowali skomplikowane przyrządy i układy pomiarowe, potem przynosili najrozmaitsze próbki kamieni i tworzyw z rozwalonych domów, by badać je wszystkimi możliwymi metodami.

W tę swoją pracę od pierwszej chwili wciągnęli także Wrena - koordynator wyruszał wraz z nimi do miasta, ukrywał się przed patrolami Obcych i wracał - roztrzęsiony i niespokojny - by następnego dnia wyjść znowu...

Jol natomiast rozkoszował się przede wszystkim spokojem. Nie zwracali na niego uwagi; nikt nie przyglądał mu się z poniżającym politowaniem, nikt nie zaproponował mu współpracy, więc po prostu obserwował ich tylko, i czekał...

Ograniczył się do sprzątnięcia sal po doświadczeniach i do pomocy w przyrządzaniu posiłków. Oba jego mózgi zapadły chwilowo w swoiste odrętwienie - ograniczone automatyzmem codziennych prostych czynności koegzystowały tak spokojnie, jak nigdy do tej pory. Kiedyś - jeszcze miesiąc czy dwa zaledwie przed najazdem Obcych - uparcie walczyły o władzę nad wspólnym ciałem. Miały zbyt różne poglądy i nawyki, by mogły współżyć we względnie choć spokojnie. Nie pomogła nawet głęboka korekcja świadomości dokonana przez profesora Craiga. W obu mózgach nadal trwały jakieś nieuchwytnie, wymykające się wszelkim badaniom i eksperymentom, ślady dawnych przeżyć. Czasem tylko - lecz zdarzało się to niezmiernie rzadko - zaczynał w Jolu dominować pierwiastek trzeciej, powstającej z obu poprzednich, świadomości będącej samoobroną organizmu szarpanego co chwila sprzecznymi rozkazami. Było to jakieś niesłuchanie, jeszcze nieśmiałe usiłowanie zaprowadzenia ładu w rozproszonych chęciach, ujednolicenia z samego założenia ambiwalentnych uczuć i doznań.

Trwanie tego trzeciego stanu Jol starał się teraz jak najbardziej przedłużyć. Wykorzystać to - wiedział dobrze - chwilowe zawieszenie broni na maksymalny wypoczynek obu psychik.

Więc czekał...

Czekał, dopóki nie stało się tamto...

Wyszło ich wtedy dwóch - zajęci pobieraniem próbek z ulotnego, słabego śladu pojazdu Obcych nie usłyszeli narastania charakterystycznego, melodyjnego gwizdu. Tamten musiał stać przyczajony gdzieś bardzo blisko, bo kiedy usłyszeli go wreszcie, było już za późno. Wren zerwał się, wystartował do biegu

od razu - był już w bramie, gdy dobiegło go znajome cmoknięcie wyrzutni i wrzask palonego żywca człowieka. Więc tylko z bezsilną nienawiścią patrzył ze swojej czarnej jamy na odłączający się powoli kolorowy pojazd.

A na środku ulicy rozszamotany, ognisty kłęb drgnął jeszcze kilka razy i zamarł w bezruchu...

Koordinator skończył opowieść o tragicznym wypadku, oparł szczeniasty podbródek na zaciśniętej kurczowo pięści i tępo zagapił się w pancerne drzwi jakby czekał, jakby wierzył, że Alb mimo wszystko wróci...

Jol zamyślił się - z chwilą śmierci biofizyka naukowcy tracili połowę szans na doprowadzenie badań do przewidzianego na ten etap końca. Dość dawno już zdążył się zorientować, jaki jest cel wszystkich, ponawianych z nieludzkim uporem prób... Znowu poczuł w sobie świadomość obu niezależnych jaźni - czasowy rozejm mózgow szybko przeradzał się w zaciętą walkę, w której silniejszy intelekt Craiga górował zdecydowanie częściej. Jol podniósł głowę...

- Muszę wam coś powiedzieć...

Obrócili ku niemu zdziwione twarze - milczał przecież od tyłu już dni, że - pochłonięci bez reszty swoimi kłopotami - zatracili w niepamięci dźwięk jego głosu.

- ... przyjęliście mnie bez wahania jak kogoś swojego, choć jestem tylko eksperymentalnym szczepantem. Daliście mi schronienie i żywność bez pytania, bez nadziei, że mógłbym się wam w jakikolwiek sposób odwdzięczyć.

- Po co to mówisz? Nie musisz...

- Muszę. Muszę powtórzyć sobie... Mieliście pełne prawo myśleć, że jestem laboratoryjnie wyprodukowanym półdebilem i wasze przypuszczenia były częściowo zgodne z prawdą. Jol-człowiek rzeczywiście jest niedorozwinięty. W skali przyjmującej za normę sto trzydzieści jednostek, jego iloraz inteligencji wynosi zaledwie dziewięćdziesiąt pięć. Ale za to Jol-szczepant jest osobistym asystentem profesora Craiga. I jego najlepszym uczniem, jeżeli tak można powiedzieć... To znaczy byłem nim, kiedy jeszcze profesor żył. Taak, kiedy jeszcze żył... Choć właściwie można byłoby powiedzieć, że on żyje nadal...

- To znaczy...?

- Oczywiście w trochę zmienionej postaci. W tej narośli na mojej głowie kryje się replika jego mózgu.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś profesoro...?

- Nie. Kopia nie jest dokładna, więc nie mam całej jego wiedzy. Wiem tylko tyle, ile przekazał mi po przeszczepieniu potworniaka.

- Co to jest?

- Guz otorbiony, wewnątrz którego może się rozwinąć dowolna tkanka. Craig był na to chory. A kiedy zorientował się, że w torbieli narasta skomplikowana tkanka mózgowa, wyhodował ją i... I przeszczepił. O, tu...

- Zgodziłeś się?!

- Widać. Zresztą, wtedy było mi wszystko jedno... Potem profesor równolegle ze starymi podłączył wszczepione nowe wprowadzenia nerwowe i zaczął mnie uczyć.

- Tak... Byłeś więc asystentem Craiga... Oczywiście zorientowałeś się, czego szukamy?

- Z tego, co zdążyłem zauważyć, chcecie poznać Obcych i nawiązać z nimi kontakt, ale to wydaje mi się raczej niemożliwe. Niszczą ludzi i miasta bez żadnego zrozumiałego powodu.

- A my chcemy ten powód, o ile istnieje, znaleźć. Zniszczymy ich dopiero w ostateczności...

- ... O ile oni wcześniej nie zrobią tego ze wszystkimi ludźmi. W ciągu paru tygodni zburzyli ponad połowę miast na wybrzeżu.

- Ale ludzie żyją. I nie pozwolą wymordować się nikomu bezkarnie.

- Ludzie? Nie mów... Zasłużyli sobie... Lepiej powiedz, co zamierzacie teraz zrobić.

- Hmm, po śmierci Alba...? A co ty byś zaproponował?

- Pojazd.

- ???

- Trzeba zdobyć ich pojazd.

- Ależ to prawie niemożliwe! Nie mamy broni...

- Wiem. Ale przecież jesteście... jesteśmy ludźmi, a to chyba jedyny sposób, żeby Ziemia pozostała Ziemią. Musimy mieć choć jednego Obcego.

- Tylko jak to zrobić?

- Nie wiem. Jeszcze nie wiem... Zresztą dokładny plan i tak obmyślimy jutro. Teraz pora spać.

- Mhm, dobranoc... Dobranoc, Jol...

Właściwie - dlaczego to zrobił? Dlaczego nagle zaprzagnął im pomóc? Nienawidził ich przecież. Najserdeczniej.

Mógł ostatecznie tolerować jednostki, ale nie cierpiał tego całego motłochu skorego, zbyt skorego do drwin. Kiedyś, gdy jeszcze był debilem, i niedawno - kiedy narodziła się na głowie wyrósł ponad przeciętną ich wysokości i rozumu...

Krzywdzili go ohydnie bezmyślnym śmiechem, pokazywali na ulicy swoim dzieciom, celowali wyciąganymi ku niemu palcami w tę jego nieszczęsną głowę, jak rzutkami, ciskanymi w olbrzymią, bezbronną tarczę. Cieszył się, kiedy jakiś człowiek mijany na drodze przechodził mimo niego obojętnie. A teraz, właśnie teraz, kiedy spełniały się wszystkie jego najskrytsze myśli i najgorsze życzenia kierowane pod ich adresem - zaprzagnął im pomóc... I właściwie to tylko ci - naukowcy ze zburzonego miasta - rozbili mu obraz tej wymarzonej zemsty. Może dlatego, że nie potrafił ich jeszcze nazwać, ostatecznie zakwalifikować do którejś ze znanych mu grup ludzkiego rodzaju - oni byli po prostu zbyt inni. Szorstcy - to prawda - ale żaden nie usiłował urazić go poniżającą litością, nie uśmiechał się złośliwie na widok jego głowy. Wydawało się, że nie zauważają jego wyglądu. Co więcej, że robią to bez żadnego wysiłku. Jakoś tak... naturalnie. A kiedy pokazał, że istotnie umie więcej niż oni, bez żadnego wahania przeszli pod jego rozkazy.

Zapomniał w tej chwili, że byli to przecież naukowcy, mający z wieloma podobnymi chodzącymi eksperymentami do czynienia na co dzień, i że w ich posłuszeństwie wobec jego poleceń krył się w gruncie rzeczy szacunek nie dla niego, lecz dla intelektu profesora Craiga...

Najważniejsze jednak, że w dwa dni po tej pierwszej poważnej rozmowie Jol kierował już budową pułapki na Obcych...

Pojazdy nie miały żadnych ustalonych czy ulubionych tras. Plujące ogniem kule przemykały w zawrotnym tempie śladami ulic, unosiły się nad miastem jak tęczowe sępy - chwila nieuwagi wystarczała, by z nieba uderzył strumień ognia, przeorujący jak gigantyczny pazur okolice niebacznego ruchu.

To były bestie. Bestie tym groźniejsze, że nigdy nie widziane, że zawsze skryte w głębi kolorowych, drapieżnych pojazdów... I nagle ludzie wydali się Jolowi po prostu piękni. Ze wszystkimi swoimi wadami, z zarozumiałą, dufną pogardą dla inności byli mu przecież bardzo bliscy. Zrozumieli i jednak - rozumni. A Obcy...? Pojawili się nie wiadomo skąd... Ich statki na orbicie z łatwością rozszyfrowały cały ziemski system wymiany informacji, w jakiś niewytłumaczony sposób zdeintegrowały wiązki kierunkowe, paraliżując tym samym wszelkie próby podjęcia jakichkolwiek akcji obronnych zamierzonych na większą skalę. Czynne pozostały tylko podziemne falowody...

Jol dowiedział się wkrótce, że podobnych grup badawczych było kilkanaście. Rozproszeni na terytorium zajęтым przez wrogów, praktycznie bez żadnej łączności z resztą świata wolnego jeszcze od

grozy codziennej śmierci, naukowcy szukali wyjaśnienia całego problemu.

Obcy przypomnieli ludziom pojęcie walki, zapomniane od prawie ośmiu wieków - sięgnięto teraz do muzeów po nie tykaną od dawna broń i udoskonalono ją pospiesznie, tworząc z konieczności coraz nowsze i coraz okrutniejsze warianty najhaniańszego ludzkiego wynalazku. Wynalazku, który po raz pierwszy w dziejach Ziemi miał służyć nie do mordowania ludzi, ale do obrony całej zagrożonej rasy.

Przez ostatnie stulecia walczono z czymś lub o coś. Walczono z trzęsieniami ziemi i ze zdeformowaną przez wiekowe wypaczenia ludzką naturą. Walczono o powszechne dobro. Ale nigdy nie walczono z kimś. A przecież istoty znające podróże kosmiczne, dysponujące tak potężnymi środkami - przede wszystkim środkami masowej zagłady - Kimś niezaprzeczalnie były. Były Kimś, Kto Niszczy, kto morduje inne istoty bez żadnego oczywistego powodu...

W przewężonej głowie Jola nie mieściła się myśl, że można zabijać dla samej przyjemności zabijania. Mózg debila po prostu nie interesował się problemem, do widzieć go nie był w stanie. Zaś, pracujący w tym wypadku za obydwa, mózg wyhodowany przez profesora Craiga nie mógł pojąć mentalności mordercy. Utrwalone w nim skomplikowaną plecionką neuronów skojarzenia, poparte prawie całym życiem spędzonym w laboratoriach, nie dopuszczały takiej możliwości. Dlatego żadna koncepcja Jola nie mogła zobrazować hipotetycznej drogi rozwoju, jaką musiałyby dążyć dowolna cywilizacja, by wykształcić w sobie - a może nawet sztucznie wzmocnić - nawyk zabijania wszystkiego, co odmienne... Gdyby ludzie byli podobni do Obcych, nie żyłby już od dawna. Gdyby on był podobny do ludzi...

Jol obrócił fotel w stronę naukowców, przelotnym spojrzeniem ogarnął przemęczone, blade twarze - przekrwione białka ich oczu odwzajemniły mu się smutnym uśmiechem. Bowiem prowadzone z uporem próby pozostały jak na razie bezowocne. Zaprojektowane, najprzemysłniejsze nawet pułapki zawodziły w decydujących momentach, bo nie było czym zagrozić uwięzionym kulom. A teraz planowy, trzymiesięczny pobyt badawczy ekipy w strefie bezpośredniego zagrożenia powoli dobiegał końca. Nareszcie mieli wrócić do swoich. Ktoś czekał na nich z nadzieją, że przyniosą mu ocalenie, oni zaś szykowali się tymczasem do powrotu ze świadomością, że jednak działali zbyt mało...

Już na żadnej ulicy Jol nie budził swoim wyglądem sensacji. Wszyscy byli zbyt zajęci i zafrasowani, żeby szukać sobie jakiejś taniej, przelotnej rozrywki. Pracowali w zastępczych biurach i fabrykach, uruchamiali wywiezione naprędce, szczęśliwie ocalałe maszyny. Wszystkie - często prowizoryczne - Instytuty badawcze czynne były przez całą dobę. A jeżeli ktoś nie był naukowcem, cały swój wolny czas poświęcał Organizacji - chwycili się jej jak ostatniej szansy: posłusznie formowali na placach czworoboki i miarowo unosili, opuszczali nogi w takt komend wyszczekiwanym przez zachrypniętych naganiaczy.

Jolowi wydawało się teraz, że czas o stulecia zawrócił, że pojęcie osobistej wolności stało się pustym, nikomu niepotrzebnym dźwiękiem - łomot podkutych butów pod oknami uparcie odmierzał mijające godziny.

Mózg człowieka odezwał się w nim najzupełniej niespodziewanie. Obcy i ludzie. Niezrozumiałe przeciw temu, co ohydne, lecz bliskie... Skarłały mózdek Jola-człowieka z radością podporządkowałyby się rytmowi życia narzuconemu przez Organizację, odezwało się w nim zwyczajne lenistwo. Ktoś myślałby za niego. Dawałby mu jeść. Mówiłby, jak ubrać się dziś, jutro, za tydzień... Wolno by mu było zabijać, bo odpowiedzialność i tak ponosi kto inny. Nikt. Organizacja. Za wszystkie morderstwa odpowiada jedynie ów ustalony z dawien dawna ład. Porządek, organizacja... - można nie myśleć i nie czuć. Jak w gigantycznym mrowisku podział dni, podział godzin, podział... Podział mózgow?

Patrzył. Podziwiał jednolitość ludzkiej masy, w której bezpowrotnie gubiły się indywidualne cechy

poszczególnych osobników. Wygląd, wyraz twarzy, wzrost, spojrzenie - wszystko to zacierало się w tłumie, rozpływało po trosze na całość sformowanego z niewypowiedzianym wdziękiem szyku. Chciałby znaleźć się nagle między ludźmi na dole, razem z nimi oddychać głęboko w narzuconym, miarowym tempie.

Wdech - śniadanie będzie o wpół do ósmej - wydech; obiad - wdech - o trzeciej, ciekawe, co dadzą. Wydech - wszyscy zakładają ciężkie buty - wdech. Biorą broń - wydech...

Dobre życie. Wygodne. Wygodne i bezmyślne... Od obiadu do obiadu.

Odpowiedzialność za pracę grupy badawczej epsilon - rozumniejszy mózg podjął ją dobrowolnie - zmęczyła debila. A Organizacja mogła go uwolnić od konieczności decydowania za innych. Więc...

Pierwsze bezpośrednie zetknięcie Jola z Organizacją było aż bolesne - zapomniał na moment, że jest już przecież pełnowartościowym, normalnym człowiekiem, znowu poczuł się pogardzonym, eksperymentalnym szczepantem, kiedy ludzie w białych fartuchach zaledwie zerknęli na jego głowę i któryś mruknął półgłosem: "niezdolny..."

Bezsilna wściekłość debilnego mózgu niewiadomym sposobem przeniosła się i na drugi intelekt - mało brakowało, by Jol zrobił im piekielną awanturę z rozbijaniem prymitywnych przyrządów i pysków włącznie. Urażony naukowiec zdolny jest do nie dających się przewidzieć postępów. Ci śmieszni, ograniczeni do paragrafów ludzie obrażali go bezkarnie, choć wart był wielokrotnie więcej niż oni wszyscy razem wzięci. Jak miał im powiedzieć, jak udowodnić, że świetnie nadaje się do bezmyślnego wypełniania poleceń, że przynajmniej połowa jego jaźni - ta wyprana z własnych poglądów i nielogiczna - potrzebuje choć pozornego podporządkowania. Lecz nie powiedział im tego. Nie umiał. Więc wyszedł po prostu...

Trzecią świadomością rozumiał niejasno, że pod pozorami porządku kryje się tu niemal kosmiczny nieład. Że wiele elementów obecnej sytuacji zagrożenia Ziemi stanowi tylko dodatkową szansę wszechrozwoju Organizacji, która jak olbrzymi, obrzydliwy kosmaty pająk niepomierne szybko pokrywała całą Ziemię ciasną siecią równomiernie rozrzuconych punktów zbiorczych. Odczucie było zbyt irracjonalne, by mógł potraktować je poważnie - jeszcze chwila takich rozważań i porównań, a Jol zacząłby współczuć jednakowo i ludziom, i Obcym - ślad jednak pozostał. Dlatego jakąś częścią swojego jestestwa Jol rozumiał Obcych i... usprawiedliwiał...

Siedząc w fotelu przy oknie, spoglądał na rozciągający się w dole, rozległy plac. I, choć nigdy przecież nie miał o ludziach zbyt dobrego zdania, dziwił się. Dziwił się bardzo, że tacy jak ci - uganiający się po placu, niezmordowani, z gardłami bez przerwy pełnymi bezrozumnego wrzasku - przetrwali całe pokolenia. Więc pomału zaczynał współczuć - przynajmniej niektórym spośród tych nienawidzonych dotychczas tylko za to, że byli aż tak bardzo i przeciętnie ludzcy. Byli bowiem w tej masie także H ludzie, którzy wcale nie chcieli poddać się wszechwładzy Organizacji - zamykano ich w odosobnionych miejscach, bezlitośnie zabijano w nich najśłabsze nawet pragnienie niezależności, starano się upodlić ich krzykiem i wyzwiskami. W społeczeństwie mierzącym wartość człowieka li tylko ilością posiadanych przezeń dóbr materialnych pozbawiono ich jakiegokolwiek znaczenia, zagrabiając ich mienie na rzecz Organizacji. Jol zaczynał teraz dostrzegać między ludźmi oczywiste różnice, zaczynał klasyfikować ich według postępowania i poglądów. Do tej pory byli dla niego jednakową, bezbarwną i wrogą masą. Byli równie okrutni jak Obcy, kiedy w grę wchodziła czyjaś inność i odrębność. Obcy i ludzie...

A teraz Jol miał wrażenie, że spotkał się oto z trzecią, odmienną od podłych ludzików i drapieżnych Obcych, rasą ukrytą dotychczas w bezimiennym tłumie. Zapragnął nagle obejrzeć ich z bliska, zajrzeć głęboko w twarze, by wyłowić z dna oczu ich prawdziwe, chowane pod maskami zaaferowania,

najskrytsze myśli.

Wyszedł z domu i długo, długo włóczył się po ulicach - witały go zdziwione spojrzenia przechodniów, zaskoczonych faktem istnienia na Ziemi kogoś, kto ma jeszcze czas na powolne spacerowanie przez miasto.

Zderzenie było równie niespodziewane i mocne, jak błysk radości w oczach stojącego naprzeciw człowieka. Przypomniawszy sobie - Meol. Drugi asystent profesora Craiga.

- Jol...?

- Mhm... Co robisz w mieście?

- Urlop. Przyjechałem trochę odpocząć od służby.

- Jesteś w Organizacji?

- Jak wszyscy. To nie te czasy, że należało się do niej dobrowolnie. Zresztą wcale nie żałuję. A ty...?

- Masz czas? To chodźmy do mnie. Niedaleko...

- Po co?

- Opowiesz mi o Organizacji...

- A... dlaczego cię to interesuje?

- Hmm... Słyszę naokoło wiele krzyku, widzę mnóstwo bezsensownych zajęć... Kiedy porównuję to z pracą mojej grupy badawczej...

- Prowadzisz grupę?!

- Tak. A co w tym dziwnego?

- Nic. Dorobiłeś się... I co z tą grupą?

- Widzę po prostu, że to, co tam robiliśmy, było tysiąc razy potrzebniejsze, niż to tutaj.

- Co?

- Noo... Chociażby to. Chodzenie. Ci ludzie od dwóch godzin bez przerwy walą stopami o ziemię.

Niektórzy są już zmęczeni...

- Tak trzeba.

- Dlaczego? Przecież chodzą po tym placu i ani kroku dalej. Więc jaki w tym sens?

- Ty nie jesteś w Organizacji, prawda? Nie zrozumiesz...

- Spróbuj jednak. Kiedyś umiałeś wytłumaczyć mi bardzo wiele...

- No, dobrze... Oczywiście wiesz, że nasza rasa stała się po prostu niedołączona? Jesteśmy słabi zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Sam zresztą widzisz, co się teraz dzieje... Nie umiemy sobie poradzić z sytuacją. Już dawno należało wybić Obcych co do ostatniego, tymczasem nasi uczeni mącą tylko ludziom w głowach humanitaryzmem i innymi bzdurami.

- Czy to źle?

- Nawet bardzo źle. Wyobraź sobie, że i moi przełożeni w Organizacji zarazili się tymi idiotyzmami.

- Nie lubisz naukowców? Przecież kiedyś sam...

- Taak... Asystent drugiej rangi do końca życia! Mówiłem, że nic nie zrozumiesz...

- Ciebie - może tak. Ale ludzi - wszystkich - nie. W dalszym ciągu nie wiem, po co oni to robią.

- Bo tak trzeba.

- Po co?

Jol wracał do strefy działań z głową pełną nieoczekiwanych widoków i słów - spęd ludzi na największym placu, przemówienia przywódców Organizacji, frenetyczne wrzaski i wreszcie start dostosowanych do działań wojennych, potężnych kosmolotów.

Bojowe statki - o nich właśnie opowiadał Meol: masywne, pancerne grodzie, w dwuosobowych kabinach spiętrzone po dziesięć, dwanaście łóżek...

Trzy tysiące najnowocześniejszych gwiazdolotów przekształcono naprędce w kosmiczne pancerniki, zamiast sprzętu naukowego załadowano na nie najnowsze rodzaje broni, wymyślonych w przygnębiającej płataninie podziemnych bunkrów. "Kwiat śmierci", "Jeździec Apokalipsy", "Słońce zagłady" pod tak poetycznie brzmiącymi nazwami kryła się moc zniszczenia wielokrotnie większa od mocy wszystkich bomb jądrowych i neutronowych wyprodukowanych na Ziemi pod koniec epoki chaosu i niezgody.

A przed tygodniem pięćset tak wyposażonych statków wysłano w kierunku najbliższych gwiazd z układami planetarnymi podejrzanymi o istnienie cywilizacji, - podążyły z prędkością kilkakrotnie większą od prędkości światła, by obcym rasom pokazać ziemską potęgę, by unicestwić w zarodku wszelkie próby dotarcia ich statków do Układu Słonecznego.....Najlepszą obroną - atak" - na samo wspomnienie tych słów Meola szczepantowi robiło się słabo. Niejeden Meol myślał przecież w ten sposób i nie on jeden bezmyślnie powtarzał podobnie brzmiące slogany nie zastanowiwszy się nawet ani przez chwilę, że realizacja tych haseł oznacza śmierć wielu myślących istot spoza Ziemi. Istot być może przyjaznych. Nie wiedzących być może wcale, że któraś z kosmicznych ras odważyła się naruszyć spokój i prawa ludzi. Że cały Układ Słoneczny stał się przeogromną fortecą, której przedpola stale patroluje ponad pół tysiąca bojowych kosmolotów, pilotowanych przez najrozmaitszych Meoli.

Lecz mimo to na orbicie Ziemi w miejsce zniszczonych gwiazdolotów Obcych najdalej dzień później pojawiały się nowe i nikt nie umiał wykryć, skąd one przybywają...

Do strefy zagrożenia - niegdyś nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej - przerzucono całą grupę Jola pod osłoną nocy. Było to ponoć miejsce, gdzie po raz pierwszy pojawili się Obcy...

Ludzie na plaży beztrudnie spoglądali na wynurzającą się nieopodal brzegu łódź podwodną. Z cichym sykiem zawirowało ukryte śmigło - łódź wyszła ponad fale i na poduszce sprężonego powietrza wpłynęła szumiąc na piasek.

Jakiś człowiek - nawet nie umiał potem powiedzieć, dlaczego - zatrzymał się tuż przed ostatnimi drzewami i patrzył...

Łódź pękła wzdłuż wielkiej osi, jej połówki rozchyliły się leniwie i powoli jak muszla ogromnej ostrygi, z wnętrza wysypały się wirujące kule... Zatańczyły ulotnie nad plażą - ludzie klaskali w dłonie - pomknęły w dwie strony wzdłuż brzegu.

Stojący w cieniu człowiek był podobno poetą - więc podziwiał tęczujące kule migające w prześwitach między pniami i koronami drzew, i nagle cała rozbawiona widowiskiem plaża stanęła w płomieniach, jak nierealny, okrutny dywan pokrył ją krzyk umierających, tupot bosych stóp, przebierających z trudem górki miążskiego piasku, zmieszał się z cmokaniem wypluwanego przez kule ognia.

Człowiek najpierw zamarł ze strachu, a potem... Potem obrócił się plecami do swojej umierającej gdzieś w przerażonym tłumie dziewczyny i pobiegł - ścigany bezlitosnym żarem - w stronę jeszcze cichego, spokojnego miasteczka...

Rozleniwieni upałem, zadowoleni ze swojego życia ludzie nie chcieli mu wierzyć, podejrzewali go o słoneczne porażenie - ewakuację rozpoczęto dopiero wtedy, gdy do miasteczka wrócił poduszkowiec patrolu służby porządkowej. Kiedy wszyscy na własne oczy zobaczyli biegnącą przez jego dach i szyby ciemną pręgę ognistego ciosu.

Od tamtej pory upłynęło sporo czasu; morze dawno splukało z plaży resztki byłych ludzi.

Jol ukrył się w krzakach: z wysokiego brzegu widział wracające na brzeg kule, które zakończyły

właśnie swój daleki rekonesans w głąb łądu - melodyjny gwizd zacichał, w miarę jak kolejno układały się w komorach czekających łodzi. Ociężałe, pełne śmiercionośnych pereł cielska zamknęły się cicho, pomknęły na głębie - po chwili tylko kilka niespokojnych wirów tańczyło w miejscu ich zanurzenia, przebiegająca fala zmyła z powierzchni piasku i wody ostatnie ślady morderczych, stalowych konch.

Było bardzo cicho, wschodzące słońce kładło od kęp ostrej trawy długie cienie. Jak dobrze byłoby teraz poddać ciało leniwej, łagodnej fali i płynąć aż do bólu mięśni, czując na barkach rozkosznie ciepłe muśnięcia nieśmiałych promieni - jeszcze chwila, a Jol zbiegłby na brzeg zanurzyć stopy w musującej, chłodnej wodzie...

Lecz doskonale wiedział, że tego mu zrobić nie wolno. Że przeleży cały długi dzień w ochronnym, zielonym cieniu sosen, bo w górze - ukryta w tle nieba - opalizująca kula przesuwająca się przez obłoki nad miastem jak fatalne, pełne drapieżnego ognia wahadło. Do schronu-laboratorium będzie mógł wrócić dopiero późnym wieczorem. Wykorzysta wtedy każdy obszar cokolwiek od pozostałych głębszego cienia, każdy kawałek ocalałych murów, żeby tylko móc potem spokojnie usiąść nie myśląc o niczym i popatrzeć na troskliwą krzątanicę Wrena.

Wieczór przyszedł bardzo powoli; Jol nareszcie mógł wracać do laboratorium - jego wyprawa na brzeg morza nie przyniosła właściwie nic nowego, nie udało mu się zobaczyć żadnego Obcego bez osłony kuli. Zaczynał powoli wierzyć, że to właśnie owe tęczujące, doskonałe kształty są charakterystyczną formą owej obcej, niehumanitarnej rasy.

Czuł się zdecydowanie nieswojo, pomimo że tym razem miał już broń - uwierająca jego biodro twardym ciężarem dodawała stanowczo zbyt mało odwagi. Przecież nawet nie wiedział, czy okaże się skuteczna. Nie miałby zresztą i tego, gdyby nie zbiorowy protest wszystkich naukowców wybranych do pracy badawczej w rejonie bezpośredniego zagrożenia. Dlatego tuż przed samym przerzutem, na ostatniej odprawie w przejętym i prowadzonym przez Organizację Instytucie Egzobiologii rozdano im małe, niezgrabne lasery i kieszonkowe ogniwa żarowe, poproszono ich jednak przy tym bardzo usilnie o używanie broni dopiero w ostateczności. Tego już Jol nie potrafił pojąć - Obcy wymordowali bezkarnie tysiące ludzi, ale nie wolno ich było niszczyć. Bo - jak stwierdził prowadzący Instytut zastępca przywódcy Organizacji - podrażnieni kosmici stanowiliby zbyt wielkie zagrożenie całej Ziemi. W dalszym ciągu swej wzruszającej przemowy Prowadzący powoływał się na humanitaryzm, obowiązujący wszystkich ludzi wobec przedstawicieli obcej, nieszczęśliwej rasy, której rodzinna planeta została być może zniszczona przez jakiś okrutny, kosmiczny kataklizm. W pewnym momencie zawołał nawet (a jego głos stał się w tym wołaniu prawdziwie tragiczny): "Wybaczcie im, albowiem nie wiedzą, co czynią". Nieoczekiwane wzruszenie zaćmiło wtedy oczy Jola łzami - przypomniał sobie, że ten sam, przemawiający w tej chwili tak ładnie człowiek niespełna tydzień wcześniej wysyłał w niebo załogi bojowych kosmolotów, by mordowały wszystko, co żywe, a inne niż ludzie.

Debilna cząstka intelektu Jola zgadzała się z przemawiającym bez reszty, lecz świadomość Craiga wciąż notowała wszystkie zauważone niekonsekwencje i... nie zgadzała się. Rzeczywiście należało odnaleźć prawdziwe przyczyny postępowania Obcych. Nie - wysyłać kosmoloty do gwiazd, do niewinnych, ale tu, na Ziemi... I nie wybaczać, ale - humanitarnie, bo humanitarnie - karać. Bowiem może to właśnie owa dotychczasowa bezkarność skłaniała ich do coraz większej zuchwałości.

A w tej chwili nawet jego pierwszy, prymitywny mózg ze wszystkich sił zapragnął odwetu, zbuntował się przeciw temu obrzydliwie ostrożnemu przemykaniu przez wymarłe miasto. Fale wściekłości raz po raz szturmowały mózg Profesora, udzielając mu cząstkę swej bezrozumnej mocy. Poddał się wreszcie i opanowany nową myślą analizował właśnie swoje szansę, kiedy gwizd śmigającej coraz bliżej kuli ostatecznie wytrącił go ze szcątkowej równowagi psychicznej - wyszedł prosto w niepewny blask księżyca, po uniesionej do poziomu lufie lasera przebiegły migotliwe odbicia załamanych promieni...

Musieli być zaskoczeni tą szaleńczą odwagą, bo świst urwał się raptownie, opalizująca kula stanęła nieruchomo przed rozjuszonym człowiekiem.

Wahanie nie trwało długo - pierwszy, jak gdyby ostrzegawczy, płomień przeorał ziemię u stóp Jola. Jeszcze jaśniej błysnął laser, nakłuwając tęczową powłokę cieniutkim strumykiem skomansowanych fotonów. Brzegi nacięcia rozchyliły się gwałtownie - tylko wspomnienie tępego huku i smagnień rozpylonej wody po twarzy upewniły Jola, że przed ułamkiem sekundy był tu ktoś oprócz niego. Odruchowo obliznął wargi - były gorzkie i słone jak po morskiej kąpieli...

Jakiś cień przesunął się po ziemi w pobliżu - instynkt rzucił Jola w bezpieczną ciemność ruin jakiejś bramy.

Śmiał się potem długo patrząc, jak trzy naraz ogniste smugi zapamiętałe obmacują miejsce, w którym stał przed chwilą, i było w tym śmiechu coś więcej, niż tylko rechot zadowolonego z siebie kretyna. Była w nim zdecydowana groźba świadomego mózgu, ostrzeżenie dla wszystkich istot, które odważyły się naruszyć spokój Ziemi...

Uspokoił się wkrótce - samodyscyplina myślenia, kiedyś z trudem wykształcana przez profesora Craiga - dawała teraz wyniki. Wprawdzie w starciu z pojazdem Obcych postępowaniem Jola kierowały przede wszystkim odruchy, lecz równolegle - jak gdyby drugim torem myśli - kojarzył ze sobą pozornie odległe fakty.

Promień lasera dotknął kuli. I to delikatne muśnięcie wystarczyło, by spowodować tak gwałtowny wybuch. A mato przecież prawdopodobne, by - nie celując - trafić w zespoły napędowe pojazdu o nieznannej konstrukcji. W dodatku ten huk pękającego balonu i bryzgi rozpylonej wokoło morskiej wody - wszystko świadczyło niezbitnie o panującym wewnątrz kuli stosunkowo dużym ciśnieniu. Ciśnieniu wody...

Dotychczas nie wykryto, skąd Obcy przybywają, pilnowano bowiem przestrzeni naokoło Ziemi, nikt jednak nie pomyślał o obserwacji oceanów. Przeoczono istotny fakt, że inwazja Obcych rozpoczęła się właśnie od strony wybrzeży - cóż z tego, że w TEJ chwili znaleźć można ich statki na wokół-ziemskich orbitach?

Ale Czy możliwe, żeby gdzieś w głębinach rozwijała się równolegle z ludzką jakaś inna cywilizacja? W zasadzie nic nie stało temu na przeszkodzie, lecz dlaczego dopiero teraz doszło do spotkania, skąd ta dziwna zaciekłość w zabijaniu właśnie ludzi? Nie zdarzyło się nigdy, by Istoty zabiły jakiegoś zabłąkanego w strefie działań bezpańskiego kundla, ocalały koty i krowy - tylko ludzie ginęli natychmiast po ujrzeniu tęczowej kuli...

Ognisty taniec skończył się wreszcie - uznali widać, że człowiek zdążył uciec, bo melodyjne poświstywania rozpląnęły się w trzy strony. Mógł wyjść ze swojej kryjówki, więc jeszcze tylko najzupełniej odruchowo sprawdził okolicę, powiódł wzrokiem wzdłuż czerniejących ruin - nagle odniósł wrażenie, że za złomami spojonych resztkami zaprawy cegieł leży coś, czego przedtem nie było.

Przez chwilę wyteżał oczy, usiłując dojrzeć cokolwiek, potem podpełznął z wahaniem w kierunku tego czegoś i ukryty w głębokim cieniu ostrożnie wysunął głowę zza krawędzi ceglano-głazu - na oświetlonym przez księżyc fragmentie bruku leżało promieniście dziewięć spłaszczonych bezsilnie, poszarpanych raptowną zmianą ciśnienia macek, w twarz Jola spojrzały wielkie, martwe oczy...

Rzucił w tamto miejsce odłamek potrzaskanej cegły. Jeden, drugi, trzeci... - brak najsłabszej choćby reakcji ośmielił go do reszty, więc wyszedł z ukrycia, dźwignął do góry ciężką głowę stwora, potem zebrał w oślizłą wiązkę wszystkie bezwładne macki - i powędrował ze swoim brzemieniem w kierunku laboratorium. Było już dość blisko - po chwili zabębnił butem w masywne, stalowe drzwi, a kiedy się rozwarły, rzucił na najbliższy stół swój - zdobyty z narażeniem życia - łup. Macki chlasnęły gładki laminat, z cichym mlaśnięciem przesunęły się po blacie; ludzie odskoczyli odruchowo.

- Co to jest?

- Obcy.

- Co?! Gdzie go znalazłeś? Jak...?

- Zwyczajnie. Wyszedłem przed kulę i strzeliłem.

- Przecież... przecież mogli cię...
- Nie mogli. Rozerwało cały pojazd na kawałki.
- Ale... dlaczego to zrobiłeś? Przecież wyraźnie zakazano nam strzelać do kuł bez oczywistej konieczności. Mieliśmy za wszelką cenę dążyć do pokojowego zakończenia badań.
- I dawać się zabijać? Mając broń?
- Noo, nie... Chyba nie. Ale tylko w samoob...
- Najlepszą obroną jest atak. Tak mówią przywódcy Organizacji. Więc broniłem się tylko....
- Mimo wszystko Obcy są zbyt potężni, by można było walczyć z nimi otwarcie.
- Sami widzicie, że wcale tak nie jest. Zabiłem jednego z nich, a oni nic mi nie mogli zrobić.
- Ale... ale co teraz będzie? I co z tym tutaj?
- Nic. Zbadamy go. Przygotujcie stół i narzędzia...

Pokrajane dzwona macek wałały się pod stołem, wyślizgiwały spod butów podchodzących coraz bliżej naukowców - na ludzkich twarzach pojawiało się najpierw zdziwienie, potem strach... Bo w otwartej czaszce leżącego na stole stwora spoczywał wydobyty z plastikowych osłon zwyczajny ludzki mózg.

- To... To niemożliwe...

Cichy szept obudził zadumanego smutnie Jola, odbił się w jego mózgu obrazem dawno zapomnianej sytuacji. Szczepant uniósł karykaturę głowy, powiódł oczyma po zebranych.

- Dlaczego niby niemożliwe? Przecież i ja... - urwał.

To rzeczywiście było niemożliwe. On sam został stworzony dla dobra nauki. Lecz to - leżące teraz przed nim na stole - było już zbrodnią. Było zakrojoną na wielką skalę próbą zdobycia władzy na Ziemi.

Ktoś stworzył w tym celu nową rasę - pokraczne skrzyżowanie ciał dziewięciornic i mózgów ludzi o wypaczonej psychice. “.

Zawieszony w swojej inności między Obcymi a ludźmi Jol miał większe niż ktokolwiek inny szansę, by obydwie rasy rozumieć, i obydwu jednakowo nienawidzić... Gdyby zamiast do ludzi przyłączył się do Obcych, gdyby nakarmili go i nie wyśmiewali jego wyglądu, to czy pracowałby dla nich tak samo gorąco, jak teraz dla ludzi? Nawet tego nie wiedział...

Ponownie spojrzął na milczących ponuro naukowców, rzucił:

- Co o tym sądzicie?

Drgnęli, ich ożywione pytaniem twarze raptownie nabrały wyrazu, wyrzucali z siebie początkowo niezdarne, nieśmiałe słowa z sekundy na sekundę gwałtowniejsze i śmielsze:

- My? Noo, należałoby... Ale to przecież zbrodnia! Trzeba znaleźć tych drani! Morderców! Ukarać!

- Taak, macie rację... Ale kim oni są? Jeden człowiek na pewno nie mógłby tego zrobić...

- My też tak myślimy.

- A więc musi to być wielu ludzi. Silnych. Dysponujących olbrzymimi zasobami pieniędzy. I... nie wiadomo, gdzie ich szukać...

- Nie wiemy. Na razie jeszcze nie. Nie orientuję się, jak inni, ale ja będę szukać tych sukinsynów choćby do końca życia. I... Pomyśleć, że już tylu ludzi przez nich zginęło...

- I wielu jeszcze zginie... - ponuro mruknął Jol.

- Skąd wiesz? Podejrzewasz kogoś!?

- Nie. Na podejrzenia jeszcze za wcześnie. Na razie wiemy zbyt mało. Wiem tyle tylko, że Tamtych - poszukamy razem...

Teraz rozumiał Obcych doskonale - tak jak on byli przecież ludźmi. Wykoślawieni psychicznie, ubrani w pokraczne ciała głowonogów mieli z pewnością o wiele więcej, niż on, powodów, by nienawidzić całego tego zbiorowiska małostkowych, śmiesznych ludzików. Ktoś dał im możliwość niszczenia, skorzystali więc z niej po prostu... Nawet nie dziwił się - czasem sam miewał nieprzepatą ochotę wymordować zaczepiających go na ulicy przechodniów, i zrobiłby to, gdyby tylko umiał. A Obcy umieli. Ktoś nauczył ich, jak to robić... Ponieważ od ośmiu wieków nie zdarzyło się, by człowiek zabił człowieka, więc Ktoś uczący Obcych musiał dysponować środkami przekazu o zastrzeżonej, zakazanej tematyce.

Jol oglądał kiedyś projekcję takiego niedozwolonego filmu - bodajże to Meol zorganizował ją wtedy.

Na zaimprovizowanym ekranie ukazały się dwie masy zdążających przeciw sobie ludzkich ciał, z głośnika popłynęła wrzaskliwa muzyka przerywana odgłosami wystrzałów. Część masy zaczęła na ekranie narastać, projektor przybliżył wykrzywione we wściekłym grymasie twarze, chóralny ryk - zapowiedź zwycięstwa "dobrych" nad "złymi" - przemieszał się z charkotem umierających...

Po seansie Jol łąził długo po ulicach, zastanawiając się, dlaczego dla swoich najniższych instynktów ludzie zawsze dopasowują najwyższe ideały, i po co tamci mówili o dobru całej ludzkości, skoro dążyli do wybicia jak największej jej części? A najgorsze, że na tak ohydne, niemoralne filmy prowadzili swoje dzieci, że szczylicili się przed nimi bohaterską, chwalebną przeszłością.

- Młodzież sprzed ośmiu wieków - myślał Jol - musiała być jednak bardzo nieszczęśliwa, dowiadując się codziennie, jak zadawać ból i zabijać, a nie wiedząc do któregoś tam roku życia, jak nowi ludzie powstają. Bo niby taki film o poczęciu i narodzinach człowieka mógłby młodzież zdemoralizować...

Te pseudopożyteczne poglądy zostały szczęściem zapomniane na długie lata, przestano tworzyć cokolwiek w oparciu o obrazy gwałtu i przemocy, żadnemu reżyserowi nie wpadłoby nawet do głowy, by nakręcić film o człowieku zabijającym innego człowieka dla zdobycia jakiegoś przedmiotu czy większej sumy pieniędzy. Nie mówiąc już o nienawiści...

A teraz Ktoś chciałby przywrócić podłe czasy sprzed wieków, chciałby zburzyć dawno ustalony ład, oparty na rozumowym podejściu do życia i praw każdego człowieka. Nawet on - tylekroć na ulicy wyśmiewany szczepant - musiał przyznać, że nikt nie próbował go uderzyć czy straszyć swoją 'fizyczną przewagą. Tymczasem ktoś uczący jego braci szczepantów odwołał się do ich najniższych instynktów, wykształcił w nich nawyk nienawiści do innych ludzi, i nie mógł to być przecież pojedynczy Ktoś - tylko mocna, dobrze zorganizowana grupa zbrodniarzy mogła pokusić się o realizację przedsięwzięcia zakrojonego na tak szeroką skalę. Wyposażenie statków dla "Obcych", utrzymanie i nauka wyhodowanych stworów - wszystko to musiało piekielnie dużo kosztować.

I gdzie Tamci znaleźli dawców mózgow? Wprawdzie na świecie pojawiali się jeszcze od czasu do czasu osobnicy z genetycznie uwarunkowanymi skłonnościami do zbrodni, lecz bardzo szybko rozpoznawano ich i izolowano od reszty społeczeństwa, jeżeli żadne próby reedukacji nie dawały rezultatów...

Delikatne trącenie w ramię przerwało Jolowi myśli.

- Słuchaj, chyba trzeba nadać szyfrogram o naszym odkryciu.

- Hmm... Wolałbym z tym poczekać...

- Dlaczego?

- Mam jakieś złe przeczucie... Sam tego nie rozumiem.

- Zgoda. Ale ludzie nie mogą przecież czekać. Nasze... twoje odkrycie być może ułatwi wszystkim rozwikłanie zagadki.

Skoro już doszliśmy do wniosku, że działa tu zorganizowana grupa przestępców, to naszym obowiązkiem jest jak najszybsze powiadomienie o tym odpowiednich władz. Sami i tak niewiele

moglibyśmy zrobić...

- Mimo wszystko wolałbym... W porządku. Ale zróbcie to sami. Ja muszę sobie wszystko jeszcze raz przemyśleć.

- Tekst falogramu o twojej przygodzie i o wyniku sekcji już ułożyliśmy...

- Wyślijcie go więc. Na co czekacie?

- Na zgodę prowadzącego grupę. Twoją. Czy...?

- Zgadza się.

- Wren! Możesz podawać dane do szyfratora! Aha, Jol... Mówiłeś coś o przeczuciach. O niedobrych przeczu...
przeczu...

- Nie umiem tego uzasadnić, ale cały czas mam wrażenie, że na razie nie należało wysłać tego światłogramu.

- Trudno. Już potwierdzono odbiór, i naprawdę nie rozumiem, czemu mogło ci zależeć na zwłóce.

- Jak wam to wytłumaczyć? Obawiam się, że...

Drzwi laboratorium rozwarły się z głośnym trzaskiem, mężczyźni spojrzeli w przerażoną twarz zadyszanego Oera.

- Oni... Kule... Otaczają nas!

- Bzdura! Przecież współrzędne schronu zna tylko Centrala Organizacji. A skąd Obcy...? Czyżby rozszyfrowali ten nieszczęsny światłogram? Musiało ci się przywidzieć...

- Spójrz sam!

Jol skoczył do wizjera, odepchnął Wrena, zatoczył okiem peryskopu szeroki krąg po okolicy, podniósł je w niebo - ze wszystkich stron majaczyły tęczowe kule, ogniste smugi systematycznie przepalały każdy zakątek ruin...

Andrzej Leszczyński - OSTATNI REJS "LIRY"

Silniki pracowały pełną mocą czyniąc hałas tak przeraźliwy, iż Bowdenowi wydawało się, że za chwilę popękają mu bębny i pozostanie głuchy do końca życia, a jedynym wspomnieniem będzie ten piekielny jazgot. Szalone wibracje przenosiły się na najdrobniejszy element kadłuba, wszystkie blachy, wsporniki, a nawet nity brały udział w obłąkanym tańcu, wtórując sobie przy tym leciutkim postukiwaniem, które biorąc pod uwagę ilość tancerzy, mogło doprowadzić do białej gorączki nawet śnięte ryby. Zdawało mu się, że w tym samym rytmie drga każdy atom jego ciała wgniatanego w fotel rosnącym przeciążeniem, że za moment on sam do spółki z tym archaicznym, blaszanym pudłem rozsypie się w proch i runie w stumetrową przepaść, w słup ognia będący podstawą ważącego kilkadziesiąt tysięcy ton stosu żelastwa. Pod głównym pulpitem strzelił któryś z bezpieczników, z prawej strony stuknęła o pokład źle umocowana osłona złącza wejścia komputera, ukazując szeregi nagich, miedzianych przewodów. Miał ochotę pokląć głośno, wrzeszczałby na całe gardło, ale ponieważ nie mógł otworzyć ust, klął w duchu na czym świat stoi wszystkich - od listonosza do szefa Centrum włącznie.

Fotel, na którym siedział, był chyba najstarszym sprzętem, jaki kiedykolwiek udało mu się zobaczyć, poza muzeum rzecz jasna. Obicie wytarte było aż do białości, oparcie zacięło się w tak nienaturalnej pozycji, że przeciążenie musiało dokonać istnego cudu skręcając i zgniatając człowieka, aby dopasować go do kształtu siedzenia, nie pogruchoławszy mu przy tym wszystkich kości. Głowę ujętą miał w olbrzymie kleszcze, które kiedyś prawdopodobnie wyściełane, stanowić miały jeszcze jeden krok w kierunku polepszenia warunków pilotażu, a które teraz stały się dodatkowym elementem jego karni, gdyż zasłaniały mu niemal cały widok na pulpity sterownicze, a przede wszystkim na to, co najważniejsze: wskaźnik przeciążenia elementów ładowni, pospiesznie i byle jak zainstalowany na obrzeżu jednego z ekranów. Zresztą wskaźnik ten i tak miał znaczenie głównie psychologiczne - gdyby cokolwiek w jednej z ładowni działało nie tak, jak należy, nie miałyby przecież żadnych szans na poprawę tego stanu rzeczy. Ani on, ani nikt inny nie miałyby nawet czasu pomyśleć o tym, iż należy usunąć usterkę. Dlatego też, z tego punktu widzenia, dziękował wszystkim, którzy w tak krótkim czasie potrafili doprowadzić ładownie do stanu używalności. Cóż znaczyły trzaskające bezpieczniki, spadające pokrywy, niewygodny fotel, wobec tych ton ładunku nuklearnego, znajdujących się zaledwie kilka metrów pod nim.

Wszystko zaczęło się powoli uspokajać. Silniki przechodziły na niższe tonacje, wibracje zanikały. Lecz dopiero daleko za stratosferą zauważył, iż nadal siedzi kurczowo zaciskając palce na oparciach fotela i wbijając zęby w ustnik przewodu tlenowego. Całym wysiłkiem woli rozwarł palce, podniósł lewą dłoń do oczu i przyglądał jej się przez chwilę, zanim zaczął odpinać pasy.

Szczęknął wyłącznik czasowy. W głowie mu szumiało, przed oczyma wirowały czarne płyty, a całe ciało drgało jeszcze tym upiornym rytmem.

Szybko się opanował, zrzucił z głowy hełm, wyłączył psychotron. Wyjął ze środka kryształek, przez chwilę obracał go w palcach, po czym cisnął w kąt. Ten zapis miał pełne prawo zagać. Zamknął szkatułkę z umieszczonymi w niej pozostałymi zapisami, podniósł ją i szybkim krokiem ruszył w kierunku sterowni. Idąc korytarzami raz jeszcze powtarzał w pamięci wszystkie czynności - nie zapomniał chyba o

niczym.

Po raz kolejny sprawdził dokładność programu, przygotowanie luków, automatycznych celowników, zapłonu. Wreszcie, gdy ostatnie już centymetry perforowanej taśmy zniknęły w czytniku komputera, gdy na pulpicie zapłonęło zielone światelko synchronizacji, jednym szarpnięciem przesunął dwie bliźniacze, pomalowane na czerwono dźwignie. Szybko ogarnął jeszcze spojrzeniem pozycje wskaźników - wszystko było w porządku. Miał teraz dokładnie cztery minuty czasu do momentu, gdy na dobre rozbudzą się uspione silniki kolosa, gdy runie on z maksymalnym przyspieszeniem po wyznaczonym torze, lecz na jego pokładzie nie będzie już człowieka.

W patrolowce poczuł się dziwnie przytłoczony, dawno nie pilotował tego typu stateczków. Przyzwyczajony do przestronnej sterowni, długich korytarzy, setek wskaźników na pulpitych, które tylko laikowi wydawały się być masą nie do ogarnięcia. wobec tej ciasnoty, ograniczonej do niezbędnego minimum ilości zegarów kontrolnych, poczuł się, jakby zamienił luksusowy kabriolet na rower. Czekąco tu również nieporównanie więcej pracy, zwłaszcza przy lądowaniu, lecz podniecał się świadomością, że szybkość, jaką może osiągnąć ta łupinka i jaką z pewnością rozwinie, dla "Liry" nie oznaczałaby nic innego, jak śmierć.

Prawie nie poczuł manewru odcumowania od krążownika i wejścia w ciasny łuk. Na głównym ekranie płonęła łaciata, pomarańczowo-niebieska ściana tarczy Jowisza. Kiedy raketka zaczęła nabierać szybkości, przełączył wizjer na Kallisto: mrocznego, kamiennego globu zagubionego w przestrzeni nie było jeszcze widać, choć Bowden doskonale wiedział, gdzie należy go szukać. Zegar pokładowy wskazał godzinę uruchomienia silników i w tym samym momencie z dysz rufowych "Liry" buchnęły słupy ognia, kolos ruszył z pełnym przyspieszeniem w kierunku niewidocznego satelity. Wszystko jak na razie przebiegało zgodnie z planem. Za kilkanaście minut, gdy Kallisto widoczny będzie z tego miejsca tuż przy krawędzi olbrzyma, statek dotrze jego powierzchni, cały glob przestanie istnieć, wraz z ostatnią już bazą obsadzoną przez Buntowników.

"Lira" dawno już przestała być widoczna na tle płonącego Jowisza; Bowden siedział, coraz bardziej kurczowo wpijając palce w oparcie fotela, aż do bólu oczu wpatrując się w ten punkt na ekranie, gdzie powinien ujrzeć rezultat swojej wyprawy. Wydawało mu się, że zegar, który obserwował kątem oka, zwalnia swój chód, sekundy pozostałe do momentu krytycznego mijają tak wolno. Czuł nieodpartą chęć zatrzymania stateczku, żeby być jak najbliżej tego miejsca, lecz wiedział dobrze, że gdyby to uczynił, miałby potem trudności w odnalezieniu tak przecież odległej Ziemi.

I nagle, kiedy do eksplozji pozostało zaledwie kilka sekund, wydało mu się, że na ekranie, w tym właśnie punkcie, który wkrótce miał się rozjarzyć blaskiem wybuchu jądrowego, ujrzął ojczystą planetę. Przetarł zmęczone oczy. Była tam nadal, płonęła ciepłym, błękitnym światłem, jak gdyby przyzywając go do siebie, wskazując drogę. Zamknął oczy, a kiedy je otworzył, nie było jej już. W tym samym miejscu, na obrzeżu gorejącej tarczy wisiała oślepiająca biała kula, z każdą chwilą rozszerzająca się, puchnąca. Jej wnętrze falowało i kipiało, aż trudno było sobie wyobrazić, jakie piekło rozpętało się tam teraz. Nie było już więcej skalistej Kallisto, nie było bazy przepełnionej Buntownikami, jedynie bezładna chmura atomów, kula zjonizowanych gazów.

Myśl ta jak gdyby rozbudziła go. Wyłączył ekran, otarł złane potem czoło. Miał dość wrażeń. Wyobrażał sobie, iż ujrzy jedynie gigantyczny fajerwerk, tymczasem myśl o zagładzie, cokolwiek by to nie było, napełniła go dziwnym lękiem. Buntownicy... Cóż on o nich mógł wiedzieć, miał przecież tylko dwanaście lat. Od kiedy pamiętał, świat zawsze dzielił się na ludzi i Buntowników, choć o tych drugich starano się jak najmniej mówić, starano się zapomnieć. Nikt nigdy nie chciał powiedzieć mu, kim oni w rzeczywistości byli. Od lat wpajał w niego nienawiść do podłych, przebiegłych, żądnych zemsty Buntowników. Lecz przecież może oni myśleli tak samo, bo myśleć z pewnością potrafili, ale czy

odczuwali tak samo, jak on, a jeżeli tak, to czy tak samo nienawidzili...? Nie wiedział. Odzegnując się od tych ponurych myśli, opuścił oparcie fotela i ułożył się wygodnie do snu. Statek sam, niczym dobrze wychowany sługa człowieka, poprowadzi go jak po nitce do rodzinnego domu, a kiedy trzeba będzie, obudzi...

Powitała go pustka, kosmodrom był niczym wymarły. Nie spodziewał się z pewnością wspaniałego komitetu powitalnego, lecz to idealne bezludzie nieco go zdziwiło. Jego raketka stała samotna na wielokilometrowym, zalanym słońcem, betonowym polu. Tylko w oddali, gdzieś w połowie drogi między nim a budynkiem kontroli Centrum, rysowała się jakaś nieruchoma sylwetka. Wolnym krokiem ruszył w tamtą stronę.

To, co wziął za technika, okazało się metalowym korpusem ruchomego inforu. Kiedy zbliżył się do niego, usłyszał trzask mechanizmu, włączanego przez fotokomórkę.

- Kim jesteś, człowieku? - zagadał głośnik ochrypłym basem.

- Jestem Bowden. - Bowden...

Zapadła cisza, jakby aparat szukał odpowiedniej informacji w swej pamięci.

- Nie rozumiesz? - rzucił zniecierpliwiony chłopak.

- Czekam na twoje nazwisko - odparł niewzruszony automat.

- Mówię przecież: Bowden.

- Bowden; a co dalej?

- Jak to - dalej?

- Przecież...

W głośniku coś szcęknęło.

- Proszę się zgłosić na pierwsze piętro. Pokój 148 - odezwał się już inny głos.

- Rozumiem.

Spojrzał raz jeszcze na automat. Może zepsuty? Infor, jak infor. Widział setki takich, może tylko różniły się nieco wyglądem... Wzruszył ramionami i ruszył w kierunku budynku.

Po obu stronach wejścia stało, jak zawsze, dwóch czarnych, automatycznych strażników. Tyle tylko, że teraz byli wyłączeni, nie zażądali okazania przepustki. Zdumiało go to, lecz śmiało wszedł do środka, wbiegł po schodach na piętro i zastukał do drzwi oznaczonych numerem 148.

- Proszę - odpowiedział mu ten sam głos, który słyszał przez głośnik infora.

Nie znał tego człowieka. Przy oknie stał wysoki, rosły blondyn w nie znanym mu, czarnym, ozdobionym złotymi naszywkami uniformie.

- Proszę, niech pan... - obcy zawahał się. - Wejdz i siadaj - dokończył.

Bowden usiadł na brzegu krzesła.

- Jak udała się wycieczka na Kallisto?

- Wycieczka?... Nieznajomy uśmiechnął się.

- Można to tak nazwać. Ile ty masz lat? - zapytał po chwili milczenia.

- Dwanaście, proszę pana. Lecz mam już drugą klasę pilotażu.

- Tak... Powinieneś chodzić do szkoły, a nie...

- Ja skończyłem już szkołę - zaoponował Bowden.

- Skończyłeś, mówisz... Zobaczymy. Według moich obliczeń na pokładzie "Liry" było osiemnaście tysięcy ton ładunku. Zgadza się?

- Tak.

- To świetnie.

- Świetnie?... Dlaczego?

- Ponieważ była to już resztką zapasów Unii.

Oblał go zimny pot; czuł, że cała twarz pokryła się purpurą.

- Unii... - wystękał. - To znaczy, że pan...

- Tak, chłopcze - nieznajomy uśmiechał się coraz bardziej. - Nie ma już waszej Unii, tak samo jak nie ma bazy na Kallisto, nigdy jej tam zresztą nie było.

- Nie rozumiem.

- To bardzo proste. Wysłała się automatyczny nadajnik wielozakresowy, działający na zasadzie doboru losowego selektor nagrań, pozoruje się transport materiałów, budowę stacji...

Bowden zerwał się z krzesła.

- Więc to wy, Buntownicy...

- Nie krzycz na mnie - powstrzymał go nieznajomy. - Myślałeś, że spokojnie będziemy patrzeć, jak szykujecie przeciwko nam wszystkie swoje zapasy ładunków nuklearnych, jak przygotowujecie każdą rakietę, nawet taką, którą my balibyśmy się postawić w muzeum, gdyż mogłaby runąć wprost na zwiedzających, jak wreszcie ekspedujecie w kosmos z całym tym przerażającym dobytkiem nawet dzieci, byle tylko pozbyć się nas, wykreślić z pamięci, wybuchami jądrowymi zatrzeć najdrobniejszy ślad naszego istnienia.

Po twarzy Bowdena pociekły łzy. Usiadł z powrotem i wytarł rękawem nos.

- Ale przecież... wy jesteście ludźmi...

- A cóż, spodziewałeś się, że ujrzysz potwory? Zwierzęta z przekrwionymi ślepiami i pianą na pysku?

Nieznajomy podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy, jesteśmy braćmi. Też pochodzimy z Ziemi. Kosmos nigdy nie był naszym domem, choć tam musieliśmy go szukać. Nie podobaliśmy się garstce uzurpatorów, postanowili nas zniszczyć. Ci, którzy uszli z życiem, i którzy mieli możliwość, musieli uciekać z ojczyzny - jego oczy rozblęły. - Lecz przywódcy Unii nie rozumieli, że jednostki nie mogą narzucić swojej woli masom, a jeżeli im się to udaje, choćby siłą, nie potrwa to długo. Oni musieli przegrać!

Do Bowdena powoli zaczynało docierać okrucieństwo sytuacji, w jakiej się znalazł. Najbardziej przerażała go obcość tego świata, tak niedawno jeszcze bliskiego.

- Czy mógłbym zobaczyć się z kimś? - zapytał nieśmiało. - Z generałem CaTvertem, z doktorem Łonem, z moim ojcem... Gdzie oni teraz są?

Nieznajomy wrócił na swoje miejsce przy oknie.

- Nie ma ich - powiedział cicho, nie odwracając się. - W pewnym sensie oni byli tam, na Kallisto. Myśl o bazie bez reszty zaprzętnęła ich umysły, nie dawała im spokoju w dzień i w nocy. Nie zauważyli nawet, kiedy my stopniowo zaczęliśmy powracać do ojczyzny. W rzeczywistości to my byliśmy tu, na Ziemi, a oni w tej nie istniejącej bazie, tak jak wcześniej w innych bazach, które musieli zniszczyć...

Bowden znów zapłakał. Nigdy w życiu nie czuł się tak bardzo samotny.

- Co teraz ze mną będzie? - zapytał urwanym głosem. Nieznajomy milczał, nie patrzył już w okno - spuścił głowę, zgarbił się, zaciśnięte pięści oparł na parapecie.

- Nie bój się, synu - odezwał się wreszcie. - Wszyscy przecież jesteście ludźmi... Nie można żyć tylko nienawiścią...

Na biurku zabręczał wideofon.

Andrzej Leszczyński - JESTEM Z INNEJ PLANETY!

Nowy zaczął dreptać w miejscu rozchlapując wodę na wszystkie strony.

- Spokój! - warknął z drugiego kąta Baryła.

Nowy uspokoił się. Przedtem próbował porozumieć się z nimi. Teraz widocznie zrozumiał, że wszelkie próby kontaktu są bezcelowe. O czymże zresztą mieliby ze sobą rozmawiać? Cóż mogło ich obchodzić to wszystko, co miał im do powiedzenia?

Ale Mały pogadałby z kimkolwiek, nawet z Nowym. Ciekaw był, jak on wygląda, skąd pochodzi, co tutaj robi. Pogadałby chętnie, gdyby nie Baryła. Temu wszystko przeszkadzało. Nie można było palcem kiwnąć, żeby nie usłyszał, i niechby ktoś spróbował sprzeciwić się jego żądaniom. Mały dobrze pamiętał, co znaczy jego łapa "niechący" wyciągnięta w czyjąś stronę. Ten olbrzymi pierwotniak odmierzał czas rytmem posiłków i snów, i pewnie było mu zupełnie obojętne, czy zgnije tu, czy gdzie indziej.

- Gdyby można było wiedzieć, co z nami zrobią - głośno dokończył myśl Mały.

- Rozgniotą - odpowiedział mu Baryła. - Jak pluskwy. Słyszysz Mały: jak pluskwy!

Tym razem Mały już się nie przestraszył, kiedy Baryła zaczął się śmiać. Przypominało mu to stary, rozsypujący się i zardzewiały, przedpotopowy pociąg, który rozpędzany w tunelu brzęczał poluzowanymi blachami, wydawał z siebie setki najróżniejszych jęków, pisków, postękiwań i chrobotów, ipomimo swej starości, osiągając niebotyczną wprost prędkość, osiągał też nieprawdopodobny poziom jazgotu, trudny do zniesienia nawet dla półgłuchych.

- Przestałbyś wreszcie - jęknął Mały, - bębunki pękają.

Baryła ucichł.

- Jak ci się nie podoba, to se zmień lokal.

Pociąg znowu ruszył i gdy Małemu wydawało się, że nie pozostało mu nic innego, jak zatkać uszy i zanurzyć się pod wodą, tamten nagle przestał. Dla odmiany zaczął mamrotać pod nosem przekleństwa - coś mu nie odpowiadało. Za chwilę zachlupotała woda, rozległo się szuranie zakończone łomotem blaszanej pokrywy pojemnika, którym dostarczono im żywność.

- Co jest, do cholery! - ryknął Baryła. - Ile można czekać?

Trudno było w tym towarzystwie o chwilę spokoju, chociaż Mały zdążył już w ciągu paru dni przyzwyczać się do zapadania w krótką drzemkę wśród ohydnych śmiechu, ryku wściekłości czy też chrapania sąsiada. Najbardziej cierpiał z powodu wody, której poziom podnosił się nieraz do tego stopnia, że zmuszał go do stania na palcach całymi godzinami. Ale tym razem mógł nawet kucnąć w swoim kącie nie obawiając się utonięcia. Zamknął więc oczy pograżając się w rozmyślaniach.

W baraku panowała niczym nie zmacona cisza. Wszystko przemawiało za tym, że udało im się wymknąć niepostrzeżenie. Na zewnątrz było zimno. Siąpił niewielki, ale nieprzyjemny deszczyk. Sim pomógł mu założyć stary, w jednym miejscu nawet dziurawy kombinezon, wykradziony z pomieszczenia obsługi wind. Sam trafił na jeszcze bardziej zużyty, ale gdy

Mały próbował nakłonić go do zamiany, Sim niedwuznacznym gestem nakazał mu milczenie.

Gumowane, ciężkie płaszcze też nie były pierwszej młodości, ale chłód nocy mocno dawał o sobie znać. Mały zarzucił na plecy trzeci płaszcz, w który owinęli gromadzoną od kilku tygodni żywność, i ruszyli.

Sim kluczył między barakami starając się nie wejść na plac jasno oświetlony reflektorem umieszczonym na szczycie kopalnianego wyciągu. Przy każdej sposobności uczyli się tej drogi na pamięć, wybierając miejsca nie porośnięte tutejszą suchą, pustynną roślinnością, która przy każdym kroku wydawała głośny trzask. Teraz pomimo ciemności poruszali się dość szybko, aby jak najprędzej wyjść poza teren kopalni. Kiedy minęli ostatni barak, skręcili na północ. Tutaj nie sięgało już światło reflektora, a poza tym od strony kopalni zasłonięci byli długim szeregiem hałd.

Kilkakrotnie już Mały zastanawiał się, dlaczego zatrudniająca setki pracowników, a raczej niewolników kopalnia była tak słabo strzeżona. Kiedy ich tu przywieziono, usłyszeli długi wykład na temat niedostępności tej pustynnej planety, absolutnego braku warunków życia poza kopalnią, zupełnej bezcelowości ucieczki. Faktem jednak było, że w ciągu paru miesięcy ich pobytu tutaj, z mieszkańców czterdziestego dziewiątego baru nikt nie próbował uciekać. Wydawało się, że wszyscy pogodzili się z losem, z ciężką pracą pod ziemią i fatalnymi warunkami życia na powierzchni. Ci, którzy sprawowali nad nimi władzę, dostatecznie zatroszczyli się o to, aby do maksimum wykorzystać tanią siłę roboczą i maksymalnie ograniczyć wydatki związane z jej utrzymaniem. Być może w innych barakach byli śmiałkowie, którzy pragnęli odmienić ten stan, jednakże nie istniała żadna możliwość kontaktu pomiędzy mieszkańcami różnych oddziałów.

Pod stopami zachręścił żwir; wyszli już poza teren kopalni. Ale przed nimi było jeszcze najcięższe: dostać się na szczyt jednego ze wzgórz otaczających kotlinę. Jak sądził Sim, niesłusznie byłoby przepawić się przez przełęcz, gdyż tamtędy prawdopodobnie pójdzie za nimi pogoń. Stok nie był stromy, ale niezliczone, potężne głazy, które pojawiały się przed nimi niczym duchy nieoczekiwane wyłaniające się spośród ciemności powodowały, że droga za dnia wydająca się krótką, teraz zajęła im ponad sześć godzin. Z każdym krokiem, wraz z opuszczającymi ich siłami, ulatywała w mrok nocy uprzednia pewność sukcesu. Nie wiedzieli przecież, co czeka ich za wzgórzami. Nie wiedzieli, ile czasu trwać będzie wędrówka w nieznanie.

Kiedy umęczeni, ledwo trzymający się na nogach wyszli na płaski jak talerz szczyt, nad planetą wstawał świt. Według planu Sima, o tej porze powinni znajdować się już przy transporterze. Tymczasem, nie uszedłszy nawet połowy tej drogi, leżeli rozciągnięci na skale starając się przynajmniej kilka chwil bezcennego czasu poświęcić na odpoczynek.

Uspokoilo ich nieco spojrzenie w kotlinę. Baraki wyglądały stąd niczym czarne klocki poustawiane w równe szeregi, jak armia na przeglądzie ołowianych wojsk małego dziecka. Pracujący wyciąg i dwa strumyczki małych figurek płynące w przeciwnie strony świadczyły o tym, że poranna zmiana któregoś z baraków zastępowała nocną przy rozkruszaniu bazaltowych skał. Ale nigdzie nie było widać nawet śladu pogoni podążającej za dwoma szaleńcami.

W milczeniu zakończyli posiłek składający się z gliniastego chleba, kawałka syntetycznego mięsa i łyka słonej wody, podzielili skromne zapasy na dwie równe części i ruszyli dalej. Droga w dół była o wiele łatwiejsza, nie tylko z powodu świecącego słońca. Głazów było tu mniej, miejscami wydawało im się nawet, że poruszają się po specjalnie dla nich wydeptanej ścieżce. Toteż w niecałe dwie godziny później natknęli się na linię transportera. Głośno się śmiejąc Sim poklepał Małego po plecach. Teraz nic już nie było ważne. Znowu uwierzyli, że uda im się dostać do centralnej sterowni, zniszczyć jakiś podzespół, aby wreszcie uciec statkiem technika, który przyleci usunąć uszkodzenie.

Dopiero za trzecim razem Małemu udało się wskoczyć na taśmę o kilkanaście metrów za Simem. Pierwsze wrażenie nie było przyjemne, od razu utwierdziło go w przekonaniu, że podróż ta nie będzie należała do wygodnych. Po twardym, jakby betonowym podłożu, pchana niewidzialną siłą taśma mknęła

tu z zawrotną iście szybkością. Ujechali więc już kilka kilometrów, zanim Mały jako tako ułożył się i zakopał wśród odłamów skalnych, przecinanych pasmami rodzimej platyny. Teraz należało tylko czekać.

Po niebie wędrowały małe, pierzaste obłoczki, z których przy odrobinie fantazji można było odczytać całą galerię postaci z dziecięcych bajek. Przesuwały się tam krasnoludki w dziwacznych czapeczkach, stare, uśmiechające się babcie, niektóre nawet z miotłami, piękne królowny, złe i dobre wróżki. Poza tym między nimi uwijały się rozmaite zwierzątka: kotki, myszki, psy, ogi, baranki, prelki i co kto tylko sobie zażyczył.

Dopiero gdy słońce zaczęło przypiekać mu kostki, Vik zauważył, jak bardzo przesunął się cień palmy. Niechętnie wstał otrzepując z siebie piasek i ruszył w kierunku domu. Nie uszedł jednak daleko, kiedy dostrzegł jakąś postać zmierzającą w jego stronę. Była to Reze, matka Vika, jak zawsze piękna, odziana w odświętną zieloną tunikę. Podbiegł do niej i dotknął czołem ramienia matki, która czule pogłaskała go po głowie.

- Synku - powiedziała cicho. - Uważaj na siebie. Przyjechali już.

- Bądź spokojna, mamó.

Uśmiechnął się do niej, odwrócił i podbiegł w kierunku szosy zapinając po drodze żółty kombinezon pilota. Raz jeszcze przystanął, pomachał stojącej w oddali matce ręką i skręcił między zabudowania.

Samochód pędził osiedlową drogą wzbijając olbrzymie tumany kurzu. Koła piszczały na zakrętach, a pęd właczający powietrze do ust utrudniał oddychanie i tak niezbyt gęstą atmosferą planety. Vik z daleka już zauważył niewielką postać opartą o malowany w niebieskie i żółte pasy płótek. Krzyknął do kierowcy, lecz tamten nie zareagował: wizgot opon na żwirze drogi zagłuszał słowa. Vik stuknął kierowcę w ramię, po czym gestami niedwuznacznie pokazał, o co mu chodzi. Zapiszczały hamulce i wóz zatrzymał się.

- Pospiesz się - mruknął kierowca.

Vik przeskoczył zapasowe koło i podbiegł do Any. Delikatnie ujął głowę dziewczyny w swoje dłonie i wtulił twarz w jej włosy.

- Jutro wrócę, maleńka. Nie martw się - szepnął.

Ana nie odezwała się, zawsze w takich chwilach milczała. Rozpięła tylko kieszonkę jego kombinezonu i na miejsce uschniętego już kwiatka włożyła świeży.

Maszyna stała na betonowej płycie lotniska przygotowana do próbnego lotu. Srebrzysta iglica wskazywała czubem dokładnie zenit bezchmurnego nieba.

- Witaj, Sim - Vik pozdrowił swojego mechanika.

- Witaj, Mały. Wszystko w porządku - Sim położył rękę na jego ramieniu. - Ruszaj. Powodzenia!

Kiedy dokonał już wszystkich połączeń, ułożył się wygodnie w fotelu i przymknął na chwilę oczy. Był teraz częścią maszyny, jej mózgiem i sterem. Każda jego myśl mogła być natychmiast wprowadzona w życie. Przez chwilę jeszcze przyglądał się małemu białemu kwiatuskowi wyjętemu z kieszeni, po czym ułożył go na pulpicie tuż obok startera i wcisnął guzik łączności z naziemną kontrolą lotniska. Z głośnika dobiegł go jakiś okrzyk.

Odłamki skał uwierały go z wszystkich stron, lecz nie śmiał się poruszyć. Przez niewielki otwór obserwował zmierzające niebo. Z lewej i prawej strony kilkanaście takich samych jak jego

transporterów bezszelestnie zmierzało niczym szeroka rzeka ku swemu ujściu. Pędzili tak już trzeci dzień w palącym słońcu i przez mroźną noc. Wciąż tak samo, na przemian w górę i w dół.

- Mały! Słyszysz mnie? - to wołał Sim. - Skacz. - Skacz! Skacz natychmiast!

Vik rozgarnął nieco kamienie i z niemałym trudem ukląkł na taśmie. Wszystko tańczyło mu przed oczami. Kilkadziesiąt kroków przed sobą dostrzegł skalną ścianę z wykutymi w niej tunelami, w których znikwały poszczególne transportery obejmowane przez jakieś stalowe ramiona i wysięgniki. Wiedział jednakże, iż za wszelką cenę musi uciekać z taśmy. Nie zważając więc na zawroty głowy wyciągnął przed siebie ręce i skoczył. Nogi nie znalazły pewnego oparcia na kamienistym, dość stromo opadającym w tym miejscu stoku wzgórza. Tuż przed twarzą Vika wyrosły zwały skalnych odłamów i taśma sąsiedniego transportera. Rzucił się w tył uderzając głową wprost w nadbiegającego Sima. Objęci razem runęli i potoczyli się w dół zbocza. Zaledwie dwa ciała dotknęły metalowej płyty u podnóża skalnej ściany, oślepiło ich złowieszcze, zielone światło. Jednocześnie obie pary dłoni zostały spętane przez niewidzialne, bezlitosne kleszcze.

- Nareszcie - głos Baryły przerwał tok wspomnień Małego.

Rozległ się stuk blaszanej pokrywy pojemnika, a po chwili głośnie mlaskanie i pochrząkiwanie. "Zwierz - pomyślał Mały - wielki, nierozumny zwierz". Nie był głodny, nie miał zresztą wcale ochoty na to świństwo, łyknął więc tylko trochę wody. Nagle odezwał się Nowy, odezwał się po raz pierwszy, od kiedy umieszczono go z nimi.

- Panowie... ja chcę... - z trudem dobierał słowa. Nie znał widocznie dobrze uniwersalnego języka kopalni.

- Zamknij go, Mały - ryknął Baryła z pełnymi ustami. Przez chwilę mrok wypełniały jedynie odgłosy żarłoczności dochodzące z przeciwległego kąta celi.

- Panowie... - jeszcze raz nieśmiało zaczął Nowy.

- Czego tam? - Baryła trochę się udobruchał.

- Ja... ja jestem... z innej planety.

- Ja też - mruknął Baryła.

Nowego widocznie zaskoczyła odpowiedź, gdyż milczał.

- Nie rozumiem - odezwał się wreszcie.

Mały nie mówił nic, z zaciekawieniem oczekiwał dalszego ciągu. Baryła też milczał, pewnie dłubał w zębach swoimi ohydnyimi pazurami.

- Panowie... naprawdę... - kontynuował Nowy. - Moja planeta... Ziemia...

W ciemności rozległ się plusk, potem jakieś plaśnięcie i odgłos ciężaru padającego w wodę.

- Tfu, co za miękkie świństwo - Baryła zaczął płucać ręce.

Andrzej Leszczyński - W POGONI ZA ŚWITEM

Tym razem zmierzch zastał go przy czwartej śluzie. Miał do niej zaledwie kilka kroków, gdy zalała go nieprzenikniona ciemność, w której jego oczy przestawały zupełnie - funkcjonować. Jeszcze raz nie zdążył przeprowadzić od dawna planowanej obserwacji nadejścia nocy.

Przez chwilę trwał w bezruchu, po raz kolejny zaskoczony nagłą utratą wzroku. Wreszcie ruszył powoli wyciągnawszy przed siebie obie ręce. Wydawało mu się, że trwało to całą wieczność, zanim poczuł pod palcami chłód chropowatej powierzchni metalu. Przyłgnął do niej plecami i przez kilka minut uspokajał kołaczące serce usiłując jednocześnie odtworzyć w pamięci rozkład pomieszczeń na tym poziomie. Postanowił w końcu, że tym razem spędzi noc w pierwszej sali, którą napotka. Uspokojony już nieco ruszył z powrotem korytarzem sunąc dłonią po ścianie.

Kilka razy potykał się o rozrzucone po podłodze sprzęty, zanim dłoń jego natrafiła na pianolitową futrynę. W tym samym momencie automatyczne drzwi rozsunęły się z cichym szumem. Z bijącym sercem wszedł do środka, zatrzymał o dwa kroki dalej i kiedy usłyszał, że drzwi za jego plecami zamknęły się, niewiele myśląc ułożył się na podłodze. Sen nadszedł prawie natychmiast bezszelestnie zatapiając go w poszarzałym obrazie przeżyć minionego dnia.

Kajutę zalewało mlecznobiałe światło. Całe jej wyposażenie, które ogarnął jednym spojrzeniem, było niemal identyczne, jak we wszystkich tych pokojach, które zdołał już odwiedzić. Łapczywie wyciągnął więc swoje członki nasycając ciało nikłym ciepłem bijącym od ścian.

Z kurka w lewym rogu pokoju monotonnie kapała jakaś ciecz. Najpierw powąchał ją, potem ostrożnie posmakował, a kiedy stwierdził, że jest to woda, chciwie zanurzył w niej obie dłonie. Długo rozkoszował się życiodajnym, chłodnym płynem, aż wreszcie wzrok jego padł na prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia uchylone drzwi, których poprzednio nie zauważył. Cicho podszedł do nich i zajrzał do wnętrza. Cała salka zastawiona była dziwnymi fotelami, stołami i szafkami - wszystko biło w oczy nieskazitelną bielą, oprócz jednej rzeczy. Na środku pokoju leżało coś, co z pozoru tylko przypominało człowieka. Metalowa kukła rozrzucona w nienaturalnej pozycji z wielką banią zamiast głowy ukrytą pomiędzy szpiczastymi ramionami trzymała w nieudolnie wymodelowanej dłoni szarozielony, cienki i poszarpany płąt.

Ostrożnie wycofał się z tego pomieszczenia i wyszedł na korytarz. Na wprost przed sobą ujrzał pod strzałką napis, którego nie zauważył wczoraj: "Wyjście awaryjne. Śluza nr 4". Żwawo ruszył we wskazanym kierunku i po chwili stał już po drugiej stronie ciężkich, ołowianych drzwi. Korytarz rozdzielał się tu na dwie części. Na wprost ujrzał dobrze znany widok długiego szeregu drzwi prowadzących do bliźniaczo do siebie podobnych kajut. Ruszył więc wąskim, bocznym przejściem i wkrótce stanął przed okrągłym włazem. Mechanizm otwierania był tu podobny, jak w przypadku wszystkich śluz, nie miał więc z nim kłopotów. Rozwarła się przed nim czarna przepaść upstrzona miriadami dalekich ogników. Widok ten tak przykuł jego uwagę, że nie zauważył nawet, jak całe jego ciało zaczął spowijać coraz mocniejszy chłód. Dopiero gdy igiełki mrozu zaczęły przebijać jego skórę, wycofał się szybko z tego miejsca.

Szedł korytarzem otwierając na chybił trafił drzwi do pokoi. Wszędzie było to samo: jedno łóżko, szafka, naczynie wypełnione zatechłą wodą oraz promienniki przymocowane do sufitu. Wszędzie identyczne, metalowe ściany, sterylność i nigdzie nawet śladu ludzi.

Piąta śluza zaprowadziła go do ogromnej hali, większej od wszystkich, jakie dotychczas widział. Wzrok jego gubił się pomiędzy szerokimi, wielobarwnymi pulpitemi, wielkimi skrzyniami i różnymi maszynami. Całość, widocznie od dawna nie używana, pokryta była grubą warstwą kurzu, oprócz słabo widocznej ścieżki wiodącej między pulpitemi gdzieś w głąb hali.

Penetrację rozpoczął od dużej, żółtej ściany, w którą wmontowano setki różnych wskaźników, przełączników i regulatorów. Zaczął odczytywać tabliczki pod nimi: "Poziom 3", "Temperatura", "Wilgotność", "Tlen". Za zegar podpisany "Napromieniowanie" wetknięta była kartka z odręcznym dopiskiem: "4x15 min". Niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Znaczenie niektórych słów znał doskonale, inne budziły w nim jedynie mgliste wspomnienia, lecz całość pozostawała nadal niejasna.

Nagle posłyszał jakiś stukot. Skulił się cały wystawiwszy ponad pulpit jedynie głowę. W hali nadal panowała cisza, nic nie wskazywało na to, że ktoś jeszcze tu jest. Zachowując najdalej posuniętą ostrożność, starając się stąpać jak najciszej ruszył między pulpitemi w głąb pomieszczenia. Czujnie rozglądając się na wszystkie strony posuwał się powoli uważnie nasłuchując. Między pakami z prawej strony mignęło mu czyjeś ramię oznaczone olbrzymią blizną. Rozległ się tupot szybkich kroków, trzasnęły drzwi śluzy. Podbiegł do nich, lecz przekonał się, że były zamknięte, a zamek od tej strony nie reagował na jego szarpaninę. Na wpół oszalały ze strachu rzucił się między skrzynie, ale po chwili przystanął. Poczł że coś się zmieniło dokoła niego. Znów dziwne igiełki nakłuwały skórę, ręce powoli zaczynały mu drętwieć. Oszołomiony rozejrzał się dokoła. Wreszcie dostrzegł je - dobrze znane, złowrogo błyszczące punkciki.

W jednej ze ścian widniał wielki, prostokątny otwór. Odchylona kłapa sterczała daleko w czerń. Lecz na próżno usiłował znaleźć gdzieś w pobliżu mechanizm zamka - nie było go tu. Człł, że powoli mięśnie odmawiają mu posłuszeństwa, jeszcze chwila, a nie będzie już dla niego ratunku.

Obok, na stalowym rusztowaniu spoczywał olbrzymi pocisk skierowany dziobem wprost w otwierającą się przed nim czeluść. W jego boku widniał okrągły otwór zamykany odchyloną do góry kłapą. Czując, iż jest to jego ostatnia szansa, wdrapał się" na rusztowanie i zsunął w głąb pocisku. Ostatkiem sił zamknął za sobą otwór - ogarnęły go zupełne ciemności. Pod lewą ręką poczul jakies wyłączniki, zaczął je więc naciskać jeden po drugim. Wkrótce wewnątrz niewielkiej kabiny zalało jaskrawe światło, zamruczały włączone jakies urządzenia, zasyczał wlatujący gaz. Temperatura zaczęła powoli narastać i poczul, jak nowe siły wstępują w jego ciało. Szybko poznał przeznaczenie poszczególnych przełączników, wyłączył więc wszelkie urządzenia, aby nie zakłócać panującej w hali ciszy, pozostawiając jedynie oświetlenie i ogrzewanie. Postanowił czekać, dopóki tamten nie przyjmie jego śmierci za pewnik.

Ocknął się w miękkim, szerokim fotelu. Przez chwilę usiłował skojarzyć gdzie jest, i co tu robi. Kiedy wreszcie przypomniał sobie wydarzenia minionego dnia, wstał i zaczął powoli otwierać właz. Wychylił ostrożnie głowę i spojrział w bok. W rozwartym prostokącie ściany nadal błyszczwały gwiazdy, lecz przed tą przepaścią stał... jego prześladowca. Dokładnie widział jego szerokie, barczyste plecy i wielką bliznę na lewym ramieniu, jakby w tym miejscu kiedyś oddarto cały płat skóry. Bezgłownie zszedł po rusztowaniu i zbliżył się do nieznanomego. Ogarnęła go fala ślepej nienawiści. Niewiele namyślając się pchnął mocno nieruchomą postać. Tamten z dziwnym jękiem runął w mroczną otchłań. Dopiero teraz

przykuł jego uwagę widok, który tak zafascynował jego napastnika. Pośród gwiazd błyszczał półkolisty rąbek rozsiewając wokół siebie bladobłękitną, tak dziwnie bliską i ciepłą poświatę.

Wracał korytarzem z błogim odczuciem beztroski. Początkowo zganił siebie za ten nagły przypływ nienawiści. Ale szybko wytłumaczył sobie, że nie było innego wyjścia. Tylko jeden z nich mógł dalej żyć tu w spokoju. Zamiast tamtego równie dobrze on mógł teraz martwy lecieć w nieskończoność omywany blaskiem odległych słońc.

Zatrzymał się przy drzwiach prowadzących do pokoju, w którym spędził poprzednią noc. Coś nie dawało mu spokoju, kusiło go, aby jeszcze raz tam wejść. Po krótkiej chwili namysłu dotknął futryny i pewnym krokiem przestąpił próg. W sąsiedniej salce wszystko było na swoim miejscu, tak jak ujrzał to minionego ranka. Ostrożnie zbliżył się do rozciągniętej na podłodze kukły. Teraz już wiedział, co go tu sprowadziło: musiał przekonać się, jakiemu celowi służyła ta imitacja ludzkiej postaci. Wsunął dłoń pod jej ramię i jednym ruchem obrócił ją przednią stroną do góry. Odkoczył jak oparzony.

Spoza szybki zamocowanej w baniastej głowie patrzyły na niego wyłupiaste oczy. Błada twarz wykrzywiona była makabrycznym grymasem odsłaniając w dolnej swej części szereg białych, prostokątnych wyrostków.

Z mocno bojącym sercem ukląkł obok leżącej postaci. Zrozumiał teraz, że to, co brał uprzednio za kukłę, imitację sylwetki ludzkiej, było tylko opakowaniem, - jakimś ubiorem ochraniającym ukrytą wewnątrz istotę. Skafander rozorany był z tej strony w okolicy brzucha, ukazując nagie, okaleczone ciało. Domyślił się, że ta właśnie rana była przyczyną śmierci delikatnego stworzenia.

Uprzednio niewidoczny, przywalony martwym ciałem, leżał na podłodze gruby brulion w czarnych okładkach z wybitym złotym napisem: „Dr A.Curtis”. Podniósł go i otworzył. Całe strony pokryte były szeregami cyfr, różnych znaków i skrótów, zupełnie dla niego niezrozumiałych. Tylko gdzieś tam widniało kilka linijek niedbałego pisma. Zaczął czytać.

“Czternaście zgonów w ciągu dwóch tygodni to nawet dla mnie nieco wstrząsające. Nigdy nie wierzyłem w rewelacyjne zakończenie tego eksperymentu, ale nie spodziewałem się również takiego obrotu sprawy. Dawno już zwątpiłem w cudowną przyszłość tych ludzi, jak mawiał gen. Haxley. Czasami wydaje mi się, że jest to zwyczajne morderstwo popełniane w bardzo wymyślny sposób. Teraz żałuję, że dałem się na to namówić”.

Przerzucił kilka kartek.

“Zmarł także Flint, zostało ich już tylko dwóch i wydaje mi się, że zaczyna się u nich adaptacja do nowych warunków. Mam teraz pełne ręce roboty, wszystkich techników odwołano z powrotem na Ziemię. Sam muszę pilnować całej aparatury. Dokucza mi tylko czasami samotność, ale liczę już dni do momentu zakończenia hibernacji. Czekam niecierpliwie na tę chwilę, ale jednocześnie boję się jej. Przecież nie będą to już ludzie”.

Następne strony pokryte były jedynie cyframi. Dopiero pod grubą czerwoną kreską i cyframi 18.08.2093 znalazł notatkę.

“Coraz bardziej boję się bezpośredniego zetknięcia z nimi. Mają teraz do swojej dyspozycji cały statek, oprócz trzech pomieszczeń: sterowni, maszynowni i mojego pokoiku. Chcąc wyjść stąd muszę zakładać gruby, ołowiany skafander. Dla kogoś postronnego byłoby absolutną fantazją, że tam żyją ludzie. Zupełny brak atmosfery, temperatura 100° K, promieniowanie gamma. A jest to przecież tylko drobny wycinek z całego obszaru możliwych warunków. Sam dobrze jeszcze nie wiem, ile mogą wytrzymać ci dwaj, ale wydaje mi się, że nawet dla autorów tego eksperymentu wyniki mogą być szokujące”.

Kolejny zapis był jednocześnie ostatnim w całym brulionie.

“Zastanawiam się, cóż dała tym ludziom nieśmiertelność. Nie zabije ich ani temperatura zera bezwzględnego, ani topnienia żelaza, nie potrzebują do życia żadnej atmosfery, odżywiają się równie

dobrze promieniowaniem radiowym, jak i kosmicznym. A z drugiej strony od tygodnia próbuję nauczyć ich geometrii euklidesowskiej. Są po prostu jak niedorozwinięte dzieci. Tompson całymi dniami chodzi po statku, jak gdyby szukał czegoś. Bower natomiast nie odstępował mnie ani na krok, teraz pewnie siedzi pod drzwiami pokoju. Ostatnio robi się coraz bardziej agresywny".

Rzucił brulion w kąt i wstał. Zamierzał już wyjść, kiedy dostrzegł wiszące na ścianie lustro. Stał przed nim strojąc miny do własnego odbicia, do nagiej, błyszczącej czaszki, czarnych, głęboko wbitych oczu i szarzielonych, łuskowatych warg.

- Tompson - mruknął i uśmiechnął się do siebie. - W sterowni jeszcze nie byłeś, prawda?...

Andrzej Leszczyński - CYRKULACJA

Jak każdego dnia o tej porze stary rybak Jan wędrował ścieżką poprzez wydmy w kierunku nadmorskiej skarpy, aby obejrzeć wielki ruch po tamtej stronie. Deszcz, który spadł wczoraj wieczorem, nie zmył jeszcze zupełnie śladów codziennej wyprawy Jana. W piasku gdzieś tam widniały dołki wykłute przez starą, fantazyjnie rzeźbioną w sosnowym drewnie łaskę. Szło mu się dzisiaj o wiele łatwiej i szybciej, jak zresztą zawsze po deszczu. Nogi nie zakopywały się w nasiąkniętą wodą wydmach, nie sypał się do butów wszędobyłski piach.

Podejście na skarpe od strony morza nie należało do bardzo stromych, ale Jan wiedział, że z czasem będzie mu coraz trudniej przychodzić tutaj. Jeszcze parę lat temu chodził do miasteczka oddalonego o cztery kilometry, siadał nad kuflem piwa i opowiadał chłopakom swoje, bądź zasłyszane z życia rybaków historie. A stary Jan umiał opowiadać, toteż nigdy nie brakowało chętnych do wysłuchania jednej z bogatego zestawu opowieści rybaka. Miał też swoich wiernych słuchaczy, kilku chłopców z tutejszej szkoły, którzy z zamkniętymi oczyma głęboko przeżywali każdy sztorm, każdy okaz "wielki, jak pół kutra", porwane sieci czy skarby wyrzucane przez morze.

Ale Jan wiedział też, że teraz taka wyprawa była zupełnie niemożliwa, nie potrafiłby sam wdrapać się na skarpe od strony miasta.

Za jego młodości po obu stronach ścieżki rozciągał się las. Dla niego i jego kolegów było to ulubione miejsce zabaw. Ganiali się pomiędzy drzewami, buszowali w krzakach jeżyn, napychając usta nie zawsze jeszcze dojrzałymi, cierpkimi owocami, kryli się w porośniętych po same brzegi młodniakiem starych okopach, znajdując tam nierzadko pamiątki wielkiej wojny. Dziś nic już nie wskazywało na to, że kiedyś rósł tu las. Nawet pnie po ściętych drzewach usunięto dokładnie, pozostawiając jedynie nagi piaszczysty wał, chroniący niżej położone tereny przed wtargnięciem na nie morza.

Stał wreszcie na szczycie skarpy. Kilka kroków od ścieżki zmajstrował sobie kiedyś ze znalezionych w chałupie paru starych desek rodzaj stołka. Teraz położył na nim przyniesiony ze sobą koc i usiadł. Przed nim rozciągała się obszerna nizina, obecnie teren wielkiej budowy. Z lewej strony stało już pięć wykończonych punktowców, następne dwa akurat wznoszono. Stary usiłował któregoś dnia policzyć ilość kondygnacji w jednym z nich; doliczył chyba do osiemdziesięciu, potem wszystko mu się pomyliło, okna zlały się w jedną mglistą płaszczyznę. Oceniał ich wysokość na około trzysta pięter. Po raz pierwszy w życiu widział na własne oczy tak potężne budynki. Z prawej strony, w oddali, rysowały się kontury olbrzymiej fabryki, a raczej kombinatu ciągnącego się na przestrzeni wielu kilometrów, produkującego, o czym wiedział z telewizji, silniki fotonowe. Tuż pod skarpe, wydawałoby się o wyciągnięcie ręki, pracowały buldożery. To właśnie ich pracę mógł podziwiać godzinami, śledząc każdy metr przebytej przez nie drogi. W zasadzie nie były to buldożery, sam nadał im taką nazwę, gdyż właściwa stale umykała mu z pamięci.

Ogromne pudła, osadzone na kilkunastu osiach, zbierały jednorazowo szerokim, wysuniętym ryjem dwumetrową chyba warstwę gruntu. Gdzie mieściła się tak wielka ilość piachu wewnątrz maszyny - Jan nie wiedział. Nigdy nie widział, aby buldożery w jakikolwiek sposób pozbywały się swego ładunku. Tym razem pracowało ich tylko sześć. Szły jeden za drugim, jak na jakimś przegładzie, zdzierając kolejne warstwy ziemi. Jako siódma toczyła się za nimi betoniarka, zbierając cienką stosunkowo warstwę gleby i zostawiając za sobą pas natychmiast tężącego betonu. Jak okiem sięgnąć, niemal cała już powierzchnia

olbrzymiego placu budowy pokryta została betonem. Tylko tu, pod samą skarpą widniał jeszcze garb nie zebranej ziemi.

W pewnej chwili pas wylewanego betonu urwał się nagle. Przez kilkanaście minut betoniarka podążała za niezamordowanymi buldożerami "na pusto", aby wreszcie znów rozpocząć swoją pracę. Jan ucieszył się. Wiedział, że jutro na nie pokryty plac przybędą inne maszyny, potężne koparki ciągnące za sobą kilometrowe linie transporterów. Cieszył się, że kolejny fundament pod punktowiec kopany będzie tak blisko jego stanowiska, że tym razem będzie widział wszystko bardzo dokładnie.

Dopiero teraz zauważył, że pozostałe buldożery pracują od strony wybudowanych już punktowców. Jak ocenił, najpóźniej pojutrze cały plac będzie już zabetonowany, jak gigantyczna szachownica z wykopami, bądź dopiero zostawionymi miejscami pod kopanie fundamentów. Wykopy łączyły się ze sobą głębokimi, kilkumetrowej szerokości rowami, w których będą biegnąć kable elektryczne, rurociągi, dostarczając wszystko to, co jest potrzebne ludziom do życia.

W plecy zaczęło mu świecić słońce; nawet nie zauważył, kiedy ciężka, ołowiana zasłona chmur rozwiła się nieco. Z opartą na pięściach głową obserwował wędrujące bezustannie tam i z powrotem maszyny. Nie słyszał już nawet szumu niezbyt przecież odległego morza. Wreszcie usnął.

Kiedy się przebudził, słońce zniżało się już. Maszyny nadal posuwały się wzdłuż nie zebranej jeszcze warstwy ziemi. Dostrzegł też niewidoczne przedtem, pracujące gdzieś dalej koparki, które, w czasie gdy spał, przeniosły się bliżej skarpy. Wstał, zarzucił koc na plecy i pokuśtykał w kierunku wioski.

Trzy łodzie, które rano wyszły na połów, wyciągano akurat na brzeg. Dzień był nadzwyczaj pomyślny: dwie skrzynki śledzi, kilka okazałych dorszy i nawet jeden sandacz leżały już na plaży.

- Dzień dobry, Janie - zawołał któryś z rybaków. - Może pomogłbyś nam wyciągać łódź?

- A może masz ochotę wypłynąć jutro ze mną w morze? - zagadnął drugi. Jan uśmiechnął się.

- Za stary już jestem - mruknął. - Za stary...

W progu przywitał go ponętny zapach grochówki. Umył więc szybko ręce i przeszedł do pokoju. Z fotela podniósł się Andrzej.

- Gdzie tata był tak długo? - zapytał wychodząc do kuchni.

- Jak zawsze: podziwiałem twoje maszyny.

Po chwili stanął przed Janem talerz gorącej zupy. Zgłodniały, natychmiast zabrał się do jedzenia. Andrzej włączył telewizor, wrócił na fotel i zaczął przeglądać gazetę.

- Mógłbyś mnie kiedyś zabrać na budowę - zagadnął stary.

- Tyle razy już powtarzałem, że tam nie ma nic ciekawego. Niepotrzebnie by się ojciec tylko zmęczył schodząc w dół.

- Mówisz, że nic ciekawego...

Andrzej znad gazety spojrzał uważnie na ojca i uśmiechnął się.

- Rozumiem - powiedział bardziej do samego siebie, niż do niego. - Nie wierzysz mi, że nie pracują tam ludzie.

- I nigdy nie uwierzę, chyba że zaprowadzisz mnie tam

- Jan nie chciał dać za wygraną.

- Jeżeli tak bardzo ci zależy - Andrzej wzruszył ramionami - postaram się o pozwolenie.

- I z bliska pokażesz mi maszyny? - ojciec odsunął pusty talerz.

- Oczywiście, że tak.

Rozpoczął się dziennik telewizyjny. "Na północy kraju mówił spiker - w pobliżu niewielkiej wioski

rybackiej Kęstowo, trwa budowa największego dotychczas osiedla mieszkaniowego". Jan wsadził na nos okulary. Na ekranie ukazały się koparki pochylone nad ukończonym już prawie wykopem fundamentu. Obraz przesunął się, obejmując budynki. „W punktowcach zainstalowana zostanie eksperymentalna aparatura, umożliwiająca zamkniętą cyrkulację wody”.

- Andrzej... - stary zawahał się. - Co to jest cyrkulacja? Cyrkulacja wody - dodał szybko.

- Oznacza to - wyjaśnił Andrzej - że woda raz już użyta powróci do używania. Po oczyszczeniu, oczywiście.

- Aha... - mruknął Jan i zamyślił się.

- Cyrkulacja... cyrkulacja - powtórzył wreszcie, jakby pragnąc zapamiętać to słowo, choć wiedział dobrze, że uleci ono z jego pamięci podobnie jak uleciało wiele słów, które dla niego dawno już straciły wszelkie znaczenie...

Andrzej Leszczyński - CZTERDZIESTA ÓSMA

Wideofon zabrzączał cichutko, zupełnie jak świerszcz wiosną w parku asturyjskim. Dopiero niedawno zainstalowano tutaj najnowszy jego model i Burt nie zdążył jeszcze przyzwyczać się do tego dźwięku. Włączył wizję. Bez trudu rozpoznał na ekranie twarz Artura Webba, kierownika czterdziestej ósmej wyprawy, badającej rejon Centaura. Wyprawa powróciła zaledwie dwa dni temu i wszyscy jej uczestnicy przebywali jeszcze w komorach automeda Centralnego Ośrodka Adaptacyjnego.

- Witaj na ziemi, Arturze. Jestem Burt Martin.

- Witaj, Burt. Cieszę się, że jestem znów wśród was - miał cienki, niemal chłopięcy głos.

- Jak czuje się cała załoga?

- Dziękuję, wszystko w porządku. Narzekamy jedynie na zbyt długi czas procesów adaptacyjnych i kwarantanny. Połączyłem się z tobą, ponieważ chcę jak najprędzej przekazać ci ważne odkrycie, jakiego dokonaliśmy.

- Nie informowaliście, że znaleźliście coś ciekawego - Burt był wyraźnie zaskoczony słowami Artura.

- Postanowiliśmy - Webb zniżył nieco głos - że zanim opublikowane zostaną wyniki badań przywiezionych przez nas materiałów, dyrektor Kosmocentrum będzie pierwszy osobiście powiadomiony o dokonanym ...odkryciu.

- Słucham więc - Martin usadowił się wygodnie w fotelu.

- Najpierw chciałbym przedstawić ci kilka fotogramów.

Na ekranie zapłonął schemat układu gwiazdowego z zaznaczoną drogą statku przebiegającą w pobliżu planet zewnętrznych i stykającą się z czwartą planetą.

- Oto układ 4729 CXF - komentował Webb. - Na czwartej planecie stwierdziliśmy warunki umożliwiające powstanie życia. A zastaliśmy tam...

Burt ujrzał dziki krajobraz globu. Po sam horyzont ciągnęły się łąwice rudoczerwonego piachu usiane miejscami gromadami głazów. Płaskowyż przecięty był wąwozem świadczącym wyraźnie o daleko posuniętej erozji powierzchni. Z lewej strony ekranu widoczny był niewielki krater pochodzenia prawdopodobnie meteorytowego. Na kolejnym fotogramie ze zwałów piachu strzelała w niebo metalowa pika. Dalece skorodowana, nosiła w kilku miejscach ślady nadtopienia. Obok, w przekroju wykopanej jamy, pod grubą warstwą późniejszych osadów widniały ruiny kamiennych budowli.

- Wiek znaleziska - kontynuował Artur - ocenia się na osiemset tysięcy do miliona lat. W warstwie tej znaleziono oprócz odłamów kamiennych noszących ślady obróbki duże ilości żelaza, miedzi oraz metali szlachetnych. Wysoka stosunkowo promieniotwórczość osadu świadczy o tym, że kataklizm, który zniszczył cywilizację tej planety, prawie na pewno nie był pochodzenia naturalnego. Śladów takich znaleźliśmy tam dużo więcej.

Z ozdobnego pudełka Burt wyjął papierosa, ten "przeżytek minionej epoki", jak nazywała je Liza, i zapalił. Na ekranie pojawił się schemat następnego układu gwiazdowego.

- Układ 4733 CXF - objaśniał Webb. - Wokół gwiazdy typu KO krążą po zbliżonych do siebie orbitach tylko dwie planety. Warunki na obu globach zbliżone są do ziemskich. Eksplorację rozpoczęliśmy od nieco cieplejszego.

Na ekranie pojawił się obraz niezwykle przypominający panoramę wyżynnych rejonów saharyjskich.

Pod jasnoniebieskim, nieco zachmurzonym niebem widniały niewysokie, lecz potężne skaliste wzgórza pokryte gdzieniegdzie trawiastą, suchą roślinnością - niemi świadkowie, jak domyślał się Burt, rozgrywającej się i tu przed wiekami tragedii. Nie pomylił się. Następne zdjęcie przedstawiało fragment wykopalisk odsłaniających szczątki kwitnącej niegdyś na planecie społeczności.

- Wszystkie znaleziska świadczyły o bardzo wysokim stopniu technizacji i organizacji tutejszej cywilizacji. Znaleźliśmy między innymi szczątki silników fotonowych oraz zachowane fragmenty istniejących przed milionem lat na planecie kosmodromów.

- Wystarczy - przerwał mu Burt. Na ekranie znów widniała twarz kierownika wyprawy centauryjskiej. - Nie chcę cię martwić, Artur, ale materiał, który przywieźliście, nie jest dla nas czymś nowym i zaskakującym. Poprzednie ekspedycje, które natrafiły na planety z warunkami umożliwiającymi powstanie tam życia, zastawały jedynie ruiny i ewentualnie bardzo prymitywne formy białkowe. Mógłbym przedstawić ci setki fotogramów podobnych jak dwie krople wody do twoich. Wszędzie, gdzie istniało życie, pozostały tylko gruzy dawnych cywilizacji. Przypuszczamy, że są to ślady działalności jakiegoś okrutnego narodu, wojny kosmicznej na niewyobrażalną skalę.

- Tak samo my uważamy. Ale to, co ci przedstawiłem, nie jest najważniejsze, skoro wiecie już o wszystkim. Zainteresuje cię na pewno odkrycie dokonane na drugiej planecie tegoż układu.

Krajobraz, który ujrzał Burt, również nie odbiegał wiele od spotykanych na Ziemi. Schodzący gdzieś spoza ekranu lodowiec otaczał półkolem skalny szczyt spadający od tej strony pionową, prawie idealnie gładką ścianą.

- Są to okolice bieguna południowego globu. Jego oś obrotu jest prostopadła do płaszczyzny orbity, stąd tak surowe warunki w tych rejonach. Spójrz teraz na zbliżenie ściany.

Z bliska Burt bez trudu dostrzegł to, co chciał mu pokazać Artur. Na skale widniał prostokąt wykutych w równych szeregach znaków.

- Masz przed sobą list sprzed miliona lat wytopiony w skale laserem.

- Czy przekazałeś go już do komputera Kosmocentrum? - zapytał Burt.

- Owszem, lecz tłumaczenie mogę ci podać już teraz. Nie było to trudne dla naszego pokładowego komputera, biorąc pod uwagę, że list zaczyna się kodem matematycznym. Tak wygląda transkrypcja.

"Pozostałem sam - czytał Burt. - Napromieniowany żyć będę jeszcze tylko kilka... (dni?). Najeźdźcy wnieśli ze sobą w nasz... (układ?) śmierć i spustoszenie. W wojnie, którą rozpętali, zginęli wszyscy... (mieszkańcy układu?). Pozostałe przy życiu załogi dwóch... (statków?) najeźdźców schroniły się w okolicy gwiazdy 468,93/2,32. Niech będą przekłęci potomkowie tych, którzy przynieśli śmierć wszystkim... (mieszkańcom układu?)".

- A więc oni prawdopodobnie gdzieś żyją - Burt zerwał się z fotela. - Mordercy! Musimy pomścić śmierć tych wszystkich cywilizacji.

- Nie zapalaj się, Burt - ostudził go Artur. - Może zainteresuje cię też, że nigdzie w pobliżu nie znaleźliśmy szczątków tego, który pisał ten list. Natomiast w ruinach miasta, trzy kilometry na południe od skały, odkryliśmy doskonale zachowane fragmenty szkieletu wapiennego, które komputer zidentyfikował jako szkielet ludzki, a w każdym razie humanoidalny.

- To znaczy, że mieszkańcy tego układu byli tacy sami, jak my, byli ludźmi - opadł z powrotem na fotel. - Mordercy! Zbrodniarze! - zaciskał pięści.

Po chwili znów wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Sprawdziliście chyba tam, na miejscu, współrzędne tej gwiazdy?

- Naturalnie - Webb był jak zawsze spokojny. - Uwzględniliśmy nawet poprawkę na wiek zapisu.

Spośród szesnastu możliwych kombinacji, tylko w trzech punktach istnieją jakieś gwiazdy, a jedną z nich jest nasze Słońce.

Andrzej Majchrzak - TAJEMNICZA BROŃ

I

Pomarańczowe słońce chyliło się już ku zachodowi. Zielone niebo wyblakło, a niebieska roślinność przybrała teraz intensywny, fioletowy kolor.

Droga wiodła przez las. Szli jego skrajem, uważnie rozglądając się i bacząc, czy nie zagraża im najmniejsze nawet niebezpieczeństwo. Z lewej strony las skończył się. Stąd widać już było olbrzymie opary, za którymi znajdowały się zabudowania osady.

Philips ruchem ręki nakazał zatrzymanie się. Następnie poprawił skafander, sprawdził szczelność filtrów biologicznych i powiedział:

- Idę do mostu pod Tolledo. Reszta ma na mnie tutaj czekać.

Nikt już nie pamiętał, kto i dlaczego nazwał tak miasteczko, drugie co do wielkości na tej planecie. W każdym razie w świadomości kolonistów pozostawało jako Tolledo, chociaż rdzenni mieszkańcy planety na pewno nazywali tę osadę po swojemu.

Po dwudziestu minutach Philips przybiegł z powrotem, trzymając hełm w ręku. Z ust spływała mu piana. Zatrzymał się, próbował coś powiedzieć, ale z gardła wydobyło się tylko rżenie. Po chwili zwalił się na ziemię jak kłoda. Ciało kilka razy drgnęło, potem znieruchomiło. Na zawsze.

Koloniści patrzyli na śmierć towarzysza jak zahipnotyzowani. W ich oczach można było wyczytać grozę i paralizujący wszelką wolę działania strach.

Pierwszy ocknął się Jones. Wyszedł na drogę i skierował w stronę leżącego lufę plazmowca. Trysnął niebieskawy płomień i po ułamku sekundy z Philipisa zostało jedynie trochę popiołu.

- Teraz ja przejmuję dowodzenie! - zdecydował. - Wracamy!

Nie odzywali się. Każdy przeżuwał w milczeniu kolejną porażkę. A porażka militarna - nie kontrolowali nawet drogi do Tolledo - była przecież klęską ich logiki.

II

Do stolicy nie było zbyt daleko, zaledwie kilka kilometrów. Wystarczyło sforsować rzekę i przedrzeć się przez gęste zarośla, aby zobaczyć najwyższe budynki - siedzibę władcy tej planety.

Komandor pokładał wielką nadzieję w terenowych transporterach uniwersalnych. Doskonale zabezpieczone, wyposażone w noktowizory czynne i bierne, radary, filtry usuwające najmniejsze drobiny materii, które mogłyby przeniknąć z zewnątrz, i uzbrojenie - mała wyrzutnia pocisków raketowych klasy ziemia - ziemia, wieża z działaniem obrotowym i sprzężone karabiny maszynowe - gwarantowały możliwość szybkiego zakończenia wojny.

Komandor osobiście uczestniczył w ich odbiorze, a następnie w przekazywaniu kolonistom.

- Teraz na pewno zwyciężycie tych dzikusów! - powiedział z przekonaniem. - Otrzymujecie doskonały sprzęt bojowy!

Pierwszy pojazd bez trudności sforsował rzekę. Drugi także. W zaroślach i gęstych krzewach transportery radziły sobie doskonale - załogi nie musiały nawet torować sobie drogi plazmowcami.

Pułkownik Collins, szef łączności w centrum dowodzenia, zwrócił się do Komandora.

- Jak chłopcom dobrze pójdzie, to jeszcze tego wieczoru obejrzymy sobie największe miasto na tej planecie.

- Oby! - westchnął Komandor. W kilka minut później Collins zbladł.

- Co się stało?

- Łączność zerwana - wykrztusił.

- Najlepszy sprzęt! Najlepsi żołnierze! - ryknął Komandor. - Natychmiast zorganizować grupę specjalną! A jutro zrobimy odprawę! Takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać!

Collins przekazywał przez radio rozkazy. W bazie szybko organizowano akcję poszukiwawczo-ratowniczą. Poszczególne plutony przeprowadzały się przez rzekę i w gęstych zaroślach rozpraszały się na wyznaczonych odcinkach. Dopiero wieczorem jedna z grup natrafiła na pojazdy. Stały w małym parowie. Obok leżeli żołnierze.

Dlaczego opuścili pojazdy? Dlaczego wyszli bez skafandrow? Dlaczego na pojazdach widniały ślady działania wielkich temperatur?

Niemal równocześnie Komandor otrzymał meldunek o śmierci Philipa, komendanta placówki numer trzy. Wezwał majora Histingsa, szefa wywiadu wojskowego.

- Całą akcję przygotowaliśmy w największej tajemnicy. Nic z tego nie rozumiem!

- Ja też nie rozumiem! Ale znam pewne fakty. Według wywiadu na tej zwariowanej planecie istnieje prymitywna cywilizacja, odpowiadająca rozwojowi wczesnego średniowiecza, i my nie możemy pokonać takiej cywilizacji! Wstyd! Żądam szczegółowego raportu w tej sprawie!

- Nic z tego nie rozumiem! - powtórzył Histings. Był zupełnie szczery. Rzeczywiście nic nie rozumiał.

III

Oficer wszedł do małego domku stojącego koło świątyni. Kapłan, pogrążony w modlitwie, odwrócił się. Przybyły - zgodnie z przyjętym ceremoniałem - złożył mu głęboki ukłon.

- Król dziękuje Waszej Wielebności.

- Drobiazg - kapłan wstał. - Dobrze, że zdążyliśmy w porę. A ostatnio przystąpiliśmy do nowej operacji zaczepnej. Jak dotąd, z powodzeniem. Kosztowało nas to jednak sporo sił.

- A ty, kawalerze, nie wpadłeś w pułapkę?

- Nie, umiem wietrzyć niebezpieczeństwo. Chciałem kiedyś osiąść mądrość kapłanów. Dopiero król powołał mnie do swojej gwardii.

- To dobrze. Może jesteś zmęczony? Może nie masz gdzie przenocować?

- Będę nocował w domu dla wysłanników króla. Nie jestem zmęczony. Przyszedłem tylko podziękować w imieniu króla Jego Wielebności.

- Proszę podziękować królowi za rozwijanie nauki i mądrości i za opiekę nad nami. I proszę mu powiedzieć, że wybieram się do niego. Chcę mu w prezencie zanieść jednego wojownika z nieba.

IV

Odprawa odbywała się w specjalnym bunkrze na terenie bazy głównej. Przewodniczył jej Komandor.

- Panowie! Pierwszy raz spotkaliśmy się z tak dziwnymi wypadkami, niepokojącymi nas wszystkich. Najpierw służba galaktyczna dostarczyła nam informacji o nowej planecie, nadającej się do zasiedlenia. Wywiad wojskowy zawiadomił nas o istnieniu prymitywnej cywilizacji. Powierzono nam misję o znaczeniu historycznym - naszym zadaniem było i jest nadal przygotować planetę do przyjęcia osadników. Teraz należy stwierdzić, że rozpoznanie było mylne. Natrafiliśmy na silny opór. Zniszczyliśmy kilka wiosek, ale nie zajęliśmy ani jednego miasta. Nasi żołnierze zetknęli się za to z bronią biologiczną - mgłą zawierającą, jak orzekli mikrobiolodzy, "nieznany typ wirusa". Przypominam, że w pierwszej fazie śmiertelność wynosiła średnio osiemdziesiąt procent stanu osobowego poszczególnych jednostek.

Ściągnęliśmy najlepszych lekarzy i wirusologów. Okazali się bezsilni. Ustalili tylko, że wirus atakuje od razu układ krążenia, prowadząc do głębokiej zapaści i śmierci. Opracowaliśmy nowy typ skafandra, udoskonaliliśmy filtry biologiczne, wprowadziliśmy zasadę natychmiastowego palenia zwłok zmarłych na chorobę wywołaną wirusem. Przyznaję, że to tylko półśrodki. Wypadki śmiertelne zdarzają się w dalszym ciągu. Zmieniliśmy taktykę. Zaczęliśmy budować wysunięte placówki, będące samodzielnymi

bazami, mogącymi działać niezależnie od siebie. Ich lokalizację konsultowaliśmy z geologami, sejsmologami, meteorologami, a nawet z wulkanologami. Efekty panowie znają - dwie placówki zniszczone przez trzęsienia ziemi. Sprowadziliśmy najnowocześniejsze wozy bojowe. Jest to wóz-ideał, wóz, który każdemu żołnierzowi śni się po nocach. Obsługę ich powierzyliśmy starannie dobranym żołnierzom. Dwa wozy powinny, zgodnie z założeniami operacyjnymi, zająć lub zniszczyć stolicę mieszkańców tej planety. A efekty? Żołnierze zginęli, a wozy zostały podpalone.

- To niemożliwe! - ktoś zaprotestował. - Tubylcy nie znają plazmowców.

- Nie wiem, jaką broń znają, a jakiej nie znają. Wiem natomiast, że to my przeszliśmy do defensywy, i chciałbym zapytać panów specjalistów, dlaczego.

Nikt jednak nie zabierał głosu. Każdy w milczeniu przeżuwał klęskę strategii i techniki, klęskę systemu logistycznego, klęskę poniesioną z... Właśnie - z czym?

Wielu oficerów miało już dość tej wojny i chciało uciec z tej planety. Ale wszyscy znali dobrze ambicje Komandora i nie wierzyli w szybkie wyplątanie się z krwawej awantury.

Wobec ciszy Komandor kontynuował swoje wystąpienie.

- Straciliśmy najlepszy sprzęt i najlepszych żołnierzy! To nie może ujść płazem! Ta banda dzikusów drogo za to zapłaci! Wiem, że są tacy, którzy chcieliby uciec, wrócić na Ziemię lub jakąkolwiek skolonizowaną planetę! Zwracam uwagę, że wszelkie oznaki buntu, paniki czy wahania będą tępił szczególnie ostro. Panowie wiedzą, co przez to rozumiem.

- Żołnierze są zdenerwowani. Niepewna sytuacja, znaczne straty...

- Żadnych tłumaczeń!

- Proponuję podnieść dodatek za ryzyko z czterystu do ośmiuset dolarów. To powinno zachęcić żołnierzy do służby tutaj.

- Na razie nie podpiszę takiego rozkazu. Ale propozycję przemyślę - odpowiedział Komandor. - Pieniądze mogą zatrzymać dużą część żołnierzy. Ale tchórze odejdą, wcześniej czy później. Im wcześniej, tym lepiej. Nie będą siali paniki. Aha, mam jeszcze jedną wiadomość. Niedługo otrzymamy pociski raketowe klasy ziemia - ziemia i powietrze - ziemia. Mam nadzieję, że one załatwią tych dzikusów.

V

Zgodnie z dworskim ceremoniałem kapłan ucałował ręce i stopy króla.

- Co cię sprowadza, strażniku mądrości? Mój wysłannik powiadomił mnie, że chcesz sprowadzić na dwór wojownika z nieba.

- O najwyższy władco! Sprawy skomplikowały się. Śpieszę donieść, że wojownicy niebios szykują nową broń. Będzie to żelazny ptak spadający na nasze miasta prosto z nieba.

- Czy nie ma już dla nas ratunku?

- Jest - odrzekł spokojnie kapłan. - Ten ptak zostanie zniszczony przez innego ptaka. Ci, którzy posiadli mądrość, już nad tym pracują. Możesz mi wierzyć, że nie zawiodą.

- Strażniku mądrości! Wasza Wielebność! Dzięki za to, co czynisz! Czego Ci potrzeba? Mów, a wszystko, co zechcesz, będzie Ci dane!

- Na razie nic nie potrzebuję. My żyjemy mądrością. Każ tylko, najwyższy władco, budować świątynie mądrości w różnych miejscach i osiedlaj w nich tych, którzy pragną osiąść wiedzę. Ó to tylko cię proszę, najwyższy władco! A tych żelaznych ptaków musi być dużo, bardzo dużo, jeżeli chcemy wygrać wojnę z wojownikami z nieba.

- Mój pradziad prowadził wojnę z wojownikami z nieba, mój dziad i mój ojciec prowadzili takie wojny. Oni wygrali je. Dlaczego ja miałbym przegrać?

- Wódz wojowników z nieba, którzy są teraz na naszej ziemi, nie może zrozumieć, że przegrał. On będzie walczył dalej. Dlatego jest bardziej niebezpieczny niż inni. A teraz, władco najwyższy, pozwól

odejść twojemu wiernemu słudze.

Król powiedział "pozwalam" i kapłan natychmiast wyszedł.

VI

Jones awansował - został komendantem placówki numer trzy. Na pierwszej odprawie wyłożył swoje credo. Zażądał bezwzględnego, ślepego posłuszeństwa. Oświadczył, że będzie ostro i zdecydowanie karał każdy przejaw buntu lub tchórzostwa. Nie omieszkał zaakcentować, że bardzo mu zależy na zdobyciu Tolledo.

Nikt wprawdzie już w to nie wierzył - Tolledo otoczone było śmiertcionośną mgłą - ale nikt też nie zaprotestował.

W nocy w pokoju komendanta długo paliło się światło. Jones opracował nowe plany taktyczne.

Po porannej zbiórce i śniadaniu ogłosił alarm bojowy i przedstawił plan zdobycia Tolledo. W placówce została grupa odwodowa. Reszta żołnierzy miała szybko przejść przez teren skażony.

- Część z was może zginąć, ale większość na pewno przeżyje. A w razie trudności pójdziemy lasem i znajdziemy bród.

Oddział dotarł do mostu, spowitego mgłą.

- Kto się boi? - zapytał Jones.

Z kolumny wystąpiło dwóch młodych żołnierzy, od niedawna pełniących służbę. Jones skierował w ich stronę lufę plazmowca. Buchnął płomień. Nie zdążyli krzyknąć. Nawet nie padli - stojąc rozsypali się w popiół.

- Kto jeszcze?

Z szeregu nikt już nie wystąpił.

- W porządku. Idziemy w szyku bojowym, zasady wszyscy znają...

Dalsze słowa zagłuszył potężny huk. Wszyscy odwrócili się odruchowo. W miejscu, gdzie stała placówka, unosił się słup ognia i dymu. Co się tam stało?

- Wracamy!

Szli powoli, jakby chcieli zaoszczędzić tlen.

Placówki już nie było - na jej miejscu wyrósł wielki krater wulkanu. Dołem płynęła lava.

Patrzyli z przerażeniem na ten dymiący krajobraz, niezdolni do podjęcia jakiegokolwiek działania.

Jones poczuł nagle, jak ogarnia go fala wściekłości.

To jakaś sztuczka tych dzikusów! - pomyślał. - Ale ja im pokażę, kto tutaj rządzi! Kto tutaj jest panem! Muszę im pokazać!

Furia udzielała się innym. Byli gotowi spalić całe miasto i wymordować wszystkich jego mieszkańców.

Biegli w stronę mostu, nie zważając na nic. Jones polecił tylko, aby dobrze sprawdzili szczelność filtrów biologicznych. Uczucie ślepej zemsty stłumiło instynkt samozachowawczy.

Mgła przybliżyła się, zasłaniając dalszą drogę.

Wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Żołnierze zaczęli biec na brzeg rzeki.

- Stać! - ryknął Jones. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi. Sięgnął po plazmowiec - ten sposób nigdy nie zawodził. Teraz zobaczył lufy plazmowców skierowane w niego.

- Idioci! to jeszcze jedna sztuczka dzikusów! Zginiecie tam! Nikt go jednak nie słuchał. Pierwszy raz zetknął się z tak ostrym buntem i nie mógł go opanować.

Wszedł na most. Mgła rozstąpiła się, Popatrzył na przepływające fale rzeki. Po chwili ruszył dalej. Już na drodze poczuł olbrzymie zmęczenie. Usiadł na ziemi.

Dlaczego doświadczeni, zahartowani żołnierze wybrali śmierć? Co zobaczyli? Na pewno coś, co miało większą wartość niż kilkaset dolarów, za które można kupić w kantynie coś lepszego do żarcia,

dobry alkohol, papierosy i – niekiedy - narkotyki. Dlaczego to zrobili? Dlaczego porzucili wszystko?

Zamyślony, nie zauważył śmiercionośnej mgły, która zbliżyła się do niego. A jeśli nawet - nie miał siły uciekać. Bezwiednie zdjął hełm. Trawa, niebieska trawa wydała mu się nagle fioletowa, zieleń stała się bardziej intensywna. To był ostatni obraz planety, jaki zobaczył.

VII

Wybuch wulkanu widoczny był z daleka. Służba sejsmologiczna wysłała natychmiast dwa helikoptery zwiadowcze w celu ustalenia ewentualnych strat. To, co zobaczyli, przeszło ich wyobrażenia. Tam, gdzie jeszcze wczoraj stała placówka numer trzy, wznosił się olbrzymi krater miotający ogień, dym, lawę i kamienie. Jakakolwiek akcja ratownicza była pozbawiona sensu.

Złożono meldunek Komendantowi. Poleciał natychmiast wracać.

Jeżeli następny wulkan wybuchnie w miejscu, w którym stoi baza? Bzdura! - starał się uspokoić. Przecież zdania sejsmologów są jednoznaczne. Bazie nie zagraża żaden kataklizm. Ale placówce nr 3 też nic nie groziło. Stanowisko geofizyków było jednoznaczne.

Komandor zaczął bać się o siebie. Zawsze obawiał się śmierci, chociaż często ją oglądał i zadawał innym.

Podświadomie przeczuwał, że albo opuści tę planetę, albo zginie. Dziwna planeta... Kiedyś wydawało mu się, że będzie mógł na niej rządzić. Ale najpierw musiał zwyciężyć tutejszych mieszkańców. A to było niemal poza zasięgiem jego możliwości.

Dziwna to cywilizacja. Niby prymitywna, ale produkująca doskonałą broń. Prymitywna, ale do końca nie poznana. Gdzie oni produkują broń? Zastanawiał się nieraz nad tym, zadawał to pytanie oficerom wywiadu, specjalistom z różnych dziedzin, i nigdy nie otrzymał sensownej odpowiedzi.

Zagłada placówki numer trzy... - zaczął uświadamiać sobie rozmiary klęski. Ta placówka miała za zadanie zajęcie Tolledo, drugiego co do wielkości miasta na planecie.

Ostatnią szansę dla siebie widział w zdalnie sterowanych pociskach raketowych, sprowadzonych z dalekiej Ziemi na specjalne zamówienie. A jeżeli i ta broń nie zadecyduje o losach wojny? Co wtedy? Wolał o tym nie myśleć. Zostanie zdjęty ze stanowiska, zdegradowany, odstawiony na boczny tor. Tak robił z poprzednikami, tak następcy postąpią z nim. Usuwał wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób mu się narazili. Teraz naraził się wielu osobom - nie spacyfikował planety. To potęgowało jego strach. Strach i wściekłość. Wściekłość i bezsilność.

VIII

Major Histings obserwował przez lornetkę okolicę. Niebieski las, stanowiący jedno pasmo, przybliżył się i odsłonił swoje tajemnice. Na skraju rosły kolczaste krzewy broniące skutecznie wstępu do niego. Dalej rosły wysokie, rozłożyste drzewa. W ich koronach gnieździły się ptaki i owady. W jednym miejscu wypływał strumień. Dostrzegł jakąś postać. Tubylec! Niedaleko powinna być wioska! Można więc dojść do wsi - mieszkańcy jej na pewno nie będą zdolni do stawiania jakiegokolwiek oporu - i osiągnąć języka. Nie odstraszała go nawet bariera językowa. Mógł rozstrzelać wszystkich mieszkańców wsi, a zabudowania podpalić. Najpierw trzeba jednak odnaleźć wieś. Skoro jednak tam chodzą tubylcy, powinni wydeptać jakąś ścieżkę.

Porozumiał się przez radio z Komandorem i płaczącym głosem poprosił o pozwolenie na przeprowadzenie akcji rozpoznawczej.

- Nie zostawiam odvodu i nie organizuję akcji ratowniczej - odpowiedział Komandor.

Histings przystał na to. Uważał, że akcja ma wszelkie szansę powodzenia. Zabrał czterech żołnierzy.

Koło potoku odnaleźli ścieżkę prowadzącą w głąb lasu. Szli między drzewami, omijali zarosła, parę razy przeskakiwali przez strumień. Musieli też obejść wiele zwalonych pni. Wreszcie ujrżeli kilka prymitywnych domków.

Histings zarządził alarm. Na wojnie wygrywa ten, kto pierwszy zaskoczy przeciwnika - major stosował stale tę zasadę.

Żołnierze zajmowali stanowiska. Wtedy od strony wsi wyszło kilka nagich dziewcząt.

Mam halucynacje! - pomyślał major. A żołnierze? Rzucili plazmowce, zerwali skafandry...

- Patrol stać!

Ale nikt nie zatrzymał się. Żołnierze rzucali się na dziewczyny i padali martwi.

Strzelił z plazmowca do jednej z nich. Zobaczył coś niepojętego - dziewczyna wyszła z płomienia, wyszła cała i zdrowa z temperatury stu osiemdziesięciu tysięcy stopni w skali Celsjusza!

- Rzuć broń! - usłyszał czyjś głos. Odruchowo rzucił plazmowiec na ziemię.

- Nie odwracaj się.

Głos był matowy, bezbarwny, jakby mówił automat.

- Idź do wsi.

Szedł posłusznie, zastanawiając się, jak będzie potraktowany.

- Chcesz coś powiedzieć?

- U nas są konwencje o ochronie jeńców. Żądam należytej opieki i ochrony - próbował jeszcze zachować twarz.

- Jeżeli będziesz posłuszny, nic złego cię nie spotka. Gdy jednak będziesz próbował uciekać - zginiesz.

Nie będę próbował - pomyślał. Chciał przeżyć.

Weszli do wsi.

- Wejść do trzeciego domu.

Wszedł. W chatynce - trudno inaczej nazwać tę budowlę - była tylko jedna okrągła izba.

Zdziwił się brakiem jakichkolwiek mebli.

Na środku siedział na podłodze tubylec. Ktoś ważny?

Gospodarz wstał. Był wysoki, szczupły, miał różową skórę pokrytą delikatnymi włoskami. Ubrany był w długą koszulę sięgającą do kostek.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Histings, mam stopień majora.

- Jesteś wojownikiem przybyłym z nieba?

Dopiero teraz zorientował się, że tubylec wcale nie porusza ustami. Muszą mieć inny sposób porozumiewania się - pomyślał.

- Odpowiadaj na pytania! - wyczuł w tym groźbę.

- Jestem przybyszem z dalekiej planety, którą my nazywamy Ziemią.

- Chcesz zdobyć naszą planetę? Nie rozumiem tego słowa, ale wierzę ci. Zostaniesz umieszczony w specjalnej piwnicy. Będziesz mógł swobodnie jeść, pić i oddychać. Jednego ci nie wolno - wyjść bez naszego zezwolenia. Jeżeli wyjdiesz - zginiesz, jak zginęli inni wojownicy, którzy pogwałcili nasze prawa.

Nie będzie mieszkał w jakiejś piwnicy! Może uda mu się uciec do bazy.

- Porzuć myśl o ucieczce! Nigdzie nie dojdiesz, tylko zginiesz. A ty chcesz żyć! Bardzo, prawda?

Skąd on to wie?

- Wejść do piwnicy!

Major zobaczył otwór w podłodze. Czyżby była tu ukryta dźwignia?

Zszedł po niedogodnie rozmieszczonych szczeblach. Na dole ciągnął się długi korytarz. Doskonałe wyjście awaryjne!

- Wejść do tej izby!

A swoją drogą - w jaki sposób rozumiemy się? - zastanawiał się Histings. - My nie znamy ich języka. Wprawdzie kilka wyrazów zostało przetłumaczonych przez komórkę językoznawstwa innych cywilizacji, ale to tylko kilka wyrazów. Nie poznano zasad gramatyki i składni.

Wszedł do pomieszczenia. Ktoś zamknął za nim drzwi.

- Wojownik przybyły z nieba! Teraz możesz odpocząć. Tutaj nic ci nie grozi. Ale nie próbuj wychodzić. Za drzwiami czeka na ciebie śmierć.

Gdzieś muszą mieć ukryty nadajnik radiowy - pomyślał.

- Tylko gdzie? I co ja będę jadł?

- O jedzenie się nie martw.

A jednak mam halucynację - pomyślał. - Muszę pójść do lekarza.

Na razie siedział w piwnicy. Przestał marzyć o ucieczce. Zastanawiał się nad tą prymitywną cywilizacją. Oni wiedzą o nas więcej niż my o nich. Ale dlaczego? Przecież nie mogło być mowy o pomyłce! A jednak rdzenni mieszkańcy tej planety górowali nad doskonale uzbrojonymi i wyszkolonymi do walki żołnierzami.

- Zaraz dostaniesz jedzenie i picie - usłyszał ten sam głos.

Rzeczywiście, po chwili, jak za dotknięciem tajemniczej różdżki, pojawił się zastawiony stół.

Zupełnie jak w bajce "Stoliczku, nakryj się" - pomyślał.

Ale major w bajki nie wierzył.

IX

Komandor przyjął spokojnie wiadomość o zaginięciu grupy majora Histingsa. Nie zorganizował - zgodnie z wcześniejszą decyzją - grupy poszukiwawczej. Czekał na rakiety - były już bardzo blisko. Był przekonany, że one rozstrzygną o losach wojny. Chociaż w głębi duszy odczuwał pewien niepokój. Zbyt dużo spotkało ich tu niespodzianek. Mimo wszystko odczuwał respekt przed przeciwnikiem.

Podejrzewał, że trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów w miejscach lokalizacji placówek nie były dziełem przypadku. Ale czego? Taka prymitywna cywilizacja nie może przecież sterować procesami sejsmicznymi! To nonsens! W takim wypadku powinny być z dala widoczne wielkie aglomeracje miejskie, urządzenia przemysłowe i energetyczne, ślady przebudowy planety. A tutaj nic takiego nie stwierdzono!

X

Ledwie skończył posiłek, gdy do jego celi weszło kilku tubylców. Przyjrzał im się uważnie. Czyżby przyszli go zabić? Znów obleciał go strach. Na wszelki wypadek zaczął szybko mówić:

- Na mojej planecie obowiązują zasady ochrony jeńców. Chcę być traktowany zgodnie z tymi zasadami. Mam prawo do...

Stwierdził, że przybyszów to zupełnie nie interesuje. Rozmawiali ze sobą, żywo gestykulując. Na majora nie zwracali uwagi.

Po kilku minutach przyszedł jeszcze jeden, ubrany w długą, nieskazitelnie białą koszulę. Pozostali złożyli mu głęboki ukłon.

Przyszedł ktoś ważny. Wódz wsi? Czarownik?

Przybysz skierował swój wzrok na majora. Przyglądał mu się długo i uważnie.

- Kim jesteś? - zapytał wreszcie.

Histings zrozumiał pytanie, chociaż mógłby przysiąc, że ten miejscowy dygnitarz nie poruszał wargami.

- Nazywam się Histings, jestem oficerem. Mam stopień majora. Jeżeli mnie uwolnicie, zostaniecie sowicie wynagrodzeni.

Przypomniał sobie tę wyświechtaną formułkę, którą każdy żołnierz powinien znać na pamięć.

- Jesteś jednym z wodzów wojowników z nieba?

- Jestem żołnierzem!

- Nie jesteś zwykłym żołnierzem.

Niepotrzebnie wygadał się, że jest majorem.

- Zostaniesz przedstawiony naszemu władcy, który zadecyduje o twoim dalszym losie.

Na razie nic mi nie grozi - uspokoił się, ale tylko na moment.

Co będzie, jeżeli władca każe go zabić?

- Chodź za mną! - brzmiało to jak rozkaz.

A może uda mu się po drodze uciec?

- Nie myśl o ucieczce!

Czyżby umieli czytać myśli?

Wyszedł za tutejszym dygnitarzem. Przez chwilę wydawało mu się, że śni. Niebo przybrało kolor błękitny, a roślinność pozieleniała.

A dookoła rozciągnęła się trująca mgła. Tylko droga, którą szedł, była od niej wolna.

XI

Wiadomość o przysłaniu pocisków rakietowych zaskoczyła Komandora. Nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko. Zaskoczyła, ale i ucieszyła. Teraz był już pewien szybkiego zakończenia wojny. Rozwiały się dawne obawy.

Wyrzutnie rakietowe postanowił zainstalować na wybrzeżu morskim. Tutaj nie było żadnych najmniejszych nawet osad. Nie stwierdzono też, by tubylcy posiadali jakąkolwiek, choćby przybrzeżną, flotę. Może nie odczuwali potrzeby odbywania podróży morskich, a może ostry klimat morski nie służył im? Tak czy inaczej - wybrzeże stanowiło doskonałe miejsce lokalizacji wyrzutni.

Montaż wyrzutni przebiegał sprawnie i zdaniem specjalistów od artylerii rakietowej za kilka dni jednostka ta będzie mogła zostać włączona do walki. Niektórzy sądzili nawet, że za dzień lub dwa.

Pierwszy pocisk na Tolledo - pomyślał Komandor. Za placówkę numer trzy. Drugi - na stolicę! Następne - według potrzeb! Dzikusy muszą się poddać! Muszą!

XII

Stolica przypominała raczej większą wieś niż miasto. Drewniane, kryte liśćmi domy stały jeden przy drugim. Wąskie przejścia między nimi imitowały uliczki.

Histingsa zdziwił brak mieszkańców. Może siedzą w swoich domkach, a może gdzieś pracują? A gdzie podziały się dzieci?

Na rozmyślania nie było jednak czasu. Prowadzący zatrzymał się. Twarz jego wyrażała wielkie zaniepokojenie. Jednocześnie niebo przybrało swój normalny zielony kolor, a zabójcza mgła przybliżyła się.

- Musimy iść szybciej! - powiedział tubylec.

Histings z trudem nadązał za prowadzącym. Szybki marsz przeszedł w bieg. Zatrzymali się koło okazałego budynku. Przy wejściu stało dwóch uzbrojonych w długie włócznie osobników. Prowadzący coś im zaczął szeptać. Strażnicy rozstąpili się.

Przewodnik zaprowadził Histingsa do sali tronowej.

Władca planety siedział na wysokim stołku. Ubrany był w długą koszulę wyhaftowaną w kolorowe wzory.

Przewodnik ucałował jego ręce i stopy, a następnie zaczął coś mówić. Histings nie zrozumiał nic z tej rozmowy.

Po kilkunastu minutach usłyszał ten sam dziwny, bezbarwny głos:

- Będiesz świadkiem wielkiej klęski waszych wojowników. Do tego czasu zostaniesz umieszczony

w piwnicy. Otrzymasz powietrze, jedzenie i picie.

XIII

- Oficerowie! Dowódcy! Żołnierze! Wasz trud nie poszedł na marne! Za kilka minut rozprawimy się z dzikusami, a ta planeta stanie się naszym drugim, wspaniałym światem. Prawdziwym Nowym Światem! Już teraz powinniśmy przygotować się do przyjęcia osadników! Ale najpierw zobaczymy naszą broń! Zobaczymy upadek dzikusów. Tak już jest wszędzie, że silniejszy wygrywa! My jesteśmy silniejsi! Za moment zostanie wystrzelony pierwszy pocisk. Kierunek - stolica!

Pierwszy pocisk wystrzelił osobiście. Wszyscy wpatrywali się w ekran.

Komandor spojrział na zegarek.

- Za niecałe 5 minut, konkretnie za 279 sekund - stolicy nie będzie.

Zdarzyło się jednak coś zaskakującego, coś, czego ani Komandor, ani inni oficerowie nie przewidzieli. Na ekranie pojawił się drugi punkt. Doszedł do pierwszego. Ekran zgasł - aparatura sterownicza przestała działać.

- Antyrakiety! - ryknął Komandor. - Oni mają antyrakiety!

XIV

W swoim małym więzieniu Histings stracił zupełnie rachubę czasu. Od chwili umieszczenia go w piwnicy mogło upłynąć kilkanaście godzin, jak i dwie doby. Jedyne, co mu zostało, to zastanawianie się, co miał na myśli król, kiedy mówił: "Będziesz świadkiem klęski". Jaką sztuczkę przygotowali żołnierze króla uzbrojeni w długie włócznie? Wreszcie przyszedł do niego tubylec i kazał mu iść za sobą.

Major szedł posłusznie. Minęli zabudowania i weszli na płaskie wzgórze.

- Patrz!

Histings zobaczył na niebie dwa maleńkie punkciki, zostawiające za sobą długie smugi. Rakiety! Za chwilę, za kilka sekund uderzą w miasto. Wtedy zginie i on.

Punciki zaczęły zbliżać się do siebie, a następnie zderzyły się ze sobą. Dojrzał błysk ognia na niebie i olbrzymią czarną chmurę dymu.

Błąd w kierowaniu - pomyślał.

- Macie dużo ognistych ptaków - zaczął tłumaczyć mu przewodnik - ale my jesteśmy w stanie zniszczyć je wszystkie. Wrócisz do swojego wodza i powiesz mu to. Jeżeli posłucha i każe wam wrócić do nieba, skąd przybyliście, nic wam nie grozi. Jeżeli nie - użyjemy innych środków. Odejść z naszej ziemi - to wasza ostatnia szansa.

- To chyba sen - mruknął major.

- Zniszczymy waszą broń tak, jak niszczyliśmy broń innych wojowników z nieba. Powiesz to swojemu wodzowi. Powiesz także inne rzeczy.

- Nie znam drogi.

- Pójdiesz tam - wskazał ręką kierunek. - Będziesz szedł za mgłą, ona ciebie zaprowadzi. Ale nie wolno ci zmienić drogi, pamiętaj! Dojdiesz nad wielką słoną wodę. Tam jest twój wódz.

Komandor przeniósł kwaterę na wybrzeże?

- A teraz ruszaj. Jak się pośpieszysz, dojdiesz przed zachodem słońca.

Histings ruszył za mgłą. Zrozumiał, że nikt nie pokona tej dziwnej cywilizacji. Zaczął domyślać się, dlaczego.

XV

Król i kapłan zastanawiali się, czy wypuszczenie jeńca przyniesie oczekiwane rezultaty. Kapłan sądził, że zwolnionego mogą potraktować jak tego, który przekazał broń i ważne dokumenty, a następnie zabić. Czy wolno go uratować? Istniała taka możliwość, ale pochłaniała zbyt dużo sił. A siły były potrzebne.

- Ich wódz nie ustąpi tak łatwo...

- Najwyższy władco! Żaden z wojowników z nieba nie trwał z takim uporem na naszej ziemi jak ten.

Kapłani - posiadacze mądrości, są przemęczeni. W dodatku kilku z nich przeszło do krainy wiecznej szczęśliwości i mądrości. Ich następcy, młodzi i zapalczywi, nie mają dostatecznego doświadczenia.

Wszystkie prace wykonali prawidłowo, ale długo muszą się jeszcze uczyć. Bardzo długo.

To były poważne problemy. Nie mogły ich zaćmić nawet takie sukcesy jak dzisiejszy - zestrzelenie stalowego, ognistego ptaka.

Król wyda odpowiednie edykty i wiele osób będzie fetowało to zwycięstwo. Tylko nie jego twórcy.

Ci będą nabierali dalszych sił do walki z upartymi wojownikami przybyłymi z nieba.

- Jeniec wrócił do swego wodza - powiedział kapłan. - Teraz wszystko się rozstrzygnie.

XVI

Mimo zmęczenia długą wędrówką Histings od razu zameldował się u Komandora.

- Gdzie pan się podziewał, majorze?

Histings opowiedział wszystko dokładnie. O potyczce pod małą wioską, o pojmaniu, o przedstawieniu go władcy planety i o uwolnieniu. Oświadczył, że tubylcy nie boją się żadnej z ziemskich broni. Na zakończenie powiedział, że nigdy nie uda się skolonizować tej planety.

- Małe pranie mózgu?

- Nie. Żadnego prania. Mam na tę sprawę własny pogląd...

- Jaki?

- Sądzę, że tubylcy posługują się energią psychiczną.

- Czym?

- Energią psychiczną. Czy pan Komandor wierzy w telepatię, jasnowidztwo i inne zjawiska uważane kiedyś za paranormalne?

- Nie wierzę w takie bzdury!

- Szkoda. Wydaje mi się, że mieszkańcy tej planety mają zdolności te rozwinięte w stopniu znacznie wyższym niż my, Ziemianie. Oni umieją czytać nasze myśli. Nie tylko myśli, także uczucia. Baliśmy się bardzo zabójczych mikroorganizmów i dostaliśmy wirusa. Baliśmy się trzęsienia ziemi, wulkanów i też to dostaliśmy. Oni wytrzymują to, czego my się boimy. Albo to, o czym marzymy. Każdy żołnierz myśli o jakiejś dziewczynie. Oni wytwarzają, materializują te marzenia. Żołnierze nie umieli opanować żądz i wpadali w pułapkę. Myślę też, że tubylcy zmuszają nas do takiego działania, które im odpowiada.

- Bzdura... - Komandor nagle uświadomił sobie, że wydał rozkaz ataku raketowego na stolicę, chociaż najpierw chciał zdobyć Tolledo.

- Ta hipoteza - kontynuował Histings - tłumaczy wszystkie nasze niepowodzenia. Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na dwa zjawiska. Oni mówili do mnie, nie otwierając ust. Nie wiem, w jaki sposób to robili, idrugie: wspominali coś o innych wojownikach z nieba.

- O kim?

- O innych wojownikach z nieba. Sugerowali, że nie jesteśmy pierwsi, którzy chcą zdobyć tę planetę.

- To interesujące. Strategiczny punkt w skali Galaktyki. Co pan proponuje, majorze?

- Odwrót.

- Co?

- Powrót na Ziemię.

Komandor chwycił plazmowiec.

- I to mówi szef wywiadu, major Histings... Był pan jednak torturowany. Poddawany szykanom. Niech się pan przyzna.

- Nie byłem - zaprzeczył Histings. - Nie wmówi mi pan tego, Komandorze.

- Zdradził pan nasze tajemnice bojowe. Na przykład datę i godzinę ataku raketowego...

- Nie zrobiłem tego z prostej przyczyny - nie znałem dokładnego czasu ataku... A czy mógłbym zrobić sam w krótkim czasie antyrakietę?

- Ma pan rację, majorze. Trzeba stąd zjeżdżać. Przygotuje pan raport. Odkrył pan ślady walk różnych cywilizacji. W tej sytuacji nie może pan zagwarantować bezpieczeństwa osadników.

- Mam tylko jedną wątpliwość. Jeżeli któryś z żołnierzy wygada coś po pijanemu albo zacznie pisać pamiętniki?

- Załatwię to sam. Niech pan przygotuje raport. Wiadomość o przygotowaniach do opuszczenia planety przyjęto początkowo z niedowierzaniem, później - po potwierdzeniu - z entuzjazmem. Znaleźli się - co prawda nieliczni - oficerowie, którzy chcieli kontynuować wojnę, ale ich głos ginął w ogólnej wrzawie tych, którzy mieli już dość niepewności.

XVII

Statki startowały kolejno z kosmodromów wybudowanych na wybrzeżu. Sztab miał zostać ewakuowany na końcu. _

Histings raz jeszcze popatrzył na krajobraz tej planety. Jak daleko jest do stolicy tej społeczności? Szedł stamtąd. Z której strony? Czyżby stracił poczucie orientacji?

- Majorze, raport gotowy? - Komandor przywracał go do rzeczywistości.

- Tak jest!

Raport nie był zbyt szczegółowy. Zawierał ogólnikowe stwierdzenia o inwazji na tę planetę różnych przybyszów z kosmosu. Sugerował, że osadnicy byliby narażeni na ataki ze strony innych cywilizacji. Ani słowem nie wspominał o dziwnych mieszkańcach tej planety, którzy w przedziwny sposób zwyciężali najeźdźców. Biblijna historia Dawida i Goliata w skali kosmicznej.

Czy ta społeczność kiedyś rozwinie się w potężną cywilizację? Jeżeli tak, będzie nie do pokonania - pomyślał major.

- Zaraz startujemy - powiedział Komandor. - Niech pan się przygotuje, majorze.

- Jestem gotowy - odpowiedział Histings.

Tadeusz Markowski - TAK BARDZO CHCIAŁ BYĆ CZŁOWIEKIEM, ŻE...

*Motto: Gladiatorze! Nie szukaj
przyjaciół wśród gladiatorów!*

Sala Komisji Lekarskiej działu Załogowych Lotów Pozaukładowych wypełniona była po brzegi. Technicy wykańczali właśnie indywidualne połączenia z komputerem i stymulatorami pól mózgowych dla dodatkowych sześciu członków komisji, która dzisiaj wyjątkowo obradowała w rozszerzonym składzie. Nikt się nie odzywał. Na Ziemi już dawno zdano sobie sprawę, że tylko racjonalne działanie poparte współpracą z komputerem analizującym wszystkie wypowiedzi i opinie oraz poddanie mózgu działaniu stymulatorów, które uwalniały ten niedoskonały jeszcze organ od wpływu niepotrzebnych wrażeń i odczuć - zwanych w literaturze fachowej parazytami - pozwala na zapewnienie podejmowania optymalnych decyzji. Dzięki temu ludzkość mogła jeszcze bardziej przyspieszyć tempo swojego rozwoju, dotąd hamowanego przez niedoskonałość organów, jakimi dysponował człowiek.

Na szczęście jednak zdano sobie sprawę, że nie jest to trudność nie do pokonania. Dlatego dzisiaj nikt się na sali nie odzywał. Byłoby to bowiem działanie nieoptymalne. Nie znano jeszcze przecież wszystkich faktów towarzyszących XIV Wyprawie.

Przewodniczący Komisji Tor Laakon poprawił sobie ostatni raz końcówki łączące go z komputerem, stymulatorem i zbiorczym telepatorem, który na bieżąco analizował myśli wszystkich członków Komisji i podawał mu gotowe syntezy. Była to najbardziej optymalna forma, jaką dotąd udało się opracować. Jej zasadniczym mankamentem było to, że podlegała bezpośrednio człowiekowi, co przecież znacznie opóźniało przepływ informacji. Rada Ziemi była jednak w tym względzie nieugięta. Każde łącze, każda maszyna musiała ostatecznie podlegać człowiekowi. Tor Laakon wiedział, że za tą nieugiętością Rady stał Muur Kekon - znany psycholog, który wciąż głosił, że jest to warunek sine qua non dalszego istnienia ludzkości. Muur był zresztą obecny na sali, ale siedział gdzieś w głębi, jak zwykły członek komisji. To też było jedno z jego dziwactw. Tor podejrzewał nawet, że Muur miał poglądy jeszcze bardziej rewolucyjne, że wręcz pragnąłby skończyć z optymalizacją. Mówiono, że często odłącza się od stymulatorów, ale Tor nie bardzo w to wierzył. Przecież Muur był członkiem Rady Ziemi. Teraz przechwycił jego spojrzenie.

Nie powinienem poprawiać tych końcówek - pomyślał.

Wiedział, że końcówki były tak podłączone do jego mózgu, żeby w żadnym wypadku nie utrudniały mu ruchów. Ot, takie głupie przyzwyczajenie, którego za nic nie mógł się pozbyć. Mieścił się jednak w granicach tolerancji. Radził się w tej sprawie nawet głównego komputera medycznego. Teraz na wszelki wypadek poprosił komputer lekarski o ocenę tego gestu.

- Zero trzy optymalności - usłyszał. - Zalecenie konsultacji z psychologiem! Odruch w granicach błędu. Nie wpływa na pełnienie dotychczasowych funkcji.

Starzeję się! - pomyślał i zaraz poczuł, że stymulator wzmocnił pole. - Niedługo będę musiał podać się do dymisji.

Na tym jednak zakończył swoje rozważania, bo usłyszał sygnał gotowości. Wszystko było przygotowane do rozpoczęcia obrad.

- Sprawa XIV Wyprawy. Przypadek pilota Giba Trensa. Wideogram komputerowy na podstawie pokładowego telepatora. Syntetyzował przewodniczący Tor Laakon. Wstępne rozpoznanie: brak danych. Cel transmisji: znalezienie przyczyny śmierci, ocena przestrzegania regulaminu lotów pozaukładowych,

wnioski dla przyszłych wypraw. Zapis z 2948 dnia lotu, ostatnie dwanaście godzin. Uwaga! Zaczynam.

Tor zakończył swoje wystąpienie. To było również jeszcze jedno dziwactwo Rady. Obrady powinien zaczynać człowiek. Tor był jednak zadowolony ze swego wystąpienia. Wydawało mu się, że nie powiedział ani jednego niepotrzebnego słowa. Dla pewności połączył się jeszcze raz z komputerem.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć procent optymalności. Błąd w granicach dopuszczalności - usłyszał odpowiedź.

Tymczasem zaczynała się już transmisja.

Gib usiłował podnieść się z leża hibernatorium. Przez chwilę leżał podpierając się łokciem. Był za słaby, żeby wstać. Zaraz jednak podpłynął do niego mechaniczny lekarz i zrobił mu odpowiedni zastrzyk. Gib odczekał chwilę aż rozpocznie się działanie lekarstwa. Wreszcie się podniósł. Powoli zaczął się ubierać. Rozejrzał się po sali. Był ostatni.

- Znów zarobię punkty karne - pomyślał z rezygnacją.

Na szczęście nie był jeszcze podłączony do stymulatora. Telepator również nie miał dostępu do hibernatorium. Gib pozwolił więc sobie na chwilę nieoptymalnej zadumy. Na dwadzieścia sześć miejsc hibernacyjnych, wolnych było w tej chwili dwadzieścia dwa. I tyłu właśnie ich zginęło w czasie wyprawy. Po większej części zostali zdalnie detonowani z uwagi na bliskie zeru prawdopodobieństwo ich powrotu na pokład. Gib nigdy nie mógł się do tego przekonać. Regulamin lotów kosmicznych był jednak nieubłagany. Chodziło o optymalizację. Dla Ziemi ważne było tylko to, żeby statek kosmiczny powrócił do portu, z którego wystartował, wraz ze wszystkimi danymi, jakie udało się zebrać w czasie lotu. Powrót załogi nie był konieczny. Chodziło przecież o dane. Gib z początku był przekonany o słuszności takiego założenia. Później jednak zaczął się zastanawiać. Załogi pozaukładowe nie były przez cały czas podłączone do stymulatorów. Mógł więc sobie pozwolić na chwile swobodnego myślenia. Z początku trochę się tego bał, ale później zauważył, że nie wpływa to wcale na optymalność podejmowanych przez niego decyzji. Zwierzył się z tego jedynie Gaborowi, którego mógł nazwać chyba swoim przyjacielem. Przyłapał go kiedyś na tym, jak w czasie wachty odłączył się od stymulatora. Z początku chciał natychmiast zawiadomić o tym kapitana. Uczono ich przecież, że takie postępowanie prowadzi do zagłady statku. Jednak nie wiedzieć czemu postanowił zobaczyć, co się stanie. Nic się jednak nie wydarzyło. Od tego momentu datują się ich wspólne rozmowy: Zawsze też wyruszali razem na rekonesans. Można było więc nazwać ich przyjaciółmi choć brzmiało to staromodnie i wręcz niebezpiecznie. Przyjaźń jako uczucie parazytalne została przecież zlikwidowana już cztery wieki temu.

- Gib na stanowisko numer dwa! - w głośnikach hibernatorium rozległ się głos Kapitana - Łona Vira.

- Przyjęte! - potwierdził mechanicznie.

Jeszcze raz rozejrzał się po pustej sali i powoli poszedł na swoje stanowisko.

Sterownia była pusta. Olbrzymia sala, niegdyś zapełniona po brzegi, teraz świeciła pustkami. Każdy z tych, którzy przeżyli, musiał obsługiwać sześć stanowisk. Sprzężono je więc pomiędzy sobą. Trzeba było w tym celu przebudować ich układ, ale pozostawiono fotele. Nie opłacało się bowiem ich wymontowywać. Teraz stały puste jak niemy wyrzut sumienia. Tylko że sumienie również zostało wykreślone ze słowników przed czterema wiekami, jako pojęcie irracjonalne.

Gib czekał przez chwilę, aż fotel podłączy do niego wszystkie końcówki. Trwało to trochę dłużej niż zwykle, ponieważ Gib pełnił funkcję predyktora pokładowego. Miał więc o trzy połączenia z komputerem więcej niż inni. Wreszcie został całkowicie zintegrowany ze statkiem.

- Przegląd urządzeń! - usłyszał komendę Łona Vira.

- Układy życiowe w normie - odpowiedział jak echo Gabor.
- Układy sterownicze w normie - dodał Jac Her.
- Pancierz w normie - stwierdził Gib po konsultacji z komputerem.
- Energetyczny? - zapytał Łon.
- Dublet komputera - odezwał się Gabor po krótkim milczeniu.

"Dublet" określił stan, w którym komputer uznał za stosowne powtórzyć cały przegląd od początku.

Oznaczało to najczęściej awarię, choć oczywiście trzeba było czekać na oficjalną diagnozę.

- Awaria stosu. Przeciek - obwieścił wreszcie Gabor.
- Predykcja! - rozkazał kapitan.

Gib skupił się i połączył telepatycznie z komputerem. Po chwili otrzymał już wstępne dane do modelu sytuacji. Przez chwilę próbował zastosować któryś z modeli standardowych, ale nic mu z tego nie wyszło. Sytuacja była o wiele poważniejsza, niż można było sądzić.

- Predykcja za trzy minuty i czterdzieści dwie sekundy - oznajmił wreszcie po zebraniu wszystkich danych.

Przez ten czas kapitan kontynuował przegląd statku, Gib zaś powoli tworzył odpowiedni model. Wreszcie otrzymał wynik. Czegóż takiego jeszcze nigdy nie miał.

- Dublet predykcji! - oznajmił trochę podenerwowanym głosem.

Stan ten trwał jednak tylko chwilę, bo zaraz stymulator zwiększył natężenie pola. W ten sposób mógł się skupić tylko na modelu. Wynik był jednoznaczny mimo dwukrotnych powtórzeń. Zawsze ten sam. Gib uznał, że teraz już może spokojnie go ogłosić.

- Anihilacja reaktora za trzydzieści dwie minuty. Konieczna interwencja bezpośrednia.
- Predykcja na następną minutę! - zażądał Lon.

Oznaczało to, że chce wiedzieć jakie będą skutki tego wybuchu.

Gib znowu zagłębił się w swoje modele. Tu mógł już stosować standardy.

- Zniszczenie reaktora, śluz oraz hibernatorium w trzydziestej drugiej minucie i piątej sekundzie, z prawdopodobieństwem zero dziewięćdziesiąt dziewięć. Układ życiowy zniszczony w dwanaście sekund potem z prawdopodobieństwem zero dziewięćdziesiąt cztery. Całkowite zniszczenie sterowni w minutę później na skutek wybuchów obwodów zasilających z prawdopodobieństwem zero dziewięćdziesiąt - wyliczył po kolei.

- Predykcje utrzymania się przy życiu i powrotu na Ziemię?

- Utrzymanie się przy życiu przez dwa miesiące od chwili zero możliwe z prawdopodobieństwem jedna dziesięciotysięczna. Powrót na Ziemię z prawdopodobieństwem dziesięć do minus dwunastej w ciągu dwóch tysięcy lat.

- Zalecenia?

- Interwencja bezpośrednia dwóch osób współdziałających z sześcioma robotami naprawczymi. Prawdopodobieństwo powodzenia - przy założeniu, rozpoczęcia prac w ciągu półtorej minuty - zero osiemdziesiąt jeden.

- Możliwość użycia wszystkich robotów naprawczych? - zapytał się Gabor.

- Formalny zakaz komputera. Włączony zostanie program zastrzeżony uruchamiający stymulatory specjalne z wkładką hipnotyczną. Cel: zmuszenie dwóch osób do dokonania naprawy.

- Motywacja? - rzucił nerwowo Gabor.

- Zmniejszenie się prawdopodobieństwa powrotu na Ziemię z danymi do zero pięćdziesiąt trzy. O siedem setnych niższe od prawdopodobieństwa wymaganego regulaminem.

- Czas do naprawy?" - zapytał się Jac Her.

- Minuta i siedem sekund - odpowiedział Gib i zdał sobie sprawę, że dwóm z nich zostało już

dokładnie tyle życia.

- Prawdopodobieństwo przeżycia dla ekipy naprawczej? - zapytał ponownie Jac.
- Dziesięć do minus czwartej przy pełnej hibernacji w dwadzieścia pięć sekund od chwili opuszczenia komory reaktora.
- Typ komputera? - rzucił wreszcie sakramentalne pytanie Łon.
- Dublet! - odparł Gib.

Nie musiał tego robić. Programy typujące są bowiem trzykrotnie sprawdzane przed startem. Regulamin jednak zezwalał w takich przypadkach na zdublowanie obliczeń. Gib uważał, że jego obowiązkiem jest sprawdzenie ich poprawności bez zaleceń kapitana.

- Decyzja komputera - zabrzmiało wreszcie - Lon Vir i Jac Her. Czas: czterdzieści sekund.
- Gib przejmuje dowodzenie! - odezwał się Lon po krótkiej chwili.
- Przyjęte! - jak echo odpowiedział Gib.

Jednocześnie obaj wytypowani przez komputer zaczęli się wyswobadzać z łączących ich końcówek. Po dziesięciu sekundach już kierowali się w stronę wyjścia. Wszystko zgodnie z regulaminem.

Ani Gib, ani Gabor nie spojrzeli nawet za nimi. Po co? Nie można się odrywać od przyrządów. Tamci dwaj i tak już jakby nie żyli. Musieli tylko dobrze wypełnić swoją misję.

- Przygotować hibernatorium! - rozkazał Gib.
- Przyjęte - odpowiedział Gabor.
- Wysłać sześć robotów naprawczych do komory stosu!
- Przyjęte.

Przez następne pół godziny nie odzywali się do siebie ani słowem. Patrzyli tylko z niepokojem na wskaźnik przecieku reaktora. Powoli zbliżał się on do zera. Stymulatory tym razem nie włączyły się ani razu. Niepokój był dozwolony. Strach natomiast nie.

- Wysłałam dwa roboty medyczne do śluzu reaktora - odezwał się nagle Gabor.

Było na to trochę za wcześnie, ale Gib nic nie powiedział. Gabor mieścił się w granicach tolerancji. Teraz zresztą nie miał czasu na nic więcej poza kontrolą wszystkich nowych połączeń, którymi kierował.

- Detonujcie nas! - odezwał się nagle w słuchawkach głos Łona.
- Roboty medyczne czekają przed śluzą - przypomniał im Gib. - Macie jeszcze dwadzieścia sekund czasu - dodał.

- Rezygnujemy z hibernacji - odezwał się ponownie Łon. - Detonujcie nas!

Gib odruchowo wyciągnął rękę w kierunku detonatora uruchamiającego ładunek wybuchowy, jaki stale nosił przy sobie każdy członek załogi. Nagle usłyszał głos komputera zgłaszającego zakaz.

- Motywacja? - zapytał.
- Prawdopodobieństwo uszkodzenia reaktora.
- Wyłączam wasze detonatory - odezwał się Gabor. - Zakaz komputera.
- Możecie się detonować w śluzie - odezwał się Gib.
- Przyjęto.
- Przypominam, że hibernatorium czeka na was - włączył się ponownie Gabor.
- Wiemy - usłyszeli w odpowiedzi.

Po chwili rejestratory odnotowały dwa lekkie wybuchy w śluzie reaktora.

- Lon Vir i Jac Her przestali istnieć. Mieli do tego prawo - Gib odruchowo wygłosił regulaminową formułkę.

Teraz pozostało ich tylko dwóch.

- Zalecenie głównego komputera? - zapytał Gib po krótkim, regulaminowym milczeniu.
- Kontynuować badania układu Alfa 22/BX! Po zakończeniu prac według programu 3C - powrót na

Ziemię!

Komputer uznał więc, że we dwójkę z Gaborem dadzą radę zbadać ostatni cel ich lotu. Gib nie kwestionował tej decyzji. Wywołał program 3C. Pierwszy punkt przewidywał sen. Takie było też jego polecenie jako nowego kapitana wyprawy.

Spali tylko dwie godziny, ale był to pogłębiony sen hipnotyczny. Zgodnie z programem. Odpowiadało to mniej więcej dziesięciu godzinom normalnego snu. W czasie tych dwóch godzin ich organizmy zostały poddane zabiegom regeneracyjnym i kąpieli wzmacniającej, tak że zaraz po obudzeniu mogli przystąpić do badań układu. Przez trzy godziny zbierali i analizowali dane uzyskane za pośrednictwem sond automatycznych. Nie wykazały one nic szczególnie interesującego. Układ był podobny do setek już zbadanych przez ludzkość. Gib obliczył prawdopodobieństwo odkrycia czegoś, co mogło się przydać na Ziemi. Wyniosło ono zero trzy. O dwie setne za mało, żeby musiał dokonać badań załogowych, ale i tyleż samo za dużo, żeby mógł bez zastanowienia wydać rozkaz odlotu. Regulamin pozostawiał w takim wypadku decyzję kapitanowi. Tyle że po powrocie na Ziemi musiałby to wyczerpująco umotywić. To - czyli decyzję powrotu. Postanowił, że nie wyda rozkazu badań załogowych i to nie dlatego, że praktycznie został bez załogi. W każdym bądź razie nie tylko dlatego. Zdawał sobie sprawę, że wydarzenia ostatnich trzech godzin coś w nim zmieniły. Coś, czego nie zatrze żaden stymulator.

- Stan zaawansowania programu 3C? - zapytał.
- Dziewięćdziesiąt trzy procent - odpowiedział Gabor.
- Przygotuj się do powrotu! - rozkazał. W chwilę potem usłyszał głos komputera:
- Decyzja wątpliwa. Motywacja?
- Decyzja w mocy. Wykonać! - odpowiedział bez namysłu.

Miał do tego prawo. Regulamin właśnie jemu, a nie komputerowi, pozostawiał ostatnie słowo w tym przypadku i mógł z tego skorzystać. Komputer oczywiście miał również prawo zażądać umotywwania tego kroku. Na szczęście jednak w tym właśnie przypadku nie mógł on nic więcej.

Gabor zakończył w międzyczasie wykonywanie programu 3C i przystąpił teraz do sprawdzania zespołów statku. Zwykła rutyna. Robili to przecież przed czterema godzinami. Wszystko było oczywiście w normie.

W godzinę później znaleźli się w hibernatorium. Gabor próbował coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Obydwaj byli jeszcze pod wrażeniem ostatnich godzin.

- To mój ostatni lot - oznajmił wreszcie Gib.
- Nie wiedziałem - odpowiedział Gabor tonem, w którym przebijało rozczarowanie.
- Powziąłem decyzję przed chwilą.
- Jeśli przeżyjemy - odezwał się Gabor tajemniczo.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nic. Mam dziwne przeczucia.
- Przeczucia? Chłopie! To są właśnie skutki wyłączenia się ze stymulatorów - Gib był autentycznie zaniepokojony stanem Gabora.
- Przestań być na chwilę automatem! - wybuchnął nagle ten ostatni.

- Słuchaj! - Gib mówił teraz poważnie. - Tolerowałem twoje wybryki, ale teraz to już koniec. Moim obowiązkiem jest doprowadzić ten statek na Ziemię, ichcę to zrobić bez dalszych ofiar. Uważam, że to właśnie jest optymalnym rozwiązaniem. Więc ostrzegam cię: nie będę tolerował żadnych ekscesów. Jeśli

będzie trzeba, wywołam programy zastrzeżone.

- I będziesz się bał przez cały czas, że komputer każe cię detonować - w głosie Gabora słychać było szyderstwo.

Gib chciał odpowiedzieć, że nie zna takiego pojęcia, ale uświadomił sobie zaraz, że w sterowni, kiedy wszyscy czekali na wynik prognozy i typy komputera, to co wówczas odczuwał, było czymś więcej niż niepokojem.

- Nie boję się detonowania - odpowiedział wreszcie.

Była to prawda. Zdawał sobie sprawę, że w pewnych sytuacjach takie poświęcenie było nieuniknione, choć przyznawał, że często żądano go dla zbyt błahych przyczyn.

- Tak. Wiem o tym, ale nie w takiej sytuacji - głos Gabora był tym razem po prostu zrezygnowany. - Sam detonowałem sześciu. Wiesz o tym. Ale co innego działać jak automat wiedząc, że od ciebie może zależeć życie dwudziestu kilku ludzi oddalonych o całe parseki od Ziemi, a co innego być maszyną wobec innej maszyny tylko po to, żeby się spodobać trzeciej maszynie, i wszystko to w imię czwartej maszyny, tej największej, która chce mieć coraz to nowe dane w coraz krótszym czasie i za coraz większą cenę.

- Przesadzasz. Loty pozaukładowe nigdy nie były bezpieczne. Zawsze też ginęli w nich ludzie właśnie w imię wiedzy, czy też - jeśli wolisz - nowych danych.

- Wczułeś się w swoją rolę, co? - tym razem w głosie Gabora nie było nawet szyderstwa, lecz czuło się po prostu zmęczenie człowieka, który wie zbyt dużo i który nie potrafi już dać sobie z tym rady.

- To mój drugi lot - dodał pozornie bez związku.

- Mój pierwszy - odparł Gib - i ostatni - dodał z naciskiem.

- Z pierwszego lotu wróciło nas czterech na trzydziestu. Z tego tylko czterech musiało zginąć. Tobie się wydaje, że jak porzucisz służbę, to będziesz miał czyste ręce. Bzdura! A może nie pozwolą ci odejść? - dodał.

- Ciekaw jestem, kto mnie zatrzyma? - zapytał Gib.

- Maszyna.

- Złożę wymówienie.

- Wyślą cię na leczenie. Potrzymają pod stymulatorami i zmienisz zdanie. Zaręczam!

- Skąd ty to wszystko wiesz? - zainteresował się nagle Gib.

- Trochę czytałem. Poznałem kilku ludzi, którzy umieją jeszcze samodzielnie myśleć.

- I nie korzystasz ze stymulatorów - dokończył Gib.

- Owszem. To ogłupia.

- Ale musisz przyznać, że bez nich niewiele byśmy zdziałali.

- Kiedyś ludzie dawali sobie świetnie radę bez nich.

- O mało nie doprowadzili do katastrofy.

- Co ty wiesz o tej katastrofie? - Gabor mówił teraz tonem prawie lekceważącym.

- Wystarczająco dużo. To, że szerzyło się bezprawie, morderstwa, gwałty, kradzieże. Ludzie tracili sens życia. Przestali pracować, nastawili się na konsumpcję i przyjemności. To że spadała produkcja przemysłowa, że zanikła literatura i sztuka. Ludzkość umierała.

- Dekadencja, jakich ta sama ludzkość przeżyła już setki. I zawsze odradzała się lepsza, zdrowsza i silniejsza.

- Co to jest dekadencja? - zapytał Gib. - Skąd tyś to wytrzasnął?

- Chylenie się ku upadkowi, czyli mniej więcej to, co opisałeś przed chwilą.

- Nie znałem tego słowa.

- Ja też poznałem je dopiero po powrocie z pierwszej wyprawy.

- Od kogo?

- Nieważne.
- Nie ufasz mi?
- Nie byłoby to optymalne - odparł Gabor z ironią.
- Sądzisz, że to, co nam mówiono o katastrofie, to nieprawda?
- Prawda. Tyle że niecała.
- ???

- Nie mówi się nam o miłości, o przyjaźni, o poświęceniu, o namiętnościach, io całej masie innych rzeczy, które zlikwidowano jako tak zwane uczucia parazytalne.

- Może jednak naprawdę tak trzeba - Gib po raz pierwszy zaczął traktować słowa Gabora poważnie.

- Nie. Miłość sprowadziliśmy do absurdu. Płodzimy dzieci na zlecenie komputera, nawet nie podrywamy dziewczyn bez zasięgnięcia wpierw jego opinii. Zlikwidowaliśmy morderstwa, ale nikomu nie drgnie ręka przy detonowaniu kolegi, z którym spędziło się parę lat w zamkniętej puszcze pędzącej w przestrzeni. Najbardziej boimy się posądzenia o nieoptymalne działanie, przez co nie jesteśmy nawet w stanie podskoczyć, kiedy mamy na to ochotę.

- Po co mielibyśmy podskakiwać? - zdziwił się szczerze Gib.

Gabor przez chwilę patrzył na niego z ubolewaniem. Wreszcie machnął z rezygnacją ręką i położył się na swoim miejscu.

- Wiesz - zaczął z wahaniem po długim milczeniu - gdybym nie wrócił, to w mojej kabinie znajdziesz parę książek. Przeczytaj je zanim zdasz do Centrum Pilotów!

- Czemu miałbyś nie wrócić? - zapytał Gib. - Przecież cała wyprawa jest praktycznie zakończona. Wracamy na Ziemię - dodał.

- Mówiłem ci już. Przeczucie.

W tym samym momencie hibernatorium wypełnił sygnał alarmowy.

- Załoga na stanowiska! Awaria pierwszego stopnia.

Gib siedział w kabinie Gabora i kończył przeglądać jego rzeczy. Gabor Iszt przestał istnieć. Miał do tego prawo. Tylko że Gib nie był pewien, czy Gabor chciał zginąć. Nie był również pewien, czy chciał go detonować. A jednak to zrobił. A teraz dopuścił się na dodatek przestępstwa i wyłączył wszystkie stymulatory oraz skasował wszystkie programy zastrzeżone. Był skończony jako pilot.

- Czy Gabor mógł wiedzieć? - przemknęło mu przez myśl. To było przecież niemożliwe. W jaki sposób mógł przewidzieć, że zginie?

Zdarzyła im się rzecz nieprawdopodobna. Przebicie pancerza na wysokości reaktora. Wstrząs nie był nawet zbyt silny.

Cała sekcja energetyczna znalazła się nagle pod ostrzałem cząsteczek promieniowania kosmicznego, i czegoś więcej - jakiegoś dziwnego promieniowania. Trwało ono niecałą sekundę i chyba nie było szkodliwe. Komputer zinterpretował to jednak po swojemu i dał ognia ze wszystkiego co mieli. Przez parę minut próżnia wokół statku zamieniła się w piekło. Skutek był taki, że coś zniszczono, nie wiadomo jednak co. Po prostu nastąpił wybuch. Gib sporządził podwójny zapis tego wydarzenia. Na wszelki wypadek i zgodnie z regulaminem. Wtedy nastąpił początek dramatu. Komputer uznał, że potrzebna jest interwencja człowieka na zewnątrz w celu załatwienia otworu. Poszedł Gabor. Wziął ze sobą trzy roboty naprawcze.

- Człowieku! - krzyknął po zbliżeniu się do otworu. - Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. To coś wykroilo w pancerzu zwyczajną dziurę.

- Czegoś się spodziewał? Kwadratu? - odparł Gib i sam się zdziwił swoją odpowiedzią.

Po raz pierwszy używał bowiem przez radio słów, a nie zwrotów regulaminu. Gabor przyjął to jako coś oczywistego i nie zwrócił chyba uwagi.

- To jest regularne koło - odpowiedział, wciąż zdumiony.

- Wysyłam roboty badawcze. Czekać na nie! - Gib znów był dowódcą. - Melduj! - dodał po chwili, jako że Gabor milczał.

- Oglądam to sobie. Na oko nie widać tu nic ciekawego.

Gib przez chwilę zastanawiał się, co mogło przyczynić się do takiego zachowania Gabora. Zawsze przecież był zdyscyplinowany. Nagle przyszło mu do głowy rozwiązanie problemu.

- Znowu wyłączyłeś stymulator - stwierdził raczej niż zapytał.

- Brawo. Myślałem, że zajmie ci to więcej czasu - odparł Gabor ze śmiechem.

- Włącz go! - rozkazał Gib.

- Nie, mój drogi. To jest sprawa nietypowa. Trzeba więc do niej podejść równie nietypowo.

Przejmuję automaty - dodał po chwili.

Gib uznał, że nie ma sensu się kłócić. Poza tym był ciekaw wyników i nie chciał opóźnić rozpoczęcia badań przez niepotrzebne utarczki. Gabor tymczasem rozpuścił roboty badawcze. Trwało to dobrą chwilę. Wreszcie odezwał się:

- Dublet!

Gib czekał nadal. Skoro Gabor uznał za konieczne powtórzenie wyników, to znaczy, że musiały się one przedstawiać interesująco.

- Wynik negatywny! - usłyszał wreszcie w słuchawkach. - Żadnych zmian w zakresie rozdzielczości naszej aparatury.

- Łataj dziurę i wracaj! - rozkazał Gib.

Operacja ta trwała dość długo. Przez ten czas Gib sprawdził jeszcze raz zapis komputera. Nie uległo wątpliwości, że nieznanne promieniowanie było faktem. Tak samo jak zniszczenie jakiegoś obiektu przez działło plazmowe. Gib uznał, że należy wywołać procedurę kontaktu z obcą cywilizacją. Był chyba pierwszym w historii lotów pozaukładowych, który ją uruchomił w czasie wyprawy. Pierwszym poleceniem komputera było stwierdzenie konieczności przyśpieszenia prac na zewnątrz statku. Gabor zresztą i tak uwijał się jak w ukropie.

- Skończone! - oznajmił wreszcie. - Sprawdzę jeszcze stan całego pancerza i wracam.

- Zezwalam - powiedział Gib po uprzedniej konsultacji z komputerem.

- Biorę roboty badawcze.

- Przyjęto.

Gib spojrzał zdziwiony na wskaźniki pokładowe. Gabor w dalszym ciągu nie chciał podłączyć się do stymulatora.

- Więc jednak można coś zrobić bez stymulatorów - przemknęło mu przez głowę.

Odczuł nawet jakąś dziwną satysfakcję z tego powodu. Na krótko jednak, bo zaraz stymulator wzmacnił pole. Komputer uznał widać, że kapitan nie powinien tracić czasu na tego rodzaju myśli.

W międzyczasie skierował wszystkie roboty badawcze do służby przeznaczonej dla automatów. Czekał chwilę, aż zapali się światło gotowości służby do ich przyjęcia. Trwało to niespodziewanie długo.

- No tak - pomyślał - procedura kontaktowa. Komputer sprawdza jeszcze raz ich stan.

Nagle w sterowni zabrzmiał sygnał alarmowy. W tym samym momencie Gib stracił kontrolę nad dwoma z czterech automatów. Dał im wszystkim duże stop. Jednocześnie połączył się z Gaborem.

- Alarm w sterowni! - rzucił. - Podaj swoje położenie!

- Jestem na wysokości hibernatorium - usłyszał spokojną odpowiedź Gabora.

- Masz trzy metry do podstawy radaru dalekiego zasięgu. Schowaj się tam!

- Przyjęte.

W tym samym czasie zorientował się, że stracił kontrolę nad wszystkimi robotami badawczymi.

Oderwały się one od pancierza i szybowały teraz w próżni. Coś takiego nie było po prostu możliwe.

Chyba że... Gib włączył dodatkowo zespoły ochronne. Ponieważ nie było do pomyślenia, żeby naraz wszystkie cztery automaty rozregulowały się, więc trzeba było przyjąć, że przyczyna leżała na zewnątrz. W próżni.

- Gabor. Nie zbliżaj się do śluzy! Uruchamiam miotacze - rzucił w mikrofon.

Jednocześnie naprowadził celownik na lecące automaty i uruchomił spust. Przestrzeń rozświetliła się sekundowym błyskiem. Wokół statku znowu była tylko próżnia. Tak przynajmniej wskazywały przyrządy. Na wszelki wypadek nastawił miotacze na maksymalny zasięg i nakierował je na przedłużenie lotu automatów. Nacisnął jeszcze raz spust. Nic się nie stało.

- Interpretacja! - rzucił sucho.

- Procedura kontaktowa w toku. Zakaz wszelkich kroków mogących zostać zinterpretowane jako atak na Obcych - odpowiedział komputer.

- Gabor! Masz minutę na dotarcie do śluzy.

- Idę.

- Nasłuch! - Gib postanowił wykorzystać tę minutę na zorientowanie się w sytuacji.

Wszystko jednak utrzymywało się w normie. W polu widzenia była tylko pustka. A przecież coś zostało przed paroma minutami zniszczone.

- Cholera! - zabrzmiał nagle w słuchawkach głos Gabora. - Odpadłem.

- Przygotować kapsułę ratunkową! - rozkazał Gib.

- Oficjalne zalecenie komputera - usłyszał w odpowiedzi.

- Detonować Gabora Iszta!

- Motywacja?

- Znajduje się on pod wpływem Obcych z prawdopodobieństwem zero czterdzieści trzy.

- Ocena sytuacji w przypadku interwencji kapsuły ratunkowej zakończonej sprowadzeniem Gabora Iszta na pokład!

- Brak danych.

- Szacunek?

- Zero pięćdziesiąt, że kapsuła przestanie reagować na rozkazy. Zero dwa, że Gabor Iszt znajdzie się na pokładzie.

- Ocena dla przypadku interwencji ludzkiej!

- Zakaz komputera.

- Gabor. Czy dasz radę wrócić sam na pokład? - zapytał Gib.

- Wątpię. Czemu nie wyślesz kapsuły?

- Mam procedurę kontaktową - Gib nie mógł się zdecydować na powiedzenie prawdy.

- Jeśli możesz, to wstrzymaj się z detonowaniem mnie przez jakiś czas.

- Na razie nie ma mowy o detonowaniu - skłamał Gib.

- Znam procedurę kontaktową - odparł mu Gabor ze śmiechem.

Nie był to jednak śmiech radosny.

- Nie mam też pistoletu odrzutowego. Zgubiłem.

- Sprawdź zaczepy butów! - rozkazał Gib.

- W porządku. Czemu o nie pytasz?

- Z jakiego powodu odpadłeś?

- Nie uwierzysz - w głosie Gabora słycać było żal pomieszany z bezradną wściekłością - źle obliczyłem skok do śluzy. Mówiąc inaczej, poślizgnąłem się.

- Wystrzel rakiety sygnałowe! - polecił Gib.
- Za mały odrzut. Poza tym nie uchwycę momentu.
- Przełącz się więc na komputer!
- Żeby mnie detonować? - Dziękuję! Wolę zaryzykować.
- To rozkaz!

Gib przestał się zajmować Gaborem. Zaczął błyskawicznie programować komputer. Chodziło o to, żeby wystrzelić wszystkie rakiety tak, żeby ich odrzut skierował Gabora w przeciwną stronę. Do statku.

- Gabor! Gotowe. Przełącz się na komputer!
- Zgoda - w głosie Gabora czuć było jednak wahanie. Ty naprawdę w to wierzysz? - zapytał po chwili.

- Szansę są małe.
- Przełączam się na komputer - w głosie Gabora zabrzmiała desperacja.

W chwilę później na głównym ekranie Gib zobaczył krótki błysk. Trzeci w przeciągu ostatnich minut. Kazał sobie podawać namiar co dziesięć sekund. Gabor nie przybliżał się jednak do statku. Również się od niego nie oddalał. Stał w miejscu.

- Kapsuła ratunkowa do startu za dziesięć sekund! - rozkazał. - Gabor. Wysyłam po ciebie kapsułę - dodał.

- Dziękuję. Na wszelki wypadek odłączyłem się od komputera.

Gabor zdecydowanie nie ufał nikomu. Miał rację, bo w tej samej chwili Gib usłyszał ponowny zakaz komputerowy.

- Motywacja! - rzucił kolejny raz.
- Prawdopodobieństwo, że Gabor Iszt pozostaje pod wpływem Obcych, wynosi zero trzydzieści. O pięć setnych za dużo na akcję ratunkową. Poprzednie zalecenie w mocy. Detonować Gabora Iszta!

Gib przez dłuższą chwilę milczał. Wreszcie, powodowany nagłym impulsem, odłączył stymulator, zablokował kanał sterujący komputera i dał mu duże stop, Innymi słowy: pozbawił go wszelkich możliwości działania. Przeszedł na sterowanie ręczne. Wyprowadził kapsułę.

- Gabor... - powiedział spokojnie.
- Zabrzmiało to jednak zbyt spokojnie.
- Co się stało? - zapytał z niepokojem Gabor.
 - Wyłączyłem komputer - oznajmił matowym głosem Gib.
 - Stary... - Gabor chciał coś powiedzieć, ale nagle zamilkł. - Jesteś równy facet - dodał po chwili lekko zmienionym głosem.

Gib nie zauważył tego. Nastawił miotacze na przedłużenie linii lotu Gabora. I uruchomił spust.

- Zamknij oczy! - rozkazał. - Będę cię osłaniać od tyłu. Kapsuła już wystartowała.

To, co robił, było klasycznym manewrem zbliżania w warunkach zagrożenia lub ataku. Otworzył sobie parasol, w którym mógł działać bezpiecznie. Obcy, jeżeli tam byli jacyś Obcy, nie byli przecież niezniszczalni. Udowodnił to przed kilkunastu minutami. Zaraz po przebiciu pancerza. Na wszelki wypadek rozszerzył pole rażenia. Zaprogramował miotacze w ten sposób, żeby co minutę przenosiły ogień o stopień dalej, aż do granic swego zasięgu.

Tymczasem kapsuła zbliżała się do Gabora. W minutę później znalazł się w jej wnętrzu. Gib przekazał mu sterowanie kapsułą.

- Wracaj natychmiast! - rozkazał. - Będę cię osłaniał.
- Przyjęte - usłyszał w odpowiedzi.

Był w tym momencie szczęśliwy. Nie chodziło o słowa, lecz o ton, jakim zostały one wypowiedziane. A z tonu Gabora wywnioskował wszystko. Po raz pierwszy w życiu doznał takiego uczucia jak szczęście. Zrozumiał wreszcie, co to znaczy przyjaźń. Zrozumiał także, że był dotąd oszukiwany.

Przejął celownik miotaczy. Osobiście teraz kierował ogniem. Cały czas utrzymywał kapsułę w parasolu. Co jakiś czas omiatał przestrzeń również w dalszej odległości od statku. Żeby Tamtych zmusić do manewrowania.

Nagle w sterowni rozległ się głos komputera. Gib odwrócił się zaskoczony. Ostatnie, co zdążył zrobić świadomie, to przełączyć miotacz ponownie na celowanie automatyczne. Zaraz potem zerwał się, by skoczyć w kierunku głównej tablicy rozrządu komputera. Wiedział już co się stało. Komputer uruchomił procedury zastrzeżone. Zaraz włączył się hipnotyzory.

Jakim cudem odzyskał on kanały sterowania po dużym stop? - zdążył jeszcze pomyśleć.

Zaraz potem sterownię opanował wyłącznie komputer. Z hipnotyzerów rozległ się teraz jego głos, któremu towarzyszyło potężne promieniowanie obezwładniające. Nie było przed tym żadnej obrony.

- Gib Trens - rozległo się z głośników. - Procedura kontaktowa w toku. Wykonać zalecenie komputera. Detonować Gabora Iszta!

Gib podszedł automatycznym krokiem do fotela dowódcy. Usiadł w nim. Podłączył się do stymulatora. Przejął sterowanie kapsułą ratunkową. Uruchomił detonator.

Nic się nie stało.

- Trzymaj się Gib! - usłyszał głos Gabora. - Zdjąłem skafander. Ta kupa złomu nic mi nie może zrobić. Zaraz będę na pokładzie.

- Gabor Iszt. Rozkaz kapitana. Włożyć skafander!! Włączyć stymulator! Oddać kapsułę pod kontrolę statku! - Gib mówił to wszystko głosem beznamiętnym, spokojnym.

Zdawał sobie sprawę z wszystkiego, co się wokół działo, jak również z tego, że działa wbrew sobie. Nic jednak nie mógł na to poradzić.

- Ale cię załatwili. Człowieku! - mruknął Gabor.

- Gib Trens - odezwał się znowu komputer. - Oficjalne zalecenie komputera. Uruchomić miotacz i zniszczyć kapsułę ratunkową!

Gib sprawnie wykonał polecenie. Po sekundzie miał już kapsułę w celowniku.

- Przegrałem, stary - włączył się ponownie Gabor. - Zrób to szybko!

- Wykonaj zalecenie! - powtórzył komputer.

Gib nacisnął spust. Patrzył bezmyślnie w ekran, na którym było widać znów tylko próżnię.

Gabor Iszt przestał istnieć...

Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że hipnotyzory zostały wyłączone. Skasował więc wszystkie programy zastrzeżone. Teraz wreszcie był bezpieczny. Przez chwilę zastanawiał się, co robić dalej. Sprawdził stan statku. Potem naprowadził go na kurs powrotny. Następnie odblokował zbiorniki z antimaterią. Starannie obliczył obszar, w którym mogli się znajdować Obcy. Dołożył do tego potrójną poprawkę. Na wszelki wypadek. Opróżnił od razu połowę zbiornika. Teraz był pewien, że nikt go nie będzie śledził. Mimo że nie zarejestrował żadnego wybuchu większej masy. Dla większej pewności przygotował jeszcze sondę zawierającą jedną trzecią pozostałego mu ładunku antimaterii. Nie bawił się w żadne automaty. Detonator wyzwalał ładunek w momencie, kiedy prymitywny czujnik rejestrował jakąkolwiek atmosferę. Sonda zawierała również nadajnik, który co godzinę nadawał jej sygnał wywoławczy. Pozostawił ją niedaleko od miejsca ich pobytu.

Dopiero wtedy udał się do kabiny Gabora i zaczął przeglądać materiały, które tamten pozostawił dla niego. Trwało to przez prawie pół roku. W tym samym czasie zamilkła sonda. Dopiero wtedy Gib zdał sobie sprawę z ogromnego napięcia nerwowego, w jakim się znajdował przez cały czas. Obcy, jeżeli tacy

rzeczywiście istnieli, nie mogli za żadną cenę poznać położenia Układu Słonecznego, dopóki ich intencje nie zostaną do końca i ostatecznie wyjaśnione. Prawdopodobieństwo, że sonda zamilkła z powodu awarii lub trafienia na meteoryt, wynosiło dziesięć do minus piątej. Gib czuł się uspokojony. W końcu to nie on przebił pancierz.

Wtedy też zaczął dopiero myśleć o Gaborze. Przez cały ten czas trzymał się w ryzach, żeby w żadnym przypadku wspomnienia nie miały wpływu na jego postępowanie wobec Obcych. Teraz już był wolny, i świadomość morderstwa, do którego go zmuszono, powróciła ze zdwojoną siłą. Bo to było morderstwo. Gabor miał rację, był maszyną. Uzależniono go przecież od innej maszyny, która sama nie mogła zabijać, ale była w stanie zmusić każdego do morderstwa. Myśli, takie i podobne, nachodziły go coraz częściej. Któregoś dnia będąc w kabinie Gabora poczuł nagle, że ma łzy w oczach. Płakał.

Transmisja dobiegała końca. Tor Laakon wyłączył urządzenia transmisyjne. Pozwolił sobie na krótkie spojrzenie na innych członków Komisji. Wszyscy mieli beznamiętne twarze, bez wyrazu.

- Nic nas już nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi - pomyślał i zaraz przestraszył się tej myśli.
- Znowu nieoptymalnie - mruknął pod nosem.

Przez chwilę pomyślał, że chciałby choć przez chwilę pozwolić sobie na luksus swobody. Jak Gib Trens. Zaraz jednak zabuczał stymulator i Tor przypomniał sobie, że musi uzupełnić teraz transmisję. Wydawało mu się, że nikt nie zwrócił uwagi na brzęczenie jego stymulatora.

- Uzupełnienie transmisji - odezwał się w końcu bezosobowym głosem. - W drugiej sekundzie, licząc od ostatniego przedstawionego obrazu, Gib Trens zaczął strzelać do telepatorów krzycząc, że chce być wreszcie sam. W trzeciej minucie wszystkie urządzenia kontrolne uległy zniszczeniu. Z XIV Wyprawy powrócił pusty statek. Nie znaleziono na nim niczego, co by mogło wyjaśnić zaszłe tam później wydarzenia. Nie znaleziono również Giba Trensa. Przypuszcza się, że wyszedł on w przestrzeń. Znaleziono bowiem otwartą śluzę, w której nie było jego skafandra. Analiza materiałów zbieranych automatycznie pozwoliła ustalić, że w czwartej godzinie od momentu zakończenia transmisji miotacze pokładowe otworzyły do czegoś ogień na polecenie człowieka nadane z przestrzeni kosmicznej. Koniec uzupełnienia.

Tor był zadowolony. Po raz wtóry w czasie zebrania udało mu się uzyskać 99% optymalności w wypowiedziach.

- Otwieram dyskusję - dodał po chwili.

Muur Kekon zakończył referowanie przebiegu obrad Komisji Lekarskiej. Rada Ziemi, co było trzymane w ścisłej tajemnicy, nie używała żadnych stymulatorów czy telepatorów. Obrady toczyły się jak za dawnych czasów. Oficjalnie motywowano to całkiem logicznie faktem, że Rada podejmuje decyzje globalne, więc pomoc komputera byłaby problematyczna. Podobnie zrezygnowano ze stymulatorów, jako że były one uzależnione mniej lub bardziej od komputerów. Innymi słowy: Rada nie mogła sobie pozwolić na dopuszczenie do sytuacji, w której komputer narzucałby jej decyzje. Byłoby to absurdalne. Dla dobra sprawy fakt ten jednak trzymano w ścisłej tajemnicy przed wszystkimi. Nawet przed bezpośrednimi współpracownikami.

- Nie podałeś nam jeszcze wniosków Komisji - przypomniał Kir Volder, przewodniczący Rady.

- Hm - Muur pozwolił sobie na uśmiech lekceważenia - wnioski były klasyczne. Ogłoszono, że Gib

Trens dostał obłądu na skutek niedopatrzenia w pracy komisji kwalifikacyjnej dopuszczającej do lotów pozaukładowych. Znaczną część winy przypisano Gaborowi 1sztowi, którego Komisja podejrzewa o przynależność do jakiejś nieznaney i bliżej nie określonej grupy wywrotowej działającej na Ziemi. W tej chwili przeprowadza się śledztwo mające ustalić osoby, z którymi kontaktował się on w czasie swojego ostatniego pobytu na Ziemi. Komisja zaleciła dalsze usamodzielnienie komputera sterującego statkami w czasie wypraw pozaukładowych, a szczególnie programów zastrzeżonych. Powołano również Komisję do analizy hipotezy ewentualnego kontaktu. Na razie zalecono uprzedzenie wszystkich załóg o możliwości spotkania Obcych.

- Idiotyzm! - Kir Volder wzruszył ze złością ramionami.

- Nie przesadzaj! - wtrąciła się Emma Liot, trzeci członek Rady, socjolog.

- Racja - poparł ją Muur. - Ich ocena świadczy tylko o tym, że system stymulatorów działa bez zarzutu. Na wszelki wypadek zakazałem dalszego rozpowszechniania informacji dotyczących XIV Wyprawy i prac Komisji - dodał po chwili.

- Czego się właściwie obawiasz? - zapytała Kris Vamp, czwarty i ostatni członek Rady.

- Prawdy.

- Konkrety! - wtrącił się Kir.

- Gib Trens to nie tylko pojedynczy przypadek szaleństwa. To coś znacznie więcej. To Ostrzeżenie.

Bo w gruncie rzeczy on nie był szalony, i ty, Kir Volder, świetnie o tym wiesz.

- Przesadzasz - Kir ponownie wzruszył ramionami z pewnością człowieka, który doskonale zna granice swoich możliwości. - Nawet gdybyśmy ogłosili wszystkie te szczegóły, tylko jednostki byłyby w stanie zrozumieć prawdziwe przyczyny tego samobójstwa.

- Przejrzyj sobie dokładnie zapis telepatora z posiedzenia Komisji! - Muur powiedział to z naciskiem.

- Zwłaszcza zapis myśli Tora Laakona. On się przez cały czas bał, że nie zmieści się w granicach tolerancji. Podobnie bali się inni członkowie tej Komisji, może tylko w mniejszym stopniu. Oni nie mogli dojść do innych wniosków. Nie dlatego, że są ograniczeni. Dlatego, że system stymulatorów - niezbędny jeszcze przed pół wiekiem - obecnie stał się naszym więzieniem. Zaczynamy rządzić dzięki strachowi. W tej postaci stało się to czynnikiem hamującym. Za parę lat grozi nam po prostu brak rzetelnej informacji. Wszyscy będą myśleć swoje, ale oficjalnie zgłaszać będą wnioski optymalne w sensie obowiązujących założeń. A my staniemy się wtedy tyranami podejmującymi błędne decyzje na podstawie błędnych informacji, które w świetle praw ustalonych przez nas i naszych poprzedników będą szczerą prawdą. To będzie paranoja.

- Odchodzisz od tematu - wtrąciła się Kris. - Mieliśmy dyskutować o XIV Wyprawie.

- Coś w tym jest - poparła Muura Emma. - Daj mu się wypowiedzieć do końca!

- Niech mówi! - włączył się Kir. - Czego chcesz? - dodał patrząc uważnie na Muura.

- Prawa do człowieczeństwa dla całego gatunku - odparł spokojnie Muur.

- I ja tego chcę - powiedział Kir.

- I ja tego chcę - dołączyła się Emma, a zaraz po niej Kris.

Była to rytualna formuła Rady Ziemi. Należało ją powtarzać, ale nikt już nie traktował jej poważnie. Od trzech wieków.

- Natychmiast i bez ograniczeń - uzupełnił Muur wiedząc, że nic z tego nie wyjdzie.

- Nie - odparł sucho Kir.

- Nie. Jeszcze nie teraz - zgodziła się z nim Emma.

Wszyscy czekali na wypowiedź Kris. Ta jednak nie spieszyła się. Ale nikt jej nie ponaglał. Rada nie miała takiego zwyczaju.

- Nie wiem - odparła wreszcie. - Spróbuj nas lepiej do tego przekonać! - dodała, patrząc w

zamyśleniu na Muura.

- Sporządziłem ocenę postępowania Giba od momentu, kiedy odłączył się od stymulatorów. Do chwili, kiedy zaczął strzelać do telepatorów pokładowych, utrzymywał się w przedziale 80-90% optymalności.

- Niemożliwe - oznajmiła Emma. - Miał za dużo danych do jednoczesnej kontroli.

- A jednak - odpowiedział jej Muur - dał sobie radę w obliczu interwencji Obcych. Nie jestem przekonany, czy gdyby trzymał się stymulatorów i programu kontaktowego, udałoby mu się zatrzyć za sobą drogę na Ziemię tak dokładnie. Komputer nie podjąłby sam takiej decyzji, a człowiek pozostający pod działaniem stymulatorów również nie byłby do tego zdolny.

- Nie ma dowodu, że udało mu się zmylić tych Obcych. Nie ma nawet dowodu, że ci Obcy naprawdę zaistnieli - przypomniał sucho Kir.

- Na to, że Obcy istnieją, wskazują bardzo poważne poszlaki. To wystarcza, żeby podjąć na Ziemi odpowiednie kroki zaradcze. Obcy w końcu zaatakowali nasz statek - Muur powiedział to tonem ucinającym wszelkie dyskusje, a inni doskonale wiedzieli, że ma rację. - Ponieważ zaś nie ma dowodu, że Gib zmylił ich ostatecznie - ciągnął dalej - uważam za konieczne przyjęcie i natychmiastowe wprowadzenie w życie mojego wniosku.

- Żądam prawa do człowieczeństwa dla całego gatunku. Od zaraz - powtórzył jeszcze raz.

Tym razem Rada darowała sobie rytualne formułki. Muur miał dużo racji i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

- Rządzimy dwunastoma miliardami ludzi na Ziemi i w całym Układzie - odezwał się Kir po długim milczeniu. - Od pięciu wieków obowiązuje system stymulatorów. Był on potrzebny dla zapewnienia dalszego rozwoju ludzkości. Dzisiaj stoimy przed możliwością Kontaktu i mamy powody przypuszczać, że w przypadku jego zaistnienia nie obejdzie się bez starć zbrojnych. Z drugiej strony, jak to już wyjaśnił Muur, system stymulatorów, choć pozwala utrzymać równowagę całego układu, stał się od kilkudziesięciu lat czynnikiem hamującym. Od trzech wieków nasi poprzednicy w Radzie Ziemi wiedzieli, że ten moment kiedyś nadejdzie i że trzeba będzie wtedy dać ludzkości coś innego. Nazywamy to, od tego czasu, prawem do człowieczeństwa. W gruncie rzeczy nie jest to nic innego, jak powrót do społeczeństwa starego typu, sprzed sześciu wieków. Mamy nadzieję, że ludzkość po kilku wiekach tej jakby kwarantanny dojrzała do swobodnego dysponowania swoim losem. Tyczy się to oczywiście pojedynczych jednostek. Nie wiemy jednak, czy ta hipoteza jest prawdziwa. Mamy powody, żeby w to wątpić. Suma części nie daje całości. A jednak nie mamy nic innego do zaoferowania naszym poddanym. - Dlatego - tu głos Kira stał się stanowczy - nie mogę się zgodzić na żądanie Muura Kekona. Tym bardziej w tak przełomowej chwili, kiedy możemy zostać skonfrontowani z obcą cywilizacją.

Kir miał rację i Muur zdawał sobie z tego sprawę. Uważał jednak, że należy spróbować. Dawało mu to możliwość wynegocjowania chociaż częściowych ustępstw. Postanowił więc przejść do właściwego żądania. Tego, które chciał zaproponować od początku.

- Zgoda - Muur nie odczuwał zawodu czy złości.

W Radzie nie było tego zwyczaju. W gruncie rzeczy wszyscy chcieli tego samego - dobra ludzkości.

- Co proponujesz? - zapytała Kris, nie zwracając się specjalnie do nikogo.

- Proponuję utworzenie kolonii, w której ludzie będą żyć tak jak dawniej. Bez żadnych stymulatorów. Proponuję również, żeby kolonia ta kształciła załogi do wypraw pozaukładowych. Chcę, żeby oni stanowili naszą broń.

- Zgoda - odparła Kris.

Muur spojrział się pytająco na Emmę. Również skinęła potakująco głową. Pozostawił Kir.

- Jak ty to sobie wyobrażasz? - zapytał wreszcie.

- Potrzebny nam jest eksperyment na dużą skalę w celu skonfrontowania tego, co mówiłeś przed chwilą, z rzeczywistością.

Kir pokiwał głową w zamyśleniu. Od kilku już lat Rada, co jakiś czas, rozważała możliwość takiego eksperymentu i nigdy jakoś nie mogła dojść do ostatecznych decyzji.

- Jeżeli obejmiemy nim około miliona ludzi - kontynuował dalej Muur - Będziemy mogli swobodnie wyselekcjonować z nich elitę, która osiągnie samodzielnie jeszcze lepsze wskaźniki optymalności niż Gib, który doszedł do tego trochę przez przypadek. Oni właśnie będą z pewnością w stanie stawić czoło niebezpieczeństwu. Będą dysponować naszą techniką i doświadczeniem, lecz przede wszystkim własnym rozumem i wolą. Jednocześnie powinni stanowić dla nas model tego społeczeństwa, które zaofiarujemy w przyszłości całemu gatunkowi.

- Jaką masz gwarancję, że będą sprawniejsi od naszych ludzi z ich stymulatorami? - zapytała Kris.

- Będą dysponować bodźcami, jakich nam dzisiaj brakuje. Strach, miłość, nienawiść, przyjaźń.

Dawniej te uczucia pobudzały ludzi do rzeczy wydawałoby się niemożliwych. Dzisiaj nikt o nich nie wie, albo są one tłumione przez stymulatory. To właśnie przyjaźń i nienawiść sprawiły, że Gib nie stracił od razu głowy. Nasi ludzie jednak, w przeciwieństwie do niego, zdawaliby sobie zawsze z nich sprawę. Dlatego właśnie jestem przekonany, że będą działać o wiele skuteczniej niż ktokolwiek ze współczesnych nam.

Przez chwilę na sali panowała cisza. Wszyscy rozważali słowa Muura.

- To może być ciekawe - zgodziła się Emma.

- I tak trzeba to kiedyś zacząć - powiedziała Kris. - Muur ma rację. Za parę lat zaleje nas potok fałszywych informacji. Chociażby dlatego myślę, że można spróbować.

- Zgoda - zdecydował się wreszcie Kir. - Ale co tydzień będziesz nam zdawał sprawozdanie z postępów tego eksperymentu - zastrzegł się. - I jeszcze jedno - dodał po chwili

- Musi to być objęte ścisłą tajemnicą. Ziemia nie nadaje się do tego celu. Weźmiesz więc do swojej dyspozycji któreś z podziemnych miast Marsa.

Kiedy wszyscy już poszli, Muur siedział nadal na swoim miejscu. Był zadowolony. Od początku walczył o prawo do człowieczeństwa. Właściwie cała Rada o to walczyła. Nigdy jednak nie udawało się im robić tego jednocześnie. Teraz zrobiono pierwszy krok. Gib Trens był tego nieświadomą przyczyną. Gdyby nie Obcy, gdyby nie Gabor Iszt, który dziwnym trafem zrozumiał, że stymulatory to nic innego jak zwyczajni więzienni strażnicy - nigdy, a w każdym bądź razie' nieprędko zdecydowano by się na ten eksperyment.

Gdyby wreszcie nie samobójstwo Giba - wiadomości z XIV Wyprawy nie dotarłyby tak prędko do Rady. Być może wtedy nie podjęto by tej decyzji, ograniczając się do zwiększenia czujności na podejściach do układu słonecznego. Sprawa Obcych będzie zresztą jeszcze nieraz przedmiotem rozważań Rady Ziemi.

Muur podniósł się ze swego miejsca i powoli ruszył ku wyjściu. Po raz któryś już z rzędu uświadomił sobie straszną prawdę. Za ledwie czworo ludzi w całym układzie słonecznym było w stanie zrozumieć, że Gib Trens tak bardzo chciał być człowiekiem, że musiał umrzeć. Wolał nie myśleć, jaki byłby wynik konfrontacji z Obcymi, gdyby Ludzkość nie zdążyła tego zrozumieć na czas.

- Może zdąży - przemknęło mu przez myśl. - Musi zdążyć - poprawił się zaraz.

Nie był tego jednak tak zupełnie pewien.

Jan Maszczyzyn - STRAŻNIK

I wtedy...

- Nazywam się Allan. Allan. Słyszycie? Nazywam się Allan. Allan! Allan!! Jestem Allan, czy mnie słyszycie?

- Gdzie jestem? Jestem w Kosmosie. Przeliterować? Dobrze. J-E-S-T-E-M W K-O-S-M-O-S-I-E. Kosmosie! Aaa... Może nie wiecie co to jest. To bardzo proste. Kosmos to pustka, bezgraniczna, bezduszna pustka! Głupia i zawistna! Głupia...

Gwiazdy świeciły ostro w tym rejonie Wszechświata. Ich blask był nadal przytłaczający i groźny. Wkradał się wszędzie, był wszechobecny. W bezgranicznej pustce i ciemności był jak wyzwanie rzucone Śmierci. Jak wyzwanie rzucone Przestrzeni rządzącej się swymi prawami, które ustanowiono tam gdzieś... w zamierzchłej przeszłości. Gdyby świat był mały, mały do nieskończoności... a może i smutny, smutny do nieskończoności...

Jak smutno jest w tym przekętym i beznadziejnie małym pudle!

- Nazywam się Allan. Allan! Czy mnie słyszycie? Jestem Allan! Jestem w Kosmosie.

Uderzył w nadajnik pięścią. Głupia maszyna. Beznadziejnie głupia.

- Słyszysz mnie? Jesteś głupia... głupia!

Zaśmiał się histerycznie. Wstał i wybiegł z kabiny na korytarz. Szedł w stronę magazynu. Robił to każdego dnia w kółko, w kółko to samo. Rozwidlenie korytarza. Nogi wykonały wyuczony manewr. Gdy wszedł do magazynu, drzwi zasunęły się za im bezszelestnie. Grzmiało. Ale burza już przechodziła. Deszcz przestał padać. Krople zastygły w bezruchu. Na zachodzie niebo zabarwiła lekka tęcza. Rozlewała się leniwie. Słońce zaczęło już dobrze przygrzewać. Powiał lekki, ciepły, wilgotny wiatr. Zaszumiała trawa. Trawa...

- Wiesz, Bitt, śniła mi się dzisiaj trawa. Wyrosła w korytarzu. Chodziłem po niej boso a ona szumiła z uciechy. Słyszysz!? Z uciechy... Byłem smutny... chyba płakałem, płakałem jak dziecko. Nagle przystanąłem. Podniosłem do oczu zwiniętą dłoń. Otworzyłem. Na dłoni leżała kostka. Szarobłękitna, sześcienna, z etykietą. Z trudem odczytałem: Do niszczenia chwastów. Zamarłem. Chciałem ostrożnie zamknąć dłoń. Bałem się, że ją upuszczę. Nic z tego! Przeniknęła mą rękę i zaczęła wolno spadać. Obudziłem się. Trawy już nie było!

Mówił do Bitta, uniwersalnego androida. Do wszystkiego. Był już dwukrotnie hibernowany i na Ziemi na pewno poszedłby na złom, ale tu... Do towarzystwa miał Madt 210, maszynę do odtwarzania wrażeń audio i video zapisanych w kasetach QR 12304. Z nudów zaczęła sobie przepalać układy RX-5, dokładnie osiem razy, i przekaźnik w panelu PU-2. Na Ziemi pewnie by ją zniszczono.

Gwiazdolot BLADES 55.280434 lata temu opuścił Kosmodrom C 85. Pamięć o Ziemi już w nim wygasła. Jest przeznaczony do transportu intergalaktycznego ludzi. Prędkość graniczna 20 c na sekundę. W obecnym stanie byłby przydatny jedynie jako surowiec wtórny. Myśli jednak, że ma szczęście, jeżeli można to tak określić.

Allan klęknął przed wysmukłą metaliczną tubą hibernatora. Złożył ręce jak do modlitwy.

- O, wy...

- O, wy, którzy jesteście w tym pudle...

- O, wy, którzy wydaliście mnie na ten świat...

- O, wy! Bądźcie przeklęci!

Wstał. Westchnął i otarł łzy. Zawsze robił to ze złością. Spojrzał zamyślony na Bitta.

- Idziemy?

Bitt skinął głową. Weszli do luku towarowego. Automag zawiózł ich do laboratorium. Wzięli się do roboty. Praca szła im szybko. Rozmawiali półgłosem i nawet trochę się śmiali... dokładnie przez 3,6607 sekundy.

- Nazywam się Allan. Allan! Allan! Słyszycie?! Allan! A-l-l-a-n. JESTEM W KOSMOSIE. K-o-s-m-o-s-i-e! W wielkim, bezdennie głupim i pustym kosmosie. Słyszycie?!

- W dniu urodzin życzę ci wiele szczęścia i radości.

- Dziękuję, Bitt.

- A to prezent. Prezent dla ciebie, Allan...

Bitt podał kawałek taśmy. Allan spojrzał z zaciekawieniem.

- Włóż do czytnika.

Allan uśmiechnął się niepewnie.

- Lubię sobie grać na nerwach, Bitt. Lubię... I dlatego czekam...

- Już zbyt długo czekasz, Allan.

- Zbyt długo...

Czytnik rozdarł się mechanicznie bezbarwnym głosem. Wszystko zepsuł.

Argon...? Tlen...? Hel. Srebro.

- Co to jest?

- Skład otaczającej nas w tej chwili przestrzeni.

- Jak to się tu znalazło, Bitt?

- Podejrzewam, że dostaliśmy się w chmurę. Zresztą nie wiem. Zapytaj BLADES.

Usiadł w fotelu.

- Nazywam się Allan. Allan! Słyszycie? Słyszycie?!

- O, wy! O wyyyyyy...

- Mam dla ciebie pomyślną wiadomość, Allan. Obłok gęstnieje. Dostaliśmy się chyba w mgławicę.

Kto wie, może znajdą się jakieś wędrowne planety.

- Czy sądzisz, że to na pewno obłok? Bo ja ostatnio, wiesz.....ostatnio źle się czuję.

...I w dodatku ta cisza... Okropna szklana cisza, cisza...

Allan szedł korytarzem. Wolno. Bardzo wolno. Nogi przypominały watę. A w kościach czuł łamanie. Spojrzał na mleczno-białe ściany z odcieniem lekkiej starzyny. Między nimi on i ta szklana cisza. Sufit też mlecznobiały, tylko z odcieniem błękitu, jak na Ziemi... Na Ziemi... Przystanął. Z sufitu coś wystawało. Mlecznobiałe, krótkie i ostre. Wspiął się na palce i podciągnął. W dłoni został mu mały ząb. Mały, mleczny ząb. Uśmiechnął się i znowu spojrzał na sufit. W rogu przy samej ścianie, rósł sobie jakby nigdy nic, drugi... Mały, mlecznobiały ząb. Po chwili miał ich już całą garść. Roześmiał się histerycznie, ale nagle urwał... Coś mu kazało... Coś mu kazało wsypać sobie zęby do ust. Zagryzł... Miały smak cebuli.

- Nazywam się Allan. Altan! Czy mnie słyszycie? Jestem w kosmosie! K-o-s-m-o-s-i-e! Kosmosie...

- Widziałeś, Bitt?

- Co?...

- Czy widziałeś szaleńca?

- Nie, nie widziałem.

- Jak to, nie widziałeś?! A kto przed tobą stoi, Bitt?

- Chyba nie myślisz o sobie, Allan. W takich warunkach to nawet ja w końcu zwariuję.

- Ależ ja już to zrobiłem, Bitt.

Uśmiechnął się i usiadł w fotelu. Twarz miał dzieciinnie smętną i jakby zatroskaną.

- Widziałem zęby... wczoraj i dzisiaj.

...wczoraj były te pierwsze, wiesz, te które ma się w dzieciństwie. Dziś rano chrzęściły pod moimi butami. Na ich miejscu pojawiły się drugie... trzonowe.

- Ależ, Allan, ty nie oszalałeś. Jest to zjawisko .zupełnie realne. Ja również je widzę. O ile wiem, to trzonowe rosną w zatrważającym tempie. BLADES 55 nie ma z tym nic wspólnego. To nie on chce nas pożreć.

- A poza tym te zęby mają taki sam skład, jak ta substancja tam, na zewnątrz.

- Nazywam się Allan... Allan... Czy mnie słyszycie? Diabelnie źle się dziś czuję. Będę się streszczał... Jestem w kosmosie. K-o-s-m-o-s-i-e! Słyszycie?!

- Nazywam się Allan. Allan... Jestem tak słaby, że nie chce mi się mówić. Nie wiem czy usłyszycie mnie jeszcze. Może kiedyś... może kiedyś...? Czy słyszycie?!

Upadł na podłogę i zatkał. Czuł, że to już jego ostatnie dni, ostatnie godziny... Z sufitu zwisały te diabelnie ostre zęby. Wyglądały teraz jak stalaktyty. Stalaktyty, tak chyba nazywają się te twory w ziemskich jaskiniach, prawda?

Uchwycił się poręczy fotela, zakaszłał. Dotknął nosa. Ciekł z niego śluz. Śmieszny zielony śluz. Miał ochotę się zaśmiać, ale nie miał siły. Spojrzał na rękę. Duża, strasznie chuda. Wyglądało, jakby chudła w oczach... z ohydnie długimi palcami. Wiedział, że chudnie. Organizm walczył ze śmiercią... ze śmiercią, która ratowała go od szaleństwa. Wiedział, że był już temu bliski. Wiedział również, że... I wtedy... że jego rodzice właśnie taką...

I wtedy...

właśnie taką śmiercią umierali...

I wtedy...

umierali na taką właśnie chorobę. Pamięta...

I wtedy...

pamięta, jak biegał wtedy płacząc, bo myślał, że oszaleli!

I wtedy...

i wtedy pojawił się pierwszy pająk.

Uwił sobie płataninę niteczek. Uwił sobie ciepłe gniazdko... " uwił sobie z cienkich nitek pajęczynkę.

Najpierw jedną, od jednego zęba do drugiego, potem drugą, trzecią... trzecią... a potem... małego pajączka.

Mały pajączek powtórzył to samo od początku, i wtedy...

Allan spojrział na rękę.

I wtedy...

przesunął dłoń bliżej oczu.

I wtedy...

i otworzył palce. Miedzy palcami uwijał się mały pajączek...

I wtedy...

mały pajączek, który...

I wtedy pojawiły się muchy. Brzęczały okropnie i wdzierały się wszędzie. Nawet w pajęczynkę między palcami też. Wstał z wysiłkiem. Chciało mu się okropnie pić... pić... Upadł na fotel. Usłyszał stukot na korytarzu, jak przez mgłę ujrzał czołgającego się Bitta, jak przez mgłę... Wiedział, że to była pajęczynka. Coraz gęstsza i gęstsza.

Poczuł, że wypadają mu włosy. Skręcają i odlatują paznokcie. Skóra się łuszczy. Schodzi całymi

płatami. Cała podłoga wokół niego jest nimi usiana.

Włączył mikrofon. Chciał powiedzieć:

- Nazywam się Allan. Allan! Słyszycie...

Z gardła wydobył się tylko bełkot. Z gardła wydobyła się piana, jak bita śmietanka. Przynajmniej w smaku. Była czarna jak śmierć i otaczający go obrzydliwie pusty kosmos. Otwarte usta jakiś pracowity pajęczek połączył giętką pajęczyną. Poruszył nimi... pajęczynka ugięła się, ale nie pękła. Czuł, że jest już bez skóry. Oczy zwisły mu gdzieś za brodą... Upadły na podłogę i potoczyły się. Zaraz też obsiadły je wielkie tłuste muchy...

Chciał się roześmiać. Nie miał czym.

Chciał widzieć i słyszeć. Nie miał czym.

Chciał pomyśleć. Nie miał czym.

Chciał czuć...

Czuł, czuł, że zapada się w ciemność. W śmierć, która jest dalszym ciągiem wielkiego, pustego i beznadziejnie smutnego wszechświata.

Załoga AMST 184239, krążownika II klasy, prędkość maksymalna 25 parseków na sekundę, znajdowała się na posterukach. Dowódcą specgrupy składającej się z pięciu ludzi jest Matt. Grupa do Zadań Specjalnych - GZS 2489. Matt zdobył swój stopień w bitwie w pobliżu sławnej niegdyś gwiazdy Barnarda. Było to 173 lata temu. Terr jest nawigatorem i mechanikiem III stopnia klasy D. Też brał udział w bitwie pod Bamardem. Tam też zdobył bliźnę, która przecina połowę jego korpusu od czoła poczynając.

Carl jest mechanikiem II stopnia klasy A. W 384008 roku brał udział w wyprawie do obiektu NGC 18485. Tam właśnie zwariował. Jest tylko częściowo wyleczony...

Slipcki - przezywany Slipc, bo urodził się dziewięćdziesiąt sześć lat temu właśnie na tej planecie podczas wyprawy badawczej do NGC 18485. Lubi się śmiać. Jest bioneuronikiem i mechanikiem I stopnia klasy C...

I Rar. Ma trzy metry wzrostu i rozpiętość skrzydeł dochodzącą do sześciu metrów. Lubi grać w szachy i beble. Brał udział w kampanii wojennej Disca w 383988 roku. Jest drugim pilotem i kosmobionikiem na AMST 184239...

Te iskrzące się punkciki - to gwiazdy. Byliśmy tu... właśnie tu - w tym wielkim, okropnie wielkim niebie. U góry świeci... nie można tak mówić tu... tu, gdzie nie ma ani dołu, ani góry, początku ani końca, gdzie nie ma czasu, nie ma niczego, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Tu wszystko trwa w trwaniu... a więc tam... o tam świeci Mgławica Andromedy, tam Mały i Wielki Obłok Magellana, a tam... o właśnie tam świeci nasza Galaktyka. Właśnie w tej chwili, w tej chwili, której nie można określić, którą można by uchwycić, gdy obserwowaliby się wszechświat od samego początku, od samego zarania jego dziejów. Więc właśnie w tej chwili od tego większego białego kleksu oderwał się mały punkcik. Przeleciał tuż obok, siejąc wokół siebie coś, co przypominało drobne, chwiejne i malutkie tęcze. Przez chwilę leciał swoim kursem, potem wykonał zwrot i łukiem zawrócił. Jego blask był okropnie zimny i jakby stęchły, prawie że przyprawiający o mdłości. W miarę zbliżania robił się coraz większy i większy, aż przybrał kształt kuli z milionem otworów, czerwonych kraterów wypełnionych jakby szklistą masą - połyskliwą i piękną, tak, właśnie piękna, którą przyzywał mnie, BLADES 55 do siebie, wprost hipnotyzował... Przyprawiał o dreszcze.

- Tu AMST 184239 - mówiący do Blades 55. Czy mnie słyszysz?

- Tu BLADES 55 - słyszę cię doskonale. Wszystko w porządku, zadanie wykonałem.

- Przygotuj się na przyjęcie nas. Za 48 minut Czasu Uniwersalnego będziemy na twoim pokładzie.

Skończyłem.

Stali już w korytarzu. Par otworzył usta i plunął ogniem. Zęby kruszyły się i rozsypywały w proch. Ruszyli w stronę sterowni niszcząc wszystko po drodze. Matt wszedł pierwszy. W fotelu dowódcy spoczywał żółtawy kościotrup. Cały opleciony szczelnie pokrywającą go pajęczyną.

- Rar?

- Słucham, szefie.

- Jesteś najdłuższy z nas. Sięgnij do wyłącznika 328.

Rar sięgnął. "Wszystko" zniknęło. Pozostała ładna czysta kabina z ładnym czystym kościotrupem w fotelu.

- BLADES?

- Słucham.

- Wyłącz się.

-...

- Wyłącz się!

-...

- Wyłącz się!!!

- ... nie... nie mogę...

- Rozkazuję ci!

- Nie mogę... Nie mogę! Czy słyszysz Człowieku?! Nie mogę!!

Statkiem targnął nagle wybuch. Z trudem utrzymali równowagę. Podłoga zaczęła wibrować wraz ze wszystkim wokół. Sterownię zapełnił pył.

- Co się stało, BLADES? Skąd ten pył? Odpowiadaj! Słyszysz?!

-...

- Słyszysz? BLADES, odpowiadaj! Odpowiadaj!

- AMST 184239...

- Co?!!

-...

- Co AMST..., Co się stało, BLADES... Co się stało...

- Matt, spójrz!

Na suficie wyrastały zęby. Coraz większe i większe.

- A więc to tak...

Matt milczał chwilę.

- Czy słyszysz nas? Czy słyszysz...

- Tak słyszę, słyszę!

- Słuchaj, puścimy cię wolno. Nie będziesz już Strażnikiem...

Przerwał mu śmiech.

- Więźniowie i ich dziecko już umarli. Słyszysz?! Umarli! BLADES, umarli!!!

- Zatkaj się, Rar...

Skrzydła spadły z chrzęstem na podłogę. Skręciły się skwiercząc. Włosy i paznokcie wypadały jedne po drugich.

- Dlaczego nas zabijasz?

-...

- Zapłacisz za to, łajdaku! Słyszysz?!

- Zatkaj się, Rar!

- Odpowiedz, dlaczego? Czy za tę samotność?...

- Miałeś przecież ludzi... więźniów... A może ty zwariowałeś... Co?! Odpowiedz BLADES!

Odpowiedz!!! Słyszysz?!

- Cicho. Zatkajcie się!!! Cicho, powiedziałem!!! Cicho...

- Podły...

Skóra schodziła płatkami kładąc się na podłodze. Matt upadł... łą do tego to brzęczenie... przekłete brzęczenie... Muchy?... Muchy!!

Zapadł się w ciemność... w przepaść bez dna... w nicość bez nicości. Cisza... cisza... cisza... I tylko ten głos... głos...

- Nazywam się Allan. Allan! Słyszycie?! Jestem Allan. Słyszycie? Gdzie jestem? Jestem w kosmosie. Przeliterować? Dobrze. W K-O-S-M-O-S-I-E! W kosmosie... kosmosie... kosmosie...

Janusz Mil Sławomir Mil - KLEPSYDRA

... Zbliża się mój czas. Aktywność Edgara wyraźnie słabnie. Widzę przez szybę oddzielającą mój pokój od pracowni, że nie robi już nic konkretnego. Porządkuje notatki, zaznacza jakieś uwagi na marginesach, ale jest to tylko próba przekonania siebie, że zostało jeszcze dużo czasu do zabiegu. Mnie nie oszuka. Jeszcze dwie, trzy godziny bezproduktywnego krzątania się, potem z osiem godzin snu, ze dwie na pobudzenie wstępne i przyjdzie moja kolej. Oczywiście, jeszcze przedtem sam zabieg. Przy mojej rutynie to kwestia kilku minut. Cóż może być prostszego, jak pobranie frenonu od Edgara, przefiltrowanie i ustabilizowanie go, a w końcu wstrzyknięcie sobie. Trudniej jest jemu. Jako matematyk nie miał żadnej styczności z zabiegami medycznymi, ale przecież z czasem i tak doszedł do pewnej wprawy. Zresztą on ogranicza się tylko do pobrania ode mnie frenonu. Filtrację ja przeprowadzam i ja robię mu zastrzyk, ale to tylko dlatego, że w przeciwieństwie do niego, nie mdleję po oddaniu frenonu. Niedługo będzie musiał sam to robić, bo coraz gorzej przetrzymuję kolejne przejścia w stan pasywności. Przecież mamy już za sobą trzydzieści osiem pełnych cykli, nie licząc tych pięciu, gdy obaj byliśmy uaktywnieni trzydziestoprocentowym frenonem pobranym od Freddiego. A więc już trzydzieści osiem razy byłem dowódcą. Od dłuższego czasu przebiega to podobnie...

... Zachować spokój i w miarę możliwości, wprowadzić się w jak najlepszy nastrój. Zresztą BSD zaczyna już działać. Umysł staje się przejrzysty, jasny, kryształowo wręcz czysty. Wszystkie barwy nabierają zadziwiającej ostrości: Inne zmysły także są wyostrzone. Czuję każdy organ swojego ciała, każdą jego komórkę, nieomal każdy atom.

Czas już posłuchać nagrań Freddiego, uaktywnionego oczywiście. Nikt by nie uwierzył, co człowiek może wydobyć ze zwykłych organów Hammonda. Ciekawa będzie reakcja Freddiego, gdy kiedyś się dowie, że to jego muzyka. Dziwne, ale Edgar odnosi zupełnie inne wrażenie. Chyba żadna muzyka nie ma na niego wpływu. Przecież nawet pobudzenie wstępne osiąga, jak sam twierdzi, przez całkowite wyłączenie się spod wpływu otoczenia. No, i nie osiąga go w takim stopniu jak ja. Robię chyba więcej dla niego niż on dla mnie. Potwierdziły to nawet badania stężenia frenonu. Zresztą nie jest to takie pewne. Tylko trzy razy je przeprowadzaliśmy. Przecież w tej fazie badań nie można tracić frenonu na cokolwiek innego niż wprowadzenie kogoś z nas w stan aktywności. Edgar uważa nawet, że dawanie resztek Freddiego to czyste marnotrawstwo. Dla mnie jego gra jest tego warta. No i stanowi to część jego terapii...

...Jest już Edgar ze strzykawką. Siedzę pokornie i czekam aż stal igły zachrzącnie o moje kręgi szyjne. Jest to bolesne, na pewno. Ale znacznie gorsze jest uczucie fizycznego wręcz pozbawienia człowieka całej jego aktywności, całej energii życiowej, całej osobowości nieomal. Edgar powiedział kiedyś, że gdy on jest dawcą, czuje się tak, jakby wampir wysysał z niego duszę. Sam czasem myślę, że tak jak matką chemii była średniowieczna alchemia, tak prekursorów naszych badań należy szukać wśród bohaterów starych legend o wampirach czy sprzedawaniu duszy. Przecież gdyby w tej chwili tłok strzykawki w rękach Edgara przesunął się poza granicę 1,3 cm nieodwracalnie spadłbym umysłowo do poziomu debila...

... Już. Z trudem przełamuję wszechogarniającą depresję i niechęć do jakiegokolwiek, najmniejszego nawet wysiłku. Ale muszę. Szybko odfiltrowuję rozkładający się frenon, uaktywniam go i stabilizuję, a w końcu wstrzykuję Edgarowi. Reaguje natychmiast. Żrenice rozszerzają mu się prawie skokowo, a przez mięśnie twarzy i rąk przebiegają gwałtowne drgawki. Trwa to około minuty, a potem następuje raptowna przemiana. Wzrok nabiera ostrości, twarz skupienia, a ruchy precyzji. Bez słowa wstaje i nie patrząc nawet na mnie, przechodzi do pracowni. A ja, wyczerpany tym wszystkim, popadam w kompletną apatię,

przechodzącą po jakimś czasie w senność. Z trudem docieram do łóżka...

... Przejście ze snu następuje w sposób ciągły. Nie ma gwałtownych odczuć, myśli snują się leniwie. Po pewnym czasie zdaję sobie sprawę z tego, że już nie śpię, ale nadal nie mogę zdobyć się ani na przyspieszenie procesów myślowych, ani na kontrolowanie ich przebiegu. Dopiero później (godzina? minuta?) zaczynam nad nimi panować...

... Trzeba wstać. Co prawda, i tak nie ma to znaczenia. Teraz jest czas Edgara. Ale to potrwa jeszcze ze dwie, trzy doby, a ja muszę w tym czasie, chociażby dla dobra wspólnej pracy, wrócić do pełnej normy psychicznej. Zaczynam także odczuwać głód. Pójdę do Freddiego i razem zjemy obiad, czy może kolację. Pora doby już dawno straciła dla nas jakikolwiek realny sens.

Biedny Freddie! Jemu wciąż się wydaje, że jest na leczeniu. Gdyby nie ta jego pasja gry, pewnie już dawno zorientowałyby się w sytuacji. Zresztą wszystko u nas wygląda jak w normalnej klinice; a był już w niej, zawsze gdy nad muzyką górę brały narkotyki. Nie wie tylko, że nagrania służące do muzykoterapii to jego własne utwory.

... Zbieram się do wyjścia. Przez szybę widzę śpiącego Edgara. Mamy zupełnie różne cykle w okresie aktywności. On śpi przez godzinę, półtorej, a potem pracuje siedem albo osiem godzin. Ja usypiam tylko raz, w połowie cyklu, ale na dłużej. Jestem już na korytarzu, ale cały czas czuję, że zapomniałem o czymś ważnym. Robię kilka niepewnych kroków i naraz przypominam sobie. Magnetofon! Oczywiście, magnetofon.

... Działania frenonu nie pamięta się. Przy przejściu do stanu aktywności ostatnimi pamiętanymi rzeczami są: uczucie gorąca w miejscu wstrzyknięcia, gwałtowne zafalowanie widzianego obrazu, dudnienie najłżejszych nawet dźwięków, a później już tylko widok pulsującego sufitu oraz lamp przybliżających się do twarzy i nabierających jakichś dziwnych, surrealistycznych kształtów i znaczeń. W sumie - uczucie jak przy normalnym wstrząsie lub ataku padaczki. Znacznie ciekawszy jest powrót do stanu pasywności. Po prawie całkowitym zużyciu frenonu następują skokowe przejścia ze stanu aktywności do normalnego. Najpierw na ułamki sekund, potem na sekundy, minuty i wreszcie na dobre. Oczywiście, okresy te przedzielone są szczytkowymi momentami aktywności, trwającymi coraz krócej. Tych nie pamięta się, więc odnosi się wrażenie chwilowych zaników pamięci, objawiających się raptownymi zmianami w otoczeniu. Ostatnich, sekundowych nawrotów aktywności nie zauważa się nawet...

... Tymczasem prowadzona przez nas na zmianę praca już dawno zatraciła cień chociażby komunikatywności dla normalnego człowieka, a więc i dla nas w stanie niebudzonym. Co gorsza, nie wiadomo, jaki jest jej stan zaawansowania, perspektywy czy przypuszczalny termin zakończenia. Dlatego też przed każdym swoim stanem aktywności zostawiam w pracowni kartkę do siebie z przypomnieniem o konieczności nagrania ustnej informacji o przebiegu prac. Muszę szukać kontaktu z samym sobą, bo Edgar, będąc w stanie aktywności, ignoruje mnie po prostu. Dotychczas kartki moje pozostawały bez echa...

... Wracam pospiesznie i od progu widzę, że magnetofon prawie na pewno nie był ruszany. Już tylko dla formalności puszczam, ustawioną na zerze, niestety, taśmę i wsłuchuję się w ciszę. Znowu nic. Idę do Freddiego...

... I dopiero po trzydziestym ósmym cyklu taśma ożyła. Nie dało mi to, w efekcie, powodu do zbyt dużego zadowolenia. Ponieważ Edgar krząta się jeszcze i zostało trochę czasu, odtwarzam ją ponownie, znów nie poznając siebie...

... Nudny się robisz! Czy myślisz, że nie mam nic ważniejszego do roboty niż informowanie ciebie o czymkolwiek? Oczywiście, że wszystko rozwija się znakomicie, i syntezy, i teoria. Tej zresztą jeszcze przez wiele lat nikt nie będzie w stanie zrozumieć. Ale nie o to teraz chodzi. Efekt praktyczny rozstrzygnię o wszystkim, i właśnie w związku z tym zwracam się do ciebie. Za kilka tygodni wejdziemy w fazę doświadczeń. Trzeba będzie odpowiednio przygotować Freddiego. Masz zapisane co i jak mu dawać.

Trzymaj się tego ściśle, i nie przejmuj się jego przejściowym stanem podczas przygotowań...

Łatwo powiedzieć! Do nagrania była dołączona długa lista specyfików. Na oko, działanie jednych neutralizuje inne, ale zaraz dochodzą następne, które z kolei zmieniają wydzielanie wewnętrzne, co rzutuje znów na wpływ tych pierwszych i tak w kółko. A że wszystkie te wpływy są jeszcze poprzysuwane czasowo, zgodnie z harmonogramem dawkowania specyfików, łączne ich działanie jest praktycznie nie do określenia. Ale po samym ich składzie widać, że doprowadzą organizm Freddiego do prawie kompletnej ruiny. Dopóki to wszystko dotyczyło tylko nas, sprawa była dość prosta. Ale teraz?...

... Wszystko zaczęło się od przypadku. Zajmowałem się wtedy badaniem składu płynu mózgowo-rdzeniowego u chorych na psychozę maniakalno-depresyjną. Po pewnym czasie miałem mnóstwo przebiegów składu u różnych pacjentów przy różnych ich stanach psychicznych, ale nie bardzo wiedziałem, co z tym robić dalej. Nigdy nie byłem specjalistą od obróbki danych, i tu przypomniałem sobie o Edgarze, z którym mieszkaliśmy razem w trakcie studiów. Był matematykiem, i to uważanym za wybitnego. Nie liczyłem nawet na jego bezpośrednią pomoc, ale co najwyżej na to, że skieruje mnie do kogoś kompetentnego i zarekomenduje odpowiednio, i nie zawiodłem się. Gdy po dłuższej rozmowie wypełnionej wspomnieniami z college[^] wyłuszczyłem mu faktyczny powód mojej wizyty, kazał mi po prostu przynieść wszystkie materiały i obiecał, że w ciągu kilku tygodni któryś z jego asystentów opracuje programy ich analizy.

Zadzwoił do mnie po miesiącu i oznajmił, że prowadzona wszelkimi metodami analiza korelacyjna nie wykazała żadnych związków pomiędzy składem płynu a samopoczuciem pacjentów. Czując widocznie moje rozczarowanie, obiecał, że rzuci jeszcze osobiście okiem na to wszystko. Rzecz jasna, potraktowałem to jako formę grzecznościową z jego strony, toteż dużym zaskoczeniem był dla mnie jego telefon dwa tygodnie później i osobista wizyta. Okazało się, że stwierdził pewne, chociaż dość dziwne zależności. Zrobił bowiem coś zupełnie innego niż każdy, kto analizował skład płynu. Nie szukał bowiem związku stanu psychicznego pacjentów z obecnością, brakiem czy też ilością w płynie jakiegoś konkretnego związku chemicznego lub wolnego jonu, ale z całym jego składem, a więc zbiorczym bilansem jonowym, iznalazł.

Płyn mózgowo-rdzeniowy w okresie maniakalnym pacjentów zawierał mniejsze ilości pewnych pierwiastków niż w okresie depresyjnym. W tym ostatnim pierwiastki te wchodziły w skład innych związków, ale w sposób wybitnie nieregularny. Raz wpływały na zwiększenie ilości jednego związku, innym razem - drugiego, a kiedy indziej - ich kombinacji. W ten sposób wymykało się to spod kontroli analizy mającej na celu znalezienie regularnych zmian składu płynu. Wniosek był jednoznaczny. W okresie maniakalnym w płynie mózgowo-rdzeniowym musi występować jeszcze jeden związek, który do tej pory nie został wykryty, albo wskutek niedokładności badań, albo z powodu znacznej nietrwałości.

Zacząłem prowadzić dalsze badania pod tym kątem. Edgar interesował się nimi dość żywo i coraz częściej odwiedzał mnie w klinice. Znalazłem ten związek. Faktycznie rozpadał się szybko i występował jedynie w śladowej ilości. Pozwoliło to tylko na ilościową analizę jego składu. Okazał się identyczny z bilansem brakujących jonów. Oczywiście, zacząłem szukać w katalogach związku o takim składzie ilościowym. W stosownym miejscu tabeli, odpowiadającym naszemu składowi, nie było żadnego związku. Był za to indeks publikacji, i to, o dziwo, prawie identyczny z indeksem większości moich prac. Była to stara publikacja Gibsona, który stwierdził obecność takiego związku w płynie mózgowym po ataku padaczki. Byłem pewny, że chodzi tu o ten sam związek co i u nas, i że w jego badaniach musiał on występować w znacznie większych ilościach. Gibson nie interesował się nim dalej. Pracę tę ogłosił zresztą niejako na marginesie swoich zasadniczych zainteresowań.

Mieliśmy w klinice wielu pacjentów z różnymi typami padaczki. Wybrałem kilku. Robiono im analizę składu płynu regularnie co kilka dni oraz każdorazowo po ataku. Nasz związek występował tylko w tym ostatnim przypadku, i rzeczywiście było go znacznie więcej niż u chorych na psychozę maniakalno-depresyjną, nie na tyle jednak, by można było zbadać jego strukturę. Dałbym sobie pewnie z tym spokój,

albo zostawił komuś innemu, gdyby Edgar nie spytał mnie, czy związek ten występuje u normalnego człowieka. Kazałem sobie pobrać płyn i zrobiłem analizę. Był. U innych także. Ale w ilościach skrajnie małych. Dalsze rozumowanie było proste. Wnioski także. Frenon, bo tak nazwaliśmy nasz związek, musi mieć coś wspólnego z poziomem aktywności człowieka.

Edgar nie zetknął się do tej pory bliżej z biochemią. Dlatego też od razu zaproponował beztrąsko to, co u mnie było tylko cieniem bliżej nieokreślonej nadziei. Zsyntetyzujmy albo wyodrębnijmy frenon i spróbujmy zastosować go do zwiększania aktywności człowieka. Proste, prawda?

Kilka następnych miesięcy nie posunęło sprawy do przodu. Doszedłem tylko do tego, że potrafiłem z płynu mózgowo-rdzeniowego, gdzie frenon występuje w ułamku promille, uzyskać wyciąg o prawie dwuprocentowej jego zawartości. Ale to było wszystko, co dało się zrobić znanymi metodami. No, i poza tym był on nadal nietrwały, i wtedy Edgar, w prostocie ducha, zaproponował, aby wstrzyknąć mu ten wyciąg. Oczywiście odmówiłem, ale pomysł nie dawał mi spokoju.

Było to może lekkomyślnością z mojej strony, ale zdecydowałem się zrobić to sobie. Sądziłem, że co najwyżej grozi mi atak padaczki. Edgar asystował mi, poinstruowany, co ma robić w takim przypadku. Nie miałem odwagi wtajemniczać kogokolwiek innego w ten eksperyment, a już szczególnie specjalisty.

Sam nie pamiętam nic. Po prostu straciłem na jakiś czas przytomność, a po jej odzyskaniu znalazłem się w innym rogu pokoju, na fotelu przy biurku. Wstrząsem była dopiero relacja Edgara. Według niej, w kilkanaście sekund po zastrzyku wstałem z kozetki i nie reagując w ogóle na jego obecność, zacząłem szybko coś pisać. Po kilku minutach odłożyłem pióro, zacząłem rozglądać się niepewnie i w pewnej chwili powiedziałem coś bez związku. Był to właśnie moment, kiedy, według siebie, odzyskałem przytomność i nie wiedziałem co się ze mną dzieje.

W pierwszej chwili nie bardzo wierzyłem w to wszystko, ale zapisane kartki, a zwłaszcza ich treść, zmusiły mnie do tego. Były to, ni mniej ni więcej, tylko projekty trzech metod całkowitej stabilizacji frenonu. Mimo iż wyglądały na brednie, wypróbowałem je. Trzecia okazała się skuteczna. Frenon nie rozkładał się już w ciągu kilku minut, ale zachowywał stabilność przez kilka dni. Otrzymanie go w stanie czystym było w tych warunkach sprawą niecałego tygodnia. Potem znowu kolejne miesiące nie przyniosły nic nowego. Owszem, poznaliśmy strukturę frenonu, ale wskutek nieznaności katalizatorów umożliwiających jego syntezę w organizmie, nadal nie mogliśmy wytwarzać go sztucznie. Pozostawało tylko pobieranie próbek od siebie. Z praktycznym zastosowaniem także nie posunęliśmy się do przodu. Ustaliliśmy tylko minimalną dawkę, konieczną do przejścia w stan aktywności. Mniejsze dawki pozostawały bez widocznego efektu, a większe wydłużały okres aktywności. Obaj byliśmy w tym stanie po kilka razy i obaj robiliśmy wtedy jakieś notatki, ale były one subtelnie niezrozumiałe. U mnie były to fragmenty jakichś przekształceń chemicznych, a raczej ślady rozmyślań nad nimi. Edgar pozostawiał po sobie jakieś dziwne schematy, złożone z połączonych strzałkami prostokątów i kółek. Wszystko to było poznaczane albo symbolami cyfrowymi, albo znakami zapytania. Sam, będąc w normalnym stanie, wzruszył tylko nad tym ramionami. Dziwne, ale unikanie jakiegokolwiek opisu słownego pozostało nam do dzisiaj. Stosunkowo najwięcej dowiedzieliśmy się o wydzielaniu frenonu w organizmie. Było go tym więcej, w im lepszy, bardziej aktywny czy też twórczy nastrój potrafił wprowadzić się dawca. Można to było uzyskać także pod wpływem narkotyków. Aby móc oddać sensowną ilość frenonu, konieczne było także zażycie pewnych specyfików. Określiliśmy też, teoretycznie oczywiście, maksymalne dawki frenonu, jakie można oddać i pobrać, i, zasadniczo, behawiorystyczny opis wydzielania go w organizmie był naszym jedynym istotnym osiągnięciem tych miesięcy. Doszliśmy do zgodnego wniosku, że tu właśnie kończą się nasze realne możliwości i nie pozostaje nic innego, jak opublikować dotychczasowe wyniki i otworzyć problem dla innych.

I wtedy zrobiło się nam po prostu żal. Byliśmy przecież na tropie odkrycia o potencjalnie oszałamiających możliwościach zastosowań i niełatwo przychodziło nam pogodzić się z myślą, że spełnimy jedynie rolę odkrywców problemu. Szczególnie nie zadowalało to Edgara, który nie licząc

znakomitych pomysłów inspirujących, wkład swój ograniczył jedynie do matematycznej analizy wydzielania frenonu. Nie wspominam już o tym, że od paru miesięcy zarzucił prawie zupełnie swoje czysto matematyczne prace.

...Projekt dojrzewał przez kilka tygodni i każdy z nas wniósł coś do niego. W założeniu był oczywisty. Skoro nie potrafimy posunąć się do przodu, dalej powinniśmy pracować pobudzeni frenonem. Przecież najistotniejszy do tej pory problem rozwiązałem właśnie pod jego wpływem! Decyzja została przez nas podjęta zadziwiająco szybko, jednomyślnie i bez żadnych skrupułów. Pozostawały tylko szczegóły techniczne. Jako dawcy frenonu tylko my dwaj wchodziliśmy w rachubę. Każdorazowe oddanie go jest bowiem zbyt wyczerpujące i wymaga odpowiedniego pobudzenia wstępnego, co zakłada pełną świadomość dawcy o całokształcie sytuacji. A przecież nie mogliśmy wtajemniczać nikogo więcej. Wszak etyka naukowa dawno już została daleko za nami. Oczywiście więc było, że pracować będziemy na zmianę, na przemian oddając sobie frenon. Wydzieliłem w klinice część pomieszczeń do swojej wyłącznej dyspozycji, przyjąłem do niej Edgara na rzekome leczenie nerwicy i rozpoczęliśmy...

Już po kilku cyklach straciliśmy kontrolę nad przebiegiem prac, to znaczy przestaliśmy rozumieć, będąc w normalnym stanie, cokolwiek z tego, co robimy w okresie aktywności. Utwierdziło nas to w przekonaniu o tym, jak złożony problem napotkaliśmy i zachęciło do dalszych wysiłków. Musieliśmy tylko znaleźć sposób jednoczesnego przechodzenia w stan aktywności, aby móc konsultować ze sobą przebieg prac. Przestudiowałem karty pacjentów kliniki i znalazłem Freddiego, skrajny przypadek narkomanii. Przeniosłem go do naszej części zakładu i leczyłem dalej, chyba nawet skuteczniej niż leczono go dotychczas, gdyż dawałem mu niewielkie nadwyżki frenonu, jakie nam pozostały. Zagłuszały one w nim głód narkotyku i chociaż nie powodowały przejścia do stanu aktywności, to wyzwalaly w im tę cudowną muzykę. W zamian, pobieraliśmy mu od czasu do czasu niewielkie ilości frenonu. Pozwalały one na zyskanie przez nas obu jednocześnie kilkunastu minut stanu aktywności. Nagrania magnetofonowe konfrontacji, mimo niewielkiej ich komunikatywności, wykazały, że przynajmniej jesteśmy zgodni co do właściwego rozwoju prac i tego, że uzupełniamy się w nich nawzajem, itak minęło już trzydzieści osiem cykli...

... Spoglądam na Edgara. To już ostatnie minuty aktywności. Zacznie się przejście. A więc jeszcze z dziesięć godzin i przyjdzie moja kolej. Na razie trzeba przespać się trochę, izdecydować co robić z Freddiem.

Kładę się, gaszę światło i od razu wraca dręczący mnie od kilku cykli schemat myślowy...

... Według wszelkich danych pracujemy nad znalezieniem sposobu zwiększania aktywności, a więc i możliwości mózgu człowieka, ale w sposób łagodny i długotrwały, bez konieczności stosowania wstrząsu frenonowego. Z tego, co można było zrozumieć, wynika, że widzimy tu trzy możliwe drogi. Albo odpowiednie dawkowanie zsyntetyzowanego frenonu, gdyby okazało się, że można stopniować jego wpływ, albo to samo z jego ewentualnymi pochodnymi, albo też stymulacja wydzielania i utrwalania frenonu bezpośrednio w organizmie. Oczywiście, ostatnia droga wydaje się, z punktu widzenia laika, a tylko za takiego mogę się w tej chwili uważać, najlepszym rozwiązaniem, ale nie wiadomo w jakim kierunku poszły nasze prace. Z konsultacji wynika, że kilkakrotnie zmienialiśmy koncepcje, a co gorsza, pojawiły się zupełnie nowe. Z każdym cyklem dalsi jesteśmy od jakiegokolwiek komunikatywności, nawet z tak wybitnymi specjalistami, jakimi jesteśmy na co dzień, i już widać, że jakikolwiek by był końcowy efekt naszych badań, nie przysporzy on nam sławy naukowej, przynajmniej obecnie. Jeśli nic nie osiągniemy - będzie to oczywiste. Jeśli, co jest zupełnie możliwe, dojdziemy tylko do teoretycznych rozwiązań, niemożliwych do zastosowania, chociażby ze względu na aktualny poziom technologii chemicznej, nie chcąc narazić się na śmieszność, nie będziemy mogli niczego opublikować. Przecież byłoby to absolutnie niezrozumiałe! Jeżeli natomiast znajdziemy rozwiązanie praktyczne, na przykład w postaci jakiegoś specyfiku, to z analogicznych względów nie będziemy mogli zaprezentować drogi, jaką do niego doszliśmy i uznani zostaniemy za przypadkowych odkrywców...

... A sytuacja zaczyna się komplikować. Z zarejestrowanego przekazu wynika, że niedługo zaczniemy w okresie pasywności być wykonawcami własnych poleceń i prace potoczą się w dwóch równoległych płaszczyznach. W końcu trzeba będzie zdecydować się, co robić z Freddiem. Zasadniczo, nie powinno być żadnych wątpliwości, należy ślepo podporządkować się zaleceniom, ale...

... Zapewne, współpracując tyle czasu z Edgarem, powinienem stać się po trosze matematykiem, tak jak on - biochemikiem. Ale dlaczego to właśnie ja zaczynam wprowadzać coraz więcej elementów matematyki do naszych prac? I to zupełnie nowych... Gdyby ograniczyło się to tylko do nowych rozwiązań czy nawet do nowych pojęć! Ale według wszelkich danych, są to zupełnie nowe kierunki! A przecież nie korzystam z żadnych źródeł poza notatkami Edgara. Być może, iż rozwijam tylko jego idee, lecz w jaki sposób w trakcie konsultacji wnoszę tyle czysto matematycznych poprawek do jego koncepcji i dlaczego on prawie zawsze zgadza się ze mną? Tak samo jest, zresztą, z czysto biochemicznymi aspektami pracy Edgara. Czyżbyśmy więc wykryli nie środek aktywizujący mózg, a jeszcze jeden specyfik pobudzający wyobraźnię, jeszcze jeden, być może najdoskonalszy, narkotyk? I czy nie brniemy coraz dalej w iluzję, w pseudonaukowy bełkot, pełni uwielbienia dla siebie nawzajem? Czy naprawdę robimy coś nowego? Czy też stanowimy tylko duchową klepsydrę przesypującą tę samą zawartość z jednego umysłu do drugiego... Możliwe, że oddając frenon, przekazujemy jednocześnie coś ze swojej osobowości czy nawet zawartości pomięci. Ale przecież nie mnożymy przez to swego potencjału twórczego, a co najważniejsze, zmieniamy jego lokalizację, i czy nie zatrzyma nas w tym wszystkim dopiero śmierć Freddiego lub któregoś z nas?

Ale, z drugiej strony, przy pierwszym pobudzeniu frenonem dokonałem rzeczywistego odkrycia. Możliwe jednak, że tkwiło ono już w mojej podświadomości i każdy inny, dostatecznie silny impuls wyzwoliłby je? W końcu nie była to specjalna rewelacja...

... Dosyć! I tak do niczego nie dojdę. Trzeba spać. Muszę być wypoczęty, by z pełną koncentracją rozpocząć trzydziesty dziewiąty cykl.